

CANDICE PROCTOR

Papugi

Prolog

Port Adelaide, Australia Południowa

Amanda Davenport pomyślała, że jej tęsknota, marzenie, by znaleźć się z powrotem w Anglii, jest jak ból. Z całego serca pragnęła wrócić do ojczystego kraju.

Nie czuła się tu dobrze. Nawet w czasie nocy takich jak ta, kiedy wisiało nad nią czarne puste niebo, a gruba warstwa chmur zasłaniała nieznanne gwiazdy południowego nieba, wciąż odczuwała dziwną niepokojącą obcość tego miejsca.

Zacisnąwszy dłonie na gładkiej poręczy balustrady z kutego żelaza, która otaczała hotelową werandę na piętrze, patrzyła w stronę skąpanych w mroku, pustych ulic portowych. W nocy nie była w stanie zobaczyć kolonialnych budynków z dziwaczными ścianami z niebiesko-czarnego kamienia i głębokimi werandami zaprojektowanymi tak, by chronić przed prażącym australijskim słońcem. Nie dostrzegała zwisających liści szarozielonych eukaliptusów ani nagich ponurych gór w oddali.

Nie musiała jednak widzieć, by zdawać sobie sprawę z ich obcości. Ta była obecna wszędzie, w powietrzu przepełnionym zapachem złocistych akacji i eukaliptusów, w niepokojących odgłosach ptaków, szczególnie w brzmącym jak śmiech krzyku kukabury, w trudnej do określenia atmosferze pierwotnej tajemnicy, która wisiała nad tym krajem niczym niewidzialny byt.

Przeniknął ją dreszcz, więc okryła się szczelniej krótkim płaszczykiem. Odgłos zduszonego kaszlu dobiegający z pokoju sprawił, że odwróciła się gwałtownie i weszła do wnętrza.

Przerzuciła swoje okrycie przez drewniane oparcie krzesła i podeszła do łóżka, w którym leżała jej umierająca pracodawczyni, pani Blake. Wziąwszy szklanę wody ze stolika, Amanda wsunęła rękę pod ramię chorej.

- Proszę wypić trochę wody - powiedziała, podnosząc szklanę do warg pani Blake.

- Nie chcę wody. Moje płuca są tak słabe, że i tak czuję się, jakbym tonęła. - Mimo to chora wypiała kilka łyków, z trudem biorąc krótki świszczący oddech. Po chwili opadła na poduszki i zamknęła oczy.

Przyglądając się jej, Amanda odniosła wrażenie, że w ciągu minionej doby Frances Blake się skurczyła. Policzki zapadły się jeszcze bardziej, oczy poszarzały, skóra przybrała wygląd pergaminu. Nie była stara - miała pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt pięć lat. Życie, które spędziła, towarzysząc mężowi botanikowi w wyprawach dookoła świata, zahartowało jej ciało i nadało krzepki wygląd. Jednakże nie była wystarczająco silna, by przeżyć szok po tym, jak zobaczyła męża zamordowanego przez złodzieja, który zostawił ją praktycznie bez środków do życia. Lekarz zalecał stosowanie opasek uciskowych i naparstnicę i powiedział, że odpoczynek oraz dobra opieka powinny pozwolić jej przeżyć. Amanda wątpiła w to jednak.

Prawdopodobnie lada dzień, najdalej za tydzień, Frances Blake umrze. Lecz do tego czasu statek, który miał zawieźć Amandę i jej pracodawców do Anglii, już odpłynie, a nie miała pieniędzy na nowy bilet.

Opadła na oparcie krzesła, ze wzrokiem mimowolnie utkwionym w oszklone drzwi werandy. Za szybami widziała tylko ciemność, jednakże gdzieś tam w porcie „Książę Edward” stał na kotwicy, czekając na poranny przypływ.

- Niedługo będzie świtać. - Chrapliwy głos pani Blake dziwnie zazgrzytał w nocnej ciszy, jakby odbijając echem myśli Amandy. - Musisz już iść.

Amanda popatrzyła w bladoszare oczy chorej i pokręciła głową.

- Nie zostawię pani samej. - Nikt nie powinien umierać

samotnie tak daleko od domu, pomyślała, lecz nie powiedziała tego na głos.

Frances Blake niespokojnie poruszyła dłonią na kołdrze.

- Jasper i ja powinniśmy byli to wszystko lepiej obmyślić - rzekła. - Zostawiam cię teraz w bardzo trudnej sytuacji.

- Na pewno jakoś uda mi się wrócić do Anglii. Proszę się o mnie nie martwić. - Amanda pochyliła się i ujęła dłoń pani Blake. Ręka była niepokojąco bezwładna i lepka, a ledwie uchwytyny puls czasami zanikał na długie chwile.

Zbielałe wargi pani Blake wygięły się w coś na kształt uśmiechu.

- I tak już od dłuższego czasu martwię się o ciebie, kochanie. Zaczęło się to jeszcze, zanim wyjechaliśmy z Anglii.

Ten rzadki przejaw czułości zdziwił Amandę jeszcze bardziej niż zaskakujące słowa, jako że jej związek z Blake'ami był zawsze oparty raczej na szacunku niż uczuciach.

- Proszę się o mnie nie martwić - powtórzyła.

Lecz Frances Blake zdążyła już zamknąć oczy, a po chwili Amanda zauważyła, że starsza pani oddycha w wolnym, równym rytmie snu. Z westchnieniem opadła na krzesło i sama zamknęła powieki.

Kilka godzin później obudziła ją donośna, rzewna pieśń srokacza. Znów wyszła na werandę i z bijącym sercem spojrzała w jaśniejące na wschodzie niebo. Świtało.

Popatrzyła na port. W bladym świetle zobaczyła ciemne szczyty masztów na tle niskiego pułapu szarych chmur. Wydawało jej się, że słyszy szcęk i skrzypienie wciąganego łańcucha kotwicy, łopot żagli chłostanych przez słony wiatr, że czuje ruch statku, unoszącego się na falach porannego przyływu i kierującego w stronę Anglii.

Poczuła piekące łzy i ściskanie w gardle. Przełknąwszy z trudem ślinę, odwróciła się i weszła do środka.

Dziesięć godzin później, wczesnym popołudniem trzeciego lipca 1864 roku Frances Blake umarła, zostawiając Amandę samą i nieznającą nikogo w tym dziwnym, nieprzyjaznym kraju.

1

Amanda stała na ścieżce, przytrzymując kapelusz w obawie, że lodowaty wiatr zdmuchnie go jej z głowy, i przyglądała się fasadzie imponującej rezydencji z szarego piaskowca. Nie musiała zaglądać do ogłoszenia wyciętego z gazety, w związku z którym tu przyszła. Czytała te dwa zdania tak wiele razy, że aż huczały jej w głowie.

Zatrudnią szlachetnie urodzoną guwernantkę pochodzącą z Anglii. Zainteresowane osoby proszone są o przedłożenie referencji pani Henriecie Radwith, 23 East Terrace, Adelajda, w najbliższą środę po południu pomiędzy czternastą a szesnastą.

Amanda nigdy nie pracowała jako guwernantka, ale otrzymała lepsze wykształcenie niż większość mężczyzn i z pewnością była prawdziwą angielską damą. Miała nadzieję, że to wystarczy.

Minęły już cztery tygodnie, odkąd „Księżę Edward” wypłynął do kraju, a ona nie zdążyła jeszcze znaleźć nowej posady. Ostatnio troszczyła się przede wszystkim o to, żeby utrzymać się przy życiu, i nie miała czasu na zastanawianie się, jak wróci do kraju. Postanowiła jeść obiad tylko co drugi dzień, by zaoszczędzić trochę pieniędzy. Jej zasoby finansowe szybko topniały i miała coraz mniej czasu.

Bezwiednie przycisnąwszy dłoń w białej rękawiczce do pustego brzucha, wspięła się na niskie kamienne schodki i delikatnie zapukała mosiężną kołatką.

- Amanda Davenport - powiedziała wysokiemu, chudemu służącemu o surowej twarzy, który otworzył drzwi. - Przyszłam tu w sprawie...

Urwała, widząc, że mężczyzna ruchem głowy zaprasza ją do wnętrza.

- Proszę usiąść. Pani Radwith przyjmie panią w bibliotece, kiedy nadejdzie pani kolej.

Amanda weszła do przestronnego holu z marmurową posadzką, długiego co najmniej na sześćdziesiąt stóp, a szerokiego na dziesięć, i jej nadzieje gwałtownie stopniały. Pod ścianami obłożonymi boazerią, pomiędzy kolumnami, pod dekoracyjnymi gipsowymi łukami i obok wspaniałych drzwi z cedrowego drewna ustawiono obite brokatem krzesła i kanapy. Każde z miejsc do siedzenia było już zajęte przez kandydatki do objęcia posady oferowanej w ogłoszeniu pani Radwith.

- Dziękuję- wyszeptała Amanda. Przysiadłszy na skraju drewnianej ławy w pobliżu drzwi, złożyła zdrętwiałe od chłodu dłonie na torebce, którą trzymała na kolanach, z trudem powstrzymując się od nerwowego splatania i rozplatania palców. Angielskie damy nie powinny zdradzać emocji.

Tak więc siedziała nieruchomo, mimo że była bardzo niepokojna, gdy patrzyła, jak inne kobiety, jedna po drugiej, są odprowadzane do przeszklonych drzwi biblioteki w drugim końcu holu, w pobliżu okazałych schodów z cedrowego drewna, a potem do wyjścia. Minęła jedna godzina, druga, aż wreszcie w holu została już tylko Amanda.

- Następna, proszę.

Wstała i udała się do dziwnym służącym do przestronnego pokoju z meblami obitymi zielonym aksamitem i ścianami wykładanymi boazerią z ciemnego drewna, wzdłuż których stały półki z książkami. W szerokim kominku wesoło płonął ogień, wypełniając pomieszczenie miłym ciepłem. Z trudem oderwała

wzrok od wspaniałych płomieni, by spojrzeć na urodziwą ciemnowłosą kobietę siedzącą za masywnym biurkiem z mahoniu.

Pani Radwith miała na sobie kosztowną suknię z liliowej wełny, przystrojoną lamówką z czarnego aksamitu. Jeśli chodzi o wiek, mogła być tuż przed albo zaraz po czterdziestce. Nie wstała na powitanie, tylko przyglądała się Amandzie znad złotych okularów, które nosiła na czubku nosa.

Minęło już ponad pięć lat od czasu, kiedy śmierć ojca zmusiła Amandę do poszukiwania zatrudnienia, mimo to nadał nie cierpiała rozmów z ewentualnymi pracodawcami, nienawidziła przyglądania się jej jak wypożyczanemu koniowi z taniej stajni. Z najwyższym trudem zmusiła się do opanowania i postanowiła wytrzymać szacujący wzrok.

- Ile pani ma lat? - zapytała kobieta.

Amanda uniosła podbródek.

- Dwadzieścia siedem. - A pani ile? - pomyślała z rozba-
wieniem.

Kobieta prychnęła, wędrując wzrokiem od szpetnego niemodnego kapelusza, który służył Amandzie do ukrywania wspaniale błyszczących włosów, po prosty płaszczyk, zakrywający skromną brązową suknię. Wreszcie władczy gestem uniosła dłoń.

- Poproszę o referencje.

Amanda podała kilka kartek.

- Proszę usiąść.

Amanda wybrała krzesło z prostym oparciem i znów złożyła dłonie na kolanach. Masywny zegar z brązu stojący na marmurowej półce kominka głośnym tykaniem odmierzał kolejne minuty.

- Biorąc pod uwagę pani pochodzenie - odezwała się pani Radwith, nie unosząc wzroku znad przeglądanych papierów - spodziewałabym się raczej, że będzie pani szukać posady osobistej sekretarki, a nie guwernantki.

- Próbowалам, ale nikt w Adelajdzie nie jest zainteresowany powierzeniem posady sekretarki kobiecie.

- Trzeba przyznać, że jest to dość niezwykle zajęcie dla kobiety. - Znów zaszeleściły papiery. - A jakie ma pani doświadczenie jako guwernantka?

Amanda mocno zacisnęła palce na pasku torebki.

- Mój ojciec był doktorem teologii na uniwersytecie oksfordzkim, więc odebrałam bardzo staranne wykształcenie. Potrafię...

- Nie pytam o pani wykształcenie. Zobaczyłam już w pani dokumentach, że jest bardzo wszechstronne. - Pani Radwith odłożyła referencje na obity skórą blat biurka i zdjęła okulary, po czym popatrzyła swej rozmówczyni prosto w oczy. - Pytam, czy kiedykolwiek pracowała pani jako guwernantka.

Amanda wstała z godnością.

- Przepraszam za to, że marnuję...

- Proszę usiąść.

- Nie rozumiem?

- Powiedziałam: proszę usiąść.

Amanda znów zajęła miejsce na krześle.

- Proszę mi coś powiedzieć, panno Davenport. Czy może przypadkowo policzyła pani, ile kobiet czekało tu w holu?

Oczywiście, że to zrobiła. Nie widziała powodu, by temu zaprzeczać.

- Dwadzieścia trzy.

- A ile wciąż tam czeka?

- Żadna. Jestem ostatnia. - Amanda popatrzyła w niebieskie oczy kobiety, czując dziwną ulgę i zarazem niepokój. - A dlaczego pani pyta? - odezwała się śmiało.

Pani Radwith odchyliła się w fotelu obrotowym obitym skórą.

- Najpierw chciałabym wyjaśnić, że ogłoszenie zamieściłam w imieniu mojego brata, Patricka O'Reilly'ego. Patrick jest właścicielem rozległej posiadłości na północ stąd, niedaleko Brinkman.

Amanda uniosła brwi.

- Posiadłości?

- Wiejskiej posiadłości o nazwie Penyaka. Składa się na nią około półtora tysiąca mil kwadratowych suchorosli, na których żyje około dwudziestu tysięcy sztuk bydła i sto tysięcy owiec.

Tylko nie busz, pomyślała Amanda, czując przypływ paniki. Żeby tylko się nie okazało, że to busz.

Jej milczenie sprawiło, że pani Radwith uniosła brwi.

- Wciąż jest pani zainteresowana tą posesją?

Amanda poczuła burczenie w pustym brzuchu, w głowie rozdzwoniły się ostrzegawcze dzwonki.

- Jak daleko na północ stąd znajduje się ta posiadłość?

- W Górach Flindersa, na samym skraju nadającego się do zamieszkania terenu kolonii. Prawdę mówiąc, jest tam przeraźliwie pusto. Warunki życia są bardzo prymitywne, powiedziałabym nawet, że niebezpieczne.

W głowie Amandy aż się zaroilo od ponurych, częściowo już zapomnianych opowieści na temat pożarów buszu i czarnych dzikusów, powodzi, jadowitych węży i pajaków. Przypomniała sobie o surowych, nieposkromionych terenach, obok których przepływali w drodze do Adelajdy, o pijanych, nieokrzesanych ludziach, których czasami widywali na ulicach, i doszła do wniosku, że powinna zacząć trząść się ze strachu.

Tymczasem zapytała:

- Ile dokładnie zamierza płacić guwernantce pani brat? - Pytanie było jedynie formalnością. Zdesperowana, była gotowa przystać na każde warunki.

- Sześćdziesiąt funtów rocznie.

Sześćdziesiąt funtów! Amanda musiała mocno się starać, żeby nie zdradzić swych uczuć uśmiechem zadowolenia. Guwernantki w Anglii pracowały przeważnie za piętnaście funtów rocznie. Zarabiając sześćdziesiąt funtów, będzie w stanie opłacić podróż do Anglii i wciąż zostanie jej pokaźna sumka na utrzymanie do czasu znalezienia tam posesji.

Przybrała pogodny wyraz twarzy, starając się nie zdradzić żadnych emocji.

- A ile dzieci ma pani brat?

- Troje. Dwie dziewczynki i chłopca, w wieku od sześciu do jedenastu lat.

- Myślę, że będę potrafiła sobie z nimi poradzić.

W oczach pani Radwith pojawił się niepokojący wyraz rozbawienia.

- Bardzo mnie to cieszy, panno Davcnport, jednakże muszę panią ostrzec, że koszt wysłania pani do posiadłości brata jest

tak wysoki, że jeśli zgodzi się pani przyjąć posadę, musi pani zadeklarować, iż pozostanie tam przynajmniej przez rok. Jeśli wyjedzie pani stamtąd przed upływem dwunastu miesięcy, będzie pani musiała sama zapłacić za przejazd do Adelajdy. A jeżeli odejdzie pani z pracy przed upływem sześciu miesięcy, koszty wysłania pani w Góry Flindersa będą potrącone z uposażenia.

- A jakie to są koszty?

- Dziesięć funtów. W jedną stronę.

Amanda wydała cichy okrzyk zdumienia.

- Co oznacza - ciągnęła pani Radwith - że jeśli nie pracuje tam pani czterech miesięcy, znajdzie się pani z powrotem w Adelajdzie, mając mniej pieniędzy niż obecnie. Zanim pani podejmie decyzję, uważam za swój obowiązek powiadomić panią, że jedna z guwernantek przyjętych do pracy przez mojego brata wyjechała po dwóch tygodniach. Ta, która pracowała tam najdłużej, wytrzymała pół roku.

Amanda uśmiechnęła się.

- Można by podejrzewać, że chce mnie pani odwieść od decyzji.

- Niewykluczone. Nie widzę sensu wysyłania pani do mojego brata, jeśli nie uda się pani mnie przekonać, że poradzi sobie w tamtejszych warunkach.

Uśmiech zamarł na wargach Amandy. Nie była pewna, czy sobie poradzi, ale rozumiała, że nie ma zbyt wielkiego wyboru. Poczła jednak, że musi zadać pytanie, które w tej sytuacji wydawało się oczywiste.

- A dlaczego inne guwernantki tak szybko odeszły z pracy?

Po raz pierwszy od rozpoczęcia tej rozmowy pani Radwith poruszyła się niespokojnie.

- Bez wątplenia poczucie izolacji i trudne warunki zrobiły swoje.. Jednakże trudno zaprzeczyć, że dzieci mojego brata są... jak by to powiedzieć... trudne. Samotnemu mężczyźnie nie jest łatwo prowadzić farmę i jednocześnie wychowywać troje dzieci.

- Pani brat jest wdowcem?

- Nie.

- Proszę mi wybaczyć, ale z pani słów wynioskowałam, że matka dzieci...

- Nie będziemy rozmawiać o matce dzieci.

W bibliotece zaległa głucha cisza. Amanda zastanawiała się nad słowami pani Radwith. Z oddali dobiegł ją znajomy stukot końskich kopyt i ostry, przenikliwy skrzek kakadu.

- Jaka jest pani decyzja?- domagała się odpowiedzi pani Radwith. - Nadal jest pani zainteresowana tą posadą?

Amanda mocniej ścisnęła torebkę na kolanach.

- Czy mogłaby mi pani dać trochę czasu na zastanowienie się? Powiedzmy do piątku?

Pani Radwith majestatycznie podniosła się z fotela.

- Jak pani sobie życzy. Jeżeli wtedy posada będzie jeszcze wolna, to ją pani dostanie. Powiem Robertsowi, żeby panią odprowadził. - Sięgnęła po aksamitny sznur dzwonka, zwisający nad kominkiem.

Amanda przeraziła się nie na żarty.

- Proszę zaczekać.

Pani Radwith odwróciła się, wyniośle unosząc jedną brew.

- Nie mogę zarezerwować tej posady dla pani, jeśli o to chciałyby pani prosić.

Amanda poczuła, że serce wali jej w piersi jak oszalałe. Nie lubiła pochopnie podejmować decyzji, jednak w tym wypadku nie miała czasu na zastanowienie. A zresztą czy był inny wybór? Mogła się poświęcić i spędzić rok, usiłując nauczyć czegoś trójkę niezdolnych dzieci w australijskim buszu. Inną możliwością była śmierć głodowa w rynsztoku.

Z trudem zacerpnęła tchu, po czym z głośnym westchnieniem powiedziała:

- Przyjmuję tę posadę.

Patrick O'Reilly leżał na plecach w skłębionej pościeli na łóżku Mary McCarthy, z jedną ręką w gęstych ciemnych włosach, kusząco rozsypanych na jego brzuchu.

- Ach, Mary - westchnął, opierając głowę o poduszkę i przy-
mykając powieki. - Jesteś wspaniała.

Nagle przestał odczuwać cudowne ciepło i jej słodki ciężar.
Otworzył oczy i unióśł głowę.

- Czemu przestałaś?

Oparła podbródek o jego tors. Jej ciemne oczy błyszczały.
Jeszcze raz pomyślał, że jest piękną kobietą. Była starsza
od niego o co najmniej pięć lat. Życie spędzone w buszu
sprawiło, że jej skóra ogorzała od słońca i wiatru, rysy twarzy
wyostrzyły się, a pod oczami uwidoczniły się ciemniejsze
kręgi. Mimo to Mary była kształtna, a jej sylwetka zdradzała
się ciała i charakteru.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Nie widzę powodu, żeby coś znów zaczynać, skoro nie
będziemy w stanie tego skończyć.

- Do diabła, przecież już zaczęłaś. - Przesunął dłońmi po jej
plecach aż do nagich pośladków i unióśł biodra. - I niby dlaczego
mamy nie skończyć?

- Och, nie. - Zsunęła się na bok i położyła obok niego.
Chyba zapominasz, że dzisiaj przyjechałeś do miasteczka przede
wszystkim po to, by spotkać twoją nową guwernantkę.

Jęknął i przewrócił się na bok. Leżeli teraz twarzą do siebie.

- Nie zapomniałem. Ale nie słyszałem, żeby dyliżans po-
cztowy przejeżdżał przez miasto. - Złożył na jej ustach długi
namiętny pocałunek. - A ty?

Roześmiała się.

- Sądzę, że nie usłyszelibyśmy nawet trąby świętego Piotra,
wzywającego wszystkie dusze na Sąd Ostateczny.

- Daj spokój. Przecież wcale tak bardzo nie hałasowaliśmy.
- Obwiodł jej wargi koniuszkiem języka. - No dobrze
powiedział cicho i pocałował ją w szyję. - Może jednak hała-
sowaliśmy.

Położyła się na plecach i ujęła twarz Patricka, kierując jego
głowę niżej. Nie miała żadnych zahamowań i śmiało pokazywała
mężczyźnie, co ma zrobić, żeby ją zadowolić.

- Poza tym -- uniosła podbródek - co masz zamiar zrobić?

Włożyć buty i spodnie i zbiec z góry, kiedy usłyszysz dylizans? No, to na pewno zrobi duże wrażenie na twojej nowej guwernantce, bez dwóch zdań.

Przesunął się niżej, ku małym jędrnym piersiom. Usłyszał ciche westchnienie.

- Oczywiście zakładając, że ta panna Amanda Davenport jest w tym dylizansie - powiedział. - Ostatnia guwernantka, którą Hetty chciała mi tu przysłać, stchórzyła jeszcze przed wyjazdem z Adelajdy.

- Jaka ona jest? Czy twoja siostra coś ci mówiła na jej temat?

- Nie. - Obwiódł językiem ciemną brodawkę piersi Mary i z upodobaniem patrzył, jak twardnieje. - Przysłała mi tylko wiadomość, jak się nazywa i kiedy mam się jej spodziewać. Co oznacza, że najprawdopodobniej jest to jakaś zasuszona pięćdziesięcioletnia stara panna, sztywna jak jej fiszbinowy gorset. Mam tylko nadzieję, że nie jest to kolejna angielska dama, które Hetty tak uwielbia.

- Żal mi tych guwernantek.

- Dlaczego?

- Mają takie monotonne życie. Takie... puste.

Patrick wzruszył ramionami.

- Zawsze byłem zdania, że ludzie sami tworzą i przegapiają swoje życiowe szanse. - Ujął jej pierś.

- Musisz znaleźć kogoś, kto tu zostanie, Patricku. Twoje dzieci potrzebują kobiety, która będzie z nimi na tyle długo, żeby nauczyły się jej ufać... a może nawet w jakiś sposób ją pokochać. Szczególnie dziewczynki. Wiem, że spędzasz z nimi każdą wolną chwilę i jesteś cudownym ojcem, ale... - Urwała. - Naprawdę powinieneś pomyśleć o ponownym ożenku.

Znieruchomiał. Gdyby powiedziała mu to inna kobieta, podejrzewałby, że usiłuje nakłonić go do oświadczyń. Ale znał Mary i nazwiska przynajmniej dwóch innych mężczyzn, którzy spędzali czas w jej łóżku. Wiedział, że nie ma zamiaru wychodzić za nich za męża. Znów zajął się jej piersią.

- Wciąż mam żonę, zapomniałaś?

- Tylko na papierze.

- Obawiam się, że w przypadku żon te papiery mają duże znaczenie.

Mary obróciła się na bok.

- Zawsze możesz rozwieść się z Katherine z powodu cudzołóstwa.

Opadł na poduszkę i zasłonił oczy ręką.

- Noo, to by dopiero było. Wystąpiłbym w sądzie i nazwał matkę moich dzieci dziwką.

Położyła dłoń na jego torsie.

- Niekoniecznie od razu dziwką. Co powiedziałaś na „błądzącą żonę”?

- Hmm. - Nakrył ręką dłoń Mary i popatrzył jej w oczy.

- A dlaczego ty nie chcesz drugi raz wyjść za mąż? George nie żyje od czterech lat.

Przysunęła się tak blisko, że oparła głowę na ramieniu Patricka.

- Nikt nie jest w stanie mi go zastąpić, dobrze o tym wiesz. Nie w moim sercu. - W jej głosie pojawiły się figlarne nutki. - Co innego w łóżku.

Roześmiał się cicho i mocno ją uściskał.

- Wiesz, Mary, właśnie to mi się w tobie podoba. Jesteś najbardziej otwartą, szczerą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Przy tobie mężczyzna dobrze wie, czego może oczekiwać. I czego oczekujesz.

Ofuknęła go i przesunęła palcami po brzuchu Patricka, uśmiechając się na widok jego reakcji.

- Lubisz mnie, bo oboje mniej więcej oczekujemy od siebie tego samego. Chcesz się kochać łatwo i przyjemnie, a wiesz, że podobnie jak ty nie lubię komplikować życia.

- Jest mi z tobą dobrze tylko dlatego, Mary, i dobrze o tym wiesz.

- Tak. Wiem o tym. A ty jesteś moim dobrym przyjacielem. Ujął jej twarz w dłonie.

- W takim razie powinnaś wiedzieć, że nie mam zamiaru kiedykolwiek wiązać się formalnie z inną kobietą. Jedna pomyłka w zupełności mi wystarczy.

- Wszyscy popełniamy błędy, kiedy jesteśmy młodzi.

- Do diabła! - zaklął, siadając. - Dlaczego tak ci zależy na tym, żeby mnie ożenić?

Mary usiadła obok.

- Ponieważ nie sądzę, żebyś był naprawdę szczęśliwy.

Popatrzył w jej mądre oczy, przerażony, że go przejrzała aż do tego stopnia, i posadził ją sobie na kolanach.

- Do diabła, Mary, Dlaczego niby miałbym być szczęśliwy? Mam tysiąc mil kwadratowych skrubu, który lada chwila uschnie i polecą z wiatrem w tej cholernej suszy. Co tydzień zdycha mi około stu owiec, a za miesiąc prawdopodobnie będę tracił tyle dziennie.

- A jeśli jutro spadnie deszcz, znów popłyną potoki i wyrosnie wysoka trawa, to czy będziesz szczęśliwy?

Popatrzyli sobie w oczy.

- A ty jesteś szczęśliwa, Mary? Tak naprawdę szczęśliwa?

Podniosła jego spodnie z podłogi i rzuciła w Patricka.

- Idź przywitać tę swoją guwernantkę.

Amanda z trudem szła wysuszoną, poślizgniętą koleinami drogą, wzniesioną chmury czerwonego pyłu. Ręce bolały ją od niesienia drewnianego pulpitu, który należał do jej matki. Nie chciała zostawiać go w zepsutym dyliżansie, który musiał zatrzymać się przy kuźni na skraju miasteczka.

Ciężko dysząc, wspięła się na niewielkie wzniesienie, po czym przystanąła, zdumiona widokiem Brinkman. Woźnica dyliżansu, którym tu przyjechała, powiedział jej, że miasto zostało założone pod koniec lat pięćdziesiątych osiemnastego stulecia, jednakże mieszkało w nim wciąż bardzo niewiele osób. Składające się z domów zbudowanych z bloków piaskowca lub prostych pni, było raczej nie miastem, a skupiskiem domostw porzucanych między czerwonymi skałami i suchoroślami Gór Flindersa. Oprócz kuźni i budynków kopalni miedzi, która dała początek miasteczku, dostrzegła jedynie sklep, kilka chat krytych korą albo strzechą i jednopiętrowy hotel zbudowany z kamienia, z wyblakłym szyldem „Brinkman Inn, Właściciel: Ichabod Hornbottom”.

Ruszyła przed siebie, zaintrygowana. W ostrym świetle zimowego słońca miasteczko sprawiało wrażenie opustoszałego. Przed sklepem stała para wołów zaprzęzona do wyładowanego towarami wozu, był to jednak prymitywny pojazd i wydawało się raczej mało prawdopodobne, by brat pani Radwith powoził czymś takim. Muchy brzęczały w nieruchomym powietrzu. Gdy Amanda podeszła bliżej, jeden z wołów machnął ogonem i potrząsnął łbem, grzechocząc uprzężą, a potem znów popadł w senne odrętwienie.

Nikt nie przybył na jej powitanie.

Amanda zwalczyła dzieciinną chęć rozpłakania się. Jako osierocona przez matkę jedyna córka uczonego, przez większą część swego życia była sama. Jednak miała wrażenie, że nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna jak teraz, stojąc na wyludnionej ulicy tego osobliwego miasteczka na krawędzi nicości.

Była bardzo zmęczona i obolała po wielu dniach spędzonych na twardym siedzeniu dylizansu, co chwila podskakującego na nieprawdopodobnie wyboistych drogach. Jej skóra i ubranie były pokryte warstwą pyłu, a nie kapała się od tak dawna, że z zażenowaniem myślała o swym zapachu.

Podmuch zimnego wiatru wzniecił tumany kurzu. Oślepiła ją jaskrawe słońce, z zadowoleniem wypatrzyła więc skrawek cienia rzucany przez ganek hotelu po drugiej stronie ulicy. Pokonując wysoki krawężnik chodnika, usłyszała chór sprośnych okrzyków i szczery męski śmiech, dochodzący zza uchylonych drzwi hotelu. Zawahała się, po czym pchnęła drzwi i weszła do środka.

Uderzył ją ostry zapach taniego alkoholu. Przez mgiełkę dymu z papierosów i fajek dostrzegła prosty bar, stanowiący oparcie dla kilku mężczyzn w czerwonych albo kraciastych flanelowych koszulkach i postrzępionych spodniach. Gdy obcasy trzewików Amandy zastukały w posadzkę, głosy urwały się w połowie zdania i wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, a ręce z wypełnionymi szklankami zastygły w pół drogi do otwartych ust. Mężczyźni siedzący w niewielkim dusznym pomieszczeniu byli zaskoczeni, a nawet oburzeni.

Świadoma tego, że popełniła poważną gafę, Amanda cofnęła się o krok, jednak ani odrobinę dalej.

- Przepraszam, że panom przeszkodziłam - powiedziała nie-naganną oksfordzką angielszczyzną, brzmiącą wyjątkowo nie-sosownie w tym prymitywnym barze. - Szukam pana Patricka O'Reilly'ego.

Wpatrywało się w nią sześć par oczu, lecz nikt się nie odezwał. Kiedy doszła do wniosku, że nie doczeka się odpowiedzi, zza baru wyłonił się chudy, przygarbiony mężczyzna o ogorzałej twarzy, z siwiejącymi włosami i bokobrodami.

- O'Reilly'ego tu nie ma - rzekł, przesuwając prymkę tytoniu z jednego kącika ust w drugi i mierząc Amandę spojrzeniem od stóp do głowy. -- To pani jest tą nową guwernantką, której się spodziewałem?

- Tak. - Amanda patrzyła, jak starszy człowiek ściąga wargi, by pluć strugą złocistobrazowego soku tytoniowego o przykraj woni, który z obrzydliwym plaśnięciem wylądował w mosiężnej spluwacze na podłodze. Zmarszczyła nos. Trudno było sobie wyobrazić, że brat pani Radwith bywa w tym prymitywnym lokalu wśród ludzi o tak niewyszukanych manierach, mimo to zdecydowała się jednak o niego zapytać. - Pan O'Reilly...

- Strzelił tu sobie jednego jakiś czas temu - oznajmił mężczyzna siedzący przy barze. - Pewnie jest teraz z Mary.

Kilku jego towarzyszy wyszczerzyło zęby w uśmiechu. Niektórzy parsknęli śmiechem, a ktoś mruknął:

- Ja też bym chciał. - Wszyscy, z wyjątkiem Amandy, zarechotali.

- Mary? - powtórzyła.

- Mary McCarthy - wyjaśnił siwawy starszy człowiek, żujący tytoń. - Wdowa, właścicielka sklepu.

- Dziękuję. - Amanda popatrzyła na niski kamienny budynek po drugiej stronie drogi. Jej wzrok padł na wóz zaprzężony w woły, który zauważyła już wcześniej, i po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że ten prymitywny pojazd może należeć do pana O'Reilly'ego. Jej i tak fatalny nastrój jeszcze się pogorszył. Przeszła przez zakurzoną drogę i pchnęła drzwi sklepu.

Znalazła się w długim, wąskim pomieszczeniu wypełnionym dużymi skrzyniami. Ktoś ręcznym pismem oznaczył ich zawartość na nalepkach. Mąka. Owsianka. Ryż. Sago. Jęczmień. Cukier. Półki z artykułami spożywczymi i materiałami sięgały aż po sufit każdej z trzech ścian, a przez drzwi na tyłach pomieszczenia widać było magazyn z torbami ziemniaków i cebuli, pudełkami gwoździ, pojemnikami z naftą i ogromnymi zwojami drutu oraz konopnego sznura.

Po prawej i po lewej biegły dwie drewniane lady. Przy jednej z nich wysoki ciemnowłosy chłopiec z długimi i chudymi kończynami pochylał się nad księgą rachunkową. Nie zwracał uwagi na Amandę, dopóki nie odchrząknęła.

- Przepraszam, szukam pana O'Reilly'ego.

Chłopiec uniósł głowę i posłał jej niechętnie spojrzenie.

- Nie ma go tutaj.

- Poinformowano mnie, że jest z Mary McCarthy. Czy pani McCarthy...

- Kto to powiedział? - zapytał chłopiec, a twarz nabiegła mu krwią. - I co jeszcze słyszała pani o mojej mamie?

- Nic - odparła szybko Amanda, wycofując się. - Nic. Dziękuję. - Odwróciła się i przełożyła pulpit do drugiej ręki. Przystanęła pod osłoną rachitycznego ganku, by się zastanowić, co począć w tej sytuacji.

Jej uwagę przyciągnęło jakieś poruszenie w pobliżu budynku. Zmrużywszy oczy, zauważyła, że na tarasie domu z piaskowca, stojącego w cieniu czerwonawej skały, pojawił się jakiś mężczyzna. Chwyciwszy się pod boki przeciągnął się i ziewnął - jego kształtne ciało wygięło się w łuk; spod rozpiętej skórzanej kamizelki i rozchylonej niebieskiej koszuli z serży wyłoniło się dobrze umięśnione opalone męskie ciało.

Rozprostował się i uniósł kapelusz, żeby przesunąć podtrzymujący go pasek pod brodę. Mocne australijskie słońce oświetliło złocistokasztanowe włosy, wydobywając z nich całą gamę odcieni od ochry do barwy dojrzałej pszenicy. Włożył kapelusz, znów się przeciągnął, po czym odwrócił się w stronę kobiety, która stanęła za nim w otwartych drzwiach. Jej długie

ciemne włosy były rozczochrane i opadały na ramiona, jakby zaledwie przed chwilą wyszła z łóżka.

Amanda patrzyła, jak mężczyzna obejmuje kobietę i przyciąga do siebie. Nawet z tej odległości słyszała jej radosny śmiech, widziała, jak palce kobiety rozchylają się, a potem zaciskają na ramieniu mężczyzny, który pochylił się i całował ją długo i mocno, poufnym gestem przesuwając dłonie wzdłuż jej ciała. Amanda nie mogła oderwać wzroku od tej pary, czując dziwne ciepło rozchodzące się po całym ciele, być może w wyniku zaskoczenia, ale także i trudnej do określenia tęsknoty.

Uwolnwszy kobietę, mężczyzna poklepał ją po pupie, po czym lekko i zwinnie zeskoczył z tarasu na podwórze. Rozchylone poły koszuli lekko opadły na jego wąskie biodra. Schodząc ze wzgórza, pochylił głowę i zaczął zapinać jej guziki.

Amanda patrzyła na zbliżającego się nieznajomego. Wmawiała sobie, że to nie może być Patrick O'Reilly. Był zbyt młody i atrakcyjny, zbyt męski, zbyt australijski. Szedł w jej stronę. Tuż przed sklepem, gdzie czekała w cieniu, zatrzymał się i schował koszulę w moleskinowe spodnie, tak znoszone, że wyglądały niemal jak uszyte z miękkiej skóry. Na pasku przy biodrze wisiał bardzo duży, groźnie wyglądający nóż w pochwie.

Nagły powiew wiatru unióśł dół sukni Amandy, zaszeleścił jej sztywny materiał i nakrochmalona halka. Mężczyzna znieruchomiał z dłonią wciąż jeszcze wsuniętą za pasek spodni. Odchylił głowę i popatrzył na Amandę zaskakująco niebieskimi oczami spod prostych ciemnych brwi. Usłyszała, że wymamrotał pod nosem coś, co podejrzenie brzmiało jak „cholera”.

Wysunął rękę zza pasa i unióśł kapelusz.

- Panna Davenport?

Amandzie głos uwiązł w gardle. Zdobyła się jedynie na skinięcie głową.

Uśmiechnął się szelmowsko, a w jego opalonych policzkach zrobiły się urocze dołki.

- Dzień dobry - powiedział. - Witam w Górach Flindersa.

2

Chuda, bezbarwna i sztywna jak ciało w trumnie guwernantka patrzyła na Patricka O'Reilly'ego spod osłony sklepowej werandy.

Miała na sobie nieładny staromodny kapelusz, który zakrywał jej włosy i zasłaniał bladą twarz z zaciśniętymi wargami. Jej płaszcz był bury i bezkształtny, a brązowa suknia chyba jeszcze brzydsza. Nigdy nie widział kobiety, która tak bardzo chciała wydać się nieatrakcyjna.

Cholera, pomyślał znowu, tym razem jednak bardzo się starał, by nie powiedzieć tego głośno. Wsunąwszy kapelusz na głowę, sięgnął po drewniany pulpit, który kurczowo trzymała przy piersi.

- Proszę mi to dać.

- Pan... - Z jej gardła wydobył się dziwny skrzek. Przełknęła z trudem ślinę i mocniej przycisnęła pulpit do piersi. - Jest pan zatrudniony przez pana O'Reilly'ego?

Angielka! Znieruchomiał, wpatrzony w stojącą przed nim kobietę. Do diabła! Hetty znów mu to zrobiła... przysłała kolejną cholerną angielską damę.

Zacisnął powieki, wyobrażając sobie, że zaciska dłonie wokół szyi siostry i mocno nią potrząsa tak długo, aż Hetty zrozumie, że angielskie damy w najlepszym razie niezbyt dobrze radzą sobie w buszu, nie mówiąc już o szczycie zabójczej suszy. Że ostatnią rzeczą, jakiej życzyłyby sobie dla Hanny i Missy było to, żeby zaczęły zachowywać się jak małe Angielki. Na litość boską, co też musi zrobić siostrze, żeby ta zrozumiała, iż po

Katherine nie ma najmniejszej ochoty na jakąkolwiek cholerną Angielkę w swoim życiu? Niech szlag trafi Hetty, jej wścibstwo i próby uszczęśliwiania go na siłę.

Głęboko zaczerpnął tchu, a otworzywszy oczy, zauważył, że nowa guwernantka przygląda mu się dziwnym wzrokiem.

- Pani jest Angielką.

Wyprostowała się i dumnie uniosła wąski nos w sposób, który natychmiast przypomniał mu Katherine.

- Oczywiście, że jestem Angielką - powiedziała ze swoim boleśnie nienagannym akcentem. - W ogłoszeniu pani Radwith wyraźnie było zaznaczone, że kandydatki mają być szlachetnie urodzonymi Angielkami.

- Aha.

Popatrzyła na niego wyniośle, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że uznała go za ociężałego umysłowo.

- Z pewnością pan O'Reilly...

- Ja jestem Patrick O'Reilly - oznajmił rozdrażnionym głosem. - A teraz proszę dać mi ten pulpit...

- Pan? - Na jej twarzy odmalował się wyraz niedowierzania i przerażenia. - Ale przecież pan... pan jest Australijczykiem.

- Tak. - Zrezygnował z namawiania jej, by pozwoliła mu ponieść ten nieszczęsny pulpit, i tylko się jej przyglądał. Boże, była bardzo drobna. Czubkiem głowy sięgała mu do piersi. Sprawiała wrażenie niedożywionej, co nadawało jej niepokojąco kruchy wygląd. Miał wrażenie, że ta kobieta załamie się przy najmniejszej przeciwności losu.

Biedaczka nie miała żadnych szans w zetknięciu z trudnymi warunkami panującymi w Górach Flindersa, dodatkowo zmuszona do radzenia sobie z jawną niechęcią trójki jego dzieci z piekła rodem.

Odwrociła wzrok, jakby trochę zawstydzona tym, że słowa na temat jego kolonialnego pochodzenia mogły zabrzmieć niezbyt uprzejmie. Wiedział z doświadczenia, że Angielki poczytują sobie za punkt honoru okazywanie nieznośnej uprzejmości nawet wtedy, gdy tak naprawdę mają ochotę wbić komuś nóż w plecy.

- Przepraszam - odezwała się sztywno. - Tak się zdziwiłam, dlatego że pana siostra... to znaczy myślałam, że pani Radwith urodziła się w Anglii.

- Och, ona potrafi naśladować tych cholernych Angoli. Ale urodziła się tutaj, tak samo jak ja.

Na dźwięk słów „cholerni Angole” kształtne policzki panny Amandy Davenport zabarwił szkarłatny rumieniec oburzenia. Przyjrawszy się jej uważniej, Patrick zauważył, że jest młodszą, niż mu się wydawało na początku. Miała nawet bardzo pogodne spojrzenie... oczywiście nie wtedy, gdy ściągała wargi w kwaśnej, krytycznej minie, jakie niezmiennie przybierają Angielki, kiedy w ich obecności ktoś powie „cholera” albo „do diabła”.

Silny podmuch wiatru pokrył ich oboje warstwą kurzu i gorzkim, ostrym zapachem ginącego buszu. Zauważył, że panna Davenport wyprostowała i tak już sztywne plecy, by nie drgnąć, i zrobiło mu się jej żal. Była taka... tak bardzo angielska.

Patrzył na nią, stojącą przed nim w wymuskanych białych rękawiczkach i sztywnej krynolinie, z nienagannymi manierami i ustalonym światopoglądem, i odniósł wrażenie, że wszystko, co czyni ją prawdziwą angielską damą, co pozwala poruszać się pewnie i wygodnie w znanym jej dotąd świecie, tu jest całkowicie nieprzydatne, a nawet stanowi pewne obciążenie. Lecz ona o tym nie wiedziała.

Patrzył, jak unosi podbródek, jak drżą chrapki jej wąskiego nosa, i od razu się domyślił, że nie chciała się znaleźć w Górach Flindersa, tak jak on nie życzył sobie w Penyce kobiety podobnej do niej. Jednak potrzebował kogoś, kto będzie uczył jego dzieci, już teraz, a nie za kolejnych sześć miesięcy... zakładając, że uda mu się przekonać Hetty, iż warto zatrudnić kolejną guwernantkę, co po odrzuceniu tej kandydatki było bardzo wątpliwe. Domyślał się, że panna Davenport musiała być bardzo zdesperowana, skoro zdecydowała się przyjechać tu taki kawał drogi w poszukiwaniu pracy. Wyglądało na to, że są na siebie skazani.

Jeden z wołów poruszył się niespokojnie; zadzwoniła uprząż. Patrick wsunął kapelusz głębiej na głowę i rozejrzał się, szukając kufrow guwernantki.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie ma pani swój bagaż, to tam pojedziemy.

Najwyraźniej podjąwszy jakąś decyzję, Amanda Davenport uniosła dłoń w rękawiczce do warg i cicho odchrząknęła.

- Dyliżans zmuszony był zatrzymać się przy kuźni, gdzie zabrano się do naprawiania złamanego koła. Zostawiłam tam kufer i torbę podróżną. - Popatrzyła na wóz. Rumieniec zniknął już z jej policzków. - Ten... ten wiejski wóz należy do pana?

Patrick popatrzył na nią zmrużonymi oczami. A więc ten wóz był nieodpowiedni dla damy.

- Taaak - odrzekł przeciągle. - Ale zamierzam jechać, a nie iść pieszo.

Popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem, jakby nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Wyszła na zalaną słońcem piaszczystą drogę i pozwoliła swemu chlebodawcy ponieść cenny pulpit. Umieścić go w wozie. Zauważył, że guwerantka przygląda się pojazdowi, jakby był jakimś szkaradzieństwem.

- O co chodzi? - Położył ręce na biodrach. - Nigdy pani nie jechała takim wozem?

Pokręciła głową.

- Nie. Siedzenie jest dość wysokie. - Popatrzyła na niego.

Patrick zdał sobie sprawę, że jej twarz nie wyraża arogancji, lecz niepewność zmieszana z odrobiną czegoś, co skłonny byłby uznać za strach, chociaż robiła, co tylko w jej mocy, żeby go ukryć. Zaklął pod nosem.

- Pomogę pani.

Odsunęła się nerwowo.

- Nie. - W jej głosie wyczuł tak paniczny lęk, że zdziwiony zatrzymał się w pół kroku. - Nie, dziękuję - powiedziała spokojniejszym już tonem. - Dam sobie radę.

Wątpił w to, ale oparł się o jeden ze słupków werandy, założył ramiona na piersi i obserwował jej poczynania.

Sięgając najwyżej, jak mogła, jedną ręką chwyciła się krawędzi drewnianego siedzenia. Była jednak tak niska, że zdołała jedynie zacisnąć koniuszki palców, a drugą dłonią z trudem chwyciła przednią deskę. Na chwilę znieruchomiała z szeroko rozłożonymi

ramionami, przywodząc mu na myśl męczennicę przybitą do krzyża. Męczennicę niezłe wyposażoną przez naturę, pomyślał nieprzyzwoicie, przyglądając się jej profilowi. Ta mała, zgryźliwa osobka miała bardzo ładne piersi. Szkoda, że to wszystko szło na marne.

Z trudem ukrył rozbawienie, przyglądając się, jak Amanda unosi nogę, po czym niepewnie spogląda w dół. Spódnica zasłaniała jej stopę, więc usiłowała na ślepo wsunąć czubek trzewika pomiędzy szprychy koła, używając go jako stopnia. Uniosła drugą stopę, po czym podskoczyła, odrywając nogi od podpórki, lecz udało jej się unieść jedynie na pół wysokości potrzebnej do zajęcia miejsca. Kurczowo trzymając się uchwytów, wisała z boku wozu, z nogami majtającymi w powietrzu i uroczo wypiętym tyłeczkiem.

Ma szczęście, że jej krynolina jest dość miękka i niemodnie wąska, pomyślał, gdyż w przeciwnym razie mieszkańcy Brinkman mieliby wspaniały widok na to, co nosi pod spódnicą. Przez chwilę rozpaczliwie się wierciła, po czym znieruchomiała, dysząc jak wyrzucona na brzeg ryba. Patrick w zamyśleniu przyjrzał się wypiętej pupie. Był pewien, że guwernantce nie spodoba się to, co zamierzał zrobić, ale nie widział innego sposobu rozwiązania problemu.

Stanął za nią.

- Może pomóc?

Nie usłyszał jej niewyraźnej odpowiedzi.

- Co pani powiedziała? - zapytał.

Obróciła głowę i popatrzyła na niego z twarzą posiniałą z wysiłku i wściekłości. Błyski w jej szarych oczach zdradzały zaskakujący temperament.

- Powiedziałam: tak, proszę.

- W porządku. - Chwycił ją za apetycznie zaokrąglone pośladki. Zesztywniała i wydała okrzyk zaskoczenia, lecz nie zwrócił na to uwagi. Ścisnąwszy Amandę mocniej, uniósł ją i pomógł zająć miejsce.

Amanda patrzyła na ciągnące się wzdłuż drogi zbocza czerwonych poszarpanych skał, porośnięte usychającą trawą i rzadkimi rachitycznymi krzakami.

To niegościnnie kraj, pomyślała, dziki, surowy i brutalny. Z każdą milą, jaka oddalała ją od Adelajdy, rosło w niej przerażenie. Teraz czuła w żołądku pustkę, będącą oznaką strachu. Miasteczko Brinkman było okropne, ale obawiała się, że Penyaka będzie jeszcze bardziej przygnębiająca, gorsza, niż Amanda była to sobie w stanie wyobrazić.

Stłumiła okrzyk zdziwienia, gdy siedzący obok niej mężczyzna strzelił z bicia i krzyknął coś niezrozumiałego do wołów zaprzężonych do wozu. Odkąd zabrała swoje bagaże z dylizansu w kuźni, zamienili ze sobą zaledwie kilka słów. Mimo to cały czas była świadoma jego obecności. Siedział tak blisko niej, że czuła jego zapach - mieszaninę skóry i tytoniu, a także czysto męskiej woni, która była całkiem przyjemna. Rozchylił nogi tak szeroko, że dotykał jej spódnicy długim, umięśnionym udem, a jeden z jego znoszonych butów znajdował się tuż przy trzewiku Amandy z lakierowanej skóry. Było jej gorąco i czuła się skrępowana. Wcale jej się to nie podobało.

Popatrzyła na duże opalone dłonie, trzymające wodze z nonszalancją, która nie mogła zamaskować siły rąk. Na myśl o ciepłe tych dłoni obejmujących jej pośladki aż skręcała się z zakłopotania.

Wiedziała, że postąpiła nierozsądnie, nie pozwalając mu pomóc sobie przy wsiadaniu do wozu, kiedy zaproponował to po raz pierwszy. Nawet teraz nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak się wystraszyła samej myśli o tym, że jej dotknie. Najprawdopodobniej dlatego, że okazał się zupełnie inny niż mężczyzna, którego spodziewała się tu zastać.

Wyobrażała sobie brata pani Radwith jako statecznego dżentelmena w średnim wieku, mieszkającego w komfortowych warunkach. Wciąż nie umiała pogodzić swych wyobrażeń z tym przystojnym, zuchwale męskim młodym człowiekiem, który półnagi zeskakiwał z tarasu domu w samym środku przerażającego pustkowia.

Nagle doświadczyła dziwnego wrażenia, że ich jazda trwa już bardzo długo.

- Ile jeszcze będziemy jechać do pańskiej posiadłości? - zapytała, przerywając długie milczenie. - J jak właściwie tutaj nazywa się posiadłość? Farma?

Pytanie zabrzmiało lekceważąco wyniośle, chociaż wcale nie było to zamiarem Amandy.

- Jesteśmy już w Penyce. Ale jeśli chodzi pani o to, jak długo będziemy jeszcze jechać do mojego gospodarstwa, to konno z miasteczka pokonuje się tę drogę w ciągu godziny. Wóz jedzie wolniej, ale jesteśmy już niedaleko.

- Co pan ma na myśli mówiąc: gospodarstwo?

Nastąpiła chwila ciszy, w której słychać było tylko szcęk upręży i zawrodożenie zimnego wiatru.

- Tak nazywamy najbliższe otoczenie domu na farmie.

Spojrzała na mijaną okolicę. Mrużąc oczy przed oślepiającym blaskiem słońca, zauważyła kilka krów i stado owiec, pasących się w oddali pod czujnym okiem samotnego pasterza. Nieco bliżej dostrzegła dwa strusie emu, z gracją wyciągające szyje i drobiażące nogami w niespiesznym chodzie jeden za drugim. Mimo to krajobraz wydawał jej się pusty, niemal pozbawiony życia. Zastanawiała się, jak można żyć w tak surowych warunkach.

- Wygląda na to, że jesteśmy w środku pustkowia - odezwała się, zaskoczona, że wypowiedziała swoją myśl na głos.

Roześmiał się.

- O, nie jest tu już tak źle jak dawniej. Kiedy dwanaście lat temu pierwszy raz pędziłem tu stado z Wiktorii, najbliższe miasto było oddalone o dwa dni jazdy.

- To musiało być bardzo trudne dla pańskiej żony - powiedziała bez zastanowienia.

Wyraz rozbawienia natychmiast zniknął z jego twarzy. Amanda zauważyła, że mocno zacisnął szczęki. Musiała niechcący dotknąć bolesnych wspomnień.

- Przez pierwszych kilka lat moja żona mieszkała w stanie Wiktorii ze swoimi rodzicami - powiedział szorstko. - Przyjechała tu dopiero, gdy Hannah miała prawie półtora roku.

Amanda przyłapała się na tym, że z uwagą obserwuje profil swego pracodawcy. Uznała, że nie może mieć dużo więcej niż trzydzieści lat... najwyżej trzydzieści dwa. Dwanaście lat temu był bardzo młody. I w takim wieku zdecydował się prowadzić stado przez dziki, niezbadany kraj, by założyć własną farmę. I jeszcze zdążył się ożenić i zostać ojcem.

Zdziwiona zdecydowanie niewłaściwą tematyką swoich rozważań odchrząknęła.

- Proszę mi opowiedzieć coś o swoich dzieciach, o tym, jakie są.

Zauważyła, że trochę się rozluźnił i zniknęło wrogie nastawienie, które mimowolnie wzbudziła. Uniósł kciukiem rondo kapelusza.

- Najstarsza jest Hannah. Potem urodził się Liam, który ma dziewięć lat, a potem Melissa. To jeszcze mały dzieciak. A co do tego, jakie są... - Uśmiechnął się. - Myślę, że powinienem pozwolić, żeby wyrobiła sobie pani własne zdanie na ich temat.

Była tak pochłonięta patrzeniem na niego, że kiedy jedno z kół wpadło w głęboką koleinę, omal nic wyskoczyła z wysokiego siedzenia. W ostatniej chwili chwyciła się brzegu deski, a potem szeroko rozstawiła nogi, chcąc zachować równowagę przy podskokach wozu z dudnieniem zjeżdżającego teraz ze stromego skalistego zbocza. Wyjeżdżali na nieco bardziej otwartą przestrzeń, zostawiając wyższe wzniesienia Gór Flindersa za sobą z północnej i zachodniej strony. Otaczały ich faliste brunatne wzgórza i intensywnie czerwone płaskowyże, poprzecinane potokami, wzdłuż których rosły eukaliptusy o łuszczącej się korze oraz gęsty rdest. Lecz z potoków pozostały jedynie suche koryta, a wszystkie drzewa i krzewy pokrył piasek i usychały.

- Pierwszy raz jest pani w buszu?

Głos Patricka przerwał milczenie.

- Tak - odpowiedziała.

- A jak długo jest pani w Australii?

- Cztery miesiące.

- Jeśli tak się tu pani nie podoba, to dlaczego tu pani przyjechała?

Popatrzyła na niego zmieszana, że tak łatwo było domyślić się jej reakcji na ten dziki, odpychający kraj.

- Nie przyjechałam tu z zamiarem zostania. Przybyłam do Australii z panem Jasperem Blakiem, botanikiem, i jego żoną Frances.

Popatrzył na nią spod ronda kapelusza, nieco zaskoczony.

- Więc jest pani botanikiem?

- Właściwie nie. Ale moje studia klasyczne umożliwiły mi podjęcie posady sekretarki i asystentki pana Blake'a. - Nic nie mogła poradzić na to, że zabrzmiało to trochę chępliwie. Była dumna ze swego wykształcenia i osiągnięć. - Wprawdzie kobieta rzadko otrzymuje taką posadę, ale pan Blake wolał podróżować z kobietami, więc miałam dużo szczęścia.

- I ci Blake'owie panią tu zostawili?

Amanda pokręciła głową, czując ściskanie w gardle.

- Mielśmy spędzić w Australii cały rok. Pani Blake i ja mieszkaliśmy w Adelajdzie, katalogując materiał, a pan Blake zbierał próbki.

- Więc co się stało?

Amanda popatrzyła na obcy wrogi krajobraz. Te bezpieczne, przyjemne dni spędzane z Blake'ami wydały jej się bardzo odległe. Miała wrażenie, że mówi o innym okresie swego życia.

- Tuż po naszym przyjeździe pani Blake zachorowała... miała kłopoty z sercem. Chciała zostać, ale jej mąż zdecydował, że w czerwcu wrócimy do Anglii na pokładzie „Księcia Edwarda”. W dniu, w którym mieliśmy wejść na statek, do naszych pokoi w hotelu włamał się złodziej. - Nie chciała mu o tym wszystkim mówić, ale słowa same płynęły jej z ust. - Sziłmy na śniadanie, kiedy pan Blake o czymś sobie przypomniał i zawrócił. Zaskoczył złodzieja, a ten... go zabił. - Przełknęła z trudem ślinę. - Zabrał wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość... pieniądze Blake'ów, moje oszczędności, nawet bilety.

- Przecież bilety musiały być wystawione na państwa nazwiska. Nie sędzę, żeby ktoś inny mógł je wykorzystać.

- W przedstawicielstwie linii oceanicznych powiedziano nam,

że możemy popłynąć do Anglii, ale odmówiono zwrotu pieniędzy za podróż, dopóki nie będziemy mogli przedłożyć biletów.

- Więc dlaczego panie nie popłynęły?

Wygładziła spódnice na kolanach.

- Stan zdrowia pani Blake na to nie pozwalał. Umarła kilka godzin po tym, jak statek opuścił port.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której Amanda czuła na sobie wzrok pracodawcy.

- I została pani z tą kobietą aż do jej śmierci? - zapytał.

- Tak. - Chcąc jak najprędzej zmienić temat, spojrzała przed siebie ponad kołyszącymi się łbami i grzbietami roboczych wołów. - Cieszę się, że skoro już było mi pisane wpaść w tarapaty w koloniach, stało się to w Australii Południowej.

- Dlaczego?

- Bo powstała jako wolna kolonia. Nie trzeba się tu bać skazańców jak w pozostałych częściach kontynentu.

Zapanowało krępujące milczenie, przerywane jedynie chrzęstem kamieni pod kopytami wołów i wyciem wiatru, zimnego i wznecającego pył.

- Skazańcy - odezwał się po dłuższej chwili. - Tak, to rzeczywiście problem. - Wypowiedział te słowa pozornie lekkim tonem, lecz była w nich nuta gorzkości. Wciąż się uśmiechał, ale miał zmrużone oczy.

- Nie zgadza się pan z tym, co powiedziałam?

Wykrzywił usta w nieprzyjemnym grymasie.

- Oczywiście, że się zgadzam. Urodziłem się w Tasmanii, a tam skazańcy naprawdę budzili strach. - Przeciągał słowa, celowo nadając im kolonialne nosowe brzmienie, jakby sobie z niej kpił. - Szczególnie mój dziadek. Został tu zesłany za kradzież konia w tysiąc osiemset trzecim roku i moja mama zawsze przyglądała mu się z niepokojem. Oczywiście twierdził, że konia tylko pożyczył, bo kradł wyłącznie owce.

Popatrzyła na jego śniadą, urodziwą twarz o uśmiechu psotnego chłopca i błyszczących, śmiało spoglądających oczach.

- Wymyślił pan tę opowieść.

- Nic podobnego - odparł, koncentrując uwagę na zaprzęgu.

Przejeżdżali obok wyschniętego koryta potoku. Prowadzący wół zwolnił i tęsknie popatrzył na usychający krzew na skraju drogi. Patrick strzelił z bicia tak blisko Amandy, że bezwiednie przyłożyła dłoń do ucha, by sprawdzić, czy wciąż znajduje się na miejscu.

- Ruszaj, Malleeboy! - zawołał. - Gdzie masz jaja, ty draniu?!

Słyszając tak niewybredne określenia, Amanda gwałtownie się zaczerwieniła. Jeśli to, co mówił, było prawdą - jeżeli jego dziadek rzeczywiście został tu przywieziony jako skazaniec - powinna przeprosić za niezamierzoną obrazę. Tymczasem, ku swemu zaskoczeniu, powiedziała cierpko:

- Domyślam się, że przejął pan mocne słownictwo po swoim znamienitym dziadku. Czy przekazał też panu inne umiejętności?

Ich spojrzenia się spotkały. Amanda popatrzyła w jego niepokojące oczy i na chwilę zabrakło jej tchu. - Zobaczyła w nich coś niebezpiecznego i podniecającego zarazem i przypomniała sobie, że ten mężczyzna nie jest dżentelmenem, że jest równie dziki i nieokiełznany jak jego kraj.

- Umiejętności, panno Davenport? - zwrócił się do niej szorstkim, niskim głosem. - Które z moich umiejętności ma pani na myśli?

Nie była w stanie mu tego wyjaśnić. Jego słowa przywiodły jej na myśl Patricka O'Reilly'ego takiego, jakiego zobaczyła go po raz pierwszy, z rozchełstaną koszulą wydymaną przez wiatr, przesuwaną mocnymi męskimi dłońmi w poufałym geście po ciele kobiety. Poczowała dziwne łaskotanie w żołądku, które wzmogło się jeszcze, gdy uświadomiła sobie, że cisza między nimi trwa zdecydowanie za długo.

- Mój żywy inwentarz nabyłem legalnie - odpowiedział i nie spodziewanie uśmiechnął się szeroko. - Jeśli o to pani chodziło.

Nie mogła już dłużej patrzeć w te wyraziste niebieskie oczy. Odwróciła głowę, by spojrzeć na surowy i dziki krajobraz, przyprawiający ją o niepokój. Nie rozumiała uczuć, jakie wzbudzał w niej ten kraj. Było to trudne do opisania rozdrażnienie, zdenerwowanie budzące w niej coś, czego wcale sobie nie życzyła.

Coś, o czym wolała nawet nie wiedzieć.

Główne gospodarstwo Patricka O'Reilly'ego składało się z około tuzina solidnych budynków z piaskowca pozornie bezładnie rozrzuconych wzdłuż zbocza skalistego wzgórza nad szeroką doliną.

Nie była to jednak dolina podobna do tych, jakie znała Amanda. To nie była angielska dolinka z koniczyną i słodko pachnącymi trawami sięgającymi kolan, tylko posępne zagłębienie pomiędzy skałami, z pokrytymi piaskiem, złocistobrazowymi roślinami, wyłaniającymi się spomiędzy chropowatych niebieskawozielonych załomków Gór Flindersa.

Gdy wóz z łoskotem zjeżdżał stromą ścieżką, zauważyła zwisające szarozielone liście eukaliptusów o jasnych pniach, które rosły u podnóża góry. Wiedziała, że obecność drzew oznacza, iż w pobliżu znajduje się woda. Jednak podobnie jak w przypadku innych mijanych potoków, zobaczyła tylko nagie skały i nieliczne oczka wodne.

Wysoko nad potokiem, na skraju gospodarstwa, nad pozostałymi budynkami, dostrzegła główny dom. Był to niski jednopiętrowy budynek, z trzech stron osłonięty głębokimi werandami. Masywne, starannie ociosane bloki złocistego piaskowca o lekko różowawym zabarwieniu tworzyły rogi domu i stanowiły obramowanie drzwi i długich okien. Lecz same ściany były wzniesione z kamieni zespojonych zaprawą w kolorze ochry. Nadawało to domowi starożytny, a nawet pierwotny wygląd. Musiał zostać zbudowany przed około dziesięcioma laty, ale wyglądał, jakby od zarania dziejów stanowił nieodłączną część surowego, skaпанego w słońcu krajobrazu, tak jak postrzępione góry i czerwona ziemia.

Jednak o ile ten dom doskonale wpisywał się w krajobraz, o tyle nie można było tego powiedzieć o ogrodzie. Amanda ze zdumieniem i zachwytem przyglądała się oazie bujnej zieleni, otoczonej niskim kamiennym murkiem. Rzędy karczochów, marchwi i pomidorów dzieliły tam miejsce z tymiankiem, przywrotnikiem i najbardziej ukochanymi ziołami i kwiatami z angielskich ogrodów - różami i malwami, goździkami i jaskrami, lewkoniami i ołownicami.

- Prr! - zawołał Patrick, zatrzymując woły przed bramą.

Wokół wozu zawirował kurz, który jednak zaraz został odegnany przez wiatr niosący zapach kwiatów jabłoni, lawendy i słodką, upajającą woń jaśminu oraz kapryfolium. Nie zdążyła powściągnąć zachwyty,

- Ten ogród jest piękny. Jak się panu udało zachować tę cudowną zieleń?

- Chow wymyślił urządzenie z wiatrakiem, które czerpie wodę z oczka w potoku - wyjaśnił, okręcając wodze wokół draga hamulcowego.

Amanda popatrzyła na swego chlebobawcę, zdumiona jego niechętnym tonem.

- Dlaczego zasadził pan te rośliny, jeśli się panu nie podobają?

Przyjrzał się jej swoim niepokojącym wzrokiem. Przez chwilę miała wrażenie, że w ogóle jej nie odpowie.

- Zasadziłem je dla Katherine - powiedział w końcu, po czym odwrócił się, oparł dłońią o siedzenie wozu i zwinnie zeskoczył na ziemię. - Jesteś tam, Campbell?! - zawołał, rozglądając się po cichym, ogrodzonym terenie gospodarstwa. - Cholera jasna! - wymamrotał pod nosem i pomógł zsiąść Amandzie.

Czując zakłopotanie, sztywno podała mu koniuszki palców w rękawiczkach...

I z trudem powstrzymała okrzyk zdumienia, kiedy mocne męskie dłonie objęły ją w pasie i uniosły z siedzenia. Przez chwilę unosiła się w powietrzu, po czym jej stopy dotknęły ziemi. O'Reilly uwolnił ją i gwałtownie się odwrócił.

- Campbell! - Zdjął kapelusz i trzepnął nim o udo, wzbijając chmurę czerwonego pyłu. - Gdzie się podziewasz, do cholery?!

Amanda stała, lekko dotykając brzucha palcami. Doświadczała bardzo dziwnych doznań. Wciąż czuła ciepło dotyku silnych męskich dłoni, przedzierające się przez warstwę ochronną sukni i gorsetu. Poruszała palcami, starając się odzyskać panowanie nad swoim ciałem.

Gwałtowny hałas wyrwał ją z odrętwienia. Podskoczyła, przerażona. Zauważyła, że drzwi jednego z mniejszych budynków

otwierają się. Na progu pojawił się wysoki chudy mężczyzna i stał tam, kiwając się do przodu i do tyłu. W luźnym postrzępionym ubraniu i z krzaczastą czarną brodą przywodził jej na myśl rozczochranego stracha na wróble. Zrobił niepewny krok w przód i zaraz musiał chwycić się słupka podtrzymującego ganek, by nie upaść.

- O'Reilly? - Mrużąc oczy, popatrzył na wóz, tak jakby znajdował się w sporej odległości, gdy tymczasem pojazd był oddalony jedynie o parę jardów. - Wróciłeś? — Beknął, wypełniając powietrze zapachem rumu. - Nie spodziewałem się ciebie tak szybko. - Powoli kręcił głową.

Patrick wsunął kapelusz z powrotem na głowę i podparł się pod boki.

- Campbell, jak masz zamiar rozładować wóz w takim stanie, nie mówiąc już o zapisaniu, co zostało kupione?

- Spokojnie, stary. - Mężczyzna puścił słupek, chcąc odpędzić muchę latającą koło nosa. Stracił jednak równowagę i upadł twarzą w piach.

- Panie O'Reilly - powiedziała Amanda ściszym głosem. - Ten człowiek jest bardzo nietrzeźwy.

Patrick popatrzył jej prosto w oczy.

- Nietrzeźwy? Kto, Campbell? Nie. On jest po prostu pijany jak bela. - Otoczył księgowego ramieniem i uniósł tak, że stanął na nogach. - Zobacz, czy Mallory i Ogden są w stodole, i przyprowadź ich tutaj, żeby pomogli rozładować wóz. - Lekko pchnął Campbella, co omal nie skończyło się ponownym upadkiem. - A jeśli ten nowy, Lewis, tam jest, to też go tu przyprowadź. Będzie wszystko zapisywał.

- Papa!

Patrick obrócił się. Mała pięcio-, a może sześćioletnia dziewczynka z rozczochranymi złocistymi włoskami i niewiarygodnie brudną buzią przebiegła przez werandę i rzuciła się na ojca.

- Missy, kochanie. - Wziął dziecko w ramiona. Jego niebieskie oczy rozbłysły, a w policzkach pojawiły się dołki.

Amanda wstrzymała oddech. Ten mężczyzna mógł mieć niewyparzony język, nie najciekawsze pochodzenie i być na

bakier z moralnością, ale kiedy się uśmiechał, stawał się niebezpiecznie atrakcyjny.

- Pomagałaś Sally sprzątać kurniki? - Wyjął piórko z włosów dziewczynki i popatrzył na jej umorusaną buzię. - Czy raczej chlew?

Missy zachichotała i objęła go za szyję. Ojciec parę razy okręcił ją dookoła.

- Nie. Sprzątamy pokój dla nowej guwernantki. - Nagle spoważniała i popatrzyła na tatę z takim wyrazem twarzy, że Amanda nie miała wątpliwości, iż jest to minka z wyćwiczonego repertuaru sztuczek małej kobietki.

- Nie chcę żadnej nowej guwernantki, tatusiu. Proszę, powiedz, że nie potrzebujemy żadnej guwernantki. Przecież wiesz, że one i tak nie chcą tu zostać. I wszystkie są niedobre i zawsze mają zły humor.

Patrick wydał dziwny odgłos, który mógł być śmiechem, a dziewczynka ześliznęła się po nim w dół i wylądowała bosymi stopami w piasku.

- Lepiej miej nadzieję, że tego nie usłyszała - szepnęła, chwycił córeczkę za rękę i odwrócił twarzą do Amandy. - Panno Davenport, przedstawiam pani Melissę O'Reilly. Wszyscy mówimy na nią Missy - dodał z twarzą rozjaśnioną nieskrywaną miłością do dziecka. - Miała kłopoty z wymówieniem słowa „Melissa”.

Amanda poczuła paniczny strach, gdy zauważyła, jak dziecko nagle sposepniało. Nie miała prawie żadnego doświadczenia w postępowaniu z dziećmi. Ignorowana przez zajętego sprawami nauki ojca, osierocona przez matkę, kojarzyła dzieciństwo z samotnie spędzonymi godzinami i książką czytaną w kątach cichych pustych pokoi. Teraz ten brak doświadczenia sprawił, że poczuła się niezręcznie, wręcz głupio. Przywoławszy na twarz sztywny uśmiech, postąpiła o krok i wyciągnęła dłoń na powitanie.

- Dzień dobry, Melisso.

Dziewczynka była tak malutka, że musiała przechylić głowę do tyłu, by spojrzeć na swą nową guwernantkę. Z kamienną twarzą wsunęła brudne, lepkie palce w wyciągniętą dłoń.

Amanda poczuła, że jej uśmiech blednie.

- A teraz, Melisso, jest twoja kolej na powiedzenie „dzień dobry” - zachęciła dziewczynkę.

Mała wysunęła rączkę z jej dłoni, odwróciła się i pobiegła w stronę domu,

- Hannah! - krzyknęła. Jej bose stopy plaskały o podłogę werandy. - Ona tu już jest! Przyjechała nowa guwernantka! Chodź ją zobaczyć!

Ukradkiem wytarłszy rękę w spódnicę, Amanda odprowadziła wzrokiem uciekające dziecko.

- Ile czasu minęło, odkąd ktoś zajmował się pańskimi dziećmi?

Patrick wyciągnął z kieszeni fajkę i mały skórzany mieszek.

- Jeśli pyta pani, ile czasu minęło, odkąd miały guwernantkę, to odpowiadam, że pięć miesięcy. - Otworzył składany nóż i odciął kawałek prasowanego tytoniu. - Ale cały czas zajmuje się nimi Sally. Robi to już od wielu lat.

- Sally jest ich piastunką? - zapytała Amanda, z przyganą obserwując przygotowania do zapalenia fajki.

- Można to tak określić. Jest aborygenką.

Ich spojrzenia się spotkały. Amanda złożyła dłonie na wysokości ust.

- Mam rozumieć, że te dzieci są wychowywane przez czarną dzikuskę?

- Owszem, ma ciemną skórę. - Przyłożył zapałkę do główki fajki i wciągnął powietrze przez cybuch. W jego policzkach na chwilę pojawiły się wgłębienia. - Ale nie nazwałbym jej dzikuską.

I wtedy Amanda zobaczyła czarnoskórą kobietę w splewiałej niebieskiej sukience, stojącą w cieniu werandy. Jak długo mogła tam stać? Amanda poczuła się trochę niezręcznie. Czy kobieta słyszała jej słowa? Tudno było się tego domyślić z wyrazu jej twarzy.

W przeciwieństwie do smutnych poniżanych tubylców, których widywała w Adelajdzie, ta kobieta trzymała się prosto i chociaż niska, była proporcjonalnie zbudowana. Jej sukienka musiała zostać uszyta z myślą o kimś tęższym i niższym, jako że kończyła się kilka cali nad kostkami i była luźna. Podobnie jak Missy kobieta nie miała butów ani pończoch, a sądząc po sposobie,

w jaki cienka bawełna sukienki układała się na biodrach i udach, Amanda wątpiła w to, że Sally w ogóle nosi coś pod spodem. Wszystko to ją szokowało.

Jednak naprawdę szokująca była sama kobieta. Starsza, prawdopodobnie w średnim wieku, z siwymi pasmami włosów i mocno pomarszczoną skórą, zwróciła uwagę Amandy przede wszystkim swym nosem. Jej przegroda nosowa została przekłuta i teraz zwisało z niej coś, co wyglądało jak kość.

Amanda z takim przejęciem przyglądała się Sally, że dopiero po dobrej chwili, z przerażeniem zorientowała się, iż ta obserwuje ją z równie napiętą uwagą i tak samo szacującym wzrokiem. I najwyraźniej nie była specjalnie zachwycona tym, co widzi.

- Po co siostra ją przysłać? - odezwała się, odrzucając głowę do tyłu i marszcząc nos, jakby poczuła przykry zapach. - Ta się nie nadawać. - Odwróciła się na pięcie i zniknęła we wnętrzu domu, zostawiając Amandę niemal pieniać się z wściekłości.

Stojący obok niej Patrick oparł się o słupek werandy i zaniósł się głośnym śmiechem.

3

Hannah? Liam? Jesteście w domu? - Niosąc kufer guwernantki, Patrick O'Reilly pchnął frontowe drzwi.

Amanda szła za nim, starając się uspokoić nerwy i odegnać dziwne przeczucie, które nie dawało jej spokoju.

Znaleźli się w przestronnym, słabo oświetlonym pomieszczeniu, które można było uznać za namiastkę angielskiego salonu. Od razu rzuciły jej się w oczy zniszczone kozetki i stare krzesła, obite przypadkowo dobranymi tkaninami, stoły ze stosami papierzyk i otwartych książek i zniszczony dywan z kilkoma sporymi rozdarciami, jakby ktoś parę razy zaczepił o niego ostrogą.

Lecz kiedy jej wzrok przywykł do słabego światła, zorientowała się, że ten wytarty dywan musiał kiedyś być bardzo okazały. Kominek w rogu pomieszczenia był zwieńczony marmurem, a wokół frontowych drzwi znajdowały się witraże przedstawiające bajecznie upierzone ptaki i kwiaty buszu.

Patrząc na szerokie plecy Patricka O'Reilly'ego, znikające w drzwiach po lewej stronie, Amanda doświadczyła zupełnie niepożądanych emocji. Mimo iż jej chlebodawca nie przywiązywał wagi do form grzecznościowych i niemal ostentacyjnie obnosił się ze swoją nonszalancją, musiała przyznać, że włożył wiele wysiłku i pieniędzy, by uczynić ten dom na pustkowiu przytulnym i wygodnym. Przyszło też jej do głowy, że ani dom, ani otaczający go wspaniały angielski ogród nie wystarczyły, by Katherine zechciała tu zostać z mężem.

- To jest pani pokój! - zawołał i Amanda pośpieszyła tam, skąd dobiegł głos pracodawcy.

W domu nic było chyba żadnych korytarzy, gdyż zaraz po wyjściu z salonu znalazła się w sypialni. Była duża i przestronna, z dwójgiem oszklonych drzwi, z których jedne prowadziły na front domu, a drugie wychodziły z boku. Były teraz otwarte i do środka wpadało rześkie powietrze końca sierpnia.

Patrick postawił kufer przy nogach starego łóżka z cedrowego drewna i odszedł w stronę wozu. Amanda zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez oparcie łóżka, a potem, wciąż w rękawiczkach i kapeluszu, wykonała powolny obrót, szacującym wzrokiem przyglądając się pomieszczeniu, w którym miała mieszkać przez najbliższych dwanaście miesięcy. Przewędrowała wzrokiem od wysokiej komody i szafy, przez wyłożony kafelkami kącik do mycia z taborettem i miednicą, po nicwyściełane krzesło z prostym oparciem, stojące obok okrągłego stolika z blatem, na którym odcisnęło się kółeczko od wody.

Jeszcze jeden dziwny pokój w dziwnym domu, pomyślała. W ciągu pięciu lat, które minęły od śmierci jej ojca, Amanda spała w najprzeróżniejszych pomieszczeniach, od ciasnych dusznych strychów po zatłoczone kabiny statku. Ten pokój przynajmniej zapewniał odrobinę prywatności. Miał świeżo pobielone ściany; drewniane podłogi były starannie wyszorowane, a rzeźbiona cedrowa półka nad gzymsem kominka musiała być niedawno odkurzona, co Amanda sprawdziła, przesuwając po niej palcem.

- Czy coś jest nie w porządku?

Odwróciła się gwałtownie. Na werandzie, tuż za drzwiami, stał wysoki szczupły chłopak. Miał na sobie białe moleskinowe spodnie, grubą koszulę i skórzaną kamizelkę, która wydawała się obowiązkowym męskim strojem w australijskim buszu. Niski kapelusz z szerokim rondem, naciągnięty na oczy, zasłaniał mu połowę twarzy.

- Dzień dobry - powiedziała, zaczerwieniona po czubki uszu na myśl o tym, że została przyłapaną na kwestionowaniu czystości przydzielonego jej pomieszczenia. To bardzo ładny pokój.

Na twarzy chłopca nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

- W tym pokoju straszy. Czy ktoś już o tym pani powiedziała? - Wszedł do wnętrza i zaczął powoli obchodzić Amandę dookoła, zuchwale mierząc ją od stóp do głów. Nie chcąc dalej być obiektem jej oględzin, zaczęła chodzić w kółko razem z nim. Okrążali się nawzajem jak para walczących kogutów.

- Sally mówi, że to duch aborygenki, która została zgwałcona przez mężczyznę budującego dom.

- Nie wierzę w duchy. Ale wiem, że młodzi mężczyźni muszą się nauczyć, że są pewne tematy, których nie porusza się w towarzystwie dam, a zalicza się do nich incydent, o którym przed chwilą wspomniałeś.

- Poprzednia guwernantka też mówiła, że nie wierzy w duchy - ciągnął chłopiec, ignorując jej uwagę. Jego drobna twarz z brązowymi oczami w kształcie migdałów i gęstymi czarnymi rzęsami była niemal kobieca. Miał ciemną karnację, a ta część włosów, którą udało jej się zobaczyć, również była ciemna. Chłopak w niczym nie przypominał Patricka O'Reilly'ego.

Przysunawszy się bliżej, zniżył głos do szeptu.

- Słyszała dziwne, straszne odgłosy, przypominające wycie wiatru, albo przejmujące krzyki jakiejś niezemskiej istoty. Zdarzało się to wieczorem, głównie o zachodzie słońca. Podobno właśnie wtedy umarła ta młoda aborygenka.

Spłowiełe perkalowe zasłony po obu stronach otwartych drzwi niespokojnie poruszyły się na wietrze. Amanda poczuła zapach eukaliptusa i inny, który określiłaby jako cytrynowo-pieprzowy, dochodzący z szerokiej doliny. Wszystko było takie egzotyczne, dziwne... jakby z innego świata. Bała się już samego pobytu w tym miejscu. Nie miała jednak zamiaru pozwolić, by chłopiec domyślił się jej przerażenia.

- Nie mam nic przeciwko temu o zachodzie słońca - odezwała się spokojnym tonem - jeżeli hałas nie będą budzić mnie w nocy. Nie lubię, kiedy przerywa mi się sen.

Chłopiec zmarszczył czoło, ale nie zamierzał się poddać.

- Och, straszyci ją także nocami. A kiedyś rano nie zjawiła się w pokoju na lekcje. Przyszliśmy tutaj zobaczyć, co się stało,

i znaleźliśmy ją tutaj. W tym łóżku. - Wskazał duże cedrowe łoże w pobliżu drzwi. - Siedziała na nim z szeroko otwartymi oczami, jakby zobaczyła coś strasznego. Miała też otwarte usta, tak jakby chciała krzyknąć. Ale nie mogła krzyknąć, bo nie żyła. Doktor powiedział, że śmiertelnie się przeraziła.

Amanda zdała sobie sprawę, że kurczowo ściska koronkowy kołnierzyk sukni. Opuściła rękę. Pani Radwith nic nie mówiła o zmarłych guwernantkach.

- Ile guwernantek mieliście? - zapytała Amanda, wciąż powoli krążąc po pokoju z tym dziwnym, niesympatycznym dzieckiem, które podobno miała uczyć. Zaczynało kręcić jej się w głowie.

- Dziewięć - odpowiedział i uśmiechnął się chytrze, zdecydowanie nieprzyjemnie.

Pomyślała, że chłopak musi czerpać wiele radości i satysfakcji z tego, że udało mu się przegonić dziewięć jej poprzedniczek. Oczywiście nie wliczając w to tej, która umarła w tym łóżku.

Amanda zatrzymała się i zdecydowanym gestem wyciągnęła rękę.

- Chciałabym się przedstawić. Jestem Amanda Davenport. A ty jesteś... Liam, prawda?

Usłyszała zduszony chichot. Odwróciwszy się, zobaczyła Melisę O'Reilly, zaglądającą do wnętrza z salonu. Ktoś - Sally? - umył jej buzię, uczesał włosy i związał gęste złociste kędziory kokardą w różową kratę. Mała wciąż jednak była bosa.

- To nie jest Liam - powiedziała Missy i uśmiechnęła się tak, że w jej policzkach powstały urocze dołki. - To moja siostra, Hannah. Jest dziewczyną, tylko ubiera się jak chłopak.

Dziewczynka w moleskinowych spodniach i kapeluszu z szerokim rondem odwróciła się i wydała bardzo kobiece syknięcie.

- Pilnuj swego nosa, ty mała...

- Uważaj na słowa, młoda damo, bo wygarbuję siedzenie tych spodni, które tak lubisz nosić. - W drzwiach stanął Patrick. Postawił torbę na podłodze tuż przy kufrze, a pulpit na stole i popatrzył na córkę. - Słyszałaś, Hannah?

Zamiast skromnie opuścić wzrok i odpowiedzieć „tak”, starsza córka śmiało popatrzyła na ojca.

- Zawsze bronisz Missy. - Bojowo uniosła podbródek.
- To nie ma nic wspólnego z Missy. - Podparł się pod boki i stanął na szeroko rozstawionych nogach. - Mówię o twoim słownictwie.

- Oczywiście, że to ma wiele wspólnego z Missy! - Głos Hannah drżał ze wzburzenia. Amanda zauważyła łzy w jej oczach i poczuła odrobinę sympatii dla tej dziwnej, skomplikowanej dziewczyny. Hannah z trudem wzięła głęboki oddech. - Nigdy nie zwracasz uwagi Missy, kiedy mi coś zrobi. Kochasz ją bardziej niż mnie, i dobrze o tym wiesz.

- Posłuchaj, Hannah... - zaczął, wyciągając ku niej ręce, ale dziewczynka odwróciła się gwałtownie i wybiegła przez otwarte drzwi. - Do diabła, Hannah! - zawołał. - Wracaj!

Dziewczynka nie zawahała się ani na chwilę. Zeskoczywszy z ganku, popędziła przed siebie brukowaną ścieżką, z obu stron obsadzoną lawendą, przeskoczyła nad niskim kamiennym murem, odgradzającym dom od reszty gospodarstwa, i zniknęła za jednym z budynków.

Patrick stanął w otwartych drzwiach i patrzył za córką.

- Cholerna baba - wymamrotał, jakby tajemnice płci wszystko tu wyjaśniały.

- Panie O'Reilly - odezwała się Amanda, krzyżując ręce na piersiach. - Czy mogę coś panu powiedzieć?

Odwrócił się, by na nią spojrzeć. Z wyrazu jego twarzy zorientowała się, że przynajmniej na chwilę zupełnie zapomniał o jej istnieniu. Po pięciu latach spędzonych w roli służącej zdażyła się już przyzwyczaić do tego, że pracodawcy czasami nie zauważają jej obecności. Lecz z jakiegoś powodu tym razem bardzo ją to zabolowało.

- Tak? - Popatrzył na jej skrzyżowane ramiona. - Co chce mi pani powiedzieć?

Musiła odchrząknąć, zanim zdołała wydusić pierwsze słowa.

- Jestem zaniepokojona pańską groźbą użycia przemocy fizycznej wobec dziecka. Nie wierzę w rozwiązania siłowe.

- Przemocy fizycznej? - Oparł się o łóżko, a pomiędzy prostymi ciemnymi brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

Amanda doświadczała dziwnego niepokoju. Ten nieokrzesany mężczyzna był w jej sypialni, dotykał łóżka.

- Zdaję sobie sprawę, że moje poglądy na to zagadnienie nie są zgodne z współczesnymi teoriami pedagogicznymi. - Miała nadzieję, że Patrick O'Reilly nie zauważa lekkiego drżenia w jej głosie. - Niemniej jednak, skoro zostałam zatrudniona jako nauczycielka pańskich dzieci, byłabym wdzięczna, gdyby spróbował pan uniknąć karania ich w sposób, do jakiego najwyraźniej jest pan przyzwyczajony.

Zatknął palce za pas i nieznacznie się uśmiechnął. Spodziewała się, że go rozzłości, lecz zaczynało do niej docierać, że on na większość rzeczy reaguje rozbawieniem.

- Proszę pozwolić mi wszystko wyjaśnić - rzekł. - Czy dobrze zrozumiałem, że nie może się pani pogodzić z myślą, że biję dzieci?

- Właśnie o to mi chodzi. - Wyprostował się i podszedł do Amandy, nic zatrzymując się aż do chwili, kiedy był już niepokojąco blisko. - Wkrótce nie będzie pani miała tego problemu.

Uniosła dłoń i dotknęła wstążki kapelusza, który wciąż miała na głowie. Jej pracodawca był bardzo wysoki. Wydawał się wypełniać sobą cały pokój... nie tylko swoim wzrostem, ale i pulsującą w nim męską energią, zapachem skóry, tytoniu i piasku australijskiego buszu.

- Nie rozumiem.

- Niedługo nie będzie miała pani nic przeciwko temu. W gruncie rzeczy mogę iść o zakład, że w ciągu najbliższej doby zmieni pani zdanie i będzie zadowolona, że używam fizycznej przemocy w stosunku do swoich dzieci.

Amanda nie zdawała sobie sprawy z tego, że się cofa, dopóki nie dotknęła plecami stolika przy łóżku.

- Nie lubię ryzykownej gry. - Powiedziała to dziwnym zdyszonym głosem, który zabrzmiał obco nawet w jej uszach.

Koło jego pięknie wykrojonych zmysłowych ust pojawiły się dołki. Przytąpała się na tym, że wpatruje się w jego wargi, kiedy mówił.

- Tak - rzekł wolno, pochylając się ku niej. - Wcale nie przypuszczałem, że może być inaczej, panno Davenport.

Patrzyli na siebie w szczególny sposób, którego istoty Amanda wołała się nie domyślać. Niespodziewanie Patrick O'Reilly odwrócił się.

- Missy?

Amanda nie zdawała sobie sprawy, że mała wciąż jest w pobliżu, dopóki główka dziewczynki nie wychyliła się zza drzwi.

- Tak, papo?

Podszedł do córki i chwycił ją za jeden ze złocistych loków.

- A może pokazalibyśmy pannie Davenport nasze gospodarstwo? - zaproponował.

- Och, to nic pilnego - powiedziała Amanda, która marzyła o chwili samotności. Chciała uporządkować w myślach wydarzenia ostatnich godzin i zastanowić się nad niezręczną sytuacją, w jakiej się znalazła.

Patrick wzruszył ramionami.

- Może pani zobaczyć wszystko jutro przed porannymi lekcjami. Poza tym powinna pani poznać Liama.

Amanda poczuła ściskanie w żołądku. Spotkania z mieszkańcami tej posiadłości dostarczyły jej wystarczająco dużo nieprzyjemnych wrażeń. Wcale nie miała ochoty poznawać syna chlebobdawcy.

Patrick szedł ścieżką biegnącą na południe wydłuż bielejących skalnych ścian koryta potoku, kierując się w stronę stodoły, w której strzyżono owce. Ze smutkiem przyglądał się leżącym na ziemi liściom eukaliptusów, spękanemu dnu wyschniętego oczka wodnego, chmurom piasku, wzniesionym przez chłodny wiatr.

Przystanął przy jednym z ogrodzeń, oparł ramiona o belkę i popatrzył ponad wyschniętym potokiem na nagie faliste równiny, ciągnące się ku niebieskoszarej połyskliwej przestrzeni Wilpena Pound.

Po obfitych deszczach tereny te porastała falująca trawa, wśród której rósł dziki pasternak i parakelia o pięknych pur-

purowych kwiatach. Kormorany, kaczki i czaple latały nad migoczącą powierzchnią oczek wodnych otoczonych eukalip-tusami i kępami białych oraz purpurowych irysów. Po obfitych deszczach...

Lecz takich opadów nie było tu już od ponad roku. Po lecie, w czasie którego wiał wysuszający gorący wiatr, a żar lał się z nieba, nastąpiła chłodna, ciężka i sucha zima. Uschła trawa, kurz pokrył grubą warstwą liście słonorośli, a zbocza gór przybrały ponury wygląd. Niedługo znów nadejdzie lato i jeśli do tego czasu nie spadnie deszcz, wszystko, co jeszcze zostało przy życiu, zginie.

Patrząc na umierającą ziemię, Patrick czuł, jak ból ściska mu serce. Kochał ten kraj. Kochał jego bezlitosne, brutalne piękno, wspaniałe pustkowia, które sprawiały, że człowiek czuł się ziarenkiem piasku, a zarazem mógł żyć pełnią życia.

Pomyślał, że sam mimowolnie przyczynił się do obecnej tragedii, razem ze swoimi owcami i bydłem, z powodu swojej niewiedzy.

Teraz był już o wiele mądrzejszy. Lepiej znał tę ziemię. Wiedział, że nie należy wypasać zbyt dużo bydła, zdawał sobie sprawę, że może zabraknąć deszczu. W przyszłości będzie musiał wiele rzeczy zrobić inaczej.

Zaraz jednak pomyślał z goryczą, że jeśli wkrótce nie spadnie deszcz, nie będzie żadnej przyszłości. Wszystko, czemu poświęcił ostatnie dwanaście lat pracy w pocie czoła, przepadnie.

Odepchnął się od barierki. Wkrótce miało się zacząć strzyżenie owiec. Musiał doglądać stodoły i zagród. W innych warunkach zaczekałby jeszcze ze strzyżeniem co najmniej sześć tygodni, by uniknąć niebezpieczeństwa nadejścia nagłego mrozu, który może zabić ostrzyżone owce na pastwiskach. Lecz tego roku nie mógł czekać. Tym razem sam będzie musiał zabijać owce, gdy tylko zdobędzie ich wełnę.

Planował solidne przetrzebieenie stada, pozostawienie jedynie najlepszych i najsilniejszych okazów. Lecz jeśli nie spadnie deszcz, nawet to może się okazać niewystarczające. Wkrótce krzewinki uschną tak jak trawa. Wyschną nieliczne pozostałe

oczka wodne. A wszystkie zwierzęta na pastwiskach padną z pragnienia i głodu. Wkrótce zabraknie także siana w stodołach, a więc padną także konie i bydło, składając swoje kości obok szkieletów dziesiątek tysięcy owiec, kangurów i strusi emu, bielejących na zboczach gór.

Pochylił się, podniósł gałązkę i kilkakrotnie złamał ją w palcach. Zanim to się stanie, będzie musiał wysłać dzieci na południe, do Hetty. Nie chciał, żeby na to wszystko patrzyły.

Siostra już od paru lat uważała, że powinien oddać jej na wychowanie Hannah i Missy.

- Farma w buszu nie jest odpowiednim miejscem dla dwóch dziewczynek pozbawionych matki -powtarzała. Ostatnim razem, kiedy ją odwiedzili, usilnie namawiała go, by zostawił córki w Adelajdzie i wrócił do Penyaki tylko z synem.

Podeszła do niego w stajni, kiedy oglądał koniom kopyta, i zaczęła tę rozmowę.

- Miejsce Hannah i Missy jest przy ich ojcu - odpowiedział wtedy. Z całej siły starał się zachować spokój, przypominając sobie, że siostra ma jak najlepsze intencje.

- Patricku. - Położyła mu dłoń na ramieniu i przemówiła łagodniejszym tonem: - Wiem, jak bardzo kochasz dzieci, i wiem, jak są dla ciebie ważne. Ale czy naprawdę nie widzisz, że to, co proponuję, będzie dla nich po prostu lepsze?

- Nie widzę. - Puścił końskie kopyto i wyprostował się. - Katherine wyrządziła dzieciom ogromną krzywdę tym, co zrobiła sześć lat temu. Jak myślisz, jak zareagują, jeżeli również ojciec je opuści?

- Wcale ich nie opuścisz.

- Z ich punktu widzenia tak to będzie wyglądało. Kochają Penykę. Tam jest ich dom. Kochają brata i kochają mnie. Musimy trzymać się razem.

Hetty mocno zacisnęła szczęki; na jej twarzy pojawiły się dwie gniewne linie.

- Rozumiem, dlaczego to jest dla ciebie takie trudne, wiem, jak wielką wartość ma dla ciebie rodzina. Byliśmy tacy mali, kiedy nasza mama odeszła...

- Do diabła! Zostaw ją w spokoju. - Odwrócił się gwałtownie, zaskakując siostrę do tego stopnia, że szybko cofnęła się o krok. Chwyciwszy zgrzebło, zaczął czesać kasztana. - Sam potrafię zająć się dziećmi.

- Naprawdę? To dlaczego żadna z guwernantek, które ci posłałam, nie chciała tam zostać?

- Dlatego że zawsze najmujesz cholerne Angielki, które nie mogą znieść życia w buszu.

- Przyjmuję do pracy angielskie damy, bo uważam, że skoro już nalegasz na trzymanie dzieci w głuszy, powinieneś przynajmniej zapewnić im kulturalną guwernantkę. A chociaż nie mam wątpliwości, że szlachetnie urodzone kobiety uznają warunki panujące w Penyce za bardzo trudne, to prawda jest taka, że głównym powodem ich rezygnacji z pracy jest to, że twoje dzieci są niezdyscyplinowane i krnąbrne, i dobrze o tym wiesz. Okropnie rozpuściłeś Missy, Liama traktujesz jak jednego ze swoich pracowników, a nie dziesięcioletniego chłopca, a jeśli chodzi o Hannah...

- Bardzo proszę, tylko nie zaczynaj ze mną rozmowy o niej - ostrzegł ją, obchodząc konia. - Nigdy nie należała do łatwych dzieci, nawet kiedy była bardzo mała, zresztą sama doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

- Ale ona teraz dorasta, Patricku. Potrzebuje kobiecej porady i zrozumienia.

- Więc będzie miała tę pannę Soursides, którą przyjąłeś do pracy, a może Sourbottom czy jak tam się nazywa.

- Sourby - poprawiła go Hetty, krzyżując ramiona na pierśsiach. - Niestety, panna Sourby zrezygnowała dziesięć minut temu. Ktoś wlał do jej czajniczka... mniejsza o to co, powiedzmy, że nie była to herbata.

- Cholera. - Patrick wrzucił zgrzebło do pudła.

- No właśnie. - Jego siostra niespodziewanie się uśmiechnęła.

Roześmiali się oboje. Po kolejnych dziesięciu minutach Hetty zrezygnowała z namawiania brata do zostawienia dziewczynek w Adelajdzie, a nawet zgodziła się znaleźć nową guwernantkę. Była nią panna Westbrook z Nowej Południowej Walii, nie z Anglii. Pracowała pięć miesięcy.

Zacisnął dłoń wokół złamanych kawałków gałązki, po czym wyrzucił je, zastanawiając się, jak długo wytrzyma nowa guwernantka. Wydawała mu się bardzo dziwna. Była tak ostentacyjnie pełna cnót, kulturalna i sztywna, że miał ochotę nią potrząsnąć dla samej przyjemności patrzenia, jak traci opanowanie.

Nie potrafił jednak jej zrozumieć. Mimo że wydawała się nieznośną, zasuszoną świętoszką, była młoda. A nawet ładna, jeśli dokładniej jej się przyjrzeć. Lecz ubierała i zachowywała się tak, jakby przyświecał jej jeden cel: zniechęcenie mężczyzn do przyglądania się jej uważniej.

I to właśnie tak intrygowało Patricka O'Reilly'ego.

Amanda nigdy nie uważała się za osobę ceniącą bogactwo wyżej niż pochodzenie i wychowanie. Musiała jednak przyznać, że farma Patricka O'Reilly'ego wywarła na niej duże wrażenie.

Oprócz domu, magazynu i biura w otoczonej murem części posiadłości znajdowała się tu także kuchnia z przylegającymi do niej pokojami zajmowanymi przez dwóch Chińczyków, którzy, jak powiedziała Missy, pomagali w gospodarstwie.

- Nazywają się Ching i Chow - poinformowała Amandę Hannah, która zjawiła się niespodziewanie, kiedy jej młodsza siostra prowadziła nową guwernantkę brukowaną kamieniami alejką, biegnącą wzdłuż południowej strony domu. - Przyjechali tu do pracy w kopalni złota w stanie Wiktorja, ale Chow boi się małych pomieszczeń. Mówi, że wtedy nie może oddychać.

Missy popatrzyła na siostrę.

- Papa powiedział, że to ja mam oprowadzić pannę Davenport.

- Och, najmocniej przepraszam. - Hannah z nadąsaną miną włożyła ręce do kieszeni.

Amanda myślała, że starsza dziewczynka znów ucieknie. Jednakże towarzyszyła im, kiedy szły w dół zbocza ku rozproszonym budynkom. Missy pokazała Amandzie chaty pracowników i kuchnię dla mężczyzn, zaprowadziła do stajni i obór. potem do wozowni i mleczarni, wędzarni, chlewów i kurników. Zimowe słońce świeciło oślepiająco na czystym bładoniebieskim

niebie, lecz wiał ostry zimny wiatr. Był na tyle nieprzyjemny, że spowodował spękania na policzkach Amandy, siekąc je drobinami czerwonego piasku, Z utęsknieniem pomyślała o taborecie z miednicą w jej pokoju.

- Nie przypuszczałam, że tak wiele jest do zobaczenia - powiedziała, ocierając zakurzone czoło dłonią w rękawicze.

- Jest jeszcze stodoła owiec i domki postrzygaczy owiec. - Mała pociągnęła swą guwernantkę za ramię. - Chodźmy tędy.

- Myślę, że panna Davenport jest już zmęczona, Missy - powiedziała Hannah, dając zaskakujący dowód wrażliwości. - A do stodoły trzeba iść kilka mil wzdłuż potoku. - Promiennie uśmiechnęła się do Amandy. - Jeśli pani chce, możemy wejść na szczyt tego wzgórza, stamtąd będzie pani mogła ją zobaczyć.

- Ale... - zaczęła Missy.

Hannah zacisnęła dłoń na ramieniu siostry i znów uśmiechnęła się do guwernantki.

- Widzi ją pani?

- Nie. - Amanda zrobiła parę kroków ze wrokiem utkwionym w odległą linię eukaliptusów o jasnych pniach i suche kamienie koryta potoku.

- Tam. - Hannah cofnęła się, wciąż jednak mocno trzymała ramię Missy.

Amanda uniosła rękę, by uchronić się przed blaskiem słońca, mrużyła oczy, ale nie dostrzegła niczego prócz nagich skał, niebieskiego nieba i kurzu wzniesianego przez wiatr.

Coś poślaskotało ją w nogę, potem w ramię. Było to bardzo dziwne doznanie. Miała wrażenie, że coś po niej pełźnie. Opuściła wzrok i krzyknęła z przerażenia.

Aż roіło się na niej od czarnych owadów. Były tak duże, że dopiero po pewnej chwili zdała sobie sprawę, że to mrówki. Była cała w mrówkach. Jednak te owady nie przypominały mrówek, które widywała w Anglii. Były długie jak paznokcie kciuka i prawie w połowie tak szerokie.

- Boże! - zawołała przerażona, okręcając się, gwałtownie oklepując ramiona, stanik sukni, spódnice. - Są wszędzie!

Prawie nie zdawała sobie sprawy z tego, że Missy przygląda

się jej, zakrywając otwarte usta dłonią, z oczami rozszerzonymi z przerażenia. Lecz Hannah i Liam zataczali się ze śmiechu, tak że musieli się nawzajem podtrzymywać.

Jest ich troje, zorientowała się w pewnej chwili. W końcu pojawił się i Liam.

- Pomóżcie mi! - zawołała, otrzepując spódnice. Lecz miała wrażenie, że w miejsce każdej strząśniętej mrówki natychmiast pojawia się tuzin następnych.

Znów popatrzyła w stronę dzieci. Nie poruszyły się, zorientowała się jednak, że bardzo uważają, by nie znaleźć się w kręgu wydeptanej ziemi. Po chwili poznała tego przyczynę. Wzgórze było nagie, ponieważ wszystkie rośliny zostały zniszczone przez miliony maszerujących nówek.

Dzieci podstępnie wprowadziły ją na mrowisko.

Wijąc się i rozpaczliwie otrzepując ubranie, ruszyła w stronę swoich prześladowców, kiedy nagły ostry ból przeszył jej nogę, zmuszając do zatrzymania się.

- Aaa! - krzyknęła znów, tym razem głośniej. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że mrówki zaczynają ją kąsać.

Poczuła ukłucie bólu po wewnętrznej stronie uda, a potem dwa dalsze na pośladkach. Nigdy nie przypuszczała, że ukąszenia mrówek mogą być tak bolesne. Kilkanaście mocnych ukłuc sprawiło, że jej oczy napełniły się łzami.

Otumaniona bólem, uświadomiła sobie, że owady, które wspięły się po jej nogach, ugrzęzły teraz w zagłębieniach pantalonów. Niestety, pozostawał tylko jeden sposób pozbycia się ich.

Nie zważając na obecność dzieci ani kogokolwiek, kto mógł ją obserwować, Amanda uniosła spódnice, halkę i krynolinę i rozpaczliwie zaczęła szarpać wstążki pantalonów.

4

Patrick usłyszał kobiecy krzyk, gdy wracał ze stodoły do strzyżenia owiec. Zaciekawiony, zszedł ze ścieżki i wspiał się na najbliższe wzniesienie, by stamtąd popatrzeć w stronę gospodarstwa.

Natychmiast ją zauważył. Kręciła się dookoła jak tańczący derwisz, nieustannie się poklepując i podskakując to na jednej, to na drugiej nodze. Zobaczył też Liama i Hannah, i natychmiast domyślił się, co zaszło.

Panna Davenport krzyknęła znowu. Tym razem w jej głosie usłyszał ból.

- Cholera! - mruknął i puścił się pędem.

Dobiegał już do niej, kiedy uniosła spódnicę. Zauważył kształtne nogi w czarnych bawełnianych pończochach i śnieżnobiałe bawełniane pantalone, obrębione koronką. Miała na sobie solidną krynolinę, ale na niej nosiła płomiennie czerwoną satynową halkę. Ho, ho, pomyślał, uśmiechając się w duchu. Kto by przypuszczał, że ta nienaganna w każdym calu, posługująca się boleśnie poprawną angielszczyzną panna skrywa czerwoną halkę pod tą okropną spódnicą?

I wtedy ściągnęła pantalone.

Obróciła się tak, że dostrzegł kasztanowy trójkąt, a potem apetycznie zaokrąglony tyłeczek, który wyglądał tak wspaniale, jak miły był w dotyku.

Zatrzymał się na skraju nagiej ziemi.

- Do diabła, kobieto! - zawołał. - Stoi pani na brzegu mrowiska! Niech pani stamtąd odejdzie!

Nie słyszała go.

- Mam je na całym ciele - powiedziała dziwnie mocnym, opanowanym głosem. - Proszę je ze mnie zdjąć.

- Cholera! - zaklął i doskoczył do Amandy.

Chwycił ją w ramiona i pobiegł do najbliższego potoku. Była bardzo drobna i niewiele ważyła, ale tak się wierciła, dręczona przez mrówki, że zanim dotarli do potoku, wbiła mu łokieć w brzuch, a potem poczuł drugi niepokojąco blisko oka. Jego także zaczęły obłazić mrówki. Jedna ugryzła go w brzuch, inna w udo.

- Zabiję te bachory - mruknął, ostrożnie przesuując się po skalistym podłożu. - Proszę mnie puścić.

- Co?

- Proszę mnie puścić. - To powiedziawszy, wrzucił Amandę do wody.

Krzyknęła z przerażenia i oburzenia, po czym znurzyła się jak wiadro kamieni. Obręcz krynoliny unosiła się za nią. Mrówka ugryzła Patricka w ramię. Zaklął znowu i wskoczył za Amandą.

- Jezu! - krzyknął, zetknąwszy się z lodowatą wodą. Była głębsza, niż się spodziewał, i o wiele zimniejsza. W porę zamknął usta, gdyż cały się zanurzył. Odbiwszy się od dna, wypłynął na powierzchnię i głęboko zaczerpnął powietrza.

Przebierając nogami odgarnął włosy z oczu i rozejrzał się, szukając naiwnej guwernantki. Zamierzał już nurkować, kiedy wynurzyła się po jego lewej stronie i kurczowo złapała się wiszącej skały.

Zaniosła się gwałtownym kaszlem. Podpłynął do niej i chcąc jej pomóc, uderzył ją w plecy.

Odwrociła się błyskawicznie, omal nie wybijając mu oka łokciem.

- Nie dotykaj mnie! - syknęła wściekle z twarzą ociekającą wodą. Jej kształtne pełne piersi unosiły się i opadały w rytm głębokich oddechów, szare oczy błyszczały jak ostra stal. Straciła kapelusz i większość włosów opadła, unosząc się na wodzie wokół niej jak ognista aureola.

Patrick patrzył na jej moką drobnutką twarzyczkę, na drżące wargi i płomiennokasztanowe włosy o tak nieoczekiwanej, grzesznie żywej barwie. Była jak syrena wodząca na pokuszenie. I odczuwał pokusę, mimo że wcale nie było mu to na rękę.

Amanda pomyślała, że to wielka szkoda, iż nie można umrzeć z upokorzenia.

Po tym, co jej się przydarzyło, wolałaby śmierć niż spotkanie z pracodawcą. Popatrzyła w okno wychodzące na zachód. Zaczynało się ściemniać; zza zaciągniętych kotar dochodziło coraz słabsze światło. Westchnęła głęboko. Wkrótce zrobi się zupełnie ciemno. Miała nadzieję, że przynajmniej nie będzie musiała oglądać domowników aż do rana.

Włożyła palec do miseczki z gęstą białą pastą i uniosła podomkę. Odwróciwszy się z wysiłkiem, nałożyła odrobinę mikstury na każdy z licznych czerwonych śladów ukąszeń, szpecących jej białe pośladki i uda.

Nie miała pojęcia, co zawiera ta dziwna substancja, lecz musiała przyznać, że przynosi jej ulgę. Sama sporządziła ją z białego proszku, który Patrick O'Reilly przyniósł pod jej drzwi.

- Moja babka zawsze go używała - powiedział, obejmując ciepłym spojrzeniem włosy luźno opadające Amandzie na ramiona, a potem na rozchylony dekolt szafirowej atłasowej podomki. - Wystarczy dodać trochę wody, a zniknie pieczenie. Mógłbym pomóc pani to nałożyć, ale...

Wyrwała mu torebkę z rąk i zatrzasnęła drzwi.

Przypomniawszy sobie teraz to wydarzenie, była zaskoczona swoją gwałtownością. Oboje jednak dobrze wiedzieli, gdzie znajduje się większość śladów po ukąszeniach. Wyprostowała się. Sama myśl o błyszczących niebieskich oczach tego mężczyzny, o ciepłym dotyku jego dłoni wywołała w niej zakłopotanie powodując dziwne uczucie w dole brzucha.

Opuściła połę podomki i podeszła do miednicy z wodą, by obmyć palec. Siegając po ręcznik, zdała sobie sprawę, że Patrick O'Reilly już ją widział i jej dotykał, i to w dodatku bardzo poufale.

Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków.

- Chcę umrzeć - powiedziała głośno do nienackających w mroku ścian pokoju. - Najlepiej byłoby, gdybym umarła.

Oczywiście wcale nie chciała umierać. Pragnęła jedynie stąd uciec... daleko, jak najdalej od tej dzikiej krainy, niepokojącego mężczyzny i trójki jego diabelskich dzieci. Nie powinnam była przyjmować tej posady, pomyślała z rozpaczą. Gdyby tylko mogła, najchętniej wyjechałaby nazajutrz rano. Odgarnęła włosy z twarzy i jęknęła. Nie mogła stąd wyjechać. Nie miała nawet dziesięciu funtów, by opłacić podróż powrotną do Adelajdy. A zresztą po co miałyby tam jechać? Bez pracy, domu i pensa przy duszy naprawdę mogła umrzeć albo musiałyby zacząć sprzedawać swoje ciało na ulicy.

Zadrżała i szczelniej otuliła się podomką. Była tu uwięziona, skazana na tego wulgarnego, niewy chowanego mężczyznę i jego wstrętne, nieznośne dzieci. Na tę myśl ogarnął ją strach, poczuła mdłości, a serce zaczęło walić w piersi jak oszalałe. Krew szumiała jej w uszach, a słowa „uwięziona tutaj, uwięziona, uwięziona” rozchodziły się w jej głowie jak upiorny refren.

Zaciskając szczęki, Amanda podeszła do otwartego kufra, by wyjąć z niego suche ubranie. Tak, była tu jak złapana w pułapkę. Na dwanaście miesięcy. Lecz nie miała zamiaru dać się pokonać trójce dorastających dzieciaków, wnukowi przestępcy i mrówkom.

Zdjęła podomkę i włożyła czyste pantalone oraz koszulkę. Może to i prawda, że jestem uwięziona z tą rodziną, pomyślała, wkładając gorset i wciągając brzuch, by zapiąć haftki. Lecz oni także są skazani na mnie.

Zapięła haftowany stanik, włożyła krynolinę i halkę i wygładziła pogniecioną szarą suknię, jedną z lepszych, jakie miała. Patrick O'Reilly zatrudnił ją w charakterze nauczycielki jego pociech. Więc da im szkołę! Już ona je nauczy zachowywać się jak dobrze ułożone dzieci, a nie stado dzikusów. Nauczy je szanować starszych. A poza tym nauczy ich ojca...

Usłyszała pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytała, zapinając haftki z tyłu wysokiego kołnierzyka sukni.

Nikt nie odpowiedział.

Przekręciwszy żłobioną kryształową gałkę, uchyliła drzwi, lecz przed sobą ujrzała jedynie ciemny salon. Dopiero gdy zaczęła je zamykać, zauważyła coś leżącego na podłodze przed jej sypialnią.

Pochyliwszy się, podniosła wyszczerbiony niebieski dzbanek z jaskrami, lawendą i żółtymi polnymi kwiatkami. Pod dzbankiem ktoś zostawił złożony kawałek papieru. Odstawiła kwiaty na stolik i rozłożyła kartkę.

Mi przykro że mruwki panią pogryzły, głośiły duże, koślawe litery. Chcem żeby pani się lepiej czuła. Missy.

Było to tak niespodziewane, tak wzruszająco szczere, że Amanda musiała zacisnąć powieki, by zwalczyć łzy napływające do oczu. Sięgnęła po gałkę, chcąc zamknąć drzwi, lecz znieruchomiała, słysząc ściszone męskie głosy, dobiegające z odległego końca domu.

- Wcale nie lubię tego robić, Liam - dobiegł ją głos pracodawcy. - Chyba dobrze o tym wiesz, prawda?

- Tak.

- W takim razie załatwmy to jak najszybciej.

W wieczornej ciszy bezbłędnie rozpoznała trzask skórzanego pasa. Cicho zamknęła drzwi i oparła się o nie z uśmiechem na ustach.

Zaledwie kilka godzin temu z pogardą odrzuciła przypuszczenie Patricka O'Reilly'ego, że bliższa znajomość z jego dziećmi zmieni jej stosunek do kar cielesnych. Teoretycznie była przeciwna dawaniu dzieciom w skórę. Lecz w tej chwili dźwięk tych energicznych razów, wymierzanych jednemu z jej prześladowców, brzmiał w uszach Amandy jak najpiękniejsza muzyka.

Jakieś pół godziny później, kiedy skończyła się rozpakowywać, usłyszała kolejne pukanie.

- Chwileczkę! - zawołała. Opuściła wieko kufra i podeszła do drzwi, spodziewając się kogoś niosącego tacę z kolacją. Tymczasem zobaczyła Liama - Ooo!

Stał przed nią chudy chłopak o ostrych rysach twarzy, z jasnokasztanowymi włosami i podejrzenie błyszczącymi dużymi,

orzechowymi oczami. Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie uważnie, mając w pamięci incydent z mrówkami i lanie, które po nim nastąpiło. Teraz, mierząc się wzrokiem, toczyli dziwny, niemy pojedynek.

Kąciki ust chłopca wygięły się w niemiłym uśmiechu, ukazującym przerwę w miejscu, w którym rósł kieł.

- Tata prosił, żeby pani powiedzieć, że kolacja już jest prawie gotowa.

- Kolacja? - Spojrzała w stronę jadalni, gdzie Chińczyk w bawełnianej bluzie do kolan i workowatych niebieskich spodniach zapalał świece. Paliły się już lampy i ogień w kominkach w salonie i jadalni. A sądząc z liczby nakryć na stole, gospodarz nie tylko hołdował niecodziennemu obyczajowi spożywania posiłków z dziećmi, ale również spodziewał się, że ona do nich dołączy.

- Myślałam... - Odchrząknęła. - To znaczy, przypuszczałam, że kolacja zostanie przyniesiona do pokoju. - Zdążyła się do tego przyzwyczaić w Anglii, gdzie guwernantki były właściwie zawieszane pomiędzy dwoma światami. Uznawano je za zbyt szlachetnie urodzone, by jadły razem ze służącymi czy w kuchni, nie zasługiwały jednak na zaproszenie do stołu, przy którym zasiadali domownicy i pastor.

- Tato zawsze prosi guwernantki, żeby jadły z nami. - W uśmiešku Liama pojawił się odcień złośliwości. - Mówi, że to dobrze wpływa na nasze maniery.

Prawdę mówiąc, była przerażona na myśl o tym, że będzie musiała spojrzeć im wszystkim w oczy po tym, jak publicznie ściągnęła pantalonny na mrowisku. Lecz nadała swemu głosowi pogodne brzmienie, odnotowując z satysfakcją, że złośliwy uśmiezek Liama nieco przybladł.

- Lubisz to, prawda? - zapytał przymilnie Patrick.

W odpowiedzi australijski owczarek wyciągnął szyję i energicznie uderzył ogonem w zniszczoną starą kozetkę. Patrick roześmiał się i podrapał psa za drugim sterczącym uchem. Barrister aż zadrzał z zachwytu.

Po chwili pies usłyszał, jak panna Davenport zamyka drzwi, i obrócił łeb w tamtą stronę. Patrick uniósł głowę i patrzył, jak nowa guwernantka sztywno podchodzi do niewielkiej grupki zgromadzonej wokół kominka.

Miała na sobie szarą suknię z kołnierzem sięgającym wysoko pod szyję. Suknia była niemal tak brzydka jak brązowa, którą miała na sobie wcześniej. Amanda związała swe piękne włosy w klasyczny staropanieński węzeł, lecz nawet to nie mogło przyćmić ich okazałości. Ma wspaniałe włosy, pomyślał, kiedy znalazła się w kręgu światła. Nic dziwnego, że je zakrywała. Takie włosy przywodziły mężczyznom na myśl różne rzeczy. Świtały im wtedy w głowie pomysły, których kobiety pokroju panny Davenport bały się jak ognia.

Starła się nadać swojej twarzy pogodny wygląd, ale rumieniec barwiący jej blade policzki zdradzał, jak bardzo przeżywa to, co zdarzyło się tego popołudnia. Gotów był iść o zakład, że oddałaby wszystko - być może nawet nie wyłączając swej cennej, pilnie strzeżonej cnoty - żeby nigdy już ich nie zobaczyć. Przyszła tu jednak, stając przed nimi dumnie wyprostowana i z uniesionym podbródkiem. Zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę, że trzymając się tak sztywno jak maszty okrętu Marynarki Królewskiej, tym bardziej ekspozuje swe wspaniałe piersi.

Kiedy do nich podeszła, Barrister uniósł nos i zaczął węszyć, coraz szybciej poruszając ogonem. Ostrożnie ruszył w jej stronę.

- Barrister! - zawołał Patrick, zaskoczony, że pies nie odróżnia obcych. - Siad!

Za późno. W trzech podskokach pies znalazł się wystarczająco blisko Amandy, by stanąć na tylnych łapach, opierając się o nią przednimi.

Patrick spodziewał się, że panna Davenport cofnie się, a może nawet krzyknie z przerażenia. Tymczasem zgrabnie chwyciła psie łapy, zanim dotknęły jej sukni.

- Witaj, piesku - powiedziała z uśmiechem, zmuszając Barristera do powrotu na cztery łapy. Osłodziła mu poczucie odrzucenia, pochylając się nad nim i drapiąc za uszami, tak jak to robił Patrick. - Bardzo mnie cieszy twoje radosne powitanie, ale

nie jego forma. - Poglądziła go po szyi. Barrister westchnął z zachwytem. - Jak się wabisz? Hmm, piesku?

Patrick po raz pierwszy zobaczył, jak nowa guwernantka się uśmiecha, i był zdziwiony, że tak bardzo zmienia ją ten uśmiech. W jej poważnych szarych oczach pojawiły się wesołe błyski. Zwrócił też uwagę na jej usta, szerokie, o pełnych wargach, intrygująco zmysłowe.

- Wabi się Barrister. Nie przypuszczałem, że pani lubi psy - odezwał się Liam z takim rozczarowaniem w głosie, że stało się oczywiste, iż Barrister był częścią planu dręczenia nowej guwernantki, który tym razem się nie powiódł.

- Miałam psa, kiedy byłam małą dziewczynką- wyjaśniła panna Davenport, wciąż się uśmiechając. Barrister przewrócił się na grzbiet tak, by mogła podrapać go po brzuchu, wywiesił język i patrzył na nią z tak bezgranicznym oddaniem, że Liam aż parsknął z niesmakiem.

W drzwiach pojawił się Chow, złożył dłonie i się skłonił.

- Kolacja gotowa.

Panna Davenport uniosła się, tak widocznie zaniepokojona faktem, iż zapomniała o swojej nienaganności i dostojeństwie i pochyliła się, by podrapać psa po brzuchu, że Patrick miał ochotę się uśmiechnąć... Gdyby nie to, że nagle wydało mu się to bardzo smutne.

Obserwując guwernantkę, ze zdumieniem zrozumiał, że stara się sobie wyobrazić tę udręczoną kobietę jako małą dziewczynkę, jako dziecko z kędziorami w kolorze miedzi, opadającymi na ramiona, w fartuszkach brudnym od zabaw z psem...

Jednakże taki obraz wcale nie chciał powstać w jego głowie. Jeśli nawet taka dziewczynka kiedyś istniała, to było to już tak dawno temu, że trudno było to sobie przedstawić.

- Muszę umyć ręce - powiedziała sztywno.

Kiedy wróciła, przybrała pozę wyniosłej damy, która znalazła się wśród plebsu, i było aż nadto oczywiste, że bardzo żałuje tego, iż pod wpływem impulsu rozluźniła się i głaskała psa. Co gorsza, wkrótce Patrick doszedł do wniosku, że uważa jego rodzinę za bandę zdegenerowanych mieszkańców kolonii i po-

stanowiła rozpocząć misję ich cywilizowania. Usiadłszy na krześle ze starannie wypracowaną gracją, rozłożyła serwetkę na kolanach tak ostentacyjnie wielkopańskim gestem, że miał ochotę zatknąć swoją kołnierz koszuli tylko po to, by czerpać perwersyjną radość z obserwowania, jak ten jej nosk drży z oburzenia i pogardy.

Tyle że panna Davenport wcale na niego nie patrzyła. Wpatrywała się w Hannah.

- Nie miałaś czasu przebrać się do kolacji? - spytała.

Dziewczynka, która właśnie sięgała po bułkę, znieruchomiała i popatrzyła groźnie na guwernantkę.

- Co pani ma na myśli? Zmieniłam koszulę.

- Myślałam, że może włożysz sukienkę - odparła panna Davenport.

Liam nieprzyjemnie zachichotał.

- Hannah nigdy nie nosi sukienek.

- Ale... - Panna Davenport ściągnęła brwi, patrząc na włosy dziewczynki, które były tak krótkie i postrzępione, jakby zostały obcięte przez pijanego Indianina z Ameryki w szaleńczym ataku tomahawkim. - Co się stało z twoimi włosami?

Hannah była pochłonięta smarowaniem bułki masłem.

- Hannah - odezwał się jej ojciec. - Panna Davenport zadała ci pytanie.

- Sama je obcięła - pośpieszyła z wyjaśnieniem Missy, przenosząc wzrok ze zmarszczonego czoła taty na profil upartej siostry. - W zeszłym roku. Zaraz po ostrzyżeniu były takie krótkie jak Liama. Papa chciał ją zabić.

- Mogę ci je przystrzyc, jeśli będziesz chciała - zaproponowała panna Davenport i sięgnęła po plaster mięsa z półmiska, który podał jej Chow.

Patrick zastanawiał się, czy Amanda wie, że wzięła kawałek kangurzego mięsa. Miał zamiar jej to powiedzieć, kiedy Hannah oznajmiła anielskim głosem:

- Musiałam obiecać papie, że nigdy już ich nic obetnę. A oczywiście nigdy nie przeciwstawię się jego poleceniu.

- Jestem pewna, że zakazując ci obcinania włosów, ojciec nie miał na myśli rozsądnego wyrównania fryzury.

Patrick zmrzął oczy i popatrzył na nową guwernantkę. Przez chwilę miał wrażenie, że słyszy rozbawienie w jej głosie, lecz musiało mu się tylko tak wydawać.

- Oczywiście, że nie to miałem na myśli. Nałożył sobie na talerz kilka plasterów pieczonej jagnięciny i parę kawałków mięsa z kangura. - Ale Hannah jest uparta jak Irlandczyk w zawodach, kto wypije więcej piwa, a nawet jeszcze gorsza.

Panna Davenport zakrztusiła się łykiem wody. Posłała pracodawcy karcące spojrzenie ponad stołem, po czym uniosła widelce w eleganckim geście wyrozumiałości.

- O której rano zaczynają się lekcje?

- O dziesiątej - odpowiedział Liam.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- O dziesiątej? To bardzo późno.

Patrick roześmiał się.

- Niech to będzie dla pani ostrzeżenie, panno Davenport. Liam potrafi opowiadać niestworzone historie, mając przy tym twarz tak poważną jak biskup udzielający chrztu. - Siegnął po tłuczone ziemniaki. - Lekcje zaczynają się o ósmej i trwają do trzynastej, a potem jeszcze od czternastej do piętnastej.

Panna Davenport przeniosła karcący wzrok z chłopca na jego ojca.

- Ale chyba nie tylko ten czas dzieci poświęcają na naukę?

- Niestety, tak - odpowiedział Patrick, rozgniatając bryłę ziemniaków na talerzu. - Tutaj, w buszu, muszą się nauczyć jeszcze wielu rzeczy, o których nie ma mowy w książkach.

- Ale... tylko sześć godzin dziennie? - Popatrzyła na chlebowawcę. - To czas wystarczający jedynie na podstawowe przedmioty, takie jak język angielski i matematyka, historia i geografia. A przecież z pewnością chciałby pan, żeby Liam poznał też podstawy greki i łaciny.

Wydawała się tak szczerze rozczarowana, że niemal poczuł do niej sympatię, lecz po chwili wszystko zepsuła, uśmiechając się do niego nie tak jak jeszcze niedawno: powściągliwie, unosząc jedynie kąciki warg, tak że jej twarz ani na chwilę nie złagodniała.

- Przypuszczam, że nawet tutaj, w koloniach, klasyczne wykształcenie jest cenione?

„W koloniach” wymówiła tak, że Patrick bezwiednie się wyprostował. Zabrzmiało to w jego uszach tak, jakby były dla niej najgłębszymi czeluściami piekieł.

- Zna pani grekę i łacinę? - zapytała Hannah, przyglądając się nowej guwernantce z niechętnym uznaniem.

Panna Davenport uśmiechnęła się do niej.

- Tak. Mój ojciec był uczonym, więc odebrałam bardzo staranne klasyczne wykształcenie.

- O, nie! - jęknął Liam. - Nie wystarczy, że mam lekcje greki i łaciny z panem Whittakerem?

- Whittakerem?

- Nazywa się Christian Whittaker - wyjaśnił Patrick. - Jest księgowym w Kompanii Górniczej w Brinkman. Ale nie zajmuje mu to zbyt wiele czasu, więc przyjeżdża tutaj w każdy czwartek po południu i spędza kilka godzin, ucząc Liama.

- Ooo!

Wydawała się tak rozczarowana, że jej pracodawca powiedział:

- Ale jestem pewien, że Christian będzie zadowolony, jeśli i pani poświęci trochę czasu na lekcje z Liamem.

Chłopiec gwałtownie się wyprostował.

- Tato...

- Powiedział pan, że ten człowiek nazywa się Whittaker? - zapytała panna Davenport.

- Tak. A dlaczego pani pyta?

Pochyliła się do przodu z ożywioną twarzą.

- Zastanawiam się, czy jest spokrewniony z Whittakerami z Oxfordshire? Słyszał pan o nich? To bardzo stara rodzina. Nieżyjący już generał Anthony Whittaker razem z Wellingtonem brał udział w wojnach z Francją.

Tego właśnie Patrick nie znosił u angielskich dam - że to, kim był dziadek danej osoby, było dla nich ważniejsze niż to, co dany człowiek osiągnął w swoim życiu. Katherine była zupełnie taka sama, podobnie myślała również matka Patricka.

- Cóż - rzekł sucho. - Nie wiem, czy Christian jest spokrew-

niony z generałem Whittakerem, ale wydaje mi się, że pochodzi z Oxfordshire. Będzie pani musiała go zapytać. Przyjedzie tu pojutrze. Będziecie państwo mogli napić się herbaty na werandzie, porozmawiać o ojczyźnie i o wspólnych znajomych.

- To wspaniale- odparła Amanda z uśmiechem. Nie tym nieprzyjemnym świętoszkowatym zacisnięciem warg, ale szerokim, szczerym uśmiechem, który przypomniał Patrickowi, że kiedy porzuca swój wszechwiedzący ton i się rozluźnia, jest całkiem atrakcyjną kobietą.

Z niewiadomego powodu poczuł nagle potrzebę zepsucia jej humoru. Uniósł półmisek i podał go Liamowi.

- Proszę, poczęstuj pannę Davenport. Mam wrażenie, że smakowało jej kangurze mięso.

Patrzył, jak mięśnie jej szczupłej szyi napinają się, gdy przełykała z trudem ślinę.

- Kangurze mięso? - Była tak przerażona, że zupełnie niekulturalnie otworzyła usta ze zdumienia.

- Nie wiedziała pani, że jadamy tu kangurze mięso?

- Nie.

Pobladła, z szeroko otwartymi oczami odłożyła widelec i szybko sięgnęła po szklanekę z wodą. Sprawiała wrażenie tak wstrząśniętej, że trochę żałował, iż jej to powiedział.

Noc była pogodna i rześka, znajome zapachy jaśminu i karyfolium mieszały się z egzotycznymi nutami olejku eukaliptusowego i cytryny. Amanda stała w otwartych drzwiach pokoju, z ramionami okrytymi chustą, i wpatrywała się w obce grzbiety gór.

Przez dwanaście miesięcy tu będzie jej dom. Starła się zwalczyć uczucie osamotnienia i bezbronności.

Ostatnio tak bardzo samotna czuła się w czasie kilku miesięcy tuż po śmierci ojca. Mocno zacisnęła powieki, nie chcąc patrzeć na obcy krajobraz i starając się przywołać wspomnienia z dzieciństwa. Ulice brukowane kocimi łbami, połyskujące wilgocią w wiosennym deszczu. Żłotawe światło ognia, grzejącego zapeł-

niony książkami gabinet ojca. Dźwięczny baryton ojca, opowiadającego swym studentom wspaniałe historie o dzielnych wojownikach, dumnych boginiach i starożytnych mędrkach -a Amanda siedziała za drzwiami, słuchała i chciała...

Starła się wszystko sobie przypomnieć. Lecz jedynie słyszała wiatr szeleszczący w gałęziach eukaliptusów. A kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nieznany układ gwiazd na purpurowym niebie.

- Dlaczego, ojcze? - wyszeptwała. - Dlaczego mi to zrobisz?

Starła się sobie wmówić, że nie zostawił jej na pastwę losu celowo. Angus Davenport był tak pochłonięty swoimi wykładami, tekstami i wyjazdami, że nigdy nie miał czasu zastanawiać się, co się stanie z jego jedyną córką, jeśli nie wyjdzie za męża. Śmierć zabrała go szybko i nieoczekiwanie; zmarł pewnej nocy na atak serca. Prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, jak niewystarczająco ją wyposażył. Amanda w każdym razie chciała w to wierzyć. Było to o wiele lepsze niż przyznanie, że o nianie dbał.

Gdzieś w oddali zawył pies. Amanda uniosła głowę, nasłuchując, lecz w otaczającym ją gospodarstwie panowała cisza. Ten niepokojący Australijczyk i jego dzieci już spali, jednakże za kilka godzin nadejdzie ranek i będzie musiała stawić tym małym potworom czoło w pokoju do nauki.

Amanda poczuła niemiły ucisk w żołądku. Nie miała żadnych wątpliwości co do swojej wiedzy. Ojciec zapewnił jej solidne wykształcenie, a ona tak chciała go zadowolić, tak bardzo zależało jej na tym, by zyskać choć kilka chwil jego uwagi, że oddawała się nauce z takim entuzjazmem i energią, z jakimi większość dzieci podchodzi do zabawy.

Bała się, że zabraknie jej nie wiedzy, a umiejętności pedagogicznych. Tak niewiele wiedziała o dzieciach. Nie miała pojęcia, czym je zainteresować, jak z nimi postępować. W ciągu swego życia spotkała tylko kilku nauczycieli z prawdziwego zdarzenia. Była pewna, że sama się do nich nie może zaliczyć.

Ten temat znów nieuchronnie przywiódł jej na myśl ojca. Angus Davenport łączył w sobie najlepsze cechy uczonego i wykładowcy. Był doskonałym nauczycielem, który potrafił zainteresować i podzielać inspirująco nawet na najbardziej

obojętnych i zblazowanych synów szlachetnie urodzonych, zwyczajowo wysyłanych na studia do Oksfordu.

Potrafił nawet poradzić sobie z tak szalonym, nieodpowiedzialnym młodym człowiekiem jak syn wicehrabiego Mansfield, Grant.

Zdradziecka pamięć wskrzesiła teraz obraz Granta, jego błyszczące ciemne oczy i czarujący uśmiech, niosący obietnicę miłości, radości i zakazanych rozkoszy ciała. Był to jednak fałszywy obraz, przysłonięty późniejszym bólem złamanego serca i upokorzenia. Szybko uciekła od tych wspomnień.

Jednak ciało nie pozostało obojętne. Znowu zamknęła oczy i poczuła, że wiatr unosi jej włosy jak pieszczota kochanka. Przyłożyła palec do warg... powoli, powoli, tak jak mężczyzna całuje dziewiczą narzeczoną, i poczuła, że odzywa się znany, stary ból, który jest jak pustka. Jak puste łono. Puste ramiona. Puste serce.

Dotknęła piersi. Uwolnione z krępującego gorsetu, zdrząły pod cienkim płótnem koszuli nocnej. Dziesięć lat. Minęło już dziesięć lat, odkąd poznała smak pocałunków, męski dotyk, czuła...

Otworzyła oczy i głęboko zaczerpnęła tchu, zdawszy sobie sprawę z tego, co robi. Odwróciła się gwałtownie i zamknęła drzwi, odgradzając się od niebezpiecznej, uwodzicielskiej nocy. Szybko zaciągnęła zasłony i weszła do łóżka.

Lecz kiedy zasnęła, w snach znowu prześladował ją mężczyzna. Niespokojnie rzucała się na swoim dziwnym łożu, ponownie czując cudowny dotyk męskich warg i silnych rąk i uzyskując spełnienie płonących w niej skrywanych marzeń.

Dopiero następnego ranka zdała sobie sprawę, że uśmiechający się do niej mężczyzna z jej snów miał niebieskie, a nie czarne oczy. Że ręce, które wzbudzały w niej ogień, były mocne i twarde.

A kiedy wygięła ciało w łuk i przycisnęła jego głowę do nagich piersi, włosy kochanka zaślniły złotem i bursztynem w gorących promieniach australijskiego słońca.

5

W cześnie rano Amanda przystanęła w drzwiach do pustego jeszcze pokoju lekcyjnego i wzięła głęboki oddech.

- Dasz sobie radę - powiedziała pod nosem, po czym z goryczą dodała: - Musisz dać sobie radę.

Było zimno. Chwyliła brzegi chusty i przeszła się po pokoju. Wzdłuż jednej ze ścian i części drugiej stały wysokie zakurzone półki na książki, a na środku pomieszczenia znajdował się duży cedrowy stół. Jego porysowana i wyżłobiona powierzchnia dowodnie świadczyła o braku entuzjazmu do nauki u dzieci O'Reilly'ego. Westchnąwszy, zaczęła przeglądać zawartość szufład biurka, stojącego pomiędzy oszklonymi drzwiami werandy i kominkiem, i zdała sobie sprawę, że w pokoju jest zimno, bo nikt nie rozpałił ognia.

W Anglii w każdym domu był służący, do którego zadań należało usuwanie popiołu z paleniska i rozpalenie w kominku. Lecz kiedy tego ranka Amanda obudziła się w swojej zimnej sypialni, zrozumiała, że w Penyce nie ma żadnej służącej, która cichutko wślizguje się do pokoju o świcie i dodaje węgla do ognia.

Mimo wszystko nie chciała, żeby dzieci odbyły z nią pierwsze zajęcia lekcyjne w lodowatym pomieszczeniu. Postanowiła znaleźć kogoś, kto rozpałi ogień.

W przeciwieństwie do sypialni Amandy, do której wchodziło się z salonu i która miała okna od frontu, pokój szkolny, gościnniej

i sypialnie dzieci przylegały bezpośrednio do jadalni. Podeszła do drzwi, mając nadzieję, że spotka Chinga albo Chowa. Tymczasem natknęła się na gospodarza.

Stał oparty o stół, pił parującą kawę i w zamyśleniu patrzył przez oszklone drzwi na suchą dolinę. Miał na sobie miękkie moleskinowe spodnie, skórzaną kamizelkę, w którą był ubrany, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, i kremową koszulę z grubej tkaniny, rozpiętą przy szyi. Kapelusz z szerokim rondem leżał na stole tuż przy jego udzie. Zauważyła, że jej pracodawca ma wilgotne włosy, tak jakby zmoczył je przy porannej toalecie. Pociemniałe od wody złocistokasztanowe kędziory przylegały płasko do opalonego czoła i opadały z tyłu na kołnierzyk.

Powróciły do niej wyobrażenia ze snów, przyprowadzając ją o rumieniec zakłopotania. Wprawdzie nie była w stanie kontrolować swoich snów, ale jak mogła... jak mogła myśleć o tym mężczyźnie w ten sposób?

Musiała wydać jakiś dźwięk, bo odwrócił głowę.

- O, panna Davenport.- Wypił łyk kawy, przyglądając się Amandzie. - Co panią niepokoi tak wcześnie rano?

- Niepokoi? Nie... To znaczy... - Co się z tobą dzieje, napomniała się w myślach. Zachowujesz się jak skończona idiotka. - Chodzi o kominek w pokoju lekcyjnym. Jest tam zimno.

Zatrzymał rękę z kubkiem w pół drogi do ust i na nią popatrzył. Powoli przełknął kawę i uśmiechnął się promiennie, tak że znów w jego policzkach zrobiły się dołki.

- Może pani napalić.

Amanda otworzyła usta.

- Ja? Chce pan, żebym to ja rozpałała ogień?

Wypił kolejny łyk kawy.

- Tu jest busz, panno Davenport, a nie Anglia. Obawiam się, że tutaj wiele rzeczy odbywa się inaczej. Nie wstydzimy się tu ubrudzić rąk czy spociec przy pracy. Codziennie pracuję z moimi ludźmi, popędzając bydło, myjąc owce płynem przeciwko robactwu, robiąc wszystko, co niezbędne. Uczę też moje dzieci, nie wyłączając Hannah i Missy, żeby umiały zrobić to, co niezbędne na farmie. I każdy sam rozpała u siebie ogień.

Odstawił kubek i sięgnął po kapelusz, po czym popatrzył uważnie na guwernantkę.

- Jeśli nie wie pani, jak to zrobić, poproszę Chowa, żeby pani pokazał...

- Dziękuję - powiedziała sucho. - Dam sobie radę. -- Odwróciła się, podeszła do paleniska... i wpatrzyła się w nie, walcząc ze strachem. Pomyślała, że w ciągu minionych pięciu lat miała trudne życie, ale przynajmniej do tej pory nikt nie spodziewał się po niej, że będzie musiała rozpałać ogień.

Niepewnie popatrzyła na kosz z dziwnie powykręcany drewnem. Z jej doświadczenia wynikało, że w kominkach pali się węglem. Pochyliła się, ostrożnie wyjęła największy kawałek i wrzuciła go w środek kupki popiołu.

Dziesięć minut później leżała na brzuchu, z całej siły dmuchając w palenisko, ale osiągnęła tylko to, że cała jej twarz była okopcona i usmolona popiołem. Włosy zaczynały opadać jej na twarz, miała rozpalone policzki, oparzyła się w mały palec i doszła do wniosku, że potwornie nienawidzi Patricka O'Reilly'ego.

Słyszając cichy chichot, odwróciła głowę. Na szczęście była to Sally, a nie któreś z dzieci. Przetarłszy piekące oczy, Amanda przybrała dostojniejszą pozycję.

- Mam kłopot z rozpaleniem ognia.

Przez chwilę czarnoskóra kobieta tylko się jej przyglądała, jakby zastanawiając się, czy pomóc, czy zostawić guwernantkę, czyniąc jej upokorzenie bardziej dotkliwym. Najwyraźniej doszła do wniosku, że Angielka dość już wycierpiała, i bosą podeszła do kominka. Jej ruchy były dziwnie płynne i miękkie; Amanda pomyślała, że Sally porusza się ze zwinnością łani albo charta.

Duże drzewo nie robi ogień, a jeszcze jak rozpałać. Ty rozpałać? - Zaśmiała się ze swego żartu i odłożyła na bok bal wybrany przez Amandę. Sięgnąwszy do kosza po małe kawałki drewna, przykucnęła przed kominkiem i w zdumiewająco krótkim czasie doprowadziła do tego, że płomienie wzbily się w górę. Potem wychyliła się do tyłu i przyjrzała Amandzie zmrużonymi oczami. - Dziecko wie, jak rozpałać ogień.

Amanda miała zamiar zwrócić uwagę, że nie jest dzieckiem, ale ugryzła się w język.

- Dziękuję - powiedziała tylko.

- Chodź, Hannah! - rozległ się dziecięcy głosik. - Ona już tu jest!

Amanda uniosła wzrok i zobaczyła Missy, huśtającą się przy framudze drzwi. Sally natychmiast wyszła na werandę. Aborygenka niepokojąco bezszelestnie pojawiała się i znikwała. W jednej chwili kucąca przed kominkiem, w drugiej już jej nie było.

Hannah weszła do pokoju niedbałym krokiem, z ponurym wyrazem twarzy, ubrana w chłopięce spodnie i koszulę. Bez słowa usiadła na jednym z krzeseł wokół okaleczonego cedrowego stołu.

- Dzień dobry, Hannah.

Dziewczynka obgryzała złamany paznokieć.

- Powinnaś odpowiedzieć: „Dzień dobry, panno Davenport”.

Hannah posłała guwernantce niechętnie spojrzenie i powróciła do obgryzania paznokcia.

Amanda stłumiła potrzebę westchnięcia. Wydawało jej się, że ostatnio nieustannie wzdycha.

- To się nazywa uprzejmość, Hannah. Przydaje się nawet dżentelmenom.

Missy szybko zajęła miejsce na krześle naprzeciwko siostry.

- Dzień dobry, panno Davenport.

Amanda uśmiechnęła się do dziecka.

- Dzień dobry, Missy. I dzień dobry, Liamie -- dodała, widząc, że chłopiec wlecze się do klasy.

Wymamrotał coś niezrozumiałego, ale przynajmniej jej odpowiedział.

Amanda przekonywała się w duchu, że w każdej pracy najtrudniejsze są pierwsze dni.

- Możemy zaczynać. - Uśmiechnęła się do trojga podopiecznych.

Patrzyły na nią trzy ponure buzie; twarz Missy wyrażała brak emocji, Hannah otwartą wrogość, a Liama szyderstwo.

Amanda postanowiła też się nie uśmiechać.

- Najpierw chciałam się przekonać, co już umiecie - zagaiła ożywionym głosem. - Wtedy będę mogła się zastanowić, czym będziemy musieli się zająć w przyszłości. Może zaczniemy od globusa?

Odpowiedziało jej westchnienie Missy i jęk Liama; Hannah milczała. Amanda miała ochotę zawyć, ale spokojnie sięgnęła po globus.

Dwadzieścia minut później była już pewna, że dzieci jej chlebodawcy są rozpaczliwie niedouczonymi, wolno myślącymi istotami i musiały być utrapieniem każdej guwernantki, która usiłowała ich czegoś nauczyć. Wydawali się nie przyswajać nawet najbardziej elementarnych wiadomości.

Po następnych trzydziestu minutach wiedziała, że ją oszukują.

- W porządku - powiedziała, odkładając podręcznik do gramatyki. - Możecie udawać, że nic nie umiecie, i marnować swój i mój czas przez następne dwanaście miesięcy, zmuszając mnie do uczenia was rzeczy, które już znacie, albo możecie zacząć ze mną współpracować.

Zobaczyła trzy twarze patrzące na nią tępym wzrokiem. Nic dziwnego, że moje poprzedniczki uciekły - zapewne z krzykiem - z powrotem do miasta, pomyślała Amanda. Przypomniała sobie, jak była naiwna, ciesząc się, że dostała posadę za sześćdziesiąt funtów rocznie. Sześćdziesiąt funtów. Ha! Należało jej się co najmniej dwa razy tyle.

Przyłożyła dłoń do czoła. Było jej duszno. Słońce podniosło temperaturę w pokoju, w którym płonął ogień, sprawiając, że zrobiło się zbyt gorąco. Otworzyła drzwi na werandę.

Przez chwilę stała z dłonią na gałce, poddając rozpaloną twarz łagodnym podmuchom chłodnego powietrza, niosącego zapach jaśminu. Zobaczyła Chinga - a może był to Chow? - opartego na motyce przy murze i rozmawiającego z pracodawcą. Patrick O'Reilly siedział na ogrodowym murku i śmiał się z głową odrzuconą do tyłu. Blask słońca opromieniał jego opaloną twarz świetlistym blaskiem.

Z jakiegoś powodu widok mężczyzny tak swobodnego i pełnego życia wywarł na niej ogromne wrażenie. Czuła w sobie

pustkę wielką jak tęsknota za czymś utraconym. Obawiała się jednak, że zatraciła przede wszystkim siebie. Kobieta, którą niegdyś była, która potrafiła się śmiać i żartować.

I przyciągać atrakcyjnych mężczyzn.

Cóż to za dziwna myśl, złażała się w duchu. Głęboko zaczerpnąwszy powietrza, odwróciła się, by stawić czoło swym prześladowcom.

- No dobrze. Może spróbujemy jeszcze raz? Tym razem przy waszej współpracy? - Uniosła tomik poezji Wordswortha. - Hannah, czy mogłabyś przeczytać wiersz na stronie ósmej?

Dziewczynka nawet nie spojrzała na Amandę. Uśmiechnięta, trąciła Liama łokciem i pochyliła się, by szepnąć mu coś do ucha. Chłopiec wyciągnął szyję i wpatrzył się w oszklone drzwi.

- Hannah! - napomniała ją Amanda. - Uważaj!

- Panno Davenport, proszę popatrzeć! - zawołała Missy z oczami szeroko otwartymi z przerażenia. - Goanna idzie tu przez drzwi, które pani otworzyła.

- Missy, nie życzę sobie... - Urwała, słysząc za sobą jakiś odgłos... ślizganie się, drapanie pazurów. Odwróciła się.

Ogarnął ją pierwotny, paniczny lęk. Zadrżała na widok odrażającego, dziwnego stwora. Głośno wypuściła powietrze. Nadludzkim wysiłkiem woli opanowała się, by nie krzyknąć, i aż do bólu zacisnęła dłoń na książce.

To coś, cokolwiek to było, powoli szło naprzód. Solidne łapy ciągnęły ciężkie ciało po zniszczonej drewnianej podłodze. Stworzenie miało wydłużony łeb z wzorem przypominającym drucianą siatkę i żółte plamy z ciemną obwódką na całym ciele, kończącym się długim ogonem. Pomyślała, że zwierzę musi mieć co najmniej cztery stopy długości, może nawet pięć. Miało groźne pazury, na widok których Amanda przypomniała sobie wszystkie wstrząsające opowieści o krokodylach połykających nieostrożnych Anglików.

- Co to jest? - zapytała zduszonym głosem, wycofując się do półki z książkami. Poczowała, jak twarde krawędzie desek wbijają jej się w plecy i nogi.

- To goanna - powiedział Liam. - Duża, prawda?

Sprawił wrażenie zachwyconego. Amanda przycisnęła dłoń do piersi, starając się uspokoić szalejące serce.

- Nie wpadajcie w panikę, dzieci - powiedziała, chociaż najprawdopodobniej bała się tylko ona i może trochę Missy. Stańcie za mną. Jeśli powoli wyjdziemy, nie powinna nas zaatakować.

W tej chwili gad otworzył paszczę i wysunął długi język. Tego było już za wiele. Amanda nie zdołała powstrzymać pisku. Kiedy bestia zrobiła jeszcze parę kroków w jej stronę, Amanda upuściła książkę i krzyknęła. Uniosła Missy z zresztą i, opierając dziecko na swym biodrze, wycofała się do jadalni.

- Hannah, Liam, chodźcie tu szybko!

Usłyszała krzyk. Czyjeś obute nogi zadudniły o deski werandy i do pokoju wpadł Patrick O'Reilly. Był tak duży, silny i - co tu kryć - wspaniały, że Amanda musiała powstrzymać kobiecą potrzebę podbiegnięcia do pracodawcy i przytulenia się do jego szerokiej piersi.

- Co, do diabła, znowu zmalowaliście...! - Zauważył gada i wydał pomruk zadowolenia. Ha. Tu jesteś, wstrętny tłuściochu, złodzieju kur. Szukaliśmy cię wszędzie. - Odwróciwszy się w stronę ogrodu krzyknął: - Chow! Jest tutaj! - Popatrzył na Amandę, wciąż trzymającą Missy i skuloną ze strachu w drzwiach do jadalni. - Chyba jeszcze nigdy nie widziała pani tak wielkiej jaszczurki, panno Davenport?

- Jaszczurki? - wychrypiała przez zaciśnięte gardło. - To jest jaszczurka?

- Jaszczurka, która zjada kurczaki. Musiała wpełznąć w noc do ogrodu i nie wiedziała, jak się stąd wydostać. Chow zauważył dziś rano jej ślady. Powoli przysunął się do ściany. - Liam, zaczekaj tu z Hannah, aż Chow będzie gotowy, a potem pomożecie mi ją stąd wygonić. Nie sądzę, żeby panna Davenport była zadowolona, gdybyśmy zabili to stworzenie na podłodze jej klasy. - Uśmiechnął się do niej. - Mam rację?

Amanda odchrząknęła.

- Myślę, że powinniśmy zrobić krótką przerwę, dzieci. Spotkamy się znów za, powiedzmy, dwadzieścia minut, dobrze? -

Nie czekała na odpowiedź. Tuląc do siebie Missy, odwróciła się i chwiejnym krokiem wyszła z pokoju.

Tego wieczoru przy kolacji Patrick zauważył, że panna Davenport jest bardzo potulna.

Oczywiście skarciła Liama za siorbanie zupy i zwróciła Missy uwagę, by trzymała się prosto. Lecz nie było w niej ognia, z jakim pierwszego dnia rozpoczęła swą krucjatę, mającą na celu zmianę ich złych nawyków, i bardzo rzadko włączała się do rozmowy.

Wygodnie rozparty przy stole Patrick popijał wino, w zamyśleniu przyglądając się ognistowłosej drobnej kobiecie, siedzącej naprzeciwko niego. Większość popołudnia zajęła mu naprawa zagród w stodole do strzyżenia owiec i zastanawianie się, jak uzyskać wystarczającą ilość wody do wyprania wełny. Jednak kilka razy w ciągu dnia ze zdumieniem złapał się na tym, że nie może się doczekać wieczoru, kiedy znowu zobaczy Amandę i rumieniec pojawiający się na jej policzkach, ilekroć starał się z nią droczyć. Poczuł rozczarowanie, widząc, że jest trochę nieobecna myślami i skupiona na swoich przeżyciach, jakby minione czterdzieści osiem godzin przyniosło jej zbyt wiele emocji.

Tuż po kolacji odeszła od stołu, wymawiając się tym, że chce jeszcze przed snem zrobić parę rzeczy w pokoju lekcyjnym. Patrick wyszedł na dwór zapalić fajkę, po czym przeczytał Missy bajkę na dobranoc i położył ją do łóżka. Potem usiadł na kanapie przed kominkiem w salonie i patrzył, jak Liam daje Hannah łupnia w szachy. Zabierali się do rewanżowej partii, kiedy ich ojciec w końcu posłuchał głosu nieczystego sumienia, które dotąd rzadko dawało mu o sobie znać, i udał się do pokoju lekcyjnego.

Amanda zapaliła niewielką lampkę naftową i postawiła ją na końcu zniszczonego cedrowego stołu. Migoczący płomień rzucał krąg złotawego światła na półki z książkami, lecz pozostała część pomieszczenia tonęła w ciemności. Noc była zimna, a ogień

w kominku dawno już wygasł, lecz nie rozpałała go ponownie. Zarzuciła postrzępioną chustę, na ramiona i jedną ręką przytrzymała ją pod szyją podczas gdy drugą przesuwiała po grzbietach książek na półkach.

- Szuka pani czegoś do czytania? - zapytał od drzwi.

Głośno zaczerpnęła tchu, podskoczyła i odwróciła się twarzą do pracodawcy. W jej oczach czaiła się ostrożność; pełne wargi rozchyliły się z przerażenia. Książka, którą przed chwilą zdjęła z półki, upadła na podłogę, a ręka podtrzymująca chustę zacisnęła się na piersi.

- Przepraszam. Zaskoczył mnie pan.

- Widzę. - Podszedł do niej i podniósł książkę. Był to mały tomik pieśni miłosnych Safony.

- Interesujący wybór. - Podał jej książkę. - Zamierza pani doskonalić swoją grekę?

Lubił patrzeć, jak rumieniec barwi policzki Amandy, a jej piersi unoszą się, gdy szybko wciąga powietrze. Wiersze Safony były bardzo śmiałe, a ta panna cnotka musiała je czytać, gdyż inaczej nie byłaby teraz tak zakłopotana.

- Nie szukałam lektury dla siebie. - Wzięła od niego książkę, nie patrząc mu w oczy. - Po prostu... zapoznawałam się z tym, co jest w bibliotece. Ma pan tu zaskakująco ciekawy zbiór.

Chrząknął.

- Zaskakująco?

Nie słuchała go. Nerwowo wertowała karty książki. Nagle zobaczyła jego imię i nazwisko, napisane niezdarkim dziecięcym pismem na stronie przedtytułowej.

- To pańska książka - powiedziała ze zdziwieniem w głosie.

- Tak. Mam ją od dzieciństwa. Ale o co pani chodzi? Czy myślała pani, że ledwie umiem składać litery?

Właśnie tak myślała. Domyślił się tego, kiedy popatrzyła na niego, a potem uciekła wzrokiem.

Patrick oparł ramię o półkę.

- Kiedy byłem chłopcem, mój ojciec wysyłał mnie na całe tygodnie na pastwiska do pilnowania owiec. W domu byłem przyzwyczajony do obecności siostry i braci, więc w górach

czułem się bardzo samotnie. Nie wiem, co bym zrobił bez książek. Myślę, że byłaby pani zaskoczona, wiedząc, ile przeczytałem.

- Nie miałam braci ani sióstr - powiedziała cicho. - Towarzyszyły mi tylko książki. Zawsze. - Wstawiła tomik na miejsce.

Zauważył, że jej ręka drży. Chwyliła się brzegu półki, jakby dla uspokojenia. Ta kobieta wcale mu się nie podobała, jej zachowanie doprowadzało go do szaleństwa, ale była tak drobna, krucha i bezbronna, że wyciągnął ramię i zacisnął palce wokół jej szczupłego nadgarstka.

- Czy dzieci coś dzisiaj znowu zbroiły? Czy to właśnie to dręczyło panią przez cały wieczór?

Był to zwyczajny gest, spontaniczny wyraz współczucia i poparcia, więc Patrick nie spodziewał się, że ujęcie jej dłoni tak na niego podziała.

Miała tak cudownie miękką, gładką skórę, że nabrał wielkiej ochoty, by wolno przesunąć dłoń po jej ramieniu. Chciał przywrzeć do niej mocniej, wziąć w ramiona i wdychać zapach włosów, dotykać zagłębienia szyi i poznawać smak pełnych, szerokich ust.

Poczuł, że znieruchomiła, a jej tętno przyspieszyło. Zerknęła na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. Głęboko wciągnął powietrze. I puścił Amandę.

- Dzieci? - odezwała się drżącym głosem, z odwróconą głową. - Nie, nie.

Patrzył, jak pociera dłonią nadgarstek, którego przed chwilą dotykał.

- A może nie chce mi pani powiedzieć w obawie, że stłukę je na kwaśne jabłko? Bo jeśli tak, to...

- Nie. - Wparła się plecami w półki, skrzyżowała ramiona na piersiach i wpatrzyła się w spowitą mrokiem część pokoju. - To naprawdę nie ma nic wspólnego z dziećmi. To... - Przełknęła z trudem ślinę i uniosła podbródek w ten arogancki sposób, który tak go denerwował, lecz teraz nie wiadomo dlaczego tylko go rozbawił. - Jeśli już musi pan wiedzieć - powiedziała pośpiesznie - to jestem sobą rozczarowana. Z powodu swojej reakcji na

tę jaszczurkę dziś rano. Nie sądziłam, że jestem taka żałosna. Taka... tchórzliwa.

- Uważa się pani za tchórze?

- Tak.

- A ja nie.

Drgnęła.

- Co też pan mówi. Wstydzę się swojej reakcji. Przecież nawet krzyknęłam. - Jej głos przepełniony był niechęcią do samej siebie.

Patrick oparł ramię o półkę nad jej głową i się pochylił.

- Wątpię, czy jest wielu ludzi na świecie, którzy patrzyliby, jak nieznanne im zwierzę długości czterech i pół stopy wpełza do ich pokoju, i nie odczuwaliby przy tym strachu. Przede wszystkim nie wiedziała pani, czy zwierzę nie jest niebezpieczne... a może mi pani wierzyć, w żadnym razie nie życzyłaby sobie pani jego ukąszenia w nogę. A jednak nie uciekła pani i nie zostawiła dzieci.

Zauważył, że Amanda mocno zaciska szczęki.

- Byłam przerażona - upierała się, zdecydowana obwiniać się o niewybaczalne zachowanie. - Nie znoszę rozhysterizowanych kobiet, a właśnie tak się zachowałam.

- Wcale nie wpadła pani w histerię, tylko się pani przestraszyła. To duża różnica. - Patrzył, jak mięśnie jej szczupłej szyi poruszają się, kiedy przełyka ślinę, i wbrew sobie poczuł przypływ podziwu. Przypuszczał, że ta kobieta jest przygnębiona wszystkim, co zdarzyło się od jej przyjazdu, albo z powodu nowego kawału, jaki zrobili jej dzieci, tymczasem obwiniała się o to, co postrzegała jako brak odwagi. W dodatku te słowa wyszły z ust osoby, która została sama bez pensa przy duszy w znienawidzonym kraju, ponieważ nie odpłynęła do Anglii, by nie zostawić umierającej kobiety.

- Odwaga wcale nie oznacza nieodczuwania strachu - powiedział łagodnie. - Moim zdaniem, wyjście naprzeciw niebezpieczeństwu, którego się nie boimy, nie jest bohaterstwem. Dopiero stawienie czoła temu, co przeraża, dowodzi prawdziwej odwagi.

Odwrociła głowę, by na niego spojrzeć. A dzieliła ich tak niewielka odległość, że kiedy O'Reilly oddychał, poruszały się luźne pasemka jej płomiennokasztanowych włosów za uchem. Tak niewielka, że czuł zapach Amandy, mieszaninę wody różanej, krochmalu i podniecającej woni jej ciała.

Stała nieruchomo, zaczerwieniona po cebulki włosów, i przyglądała mu się w taki sposób, że zastanawiał się, co w nim widzi. Była taka maleńka, że musiała odchyłać głowę, by spojrzeć mu w oczy. Jej szyja wyginała się wtedy kusząco.

Najłatwiejszą rzeczą na świecie byłoby pochylenie się i pocałowanie jej. Lecz ledwie taka myśl zdążyła zrodzić się w głowie Patricka, już zaczął się zastanawiać, skąd się tam wzięła. Przecież, na litość boską, ta kobieta była guwernantką jego dzieci. A poza tym stanowiła całkowite przeciwieństwo kobiet, jakie mu się podobały. Była zbyt kobieca i delikatna, zbyt mocno zasznurowana i ściśnięta gorsetem, za ostentacyjnie cnotliwa, za angielska. Do diabła, przecież nawet jej nie lubił.

A jednak miała w sobie coś, co powodowało żywsze krążenie krwi, budziło jego zainteresowanie, a nawet podziw. Popatrzył w ciemnoszare błyszczące oczy; zauważył, że zwilża wargi językiem i omal nie stracił panowania nad sobą.

- Jest tu tak wiele rzeczy, których się boję - powiedziała cicho. - Nie wiem, czy znajdę w sobie dość odwagi, by stawić im czoło.

- Zawsze może pani wyjechać. - Chciał, żeby wyjechała, mimo że była mu tutaj potrzebna i miała uczyć jego dzieci. Jednak ze względu na siebie wolałby, żeby jej tu nie było.

Pokręciła głową. Światło lampy wydobyło wspaniały odcień czerwonego wina z jej włosów.

- Nie wyjadę stąd, dopóki nie zarobię pieniędzy wystarczających na podróż do Anglii.

- Skoro to jest dla pani takie ważne, zrobi pani to, co uzna za stosowne. - Ruszył do drzwi, lecz nagle się odwrócił. - A tak na marginesie, jak smakowała pani kolacja?

Podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Ma pan na myśli wieprzowinę? Była pyszna. A dlaczego pan pyta?

Oczywiście nie była to wieprzowina, tylko mięso jaszczurki i Patrick od dawna czekał na okazję, żeby jej to powiedzieć. Ale teraz, kiedy miał wreszcie na to szansę, powtórzył tylko:

- Tak. Była pyszna. - Jego usta wygięły się w leciutkim uśmiechu. - Dobranoc.

Przenikliwy krzyk rozdarł nocną ciszę.

Amanda z bijącym sercem usiadła na łóżku i nieprzytomnie wpatrzyła się w ciemność. Nic nie widziała. Przez chwilę siedziała, zdezorientowana, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Po chwili wróciła jej pamięć, przypomniawszy sobie, że jest w Penyace, w australijskim buszu. I zdała sobie sprawę, że przed chwilą słyszała krzyk dziecka.

Włożyła pantofle i sięgnęła po podomkę. Szybko zawiąawszy pasek, otworzyła drzwi.

Po ogniu w kominku zostało już tylko kilka niewygasłych drew, czerwono świejących w ciemnym salonie. Dostrzegła niewyraźne zarysy mebli. Drzwi do pokoju gospodarza, znajdującego się naprzeciwko jej pokoju, były otwarte. Patrick był już na nogach.

Uwagę Amandy przyciągnęło migotliwe światło świecy w pokoju dziewczynek. Zauważyła długi męski cień sunący w kierunku jadalni i znikający w którymś z pokoi. Po chwili dotarł do niej cichy kojący głos.

Wiedziała, że powinna wrócić do łóżka, jednak podeszła bliżej, trzymając się ściany i starając się stąpać jak najciszej. Zobaczyła swego pracodawcę pochylonego nad łóżeczkiem Missy. Świeca rzucała złotawy blask na jego nagie ramiona i jasne włosy, na ciemną dłoń, odcinającą się od białej pościeli dziecka.

- I co karzełek znalazł, papo? - zapytała Missy, ściskając go za rękę.

- Na końcu tęczy był garnek pełen złota, tak jak się tego spodziewał. - Irlandzki akcent w głosie ojca przyprawił dziewczynkę o chichot. - A teraz - ciągnął, naciągając kołdrę aż pod brodę córki - jeśli zamkniesz oczy i będziesz spokojnie leżała, zaśpiewam ci piosenkę.

Amanda cofnęła się, ściskając kołnierzyk koszuli nocnej. Zamknawszy oczy, wsłuchiwała się w płynącą przez cichy dom starą irlandzką balladę, śpiewaną łagodnym tenorem. Była to smutna opowieść o nieszczęśliwej miłości, daremnej walce i nieuniknionej stracie. Lecz to nie słowa ballady sprawiły, że poczuła ściskanie w gardle, a łzy napłynęły jej do oczu, lecz widok tego mężczyzny, kochającego i czułego ojca, tak łagodnie usypiającego przerażoną córeczkę.

Z trudem zaczerpnęła tchu, poruszona wspomnieniami z własnego dzieciństwa, kiedy to często budziła się zdeorientowana, przerażona, spragniona kojącej bliskości kogoś kochającego, osoby, o której wiedziałyby, że się nią zaopiekuje. Lecz nikt taki nigdy do niej nie przyszedł, nikt nie opowiadał jej bajek ani nie kołysał śpiewem do snu. Zawsze była sama. Wpatrywała się wtedy rozszerzonymi ze strachu oczami w przerażającą czerń nocy, drżała i zrywała się z łóżka na najmniejszy szelest, obolała z samotności i potrzeby czułości. W końcu, zmęczona płaczem usypiała.

Teraz, jako dorosła kobieta, stała w ciemnościach i słuchała kojącego głosu, przepełnionego miłością, czułością i prawdziwą troską. Poczowała dziwne ściskanie w gardle i zdała sobie sprawę, że wzbiera w niej zazdrość.

Była zazdrosna o Missy.

6

Następnego dnia po lekcjach Amanda uciekła do ogrodu.

Zimny wiatr, który tak dokuczał wszystkim w ciągu ostatnich dni, ucichł i popołudnie było niezwykle ciepłe jak na późną zimą. Zamyślona, przechadzała się ścieżką, wzdłuż której rósł bukszpan, kiedy rozległ się stukot końskich kopyt, stłumiony przez gęstą warstwę pyłu. Spodziewała się zobaczyć któregoś z pasterzy albo swego chlebodawcę wracającego po spędzeniu stada. Ale mężczyzna, który zatrzymał się przed bramą, nie był pasterzem.

Przyjechał na dużym, ciężko dyszącym dereszcu. Przystanąwszy pod ogrodowym murem, koń parsknął i smętnie zwiesił łeb.

- Nie rozumiem, jak możesz udawać, że jesteś taki zmęczony, Hermesie - powiedział nieznajomy nienaganną angielszczyzną. Siodło zaskrzypiało, kiedy z wysiłkiem uniósł się w strzemionach. - Biorąc pod uwagę to, że uparcie odmawiałeś szybszego kroku przez całą drogę z miasta, uważam, że to ja pracowałem ciężiej, żebyśmy tu dojechali, przyjacielu.

Usłyszawszy cichy śmiech Amandy, mężczyzna obrócił się w siodle, trzymając się końskiej grzywy, jakby się bał, że spadnie.

Miała przed sobą przystojnego młodego mężczyznę, dwudziestopięcioletniego, najwyżej trzydziestoletniego. Miał łagodne brązowe oczy, schludne ciemne wąsy i policzki jak angielska róża. Ubranie zdradzało człowieka szlachetnie urodzonego: nosił doskonale skrojony, brązowy wełniany surdut lekko teraz przy-

brudzony kurzem drogi, tradycyjną atłasową kamizelkę i nakrochmaloną koszulę ze sztywnym kołnierzykiem, zapiętym pod podbródkiem z uroczą dziurką.

Na widok Amandy uniósł melonik i uśmiechnął się, ukazując równe białe zęby.

- Domyślam się, że mam zaszczyt poznać pannę Davenport. Pozwoli pani, że się przedstawię. Christian Whittaker, księgowy kopalni w Brinkman, nauczyciel niechętnych małych chłopców i nieszczęśliwy posiadacz konia zwanego Hermesem.

Amanda znów się roześmiała i podała mu dłoń.

- Dzień dobry. Słyszałam, że ma pan dzisiaj przyjechać, ale muszę przyznać, że zaczynałam podejrzewać, że pan tu nie dotrze.

Włożywszy melonik z powrotem na głowę, Whittaker pochylił się niebezpiecznie nisko, by ująć jej dłoń.

- Tylko mały człowiek obwinia innych za swoje niedociągnięcia, tak że nie będę nawet próbował zrzucić odpowiedzialności na to rączce zwierzę. - Hermes potrząsnął łbem i zamachał ogonem, niemal zrzucając jeźdźca z siodła. Whittaker puścił dłoń Amandy i chwycił konia za grzywę. - Chyba mam kłopoty. Niestety niewiele jeździłem konno przed przyjazdem do Australii.

Amanda uśmiechnęła się.

- W takim razie proszę szybko zsiąść z konia i wejść do domu. Liam czeka na pana w pokoju lekcyjnym.

- Jestem pewien, że wprost nie może się mnie doczekać. - Whittaker wydał afektowane westchnienie i przewrócił oczami, tak że Amanda jeszcze raz się roześmiała. Nagle zrobiło jej się bardzo radośnie na duszy. Czuła się wspaniale, mogąc porozmawiać z kimś ze swego kraju, słysząc nienagannie wymawiane samogłoski, jak w dzieciństwie. Poza tym była traktowana z szacunkiem, a nie z żartobliwą, lekko dwuznaczną poufałością, która wzbudzała w niej swawolne, zapomniane myśli.

Ze skrywanym rozbawieniem patrzyła, jak Whittaker chwytając oburącz końską grzywę i pochyla się do przodu. Przeniósłszy prawą nogę nad grzbietem Hermesa, niezgrabnie zsunął się na ziemię. Nie przypominał Patricka O'Reilly'ego, był niski i tęgawy.

Nie górował nad Amandą przyprawiając o onieśmienie swym wzrostem, siłą i zuchwałą męskością.

- Nareszcie - powiedział, pochylając się, by otrzepać zakurzone ubranie. - Bezpiecznie na ziemi. Teraz muszę jeszcze zająć się Hermesem.

Na dźwięk swego imienia deresz położył uszy po sobie i potrząsnął wielkim łbem. Zauważywszy, że jego pan puścił wodze, by zająć się swym zakurzonym ubraniem, Hermes zaczął się cofać.

Amanda w porę zdołała chwycić wodze i zatrzymać zwierzę.

- Zaprowadzę go. Proszę pójść do pokoju lekcyjnego, zanim Liam zniknie.

Whittaker oderwał się od otrzepywania kamizelki i zdziwiony popatrzył na Amandę.

- Pani, panno Davenport? Och, nigdy nie śmiałybym prosić o coś takiego...

Pokręciła głową.

- Nie mam nic przeciwko temu. Zaprowadzę go do stajni i poproszę jednego z pracowników, żeby się nim zajął.

Na twarzy Whittakera odmalowała się ulga, chociaż wciąż się wahał.

- Skoro jest pani pewna, że da sobie pani radę z tym brutalem...

- Najzupełniej pewna.

Uśmiechnął się.

- Nie wiem, jak mam pani dziękować.

- Może mi pan podziękować, dając się zaprosić na herbatę na werandzie po lekcji - odpowiedziała Amanda, zaskoczona własną śmiałością. - I opowiadając mi o Anglii.

Róż na policzkach Whittakera przybrał intensywniejszy odcień.

- Z przyjemnością - oznajmił, unosząc melonik jeszcze raz, a potem zdjął z siodła skórzaną torbę i pośpieszył w stronę domu.

Wolną ręką Amanda pogładziła aksamitny pysk konia.

- Myślę, że to bardzo miły młody człowiek - szepnęła Hermesowi do ucha. - A ty okropnie źle go potraktowałeś. Więc jeśli będziesz ze mną próbował którejs z swoich sztuczek, ty

niegrzeczny, nietrafnie nazwany gamoniem, walnę cię między ślepią. Pamiętaj, ostrzegałam.

Deresz przewrócił wielkimi brązowymi oczami i uważnie popatrzył na Amandę. A potem zwiesił łeb W akcie skruchy i udał się za nią do stajni.

Liam powiedział mi o niespodziewanym gadzim gościu - zagał Christian Whittaker, pijąc z Amandą herbatę na werandzie. - Mam wrażenie, że to był prawdopodobnie waran Goulda... to znaczy fachowo *Varanus gouldii* - dodał skrupulatnie. - Chociaż nie można być pewnym, jako że jego pozostałości, niestety, zostały zjedzone.

Amanda gwałtownie uniosła głowę.

- Zjedzone?

- Tak. Zrozumiałem, że wczoraj na kolację. - Nie zauważając jej przerażonego spojrzenia, kontynuował: - Zazwyczaj osiągają cztery stopy długości. Ale *perentie*... czyli *Varanus giganteus* może mieć osiem stóp długości, tyle że rzadko się go spotyka na północ od Alligator Gorge.

- Sądzę, że powinnam się z tego cieszyć. - Amanda zmusiła się do uśmiechu.

- Prawdę mówiąc, nie trzeba bać się jaszczurek. Naprawdę niebezpieczne są jadowite węże... a najgroźniejszy jest brunatny wąż, *Pseudonaja textilis*. Jeśli kiedykolwiek go pani zobaczy, proszę natychmiast uciekać.

- Brunatny wąż? - powtórzyła Amanda, przełykając z trudem ślinę. Szybko sięgnęła po czajniczek. - Czy mogę dolać panu herbaty?

- Bardzo proszę - powiedział, podając jej filiżankę.

Był młodszy, niż jej się na początku wydawało; miał nie więcej niż dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat. Jednak nie ulegało wątpliwości, że jest szlachetnie urodzony i został wychowany na dzentelmena. Był uprzejmy, powściągliwy, tak rozkosznie angielski. Pomyślała, że mężczyzna pokroju Christiana Whittakera nigdy nie mógłby zostać przyłapanym na publicznym

flirtowaniu z wdowami w środku dnia. Nigdy nie chwyciłby panny za pośladki, niezależnie od okoliczności. I z pewnością nie przyglądałby się jej tak rozpłomienionym wzrokiem, że przez chwilę mogłaby sobie wyobrazić, iż ma ochotę ją pocałować.

Oderwawszy się od tych myśli, nalała herbatę.

- Czy przyjechał pan do Australii z rodziną?

- Nie jestem jeszcze żonaty. Zresztą nawet gdybym miał żonę, nie narażałbym angielskiej damy na pobyt w tym kraju - dodał, sięgając po dzbanuszek ze śmietanką.

- Jak długo pan tu już jest? - zapytała.

- Trzy i pół roku. Co oznacza, że do odbycia mojego czteroletniego wyroku zostało mi jeszcze sześć miesięcy.

Roześmiała się.

- Zabrzmiało to, jakby był pan w więzieniu.

Uniósł wąsy w nieśmiałym uśmiechu.

- Czasami tak się czuję.

- W takim razie z pewnością ma pan zamiar wrócić do Anglii?

- O, Boże, tak. Przyjechałem tu tylko dlatego, że mój ojciec jest głównym inwestorem w kompanii górniczej w Brinkman i chciał, żebym wszystkiego doglądał tu, na miejscu. Obawiam się, że nie nadaję się na kolonistę. Niezależnie od tego, że ciągle myślę o Anglii, tutejsze warunki są dla mnie za trudne. To zbyt dziki kraj.

- Tak. Jego piękno jest bardzo surowe, nawet brutalne, nieprawdaż? - Amanda popatrzyła na dolinę, stodoły i zagrody Penyaki. Zauważyła, że jej pracodawca wyszedł z jednej ze stajni i zaczął się wspinać na wzgórze w stronę domu. Z jakiegoś dziwnego powodu jej serce zaczęło bić szybciej.

- Uważa pani, że to piękny kraj? - Zapytał Whittaker, zdziwiony.

- W pewien przerażający, okrutny sposób, tak. A pan nie podziela mojego zdania?

- Może czasami. Wiosną, przed okresem suszy, pięknie kwitną polne kwiaty i bywa tu zaskakująco ładnie. Trudno w to uwierzyć, rozglądając się teraz dookoła, ale widziałem te góry porośnięte bujną zieloną trawą, sięgającą kolan, i dolinę jak

falujące morze tomiłków, dzwonek i dzikich ubiorków. A ten potok... - Wskazał kręte koryto wśród nagich skal bielejących w słońcu. - Potrafi nieść tyle wody, że gdyby człowiek nie wiedział, pomyślałby, że to spora rzeka.

- Straszna jest ta susza. - Kątem oka zauważyła, że Patrick O'Reilly już prawie doszedł do wejścia do ogrodu. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że zamierza się do nich dosiąść na werandzie.

Nie widziała go od ich rozmowy w klasie poprzedniego wieczoru i zastanawiała się, czy będzie w stanie spojrzeć mu prosto w oczy. Przekonywała się w myślach, że nic się nie stało, a jednak... coś się stało.

Whittaker wygładził końce wąsów.

- Jeśli ta susza się utrzyma, obawiam się, że nas wszystkich zrujnuje. Jeżeli nie spadnie deszcz, cały obszar Gór Flindersa na północ od Melrose stanie się pustynią, na której przetrwają tylko aborygeni i kangury... chociaż też pewnie niewiele ich zostanie.

Amanda popatrzyła na swego rozmówcę.

- Uważa pan, że pan O'Reilly też jest zagrożony? Tutaj, w Penyce?

Opuścił wzrok, jakby zorientował się, że powiedział za dużo.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Pan O'Reilly ma więcej szczęścia, ponieważ na terenie jego posiadłości znajduje się kilka zaskakująco głębokich oczek wodnych. Głównym problemem będzie pożywienie...

Urwał, zauważywszy zbliżającego się do nich gospodarza, którego buty z ostrogami stukały w wybrukowaną ścieżkę. Amanda z przyjemnością patrzyła na jego długie nogi i lekki chód, w którym była pewna nonszalancja, lecz zarazem zwinność. Patrick O'Reilly miał rozpiętą kamizelkę i rozchełstaną koszulę, ukazującą pas opalonej skóry błyszczącej od potu, pod którą rysowały się pięknie rzeźbione mięśnie. Ten człowiek chyba nigdy jeszcze nie był przyzwoicie ubrany.

Dotknęła kołnierzyka sukni, który nagle wydał jej się bardzo ciasny. Czuła przyspieszone tętno w zagłębieniu szyi. Patrzyła, jak jej pracodawca zatrzymuje się tuż przed werandą i kciukiem

odchyła szerokie rondo kapelusza. Uchwyciła spojrzenie jego błyszczących niebieskich oczu. Na chwilę pojawiło się między nimi jakieś napięcie; jakby nutka szczególnego porozumienia, którego wcale sobie nie życzyła.

A potem odwróciła głowę i spojrzała na Whittakefa, na elegancko podaną angielską herbatę. Amanda zauważyła pionową kreskę, przecinającą jego czoło.

- Dzień dobry, panno Davenport - powiedział i skinął głową. - Witaj, Christianie.

Pochyliła głowę i odpowiedziała na powitanie sztywnym, oficjalnym tonem, Whittaker zaś natychmiast wstał i uprzejmie się uklonił.

Gospodarz podszedł do brezentowej torby na wodę, wiszącej w cieniu werandy, i sięgnął po blaszany kubek zawieszony obok na łańcuszku.

- Mamy ciepłe popołudnie - rzekł, napełniając naczynie. - Za ciepło jak na sierpień. - Jednym płynnym ruchem uniósł i wychylił kubek, po czym znów go napełnił.

- Istotnie - przyznał Whittaker. - Aż drzę na myśl, co może dziać się w styczniu.

Patrick O'Railly mruknął coś niezrozumiale. Zdjął kapelusz, przechylił kubek z wodą i wylał ją sobie na twarz.

Odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Amanda patrzyła, jak woda ścieka po jego smagłych, opalonych policzkach i miesza się z potem. Kolejna porcja wody zmoczyła włosy, opadające jasnokasztanowymi kędziorami na czoło, i pociekła po mocnej, napiętej szyi. Amanda czuła wzbierające w niej emocje, skrywane, lecz boleśnie intensywne.

- Jeszcze nie przeżyła pani australijskiego lata, panno Davenport - powiedział Christian Whittaker, odrywając ją od niepokojących myśli.

Przeniosła wzrok z emanującego swą fizycznością mężczyzny, stojącego przy torbie z wodą, na rozmówcę.

- Nie.

- Żar, który leje się z nieba, jest trudny do opisania. A te burze piaskowe! Czy pani wie, że można zobaczyć, jak nad-

chodzi? Wygląda jak wielka zasłona pyłu, zaciągana na niebiosa przez czyjąś olbrzymią niezycziwą rękę. - Dramatycznym gestem przesunął ramieniem w bok.

- W tym roku będą jeszcze gorsze - powiedział Patrick O'Reilly, wygodnie sadowiac się na krześle obok Amandy i rozprostowując długie nogi. Siedział tak, jak się poruszał, leniwie, a jednak emanowała z niego energia.

- Napije się pan herbaty, panie O'Reilly? - zapytała, sięgając po czystą filiżankę.

- Herbaty?,- Popatrzył na nią z lekkim rozbawieniem w oczach. - Chętnie, panno Davenport.

Napełniając filiżankę, czuła na sobie wzrok pracodawcy. W jego obecności miała dziwnie rozproszoną uwagę, nie mogła się skupić, wiedząc, że się jej przygląda. Czuła się tak, jakby promieniował jakąś zwierzęcą witalnością, tak że nawet patrząc na niego, cały czas zdawała sobie sprawę z jego bliskości. Kiedy podawała mu herbatę, dłonie trzęsły jej się tak, że filiżanka dzwoniła o talerzyk-

Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego tak fascynuje ją ciało tego Australijczyka. Chełpił się swym niekulturalnym zachowaniem, nieuprzejmością, brakiem szacunku - słowem prezentował cechy, których nie znosiła. Popatrzyła na Patricka O'Reilly'ego w znoszonych moleskinowych spodniach i rozpiętej serżowej koszuli, a potem na Whittakera w schludnym brązowym surducie, meloniku, otoczonego delikatnym aromatem preparatu z liści wawrzynu i pomady do włosów, i poczuła wielką radość z faktu, że może przebywać z towarzystwie miłego młodego Anglika.

- Słyszałam, że przyjeżdża pan tutaj co tydzień, żeby uczyć Liama - powiedziała, podając mu talerz z kanapkami.

- W każdy czwartek.

- W takim razie za tydzień znów zapraszam pana na herbatę.

- To będzie dla mnie wielka przyjemność, panno Davenport - odpowiedział Whittaker.

Usłyszała, jak jej chlebodawca głośno wypuszcza powietrze. Popatrzyła na niego z przyganą, lecz nasunął kapelusza na głowę

tak, że zakrywał mu twarz. Nawet jeśli się z niej śmiał, to nie widziała tego.

Po chwili odsunął kapelusz i zapatrzył się w przestrzeń. Amanda odwróciła się, by spojrzeć w tamtym kierunku, lecz zobaczyła jedynie chmurę czerwonego piasku wolno rozpraszającą się na wietrze.

- Co to jest? - zapytała.

- Prawdopodobnie woły - odpowiedział. - Wiozą towary do gospodarstwa Coxów. Trasa wiedzie przez Penyakę.

Zobaczyła dwa wozy, każdy z nich zaprzężony w osiem wołów. Woźnice szli obok wyładowanych wozów, strzelając z ogromnych batów, długich na czternaście stóp.

- Prr, Cranky, prr, Blackie.

Zatrzymali się przed bramą. Gospodarz wstał i podszedł do nich.

- Cześć - przywitał ich. wsuwając dłonie za szeroki brązowy pas.

-- Czy oni zatrzymają się tu na noc? - zapytała Amanda, patrząc, jak Patrick O'Reilly podchodzi do jednego z woźniców, wysokiego, chudego jak tyka mężczyzny z pociągłą twarzą, ogorzałą od słońca i wiatru, i sterczącymi żółtymi zębami.

- To możliwe - odpowiedział Whittaker. - Często tu nocują.

Dobiegł ją głos pracodawcy, niesiony przez wiatr pachnący akacjami.

- ...możecie nabrać wody, ile tylko chcecie, i mamy dla was jedzenie. Ale kończą nam się zapasy paszy.

Jeden z woźniców strzyknął przez zęby strumieniem mętneho soku tytoniowego, który wylądował na piaszczystej drodze.

- Nie martw się, bracie. Wieziemy siano. Takie teraz czasy. Patrick sięgnął do kieszeni po fajkę i mieszek z tytoniem.

- Ile sobie liczycie od tony za milę?

- Musieliśmy podnieść cenę do trzech szylingów.

Zaklął szpetnie.

Amanda mimowolnie popatrzyła na Christiana Whittakera. Odwrócił wzrok, a jego policzki przybrały szkarłatną barwę.

- Pan O'Reilly czasami używa... bardzo barwnych określeń - powiedział, wyraźnie skrępowany.

- Tak. Zdażyłam to zauważyć.

Popatrzył na nią współczującym wzrokiem.

- Chyba ciężko osobie bez wątpienia szlachetnie urodzonej i wykształconej jak pani odnaleźć się w tak prymitywnych warunkach.

Czuła, że powinna mu być wdzięczna za współczucie i zrozumienie jej sytuacji, jednak, nie wiadomo dlaczego, tylko ją to rozdrażniło.

- Wio! - Krzyk jednego z woźniców oderwał ich od tematu. - Wio, Cranky! - Przy akompaniamencie skrzypienia osi i trzaskania z biczu zaprzęgi ruszyły w stronę potoku. Amanda dostrzegła Liama, biegnącego przed prowadzącym wozem, z głową odrzuconą do tyłu, krzyczącego coś i śmiejącego się. Nie miał na sobie koszuli; jego młode ciało było gibkie i zbrązowiełe od słońca. Towarzyszający mu Barrister szczeakał wesoło.

- Och. - Whittaker wstał. - Tam jest Liam, a ja mam w torbie książkę, którą chciałem mu dać.

- Jeśli pan pozwoli, to mu ją przekażę - zaproponowała Amanda, unosząc się powoli, gdyż wcale nie chciała, żeby popołudnie z jej nowym przyjacielem dobiegło końca.

- To tylko egzemplarz *Pamiętników o wojnie gallickiej* Cezara. - Sięgnął do zniszczonej skórnej torby obok krzesła i wyjął z niej niewielką niebieską książeczkę. - Pomyślałem, że może zaciekawic chłopca takiego jak Liam bardziej niż Wergiliusz. - Podał jej książkę i zawahał się, najwyraźniej również nie mając ochoty na zakończenie spotkania. - Niestety, muszę już jechać. Dni wciąż są krótkie, a nie chciałbym wracać w ciemnościach. - Włożył melonik na schludnie przystrzyżone ciemne włosy. - Będę mógł się z panią zobaczyć w przyszłym tygodniu?

- Tak. - Włożyła cienki tomik pod ramię i wyciągnęła dłoń. - Będzie mi niezwykle miło.

- Ja też się bardzo cieszę na to spotkanie. - Chwycił jej dłoń i ścisnął serdecznie. - Życzę miłego dnia, panno Davenport. I bardzo dziękuję za herbatę. Spędziłem tu bardzo miłe popołudnie.

Wciąż uśmiechnięta, oparła się o kolumnę werandy i odprowadzała go wzrokiem. Jeden z pracowników przyprowadził Hermesa. Uśmiechnęła się szerzej, patrząc, jak Christian Whitaker namawia swego deresza do ostrożnego kłusa. Obłoczki pyłu unosiły się nad ziemią, jeszcze długo po tym, jak jeździec i jego koń zniknęli za wzgórzem.

Amanda została w ogrodzie, ciesząc się miłym wieczornym ciepłem, dopóki gorąca słoneczna kula nie zniknęła za pasmem Gór Flindersa. Żłociste światło wypełniło dolinę, nadając niebu barwę żywego indygo i powodując pojawienie się w górach długich cieni koloru dojrzałej pszenicy.

Wszedłszy do salonu, zdziwiła się, zastając tam Hannah przy okrągłym cedrowym stole na środku pomieszczenia. Szczupła dziewczynka pochylała się nad książką, którą starała się czytać przy świetle tylko jednej świecy.

- Potrzebujesz więcej światła, Hannah - powiedziała Amanda, zamykając za sobą drzwi.

Dziewczynka gwałtownie uniosła głowę. Zatrzasnąwszy książkę wsunęła ją pod serwetkę na stole i popatrzyła wrogo na guwernantkę, dając jej do zrozumienia, że powinna stąd odejść, gdyż tutaj tylko jej przeszkadza.

- Co czytasz? - zapytała Amanda.

Hannah mocno zacisnęła szczęki. Nie odpowiedziała, wciąż jednak patrzyła na Amandę.

Ta podeszła do stołu i wyciągnęła rękę.

- Chciałabym zobaczyć.

Nie miała pojęcia, co zrobiłaby, gdyby dziewczynka odmówiła, ale po chwili wahania Hannah westchnęła, posłała guwernantce mordercze spojrzenie i rzuciła książkę na stół.

Amanda nie wiedziała, czego się spodziewać. Podejrzewała, że będzie to romans, który to dziecko zdobyło jakimś cudem. Ostatnią rzeczą, jakiej by się spodziewała, było to, że ujrzy zniszczony egzemplarz *Eneidy* Wergiliusza, należący do Liama.

Stare krzesło skrzywnęło, gdy Hannah odsunęła je gwałtownie.

Zerwała się na nogi i zamierzała wyjść, lecz Amanda zdążył ją złapać za ramię tuż powyżej łokcia.

- Hannah, zaczekaj.

Dziewczynka odwróciła głowę i popatrzyła na nią z pogardą w ciemnobrązowych oczach, uśmiechając się złośliwie.

Amanda odwzajemniła spojrzenie, czując dziwne zakłopotanie. Uniosła książkę.

- Dlaczego schowałeś ją przede mną?

Hannah popatrzyła na książkę, ale nie sięgnęła po nią.

- Nie powinnam jej czytać.

- Kto tak twierdzi?

Dziewczynka zaśmiała się gorzko.

- Panna Sutton. Panna Westbrook. Panna McDuff. Czy mam wymieniać dalej?

- Domyślam się, że te panie były twoimi guwernantkami?

Hannah przytaknęła.

- I zabraniały ci uczyć się łaciny?

- Oczywiście. - Dziewczynka chwyciła się za nos i uniosła głos o oktawę, złośliwie przedrzeźniając angielskie guwernantki. - My, kobiety, jesteśmy delikatne, słabe i mamy mniejsze możliwości intelektualne niż mężczyźni, moja droga. Nie dla nas jest wielki świat, wielkie myśli i wielkie dzieła. Zostawiamy to mężczyznom, którzy są przystosowani do takiego życia. Zadaniem nas, kobiet, jest dbanie o dom. Kobieta potrzebuje tylko tyle wykształcenia, ile potrzeba jej do zadowolenia męża, wychowania dzieci i zadbania o gospodarstwo.

- I ty w to wierzysz?

Hannah powoli opuściła dłonie i ze zdziwieniem popatrzyła na Amandę.

- Nie. A pani?

- Ciężko byłoby mi pogodzić takie poglądy z moją sytuacją, nie uważasz?

Hannah nad czymś się zastanowiła.

- Ale poprzednie guwernantki jakoś to godziły.

- Widocznie. - Amanda jeszcze raz wyciągnęła dłoń z książką do dziewczynki.

- Proszę. Jeśli chcesz, mogę porozmawiać z twoim ojcem o tym, żebyś razem z Liamem uczyła się u pana Whittakera. Albo ja ci mogę dawać lekcje łaciny.

Hannah wzięła książkę, lecz tylko po to, żeby zaraz odłożyć ją na stół i wzruszyć ramionami.

- Nie. Proszę tego nie robić. Nie interesuje mnie to aż tak bardzo.

Amanda wciąż nie była przekonana, ale postanowiła na razie zostawić ten temat. Hannah wepchnęła ręce do kieszeni i odwróciła się.

- Hannah?

Dziewczynka odwróciła głowę.

- Czy wiesz, gdzie jest Liam? Mam dla niego książkę od pana Whittakera.

- Pewnie siedzi z woźnicami. Zawsze idzie do ich obozowiska, kiedy tu przyjeżdżają. Nie pozwalają mi tam zostać, bo jestem dziewczyną, ale Liam lubi słuchać ich opowiadań. Czasami nawet dadzą mu się trochę napić.

Chyba Hannah nie chodziło o to, że... To niemożliwe, żeby...

- Napić... czego? - zapytała podejrzliwie Amanda.

Dziewczynka wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Brandy. Rumu. Zależy, co mają.

Amanda przyjrzała jej się uważnie, ale z oblicza Hannah, podobnie jak z twarzy jej ojca i brata, nie sposób było niczego wyczytać.

- Mówisz to, żeby mnie zbulwersować, prawda?

Dziewczynka roześmiała się głośno i odwróciła.

Amanda wolno udała się do swego pokoju, przekonana, że Hannah znowu usiłowała ją nabrać. A jeśli nie?

Z okrzykiem przerażenia chwyciła chustę i wybiegła z domu.

7

Znajomy zapach lawendy i goździków unosił się w wieczornym powietrzu, kiedy Amanda szybkim krokiem szła przez ogród. Lecz kiedy tylną bramą wydostała się na piaszczystą ścieżkę prowadzącą do potoku, znalazła się w innym świecie.

Nieobjęta pomysłowym systemem nawadniania, opracowanym przez chińskiego ogrodnika, roślinność ginęła. Suche gałęzie i liście trzaskały pod skórzanymi podeszwami trzewików. Wyschnięta trawa szeleściła, kiedy podtrzymywana kryoliną spódnica sukni omiatała boki ścieżki. Powietrze pachniało kurzem i eterycznymi olejkami wielkich eukaliptusów, wznoszących się nad jej głową.

Za rzędem eukaliptusów dostrzegła obozowisko woźniców nad potokiem. Mężczyźni rozpalili ognisko i wznieśli rożen, na którym piekli barana. Tłuszcz skapywał do skaczących czerwonożółtych płomieni. Słyszała trzask ognia, czuła zapach pieczonego mięsa i ostrego dymu z lekkim aromatem eukaliptusa. W głębi duszy miała nadzieję, że spotka tu także i Patricka O'Reilly'ego, ale zobaczyła tylko dwóch woźniców i Liama.

Chłopiec znów miał na sobie koszulę i lekką kurtkę, jako że zachodzące słońce zabrało z sobą ciepło dnia. Siedział na kłodzie drewna, z rozprostowanymi nogami w pozie, która natychmiast przypominała Amandzie jego ojca. Leżący obok niego Barrister dyszał, wyraźnie uszczęśliwiony. Zobaczywszy Amandę, zaczął radośnie bić ogonem o ziemię.

Było jeszcze widno, słońce dopiero chowało się za linią horyzontu, nadając unoszącym się wysoko na niebie, przejrzystym chmurkom odcienie złota i żywego różu. Lecz trzech mężczyźni siedzący przy ognisku byli tak zajęci tym, co robili, że nie zauważyli jej nadejścia.

- Chooolera! - powiedział Liam, przeciągając sylaby zupełnie jak jego ojciec. - Powinniście zobaczyć oryginalną damę w gorsiecie, którą moja ciotka Hetty przysłała tu jako guwernantkę. Słyszałem, jak ojciec mówił panu Campbellowi, że nie byłby zdziwiony, gdyby spała w gorsiecie. - Dwaj woźnice ryknęli śmiechem jak osły, a Liam chwycił butelkę za szyjkę i przyłożył do ust.

- Liamie O'Reilly - odezwała się Amanda, wychodząc na niewielką polanę. Barrister podbiegł z nadzieją na pieszcoty, ale tylko machinalnie pogłaskała go po łbie. - Mam nadzieję, że to nie jest napój alkoholowy.

Przyłapany w pół łyka Liam zakrztusił się i zaniósł kaszlem. Brudni, cuchnący, nieogoleni prostacy przy ognisku znów zarechotali, a jeden z nich nawet trzepnął się w udo z uciechy.

- A wy, panowie - zwróciła się do dwóch mężczyzn - nie macie wstydu? Gorszycie niewinne dziecko!

- Niewinne dziecko! - Jeden z woźniców, graby, w średnim wieku, z łysiejącą czaszką i bulwiastym nosem, popatrzył na nią, zmieszany. Po chwili jego czoło rozchmurzyło się, a na twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. - A, chodzi pani o Liama. - Zachichotał i dźgnął swego kompana kuksańcem w zębra. - Słyszysz, Sweeny? Ona myśli, że Liam jest niewinny. - Uśmiechnął się od ucha do ucha, ukazując mocno przerzedzone uzębienie. - Niewinny. He, he. A to dobre.

Słyszac nieelegancki dźwięk, brzmiały podejrzanie jak parsknięcie, Amanda odwróciła się w stronę chłopca.

- Liamie, natychmiast odstaw tę butelkę i odejdz stąd.

- Ale dlaczego? - Liam uśmiechnął się z zuchwałością, która, jej zdaniem, była częściowo udawana, a częściowo spowodowana rumem. - Tata nie ma nic przeciwko temu. Zabrał mnie nawet do gospody pana Hornbottoma.

Zapewne nie było to prawdą, ale w tej chwili Amanda gotowa była przypisać temu łajdakowi wszystkie najgorsze postęпки. Miałyby się kłaść do łóżka w gorsecie! Coś podobnego! Uniosła podbródek i oświadczyła wyniośle:

- Nie wiem, jakie są zapatrywania twojego ojca na tę sprawę, jednakże ja bezwzględnie sprzeciwiam się takiemu zachowaniu. A jeśli zostanę zmuszona, poproszę Chinga i Chowa, żeby tu przyszli i siłą zaciągnęli cię do domu. - Był to oczywisty blef, gdyż nie miała pojęcia, czy Chińczycy by jej pomogli.

Liam szeroko otworzył oczy, po chwili jednak zmrużył je i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nie zrobi pani tego.

Amanda wzięła się pod boki.

- Zrobię.

Była niska, ale dopóki Liam siedział, musiał przechylać głowę do tyłu pod bolesnym kątem, żeby spojrzeć na swą guwernantkę. Był przez to jakby w gorszej pozycji, z drugiej jednak strony wstanie byłoby przyznaniem się do niewielkiej wprowadzie, ale jednak znaczącej porażki.

Poruszył się niespokojnie, ale pozostał na miejscu.

- Liamie - odezwała się groźnym tonem.

Chudy woźnica o króliczych zębach i imieniu Sweeny ze smutkiem pokręcił głową.

- Lepiej idź, chłopie. Nie chcemy, żebyś miał kłopoty ze swoją nową nauczycielką.

Przez chwilę miała wrażenie, że chłopiec odmówi. Popatrzył na nią, a jego tors unosił się szybko, jakby w bezsilnym oburzeniu, orzechowe oczy zaś kryły coś, co, jak się obawiała, było obietnicą srogiej zemsty. Po chwili jednak wstał i popędził skalistym korytem potoku. Pies pognał za nim.

Podmuch wiatru poruszył płomieniami ognia, wzniecając snop iskier, dobrze widocznych na tle pociemniałego nieba, i Amanda poczuła w oczach dym.

- Dziękuję panom. - Odwróciła się pośpiesznie, czując pieczenie oczu.

- Do usług, paniusiu. - Sweeny odgryzł kawałek tytoniu swoimi króliczymi zębami. - Miło było panią poznać.

Drugi woźnica wstał i schylił się po butelkę zostawioną przez Liama.

- Przepraszamy za kłopot. Nie chcieliśmy zrobić nic złego. Nie pozwolilibyśmy mu wypić więcej niż tylko dla smaku.

- Miło mi to słyszeć, panowie. Dobranoc. - Potarłszy piekące oczy, Amanda skierowała się w stronę domu.

Odchodząc, ułyszała, jak jeden z nich zrobił jakąś cichą, prostacką uwagę na temat seksualny, której nie zrozumiała. Drugi zarechotał.

- E tam, co mnie obchodzi, jakie ma włosy. Znam takie kobiety. Już wolę wołu niż taką lalę.

Zanieśli się rechotem. Amanda szła z wysoko uniesioną głową, sztywno wyprostowana, zdecydowana jak najszybciej znaleźć Patricka O'Reilly'ego i powiedzieć mu dokładnie, co myśli o nim, o jego przyjaciółkach i o sposobie, w jaki wychowuje dzieci.

Niewidoczny srokacz nucił rzewną pieśń, kiedy Amanda stanowczym krokiem szła przez ogród w stronę niewielkiego kamiennego budynku biura, w którym ostatnio widziała swego pracodawcę. W oddali słońce zniknęło już za postrzępionym szczytem, barwiąc długie pasmo Gór Flindersa gniewną purpurą na tle ognistego nieba.

W niewielkim okienku po lewej stronie wejścia do biura zauważyła słabe światło, lecz po chwili w pomieszczeniu zrobiło się jaśniej, kiedy ktoś zapalił lampę naftową. Amanda szybko zapukała, otworzyła drzwi i weszła do wnętrza.

Campbell, osadzający szkiełko w lampie, zerwał się tak gwałtownie, że omal jej nie upuścił.

- Boże, to pani - wydyszał, wpatrując się w nią nabiegłymi krwią oczami. - Śmiertelnie mnie pani przestraszyła.

- Przepraszam. - Odór rumu i starego potu, unoszący się od tego człowieka, buchnął jej w twarz z taką siłą, że omal się nie

zatoczyła. Cofnęła się przez próg na werandę i z ulgą zaczerpnęła świeżego powietrza. Pomyślała, że nie powinna być zaskoczona tym, że Patrick O'Reilly pozwala synowi pić, skoro toleruje tak okropne pijackie zachowania u pracowników. - Szukam pana O'Reilly'ego - powiedziała, celowo dobitnie akcentując słowa. A kiedy go znajdzie, pomyślała, już ja mu powiem, co sędzę o jego księgowym i nieokrzesanych przyjaciołach woźnicach.

Campbell podrapał się w długą, niechlujną czarną brodę.

- Eee, nie ma go tu. Może go pani poszukać koło wozowni. Niedawno tam był. Widziałem, jak rozmawiał z krewnymi Sally.

- Z krewnymi Sally?

- Z aborygenami.

- Rozumiem. Dziękuję.

Czując, że jej oburzenie rośnie z każdym krokiem, Amanda wyszła z biura i pomaszerowała w dół z boczka do wozowni.

Dostrzegła go z oddali. Nawet w panującym dookoła mroku natychmiast rozpoznała jego charakterystyczną sylwetkę. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wychylonym biodrem. Była tak pochłonięta przyglądaniem się swemu pracodawcy, że dopiero gdy do niego podeszła, zauważyła dwie ciemnoskóre postacie, mające na sobie jedynie barwy zachodzącego słońca. Jedną z tych osób była kobieta, drugą mężczyzna; oboje byli zupełnie nadzy.

Amanda gwałtownie zaczerpnęła tchu i miała zamiar odejść, lecz Patrick O'Reilly usłyszał ją i się odwrócił.

- Panno Davenport, prosimy. Na pewno z przyjemnością pozna pani brata Sally. To Pinba, a to Gabby, jego *lubra*, czyli kobieta.

Powoli, niechętnie, Amanda podeszła bliżej. Stanęła sztywno, mocno ściskając dłonie za plecami. Z trudem wydusiła zwyczajowe: „Miło mi państwa poznać”. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Nie mogła patrzeć na nagiego mężczyznę; wydawało jej się to nie do pomyślenia. Nie mogła jednak również spoglądać na nagą kobietę. Aborygenka była młodsza od swego męża. Jej piękne jędrne piersi sterczały dumnie, jakby wymierzone prosto w Amandę. Choć ta zdawała sobie sprawę

z obecności stojącego tuż obok niej Patricka O'Reilly. nie była w stanie spojrzeć również i na niego. Mogła tylko myśleć: on widzi nagie piersi tej kobiety. Wolała w tym momencie nie zastanawiać się nad tym, co jeszcze można było zobaczyć u aborygenki.

- Kiedy będzie pan miał wolną chwilę, chciałabym z panem o czymś porozmawiać - powiedziała Amanda, uporczywie wpatrując się w szczyty gór, teraz, o zmroku, czarne i tajemnicze.

Pinba powiedział w swoim języku coś, czego nie zrozumiała. Patrick roześmiał się, co sprawiło, że Amanda przestała na chwilę się kontrolować. Spojrzała w dół i zdała sobie sprawę, że aborygen nic jest całkiem nagi; miał na biodrach skąpą przepaskę z plecionki.

- To jest zrobione z sitowia - powiedział Patrick, najwyraźniej zdający sobie sprawę z przedmiotu jej fascynacji. - Robią z tego coś w rodzaju sznurka i używają do wszystkiego, od sieci i kołysek po torebki i... - zrobił wymowną pauzę - przepaski.

To go bawi, pomyślała, unosząc głowę, by na niego spojrzeć. Wie, że jestem zakłopotana nagością tych ludzi, i celowo mnie dręczy. Zauważyła, że zmarszczki mimiczne wokół jego oczu pogłębiają się, a wargi wyginają w leciutkim uśmiechu.

Przebywanie w towarzystwie nagich ludzi nic tylko ją szokowało, ale było też niebezpieczne. Bo z jakiegoż to innego powodu nagle zaczęła się zastanawiać, jak wygląda Patrick O'Reilly bez ubrania? Przypomniała sobie swoje ukradkowe spojrzenia na jego opalony tors, płaski brzuch z piękną muskulaturą i łatwo było wyobrazić sobie resztę. Jego długie umięśnione nogi, twarde pośladki.

Serce zaczęło jej bić mocniej i w coraz szybszym rytmie, przypominając o tym, że i ona ma ciało, zazwyczaj tak głęboko ukryte pod warstwami bawełny, lnu, wełny i fiszbinu, że rzadko poświęcała uwagę jego potrzebom. Teraz miała wrażenie, że jej piersi obrzmiwały, napierając na sztywny stanik sukni. Czuła ból, znany sygnał pożądania w dole brzucha, i miała ochotę westchnąć.

Nagle się przeraziła, że być może oczy zdradzają jej myśli, więc odwróciła się, czując, że płoną jej policzki.

- Możemy teraz porozmawiać powiedział. - Jeśli pani ma ochotę.

- Co? Och. Och, nic. - Amanda przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. -Później. -Gwałtownie przełknęła ślinę. - Później.

Szybko wypowiedziała słowa przeprosin, nieznacznie uniosła spódnicę i odeszła.

Zbyt poruszona, by wejść do domu, Amanda przemierzała brukowane ogrodowe ścieżki. Trzewiki na wąskich obcasach stukały o kamienne płyty. Z dołu dobiegało beczenie owiec i muczenie bydła. Zwierzęta hodowlane szykowały się do snu. Rozlegały się odgłosy zupełnie nieznane wychowanej w Oksfordzie Amandzie, na przykład skrzek kakadu mieszkających w eukaliptusach nad potokiem.

Stłumiła westchnienie, przechyliła głowę i zapatrzyła się na pierwsze gwiazdy, pojawiające się na ciemniejszym niebie. Wmawiała sobie, że jest poruszona spotkaniem z nagimi aborygenami. To szok sprawił, że serce tak mocno biło jej w piersiach i z trudem łapała powietrze. Jej delikatne dziewicze uczucia zostały urażone. Każdy by w to uwierzył.

Przynajmniej uwierzyłyby w to ktoś taki jak Christian Whittaker, bo Patrick O'Reilly zapewne wiedziałby swoje.

Poczuła delikatny zapach dymu tytoniowego, mieszający się ze słodka wonią róż i kapryfolium. W ciemności dostrzegła czerwony punkcik fajki. Wiedziała już, że jej chlebodawca jest w ogrodzie i ją obserwuje.

Przystanąła jakieś dziesięć stóp od domu i zobaczyła go, opartego o słupek werandy, z kciukiem zatkniętym za pas w sposób, który skupiał jej uwagę na jego wąskich biodrach.

- Miły wieczór- powiedział, pykając z fajki.

Gwałtownie uniosła głowę.

- Tak.

- Coś panią niepokoi?
- Niepokoi? Nie.
- Uciekła pani i szła tak szybko... myślałem, że może przestraszyła się pani Pinby i Gabby. Proszę mi wierzyć, że nie trzeba ich się bać. Na pewno nie zrobiliby krzywdy żadnemu z moich domowników.

- Nie bałam się - odparła. Nie tego, o czym myślisz, dodała w duchu.

Patrick zaciągnął się dymem.

- Miałem wrażenie, że jest pani wstrząśnięta.
- Jeśli byłam trochę poruszona, to tylko dlatego, że ci miejscowi byli... - Nie potrafiła głośno wymówić słowa: „nadzy” w obecności mężczyzny, więc wybrała inne wyjście. - W stanie *puris naturalis*.

- Chciała pani powiedzieć, że byli zupełnie goli?

Stała zbyt daleko, by dostrzec w ciemności oczy swego pracodawcy, ale słyszała rozbawienie w jego głosie.

- Tak - rzuciła, czując, że płoną jej policzki. Cieszyła się, że jest już ciemno.

- Przyzwyczai się pani do tego.

- Ależ wcale nie mam ochoty przyzwyczajać się do tego... ani do innych niezbyt ciekawych aspektów życia w tej kolonii. - Wiedziała, że jej słowa brzmią wyniośle, nieuprzejmie i że przemawia jak z piedestału, ale nie zamierzała się tym przejmować. W pewien sposób słowa stanowiły tarczę, bufor, pozwalający utrzymać jak największy dystans pomiędzy nią a tym niepokojącym mężczyzną. - Wprawdzie okoliczności zmusiły mnie do czasowego zamieszkania w Australii - ciągnęła chłodnym tonem - ale nie mam zamiaru zapominać, że jestem Angielką. Nie po to odebrałam staranne wychowanie, żeby przejmować zwyczaje panujące w buszu.

Wyjął fajkę z ust.

- Tak to pani odbiera? Że jeśli coś nie jest w angielskim stylu, to znaczy, że nie przystoi damie? Że będzie pani musiała jakoś znosić tutejsze życie... przez jakiś czas... ale nie zamierza się dostosować do tutejszych obyczajów?

- Do tutejszych obyczajów? - Zatoczyła szeroki łuk ręką, obejmując tym gestem nie tyle wysuszone słońcem wzgórza i groźne Góry Flindersa, co istotę życia w Australii. - Oczywiście, że nigdy do nich nie przywyknę. Robiąc to, całkowicie bym się zatraciła, zagubiła poczucie tego, kim i czym jestem.

- Ma pani na myśli zníženie się?

Jak najbardziej to właśnie miała na myśli, ale nie zamierzała posunąć się aż tak daleko, żeby się do tego przyznać.

- Nawet pan musi się ze mną zgodzić, że przeciętny Australijczyk jest nieco zdeprawowany i... - ściągnęła wargi, przypominawszy sobie woźniców - wulgarny.

- Zdeprawowany.

- Tak. Chociaż wcale nie jest to dziwne, zważywszy na okoliczności.

- Na przykład jakie? - Postukał fajką w słupek werandy, wytrząsając popiół, który opadł na ziemię w postaci snopu iskiei.

Nie była w stanie już dłużej na niego patrzeć. Odwróciła głowę, skrzyżowała ramiona na piersiach i zaczęła obserwować wschodzący księżyc. Był duży, okrągły i wspaniały; mżył nieprawdopodobnie białym światłem. Nigdy nie widziała takiego księżyca.

- Tak - powiedziała wolno, szukając odpowiedniego przykłađu, niestety, dokonała niefortunnego wyboru. - Choćby to nieustanne ogląkanie tubylców w stanie kompletnej...

- Nagości - odpowiedział.

- Właśnie. Niestety, ma to zgubny wpływ na moralność białych mieszkańców kolonii.

- Dlaczego? - zapytał podejrzenie łagodnym tonem. - Czy uważa pani, że jesteśmy niemoralni, panno Davenport?

- Ja? - Odwróciła się i opuściła ramiona, patrząc, jak Patrick O'Reilly wyłania się z cienia i podchodzi do niej. Światło księżyca uwydatniało wyraziste rysy jego twarzy i sprawiało, że wypalone słońcem pasma jasnokasztanowych włosów lśniły jak srebrne.

Były za długie. Opadały kędziorami na czoło i leżały na

kołnierzu, nadając Patrickowi O'Reilly'emu wygląd dzikusa. Zauważyła, że jego koszula jest rozpięta pod opaloną szyją, co wystarczyło, by znów poczuła niebezpieczne mrowienie w dole brzucha.

Staął tuż przed nią.

- Dlaczego po prostu pani się do tego nie przyzna?

Wiatr załopotał spódnicą jej sukni, owijając ją dookoła jego nogi. Był zbyt blisko. Czekala, aż się cofnie, ale się nie poruszył.

- Do czego mam się przyznać? - zapytała zduszonym głosem.

- Że pobyt tutaj przyprawia panią o niepokój. Ale ten niepokój nie wynika z tych powodów, które pani podaje. Bierze się stąd, że życie tutaj jest zbyt proste. Zbyt prawdziwe. Pozbawione wszystkich tych uprzejmych naleciałości, z którymi miała pani do czynienia na co dzień, a teraz, kiedy stanęła pani twarzą w twarz z twardą rzeczywistością, nie umie sobie z tym poradzić.

- Nie. - Popatrzyła na urodziwą twarz. Mimowolnie skupiła swą uwagę na wargach i patrzyła, jak w policzkach jej chlebobawcy tworzą się dołki, kiedy mówi:

- Tak.

Przez pełną napięcia chwilę przyglądali się sobie, po czym Amanda szybko zacerpnęła tchu i odwróciła się, tak jakby nie chciała przyjąć słów prawdy i próbowała uciec od tego, co nieuchronnie by się stało, gdyby trwała w poprzedniej pozycji.

- Boże! - zawołała, zmuszając się do opanowania, nie rozumiejąc, co się z nią dzieje. - To nie jest miejsce dla mnie. Wszystko jest takie nieznane, dzikie, niepokojące. Żałuję, że tu przyjechałam.

- Więc dlaczego pani tu przyjechała? Dlaczego nic została pani w Adelajdzie?

- Dlaczego? Dlatego, że byłam zrozpaczona. - Roześmiała się lecz zabrzmiało to trochę jak szloch. - Zawsze pracowałam jako prywatna sekretarka. Ale większość ludzi myśli, że zubożałe damy powinny być guwernantkami. Więc pomyślałam, że spróbuję zostać guwernantką.

Wiedziała, że nie powinna mówić mu tego wszystkiego, ale w tej chwili nie miała ochoty się tym przejmować.

- Problem polegał na tym, że w Adelajdzie aż roi się od doświadczonych angielskich guwernantek. Zanim odpowiedziałam na ogłoszenie pańskiej siostry, zastanawiałam się, czy będę w stanie zapewnić sobie dach nad głową, nie mówiąc już o powrocie do Anglii.

- Ten powrót do Anglii jest dla pani bardzo ważny, prawda?

Zasłoniła oczy dłonią, nagle zawstydzona, że straciła panowanie nad sobą.

- To jest dla mnie najważniejsza rzecz na świecie - powiedziała cicho.

- Dlaczego?

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Bo tam jest moja ojczyzna, moje miejsce. Nigdy nie byłabym tu szczęśliwa.

Przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy, przyprowadzającym ją o niepokój. Miała wrażenie, że zagląda do jej duszy, dostrzegając to, o czym wolałaby nie wiedzieć.

- Zawsze myślałem, że szczęście nic zależy od tego, gdzie się jest, tylko kim się jest.

Amanda popatrzyła na niego, zaskoczona mądrością i zrozumieniem tego człowieka. Wolała nie zauważać tej strony jego osobowości. Chciała myśleć o nim jako o kimś nieokrzesanym, prymitywnym, niekulturalnym. A tymczasem był delikatny, mądry i współczujący, co czyniło go niebezpiecznie atrakcyjnym.

Nieoczekiwanie wyciągnął rękę i pogładził jej policzek. Zadrżała pod wpływem tego dotyku. Zacerpnęła tchu, lecz nie zmniejszyło to dławienia w piersiach.

- Nigdy nie będę tu szczęśliwa.

Przez dłuższą chwilę przypatrywali się sobie w milczeniu. Nocne powietrze, zaskakująco ciepłe jak na tę porę roku, prześycone było intensywnym zapachem australijskiego buszu.

- To prawda - rzekł miękko. - Nie sądzę, żeby pani mogła tu być szczęśliwa.

Tym razem to on odwrócił wzrok w stronę Gór Flindersa, ledwie teraz widocznych w ciemnościach nocy. Usłyszała, jak wzdycha.

- Ale o czym pani chciała ze mną porozmawiać?

Przez chwilę nie była w stanie się zorientować, o co mu chodzi. Dopiero po dobrej chwili przypomniała sobie, że zamierzała powiedzieć mu o Liamie, woźnicach i księgowym, Campbellu, tyle że teraz wcale nie miała ochoty poruszać tych tematów. Nie teraz.

- Możemy odłożyć tę rozmowę na później.

- Kiedy znalazła mnie pani przy wozowni, aż kipiała pani z oburzenia, więc może lepiej proszę od razu mi o tym powiedzieć.

- Dobrze. Chciałam z panem porozmawiać o dzieciach.

Wyczuła nieznaczną zmianę jego nastroju.

- O co chodzi? - zapytał, mrużąc oczy. - Jakież problemy z nauką?

- Nie. Myślę, że zaczynamy dochodzić do porozumienia w tej sprawie.

- W takim razie, do jasnej cholery, co się stało?!

- Panie O'Reilly, muszę zaprotestować przeciwko ciągłemu używaniu nieprzyzwoitego języka...

- Proszę przestać protestować i powiedzieć, o co pani chodzi. Poczwała rosnące poirytowanie.

- Dobrze. Powiem, skoro pan tak nalega. - Głęboko zaczerpnęła tchu. - Uważam, że pańskie dzieci nie powinny być narażone na ciągłe kontakty z podejrzanymi, nagannie zachowującymi się mężczyznami, od których aż roi się na pańskiej farmie.

- Na przykład? O kogo pani chodzi? - zapytał niebezpiecznie słodkim głosem.

- Choćby o księgowego. - Wyciągnęła rękę w kierunku budynku biura. - Ten człowiek zachowuje się kompromitująco.

Patrick O'Reilly popatrzył na nią uważnie, lecz nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy.

- Więc pani uważa, że powinienem zwolnić Campbella?

- Tak.

Uniósł głowę i zapatrzył się w przestrzeń.

- Po drugiej stronie potoku jest niewielki cmentarzyk. Za-uważała go pani?

Amanda pokręciła głową.

- Tak, ale tam nie byłam. Dlaczego pan pyta?

- Myślę, że przy okazji mogłaby go pani zwiedzić. Zauważy tam pani trzy nowe groby. W jednym jest pochowana kobieta, Ellen Campbell, a obok niej leżą dwaj bliźniacy, jej ośmioletni synowie, Nathan i Matthew. Wszyscy zmarli sześć tygodni temu.

- To rodzina Campbella? - zapytała cicho.

- Tak. Zapadł na jakąś chorobę żołądka, kiedy pojechał do Melrose po żywność. Tylko że zamiast tam zostać, wrócił do domu, żeby Ellen mogła się nim zaopiekować, i zaraził resztę rodziny. On przeżył, ale oni nie.

- Nie wiedziałam... - wyszeptała.

- Nie wiedziała pani. - Popatrzył na nią. - Campbell to porządny człowiek. Jeśli teraz ma potrzebę topienia swego smutku i poczucia winy w alkoholu, sądzę, że mogę dać mu na to trochę czasu i miejsca.

Amanda patrzyła na stojącego obok niej mężczyznę, znów dostrzegając cechy jego charakteru, z których wolałaby sobie nie zdawać sprawy. Odchrząknęła i uciekła wzrokiem w przestzeń.

- W takich okolicznościach rozumiem... a nawet popieram pańską wyrozumiałość, jeśli chodzi o Campbella. Ale są jeszcze ci dwaj woźnice, którzy przyjechali tu dziś wieczorem. To prawdziwi degeneraci.

Zaskoczył ją jego łagodny śmiech.

- Nie wiem, czy nazwałbym Sweeny'ego i Jessupa degeneratami. Owszem, nie mają ogłady i są niedomocy, ale na pewno nie są zdeprawowani.

- Nie? W takim razie dlaczego opowiadają Liamowi historie zupełnie nieodpowiednie dla jego młodych wrażliwych uszu...

- Woźnice słyną ze swoich opowiadań.

- ...i pozwalają mu pić alkohol?

Zaległa cisza.

- Myślę, że pani tego nie zrozumie, panno Davenport - odezwał się w końcu - ale uważam, że lepiej jest pozwolić chłopcu skosztować alkoholu, niż mu tego zabraniać. Sweeny

i Jessup są trochę nieokrzesani, ale nie sądzę, żeby pozwolili Liamowi wypić więcej niż łyk tego, co tam mają.

- I myśli pan, że... łyk albo dwa to nic złego?

- Wiem, co picie może zrobić z mężczyzny w tym kraju. I właśnie dlatego chcę, żeby Liam dojrzał, dobrze wiedząc, czym jest alkohol. Dzięki temu picie nie będzie dla niego czymś, czego nie może się doczekać, nie wiedząc, jak sobie z tym radzić, ale uważając, że powinien pić, by potwierdzić swoją męskość.

- I to właśnie dlatego zabrał go pan do gospody Hornbottoma?

- Widzę, że pani o tym powiedziała.

Miała nadzieję, że temu zaprzeczy. Teraz popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- A więc to prawda?

- Tak. - Uśmiechnął się nieznacznie, co pozwoliło jej się domyślić, że ta historia ma swój dalszy ciąg.

- Nie ma pan zamiaru mi tego wyjaśnić?

Uśmiechnął się szerzej.

- Nie.

Popatrzyła na jego urodziwą twarz i nagle doświadczyła nieznanych emocji, których wcale sobie nie życzyła. Wieczorny wiatr trzepotał jego znoszoną koszulą, przyciskając ją do torsu, i opinał rękawy na muskularnych ramionach. W świetle księżyca Patrick O'Reilly wydawał się tak duży, silny i boleśnie, podniecająco męski, że niemal zadrżała.

Nagle odczuła ogromną potrzebę znalezienia się w domu. Odwróciła się gwałtownie.

- Nie rozumiem pana - rzuciła. Ale prawdę mówiąc, wiedziała, że powinna była raczej powiedzieć: Nie rozumiem siebie. Nie rozumiem tego, co dzieje się między nami. Tego, co omal nie zdarzyło się dzisiejszego wieczoru.

A najbardziej boję się tego, co może się wydarzyć.

Missy leżała na sianie na plecach i patrzyła na drobinki kurzu, leniwie unoszące się w promieniach popołudniowego słońca. Siano drażniło jej nagie ramiona i czasami miała po nim

wysypkę, ale uwielbiała jego szelest, kiedy się w nim zagrzebywała, i czysty świeży zapach. Przypominało jej długie gorące dni lata, konie i utrzymywane w tajemnicy spotkania Najeźdźców O'Reillych, jak nazywała ich Hannah.

Liam uważał, że powinni być Wojownikami O'Reilly, ale Hannah była starsza i kiedy brat usiłował się z nią spierać, walnęła go pięścią w nos. Nazywali się więc Najeźdźcami O'Reilly, a stodoła była miejscem ich potajemnych spotkań, w czasie których obmyślali nowe sposoby pozbycia się guwernantek. Tak naprawdę to spiskowali głównie Liam i Hannah, a Missy przez większość czasu tylko się przysłuchiwała.

- W końcu go znalazłem - powiedział Liam, wkładając źdźbło do ust tak jakby było fajką.

Starsza siostra obróciła się na brzuch i uniosła nogi.

- Jest duży?

- Dziesięć stóp.

- Przestań, Liam. Jaki jest?

Chłopiec posłał jej mordercze spojrzenie.

- No, co najmniej pięć stóp. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Jeśli przestraszyła się jaszczurki, to zobaczycie, co się będzie działo w nocy, kiedy znajdzie go w swoim pokoju.

- Liamie, nigdy nic złapałbyś węża długości pięciu stóp.

- Nie. To Jacko złapał go dla mnie. - Jacko był jednym z kuzynów Sally, który pracował dla O'Reilly'ego jako pasterz. - Zajęło mu to kilka dni, ale w końcu znalazł. Włożył go w torbie do tego starego spękanego eukaliptusa nad potokiem. Kiedy będziemy gotowi, przyniosę torbę i położę za kuchnią. Wpuścimy go do jej pokoju, kiedy wszyscy będą już w łóżkach.

Missy poruszyła się niespokojnie.

- Myślę, że to jest podłe.

Dwie pary oczu, brązowe i orzechowe, popatrzyły na nią uważnie.

- Oczywiście, że jest podłe - powiedziała Hannah wolno i dobitnie wymawiając słowa, jakby siostra nie znała angielskiego. - Właśnie dlatego to robimy.

Missy nie cierpiała, kiedy Hannah zwracała się do niej tyra

tonem. Tak jakby myślała, że ona jest mała i niczego nie rozumie. A Missy zazwyczaj wszystko rozumiała, tyle że patrzyła na sprawy z trochę innego punktu widzenia.

- Ta nowa guwernantka nie jest taka okropna jak tamte - upierała się. - Uważam, że jest ładna. Szczególnie kiedy się uśmiecha.

- A czy ona kiedykolwiek się uśmiecha? - fuknął Liam.

- Uśmiecha się do mnie.

- No jasne - powiedziała z niesmakiem Hannah. - Dałaś jej kwiaty. - Chwyliła się za brzuch, pochyliła i wydała taki odgłos, jakby za chwilę miała z wymiotować.

- Było mi jej żal.

- Ha - odezwał się Liam. - Było ci też żal panny Down, kiedy nasypaliśmy piasku do tego kremu, którym smarowała sobie twarz.

- Nie! Nigdy nie lubiłam panny Down. Waliła mnie pięścią w plecy, jeśli źle wymówiłam jakieś słowo. Uważałam, że zbyt surowo potraktowaliście pannę Macmillan. Nie była taka zła. A po tym, jak rano położyliście jej świeży krowi placek koło łóżka, zrezygnowała.

Liam roześmiał się.

- To było dobre, no nie?

Missy pokręciła głową. Nie lubiła większości guwernantek, które ciocia Hetty przysyłała z Adelajdy, gdyż były uszczypliwe i wiecznie w złym humorze. Życie z nimi stawało się bardzo smutne, aż w końcu odchodziły. Ale nie nienawidziła ich tak jak brat i siostra.

Czasami Missy wydawało się, że to z powodu mamy. Ona jej nie znała, więc nie odczuwała braku. Ale Hannah i Liam musieli mieć z tym problem. Nie tęsknili do mamy, ale byli na nią źli, że odeszła i ich zostawiła. Przynajmniej tak mówiła im Missy, kiedy Hannah i Liam byli dla niej niedobrzy. Sally powiedziała, że Missy powinna zrozumieć, że oni cierpią i dlatego chcą, żeby inni też cierpieli. Ale Missy nie za bardzo w to wierzyła. Przecież papa nie był niedobry, a jemu też musiało brakować mamy, chociaż o niej nie mówił. Nikt nigdy nie rozmawiał o mamie.

I to bardzo smuciło Missy, ponieważ chciałyby się czegoś o niej dowiedzieć.

- Jesteś z nami czy przeciwko nam? - domagała się odpowiedzi Hannah, starając się onieśmielić siostrę spojrzeniem.

Missy westchnęła.

- Jestem z wami.

Hannah pokiwała głową.

- To dobrze. - Popatrzyła na Liama. - Kiedy chcesz to zrobić? Chłopiec uśmiechnął się tak szeroko, że widać było, iż brakuje mu zęba.

- Dziś w nocy.

8

Płomień lampy migotał i kopcił, rzucając dziwaczne cienie na pobielane ściany sypialni.

Zrobiło się późno i Amanda powinna leżeć już w łóżku. Była jednak bardzo niespokojna, nie potrafiła sobie znaleźć miejsca. Przytrzymując rogi chusty, narzuconej na nocną koszulę, pochyliła się, by uregulować wysokość płomienia. Jej wzrok padł na pulpit matki. Uniosła go, usiadła na krześle i położyła go na kolanach.

Nie korzystała z niego od dnia przyjazdu do Penyaki, czyli od tygodnia. Nie miała żadnych próbek roślinnych do zakatalogowania ani listów do napisania. Nie było w Anglii nikogo, kto czekałby na list od Amandy Davenport.

Ogarnęła ją dojmujące poczucie samotności. Przesunęła dłoń po powierzchni pulpitu i obwiodła palcem delikatny inkrustowany wzór.

Pulpit i kilka sztuk biżuterii stanowiły jedyne ogniwa łączące ją z matką, która zmarła przy porodzie. Może gdyby żyła, Amanda byłaby pewniejsza siebie i lepiej przygotowana do radzenia sobie z trójgiem dzieci, które zdecydowanie potrzebowały kogoś, kto by się nimi zaopiekował, a nie tylko uczył, jak wyobrażał to sobie ich ojciec.

Wiedziała, że Patrick O'Reilly ogromnieje kocha, nie tu leżał problem. Obserwowała ukradkiem wiele razy w ciągu minionego tygodnia, jak układa Missy do snu, jak gra w szachy z Liamem i Hannah przed kominkiem, jak siedzi z nimi na werandzie,

śmiejąc się i rozmawiając, gdy zmierzch zapadał nad otaczającym ich buszem. Jednak w głębi duszy czuła, że to nie wystarcza. W tej rodzinie coś było nie tak. Wydawało się bardzo dziwne, że nikt - nawet dzieci - nigdy nie wspominał Katherine O'Reilly.

Amanda z westchnieniem odłożyła pulpit na okrągły stół i przeniosła lampę na stolik obok łóżka. Była zimna noc i z radością wsunęła się pod ciężką kołdrę. Lecz kiedy zamierzała zgasić lampę, przyszło jej na myśl, że nie zdając sobie z tego sprawy, w którejś chwili minionego tygodnia jej stosunek do dzieci się zmienił - przestała chcieć je kontrolować, a zapragnęła im pomóc. Gdyby nie resztki ostrożności, pomyślała z przekąsem, gotowa była nawet zacząć troszczyć się o tych małych nicponi.

Na samą myśl o tym zaśmiała się cichutko.

Poczuła strach, jeszcze zanim usłyszała szmer.

Usiadła na łóżku zaspana, nic nie widząc w ciemności. Serce mocno waliło jej w piersiach, a krew krążyła tak szybko, że czuła mrowienie kończyn. Kilka razy szybko zaczerpnęła tchu; zaschło jej w ustach. Co ją tak zaniepokoiło?

Gwałtownie się odwróciła, wpatrując się w drzwi do salonu, potem w oszklone drzwi na werandę. Były zamknięte.

A jednak coś ją obudziło. Coś, co jej ciało... a może podświadomość odebrała jako zagrożenie, nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy.

A potem usłyszała cichy szmer. Szelest. Nie była sama. Ktoś... coś było z nią w pokoju.

Wymacała pudełko na stoliku. Dopiero za trzecim razem udało jej się zapalić zapałkę.

Rozbłysło złociste migotliwe światło. Słabe, lecz wystarczające do tego, żeby zobaczyć długiego, grubego brunatnego węża pełznącego przez sypialnię.

Brunatny wąż.

Wydała krótki okrzyk przerażenia i omal nie upuściła zapałki. Ręce drżały jej tak, że bała się, iż zapałka zgaśnie, ale udało jej

się powoli zapalić lampę. Było to trudne, jako że nie odrywała oczu od węża.

Lampa rozbłysła jasnym płomieniem. Jakby przestraszony światłem, gad zatrzymał się na środku sypialni. Był tak długi, że jego cielsko wydawało się sięgać prawie do drzwi. W pewnej chwili uniósł spiczasty czarny łeb i na nią popatrzył.

Amanda przełknęła z trudem ślinę, czując kulę w gardle.

- Panie O'Reilly! - zawołała. Zabrzmiało to jak skrzek.

Na pewno jej nie usłyszał. Cofnęła się do końca łóżka i spróbowała jeszcze raz.

- Panie O'Reilly! Panie O'Reilly? Panie O'Reilly!

W oddali usłyszała odgłos otwieranych drzwi, głuchy łomot, a po chwili drzwi jej sypialni otworzyły się z taką siłą, że aż trzasnęły w ścianę.

Do pokoju wpadł jej chlebowdawca, kompletnie nagi.

- Co się tu dzieje?

Spojrzał na nią, a po chwili zauważył węża. Gad kołysał łbem, gotów do zmierzenia się z nowym zagrożeniem, znajdującym się zaledwie o kilka stóp od jego ruchliwego języka.

- Cholera.

Nie zauważyła noża, dopóki Patrick O'Reilly nie uniósł ręki. Rzucona broń ze świstem przecięła powietrze. Usłyszała wibrujący dźwięk, kiedy ostrze wbiło się w drewnianą framugę drzwi po drugiej stronie pokoju. Ciało węża, skrócone o głowę, opadło na podłogę.

Patrick podszedł, by przyjrzeć się martwemu gadowi. Amanda nie była w stanie się poruszyć.

Jej pracodawca wyglądał wspaniale. Był wysoki, szeroki w ramionach, silny, jednak poruszał się lekko, z gracją. Spłowiecia od słońca włosy opadały mu na opaloną szyję. Pod brązową skórą pleców rysowały się mięśnie, które napięły się, gdy pochylił się nad zabitym gadem. Miał twarde jędrne pośladki, białe podobnie jak długie, kształtne nogi. Amanda głośno zaczerpnęła tchu, a chociaż noc była chłodna, poczuła, że robi się jej gorąco.

- Nie powinienem był go zabijać - powiedział. Ze zdumieniem stwierdziła, że szczerze żałuje tego, co zrobił. - To tylko czar-

nogłowy pyton. Wygląda jak wąż brunatny, ale nie zrobiłby pani krzywdy. Nie jest jadowity. - Popatrzył na nią przez ramię. - Ale jak on się tu dostał?

Pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Drzwi były zamknięte.

Wyprostował się i na nią spojrzał. Czuła, że powinna odwrócić wzrok, ale nie była w stanie tego zrobić. Wbrew swojej woli zaczęła się przyglądać nagiemu mężczyźnie. Po latach ciężkiej pracy miał wspaniałą muskulaturę torsu i twardy brzuch z wyraźnie zarysowanymi mięśniami. A niżej dumnie wznosił się duży męski członek, który wydłużył się jeszcze, gdy na niego popatrzyła.

Uniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Na twarzy Patricka pojawił się leniwy uśmiech, który zapalił iskierki w niebieskich oczach. Zupełnie nie był skrepowany swoją nagością, mimo że zdawał sobie sprawę, iż Amanda podziwia jego ciało. Spłonęła rumieńcem zakłopotania, odwróciła głowę i wpatrzyła się w ścianę.

- Panie O'Reilly, gdzie... nie ma pan na sobie ubrania.

- Wcale mi to nie przeszkadza. A pani? - Usłyszała nutkę rozbawienia w jego głosie.

- Owszem, przeszkadza. Koło umywalki jest ręcznik. Czy mógłby pan...

- Zakryć nim swoje strategiczne punkty? Dobrze. - Usłyszała cichy szelest. - Już.

Nie odrywała wzroku od ściany.

- Założę się, że za tym wszystkim stoi Liam - rzekł.

Była tak zaskoczona, że zapomniała, iż miała na niego nie patrzeć. Odwróciła się akurat wtedy, gdy podnosił martwego węża z podłogi. Ręcznik odchylił się kusząco.

- Liam? - powtórzyła cicho.

- I Hannah też, dam sobie rękę uciąć. - Ruchem głowy wskazał drzwi i pochylił się, by wyciągnąć nóż. - Nie ma ich tu. Czy sądzi pani, że w normalnych okolicznościach nie przybiegliby zobaczyć, skąd ten krzyk i całe zamieszanie?

Amanda popatrzyła na pusty ciemny salon.

- Tak, ma pan rację. Coś okropnego. Myślę, że to moja reakcja na jaszczurkę podsunęła im ten pomysł.

- Już ja się postaram o to, żeby doszli do wniosku, że to był bardzo głupi pomysł - oznajmił ponuro.

- Nie. - Nie zważając na jego nagość i to, że sama jest w koszuli nocnej, wstała z łóżka. - Nie chcę, żeby pan karał swoje dzieci.

Lekko rozbawiony, uniósł proste ciemne brwi.

- Dlaczego? Dlatego, że nie wierzy pani w kary cielesne? Myślałem, że po tygodniu przebywania z moją piekielną czeredką zmieni pani zdanie na ten temat.

- Wcale go nie zmieniałam - odpowiedziała wyniośle, starając się nie przypominać sobie mściwej radości, jaka ją ogarnęła, kiedy jej prześladowcy zostali ukarani po incydencie z mrówkami.

Uniósł bezwładnego węża.

- Po czymś takim zasługują na to, żeby solidnie przetrzepać im skórę, i dobrze pani o tym wie.

- Możliwe - przyznała. - Ale czy pan nie rozumie? Oni zrobili to mnie. To nie w porządku, żeby pan ich za to karał. To ja powinnam się tym zająć.

Postąpił o krok i znalazł się niepokojąco blisko niej. Spojrzała na niego z bijącym sercem i rozchylonymi wargami. Ten wysoki, nagi mężczyzna znajdował się w jej pokoju w środku nocy. Wystarczyło wyciągnąć dłonie, a dotknęłyby jego torsu. Na jego rozpłomienionej twarzy pojawił się wyraz napięcia, który zarazem niepokoił ją i przyciągał. Popatrzyła na jego usta. Nigdy dotąd nie zauważyła, że są tak pełne i zmysłowe.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że ma ochotę dotknąć tego mocnego, umięśnionego ciała. Ogarnęła ją fala gorąca. Chciała ująć jego twarz i całować usta. Miała ochotę, by wziął ją w ramiona i wyszeptał czułe słówka do jej ucha. Pragnęła go i tylko nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymała się od tego, by nie rzucić mu się na szyję.

- Więc chce pani sama sobie z tym poradzić? - zapytał cicho. Nie od razu zdała sobie sprawę, że mówi o ukaraniu dzieci.

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Przyłożyła dłoń do policzka i się cofnęła.

- Tak - udało jej się w końcu powiedzieć. - Muszę to zrobić sama.

- Dobrze.

Zadrzała, bojąc się, że będzie chciał zmniejszyć dystans między nimi, nie była bowiem pewna swoich reakcji. Jednakże ruszył do drzwi.

- Aha, jeszcze coś - rzucił, przystając w drzwiach.

Odwróciła się.

- Tak?

Uśmiechnął się szeroko.

- Ma pani rozpiętą koszulę.

- Co?! - Opuściła wzrok i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że mówił prawdę. Często nocą miała wrażenie, że dusi się w swej koszuli, a tego dnia, nie mogąc zasnąć, rozpięła ją co najmniej do połowy. Koszula była bardzo przyzwoita, z wysokim kołnierzem i długimi rękawami, ale materiał był znoszony i cienki, i teraz rozchyłał się, ukazując sporą część piersi.

Przerażona, natychmiast ścisnęła brzegi koszuli.

- Dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej? - zapytała gniewnie, lecz kiedy uniosła głowę, zauważyła, że już wyszedł, zostawiając ręcznik, który jeszcze lekko się kołysał na gałce u drzwi.

Słyszała, jak zamykają się drzwi salonu, ale w domu nie zaległa jeszcze cisza. Rozległy się jakieś potajemne szepty, tupot małych stóp, po czym odgłos zamykania jeszcze dwojga bezszelestnie uchylonych drzwi.

- Boże - wyszeptała, sięgając po ręcznik. - Co się ze mną dzieje? Co to miejsce ze mną robi?

Postanowiła ukarać dzieci za incydent z węzłem, nie karząc ich w ogóle. Chciała, żeby żałowały swego postępku dlatego, że zdały sobie sprawę, że postąpiły źle, a nie dlatego, iż za to odcierpiały.

Następnego dnia w pokoju lekcyjnym przyglądały się jej ostrożnie. Z pewnością nocą podsłuchały jej rozmowę i wiedziały, że udało jej się przekonać ich ojca, iż tylko ona powinna wymierzyć im karę. Lecz poza tym, że sięgnęła po *Gady południowego kontynentu* Frome'a i powiedziała: „Pomyślałam, że dzisiaj zajmiemy się omawianiem węży, bo wydaje mi się, że ten temat was interesuje”, nie nawiązała już do tego wydarzenia.

Okazało się jednak, że było to błędne posunięcie, przynajmniej jeśli chodzi o nią. Dotąd nie zdawała sobie sprawy z tego, że na świecie żyje tak wiele jadowitych węży, a w dodatku większość z nich występowała na kontynencie, na którym - na swe nieszczęście - obecnie mieszkała.

- I tak dobrze, że nie był to pyton dywanowy - stwierdził Christian Whittaker następnego popołudnia, pijąc z nią herbatę na werandzie po lekcji z Liamem. - Niektóre osiągają długość siedmiu stóp.

- Tak, wiem. Mówi pan o *Morelia brendi*, nieprawdaż? - powiedziała z rozbawieniem Amanda.

Określił się na krzesło, by na nią spojrzeć.

- Tak, oczywiście. - Jego młoda twarz rozbłysła ożywieniem. - Czyżby pani również studiowała życie gadów, panno Davenport?

- Jeśli jestem do tego zmuszona... - przyznała, zawstydzona, że żartuje na temat, który najwyraźniej stanowił jego pasję. - Dzisiaj przeglądaliśmy na lekcji dzieło Frome'a.

- Ach, Frome. - Lekceważąco machnął ręką. - Był dobry w swoim czasie. Ale od mojego przyjazdu tutaj zbieram i przechowuję różne okazy i zdążyłem już odkryć szereg nieścisłości. Szkoda, że pan O'Reilly ściał głowę pani wczorajszemu gościowi. Niepobawiony łba, wzbogaciłby moją kolekcję.

- Rzeczywiście szkoda - stwierdziła Amanda.

- Przyznam się pani - jej rozmówca poczerwieniał na twarzy - że po powrocie do Anglii zamierzam skontaktować się z londyńskimi wydawcami dzieła Frome'a i zaproponować im uaktualnienie książki.

- To wspaniale. - Amanda obdarzyła go ciepłym uśmiechem. - Zwróci się pan do H.B. Gibsona i Synów, prawda? Mój ojciec wydawał u nich swoje przekłady Eurypidesa.

Porcelana brzęknęła delikatnie, kiedy Whittaker odstawił filiżankę. Zaskoczony, popatrzył na Amandę.

- Czy to znaczy, że pani ojcem był Angus Davenport?

- Tak - odpowiedziała, kraśniejąc z dumy - Słyszał pan o nim?

- Ależ oczywiście! Wprawdzie kończyłem Cambridge, ale któż nie słyszał o Angusie Davenportcie? To był wielki uczony.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Słyszałem, że zapisał w testamencie sporą sumę uniwersytetowi w Oksfordzie na coroczne cykle wykładów na temat tragików ateńskich.

Uśmiech Amandy zbladł.

- To prawda. - Sięgnęła po talerz z grzankami. - Bardzo proszę się poczęstować.

Chuda, nieco przybrudzona ręka chwyciła dwa wafelki, zanim zdążyła unieść talerz. Podniósłszy głowę Amanda ujrzała przed sobą zielonobrazowe oczy Liama O'Reilly'ego.

Nie cofnęła talerza; wyciągnęła go w stronę chłopca.

- Poczęstuj się, Liamie.

Rzucił jej ponure spojrzenie, lecz zaskoczył ją mruknięciem: „Dziękuję”, po czym przebiegł przez werandę i ogród.

Amanda odprowadziła go wzrokiem i westchnęła.

- Obawiam się, że jest obrażony, iż nie pozwoliłam jego ojcu ukarać go za wpuszczenie węża do mojego pokoju.

- Obrażony? - Christian Whittaker na chwilę przestał rozsmarowywać dżem truskawkowy na grzance i popatrzył na nią zdziwiony. - Chyba powinien być wdzięczny.

- Ale właśnie dlatego jest obrażony. - Amanda patrzyła, jak chłopiec wbiega na skąpane w słońcu wzgórze, z wiernym psem u boku. Sprawiał wrażenie tak beztróskiego i swobodnego, że przez chwilę mu zazdrościła. Uśmiechnęła się smutno do siebie. - To daje mi przewagę.

Whittaker pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

Roześmiała się.

- To dlatego, że w niczym nie przypomina pan Liama O'Reilly'ego.

Jej rozmówca najwyraźniej wciąż nie wiedział, o co chodzi. Patrząc na Liama znikającego za wzgórzem, Amanda pomyślała, że ma z chłopcem więcej wspólnego, niż skłonna byłaby się do tego przyznać.

Zauważyła chmurę pyłu nad drogą wiodącą w kierunku północnowschodnim.

- Ktoś nadjeżdża - powiedziała, stając na progu werandy.

Christian Whittaker stanął obok niej i zapatrzył się w przestrzeń.

- To woźnice - rzekł po chwili. - Wracają do Port Augusta.

Patrick O'Reilly był w biurze, kiedy usłyszał strzelanie z batów i szczęk obitych żelazem drewnianych kół na kamieniach. Wyszedł na ganek, patrząc, jak Sweeny i Jessup zatrzymują zaprzęgi. Wyteżył wzrok, dostrzegłszy towarzyszącego im potężnego Anglika. Lecz to nie mężczyzna, a prowadzony przez niego wspaniały koń tak przykuł uwagę Patricka.

- Prr, Blackie, prr, Cranky. - Sweeny uniósł wzrok i uśmiechnął się do niego, ukazując żółte zęby. - Cześć, chłopie.

- Cześć. - Patrick wyszedł na drogę, przyglądając się eleganckiemu Anglikowi z wypomadowanymi czarnymi włosami i długimi bokobrodami, który zatrzymał gładkiego krwistoczerwonego konia obok prowadzącego wozu. Patrick przyjrzał się zakurzonemu bryczesom i wciętym w talii surdutowi i cicho gwizdnął. - Kto to? - zapytał, wskazując nieznanego.

- Nazywa się Lumley - odpowiedział Sweeny, żując tytoń. Jest synem jakiegoś lorda z Durham. Mieszkał u Coxa.

Patrick popatrzył na okazałego ogiera czystej krwi. Ten gniadosz do złudzenia przypominał ogiera Hannibala Coxa. Ognistego Tancerza. Lecz nie wyobrażał sobie, by Cox pozbył się wierzchowca, który biegał jak najlepszy nowozelandzki koń wyścigowy.

- Dzień dobry! -- zawołał, podchodząc, by się przedstawić. -
Zapraszamy na nocleg do pokoju w domu.

- Będę bardzo wdzięczny - powiedział Lumley, zeskoczył z siodła i otrzepał ubranie.

Patrick z uznaniem pogładził gniadosza po zadzie.

- Ładny koń.

- To prawda. -Anglik otrzepał tweedowe spodnie, wznecając nowe obłoczki pyłu.

- Przypomina mi żrebaka, którego Cox kupił w zeszłym roku w Nowej Zelandii.

- Bo to on. Ognisty Tancerz, syn Nocnego Tancerza.

- Naprawdę?-Patrick pogładził okazały pysk ogiera. -Kiedy ostatnio widziałem Coxa, dałbym sobie rękę uciąć, że nie przehandlowałby tego konia nawet za angielskie hrabstwo.

- Nie kupiłem go, tylko wygrałem. - Anglik odwiązał torbę od siodła. - W karty.

Patrick znieruchomiał.

- Lubi pan grać w karty? - Uśmiechnął się szeroko. - W takim razie musimy rozegrać partyjkę po kolacji.

9

Anglikowi przydzielono pokój gościnny, a woźnice znów rozpalili ognisko przy potoku. Siedząc przy biurku w pokoju lekcyjnym i przygotowując się do zajęć na następny dzień, Amanda słyszała ich śmiech i przekleństwa dobiegające zza eukaliptusów.

Stopniowo, tym razem ze znacznie bliższej odległości, zaczęły docierać do niej dwa inne męskie głosy, jeden cichy i opanowany, drugi podniesiony i kipiący gniewem.

- Dlaczego? - Rozpoznała głos Liama. - Nigdy nie miałeś nic przeciwko temu, żebym spędzał z nimi czas. To wszystko przez nią, prawda? Nie wierzę, że sam byś to zrobił.

Uniółszy głowę, popatrzyła na ogród, gdzie dostrzegła ojca i syna stojących przy bramie. Patrick O'Reilly wsunął kciuki do tylnych kieszeni spodni. Był spokojny i rozluźniony. Odpowiedział coś zbyt cichym głosem, by zdołała go usłyszeć, lecz zauważyła, że Liam ze złością kopie różowe malwy. Okręcił się i, wciąż mszcząc się dziko na wystających fragmentach roślin na ścieżce, odszedł w stronę zabudowań gospodarskich. Amanda uśmiechnęła się i powróciła do przygotowywania lekcji.

Nie spotkała dotąd pana Lumleya. Przed przyjazdem woźniców z żalem pożegnała się z Whittakerem i zniknęła w domu. Jednak słyszała o gościu i bardzo cieszyła się na myśl o tym, że tego wieczoru angielski dżentelmen będzie im towarzyszył przy kolacji.

Rozmowy przy stole O'Reillych zazwyczaj dotyczyły tematów

tak nieodpowiednich jak zbliżające się strzyżenie owiec lub tak niesmacznych jak szczegóły z życia kangurów, dzieci mogły włączać się do konwersacji, a nawet przerywać dorosłym, nie widząc w tym nic niestosownego. Lecz tego wieczoru będzie inaczej. Przy gościu takim jak pan Lumley będzie mogła prowadzić rozmowę na kulturalne tematy, omówić regaty na Tamizie, ostatnie posunięcia opozycji czy najnowsze książki, na przykład *Naszego wspólnego przyjaciela* Dickensa.

Patrick O'Reilly, pomyślała ze złośliwym uśmieszkiem, przebiegając się w swą najlepszą suknię, z pewnością nie będzie zachwycony tym towarzystwem. Szybko upięła włosy i zawiązała delikatną chustę, by złagodzić surowe linie sukni. Chustka była wykonana z cennej koronki i rzadko ją wkładała, gdyż nigdy nie mogłaby pozwolić sobie na zakup nowej. Jednak dzisiaj była zdecydowana wyglądać jak najlepiej.

Przyjrzała się swemu odbiciu w lusterku oprawionym w drewno, wiszącym nad umywalką. Nie była całkiem zadowolona ze swego wyglądu. Uznała, że wszystkiemu winna jest fryzura. Zmarszczywszy czoło, zaczęła wyjmować szpilki z włosów.

Brandy jest całkiem niezła - powiedział Lumley. Co chwila mlaskał i obracał kieliszek w swoich grubych palcach. - Szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, gdzie się znajdujemy. Tu, w koloniach, chyba ciężko jest zdobyć dobrą brandy.

Gospodarz oparł głowę o wytarte oparcie kanapy i przyjrzał się Anglikowi spod lekko opuszczonych powiek.

- Jasne, cholernie ciężko. - Sięgnął po kieliszek. - Czasami podejrzewałem, że Hornbottom rozwadnia alkohole końskim moczem. Ale to ma niezły aromat, prawda?

Lumley zakrztusił się i zaniósł kaszlem. Patrick uśmiechnął się. Uniósłszy kieliszek, zobaczył, że panna Davenport otwiera drzwi. Przyszła na kolację później niż zwykle. Zapewne szykowała się na spotkanie ze swoim rodakiem, pomyślał z uśmiechem. Był ciekaw jej reakcji na Lumleya.

Po chwili Amanda znalazła się w kręgu światła rzucanym

przez ogień i ręka Patricka z kieliszkiem znieruchomiła w połowie drogi do ust.

Cholera!

Ałasowa suknia w szaro-białe paski, którą miała na sobie, nie była szczególnie atrakcyjna. Była zbyt mdła i miała za wysoki dekolt. Lecz Amanda zarzuciła piękną koronkową chustę na ramiona i zmieniła uczesanie. Luźniej upięła kok, tak że włosy okalały jej twarz. Kilka pasemek opadło na policzki. Ogień płonący w kominku opromienił je swym blaskiem.

Nie był zadowolony, że jej delikatność i kobiecość tak na niego podziałała. Zdążył już zauważyć, że jest całkiem niebrzydka, ale nigdy nie widział, by starała się być atrakcyjną. Do diabła, nie zmieniała fryzury nawet na te przyjacielskie herbatki na werandzie z Whittakerem! Z niewiadomego powodu rozgniewało go to, że zmieniała swe zwyczaje, by wyglądać atrakcyjnie dla tego nadętego osła o ziemistej cerze, Lumleya.

Odstawił kieliszek i wstał.

- Panno Davenport, chciałbym przedstawić pani pana Roberta Lumleya z Durham.

Zauważył, że jej usta wygięły się w serdecznym uśmiechu. Wyciągnęła rękę. Cholera, pomyślał, nie podała mi ręki, kiedy wyjechałem po nią do Brinkman! Lumley również wstał i zamierzał już podać rękę Amandzie, kiedy gospodarz dodał:

- Panna Davenport jest guwernantką moich dzieci.

- Guwernantką? - powtórzył Lumley, unosząc krzaczaste brwi. - Coś podobnego. I razem spozywacie posiłki? Jakież to prowincjonalne. - Podał jej dłoń i skłonił się nieznacznie.

Patrick zobaczył, że uśmiech znika z wdzięcznych warg panny Davenport, i poczuł wzbierający w nim gniew. To uczucie wcale go nie zdziwiło. Lumley był pretensjonalnym durniem. Zaskoczyło go tylko to, że ma ochotę bronić tej kobiety.

Powinien był jednak wiedzieć, że panna Davenport doskonale sobie poradzi. Na chwilę znieruchomiła, lecz zaraz się rozluźniła i lekko zmarszczyła czoło, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Lumley? Mieliśmy ochmistrza o tym nazwisku. Wydaje mi

się, że też pochodził z Durham. Zastanawiam się, czy może to pański krewny?

Lumley wybałuszył oczy. Jego wspaniałe faworyty poruszyły się kilkakrotnie, lecz z otwartych ust nie wydobył się żaden dźwięk.

- Kolacja gotowa - oznajmił Chow, wykonując głęboki skłon w drzwiach.

Dzieci rzuciły się do stołu. Korzystając z chwili zamieszania ich ojciec pochylił się nad panną Amandą i zapytał cicho:

- Naprawdę miała pani ochmistrza, który nazywał się Lumley?

Popatrzyła na niego szarymi oczami, a jej wargi wygięły się w figlarnym uśmiechu, jakiego jeszcze nigdy dotąd u niej nie widział.

- Nigdy nie mieliśmy ochmistrza.

Amanda rozczesywała włosy gwałtownymi, gniewnymi pociągnięciami szczotki, a w jej głowie aż robiło się od myśli.

Przypomniała sobie nastrój radosnego oczekiwania, w jakim szykowała się do kolacji, i poczuła się bardzo głupio. W jednej chwili rozwiały się jej nadzieje na uprzejmą, kulturalną konwersację. To, że Robert Lumley był gościem w domu Patricka O'Reilly'ego, zmuszało go do dzielenia miejsca przy stole z guwernantką gospodarza, ale żadna ziemską siła nie byłaby w stanie zmusić go, by się zniżył i z nią porozmawiał, a nawet na nią spojrział.

Lecz Patrick O'Reilly jej się przyglądał. Przez całą wieczór była świadoma jego obecności. Wygodnie rozparty na krześle u szczytu stołu, wpatrywał się w nią rozpłomienionym wzrokiem. Wprawdzie już tak wcześniej na nią patrzył, ale rzadko i tylko wtedy, gdy byli sami.

Dzisiaj nie mógł od niej oderwać wzroku. Czasami miała dziwne wrażenie, że widzi ją nie taką, jaka siedziała przy stole, w swojej ascetycznej szaro-białej sukni, lecz taką, jaką widział ją wcześniej... kiedy miała uniesioną spódnicę albo rozpiętą koszulę nocną.

Na samą myśl o tym robiło jej się gorąco i przenikał ją dreszcz.

Zacisnęła dłoń na rączce szcztotki i opuściła rękę. Przyznaj się do tego, napomniała się w myślach. Nie ubrałaś się ani nie uczesałaś inaczej dla jakiegoś nieznanego Anglika, który tędy przejeżdżał. To był tylko wybieg, pretekst, by zaprezentować się atrakcyjniej wobec Patricka O'Reilly'ego. Chciała, by na nią patrzył. Marzyła o tym, by patrzył na nią tak, jak mężczyzna spogląda na kobietę.

I to jej się udało. O wiele lepiej, niż się spodziewała.

- Boże - wyszeptwała do swego odbicia w lustrze. - Co ja zrobiłam?

Zastanawiała się też, jak powinna się teraz zachować. Bo przecież nie było już odwrotu. Tego wieczoru coś się zmieniło, coś między nimi zaszło, coś niewypowiedzianego i bardzo subtelnego, niemniej jednak istotnego.

Przerzuciła włosy przez lewe ramię i zaczęła zaplatać warkocz do snu. Nieoczekiwane męskie głosy w salonie sprawiły, że znieruchomiała i zaczęła nasłuchiwać. Usłyszała brzękanie szkła. Ktoś się roześmiał. Rozległ się szelest, jakby tasowania kart, a potem jakieś tajemnicze leciutkie trzaskanie, jakby coś składano na stertę.

Przekonywała się w myślach, że nie powinna się tym interesować, że to nie jej sprawa, lecz nie potrafiła opanować ciekawości. Słyszała Patricka O'Reilly'ego wybuchającego głębokim śmiechem, tak jakby ją kusił. Nie potrafiła się powstrzymać.

Szybko splotła włosy i włożyła podomkę. Zaczęła otwierać drzwi, lecz po chwili zawahała się i postanowiła najpierw zgasić lampę. Potem ostrożnie przekręciła gałkę i uchyliła drzwi tak, że mogła obserwować, co się dzieje w salonie, przez niewielką szczelinę.

Scena, którą ujrzała, przywodziła na myśl alegoryczne przedstawienie grzechu z obrazu Boscha. Czterech mężczyzn skupiło się wokół cedrowego stołu na środku pokoju. Powoli unoszący się dym spowijał słabe światło lampy nieziemskim, niemal złowieszczym woalem. Powietrze przesycone było zapachem brandy. Amanda dostrzegła do połowy napełniony kieliszek złocistego płynu przy łokciu każdego z grających. Mężczyzna siedzący do niej plecami - Sweeny - opróżnił kieliszek i zaraz sięgnął po butelkę, by znów go napełnić.

Drugi woźnica - Jessup, jak nazywał go Patrick O'Reilly - siedział po lewej ręce Sweeny'ego, a po prawej Lumley. Jego pokryte brylantyną czarne włosy błyszcząły w świetle lampy. Gospodarz zwrócony był do niej twarzą. Trzymał w ręku talię kart. Patrzyła, jak dzieli ją na pół i tasuje z wielką wprawą.

- Poker, panowie? - zapytał z fajką w zębach. Nie oderwał wzroku od innych graczy ani nie spojrzął w jej stronę. Zauważyła jednak, że w jego policzkach pojawiły się dołki, a zaraz potem tym samym miłym spokojnym głosem dodał: - Chyba że zaproponuje pani inną grę, panno Davenport?

Amanda podskoczyła i zamknęła drzwi.

Patrick założył ręce za głowę i przeciągnął się z rozkoszą. Wschodzące słońce tworzyło jasne prostokąty światła na podłodze jadalni. Miał za sobą długą noc, lecz zmęczenie mu się opłaciło i przyniosło korzyści. Duże korzyści. Wygrał nie tylko ogiera, ale i sporo gotówki. Uśmiechnął się i odsunął krzesło.

- Miło się grało - powiedział, wstając. - Dziękuję wam, panowie. Będziemy musieli kiedyś jeszcze zagrać w tym składzie.

Lumley z błyszczącymi włosami, opadającymi mu bezładnie na czoło, wymruczał jakieś przekleństwo i pokuśtykał do pokoju gościnnego. Gospodarz popatrzył na Jessupa i wzruszył ramionami. Dwaj woźnice przeciągnęli się, beknęli, puścili bąki i wyszli.

Cicho pogwizdując, Patrick zebrał banknoty i monety leżące na stole. Uniósł wzrok na dźwięk otwieranych drzwi.

Do pokoju weszła Amanda Davenport. Jej wspaniałe kasztanowe włosy ponownie były związane w ciasny węzeł; mocno ścisnęła chustę okrywającą ramiona, a usta miała wygięte w kwaśnym grymasie, którego tak nienawidził.

Nie wiedział, co sprawiło, że wczorajszego wieczoru zmieniła uczesanie, ale teraz najwyraźniej tego żałowała. Sprawiała wrażenie zdecydowanej zachowywać się tak, jakby to się w ogóle nie zdarzyło, jakby nigdy nie miał okazji zobaczenia innej panny

Davenport - która wydawała mu się prawdziwą Amandą. Miał wrażenie, że istnieją dwie kobiety: jedna chłodna i wyniosła, irytująco nienaganna, udzielająca napomnień angielska dama. Lecz druga...

Ta druga intrygowała go i przyciągała bardziej, niż był skłonny się do tego przyznać. Ta stłumiona, ukryta kobieta, która nosiła czerwoną halkę, barwną chińską podomkę i drapała psy za uszami. Potrafił wręcz wyliczyć wszystkie jej szczególne spojrzenia, jakimi go obdarzyła... Tego wieczoru w ogrodzie, kiedy była tak cudownie poruszona spotkaniem z aborygenami. A potem w pokoju, gdy był nagi jak go Pan Bóg stworzył, a ona drżała i patrzyła na niego rozplómiętym wzrokiem, choć w końcu się odwróciła.

Cóż, tego ranka nie była drżąca i stęskniona. Wrzał w niej gniew. Zauważył, jak przenosi wzrok od pustych butelek przez obryzganą spluwaczkę na podłodze - Jessup i Sweeny po kilku godzinach wlewania w siebie alkoholu mieli kłopoty z celowaniem — po karty na stole. Kiedy w końcu spojrzała na jego nieogoloną twarz i rozczochrane włosy, miała tak mocno zaciśnięte usta, że aż się dziwił, iż nie piszczą w proteście.

- Dzień dobry, panno Davenport. - Uśmiechną się szeroko. - Mam nadzieję, że nie obudziliśmy pani w nocy.

Postąpiła parę kroków, zatrzymała się i popatrzyła na drzwi dziecięcych sypialni, jakby chciała się upewnić, czy są zamknięte.

- Panie O'Reilly - odezwała się cichym głosem. Nie znosił, kiedy tym tonem nazywała go „panem”, jakby czyniąc mu honor, na który nie zasługiwał. Aż się wyprostował na dźwięk tych słów. - Panie O'Reilly, dlaczego nie myśli pan o swoich dzieciach?

Powoli sięgnął po banknoty i wepchnął je do kieszeni.

- Oczywiście, że myślę. Przecież właśnie ze względu na nie graliśmy tutaj, a nie w jadalni, żeby ich nie obudzić.

Była tak blada, że pomyślał, iż musiała zbyt ciasno zasznurować gorset.

- Mam na myśli to, jaki pan im daje przykład. Grał pan w karty i pił całą noc.

Przesunął dłonią po szczeciniastym policzku.

- Tak. Prawdę mówiąc, zajęło to więcej czasu, niż przypuszczałem.

- Co? Oskubanie z pieniędzy pańskiego gościa?

Nie miał nastroju na wysłuchiwanie pouczeń. Potwornie bolała go głowa i okropnie zaschło mu w ustach.

- Niech się pani nie martwi - zwrócił się do niej kpiącym tonem, opierając się o stół. - Wcale nie oskubałem z pieniędzy zanego Roberta Lumleya. - Uśmiechnął się szeroko. - Po prostu wygrałem konia i trochę utarłem temu człowiekowi nosa. Po tym, jak potraktował panią przy kolacji, nie powinna pani się tym tak przejmować.

Obracała w palcach frędzle chusty.

- W Anglii goście nie są zmuszani do zasiadania do posiłku z guwernantkami.

Wiedział, że Amanda zachowuje się tak sztywno, gdyż żałuje, iż ubiegłej nocy straciła opanowanie, nie chciało mu się jednak wierzyć, że ma ochotę bronić tego nadętego osła.

- Nie? Ale w buszu panują inne zwyczaje.

Oparła ramię o biodro. Miała zgrabne wąskie biodra. I wspinały tyłeczek, a także pełne kuszące piersi, które widział, kiedy po incydencie z wężem rozchyliła jej się koszula. Na to wspomnienie uśmiechnął się do siebie.

Na szczęście nie wiedziała, dlaczego się uśmiechnął, ale była pewna, że wcale jej się to nie podoba. Zmrużyła oczy.

- A do nich zalicza się między innymi zabieranie dziewięcioletnich chłopców do gospody na drinka? - zapytała z przekąsem.

A więc znów mieli o tym rozmawiać? Wolno wypuścić powietrze.

- Miła pani, jestem pijany jak bela i proszę teraz nic robić mi wyrzutów.

Wydawało mu się, że nakrochmalona bielizna szeleści, a fisz-biny sztywnieją, kiedy najeżyła się jak opuncja.

- Panie O'Reilly, znów popisuje się pan swym dosadnym słownictwem?

Uśmiechnął się, ukazując zęby.

- A dlaczego miałbym tego nie robić? Pasuje do picia i hazardu, nieprawdaż?

- Nie wiem - odpowiedziała najbardziej wyniosłym z możliwych, nieznośnym tonem. - Nie mam nałogów.

- Myślę, że na tym polega pani problem.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

Odszedł od stołu.

-. Myślę, że życie musi być nieznośnie nudne, jeśli od czasu do czasu nie folgujemy naszym słabościom. - Podeszedł do niej i zatrzymał się, dopiero dotknąwszy udem sukni. Wiedział, że panna Devenport odczuwa zaniepokojenie, kiedy podchodził do niej zbyt blisko, ale uwielbiał ją denerwować, mimo iż zdawał sobie sprawę, że igra z ogniem i trudno było przewidzieć, jakie może być zakończenie tej gry.

Jeśli posunąłby się za daleko, zapewne by odeszła. Prawdę mówiąc, trochę nawet sobie tego życzył. Chciał ją od siebie odstraszyć.

- Panno Davenport - zniżył głos do szeptu - czy nie uważa pani, że jej życie jest nudne?

Popatrzyła na niego z rozchylonymi ustami i wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Popatrzył na jej twarz. Miała duże przejrzyste, szare oczy z gęstymi rzęsami, wysokie, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, pełne wargi, które bez wątpienia nie były stworzone do moralizowania i robienia nadasanych min, lecz do rozkoszy.

Zdał sobie sprawę, że chęć, by odeszła, jest równie silna jak pragnienie pocałowania tych warg, upajania się ich smakiem. Marzył jednak i o czymś jeszcze. Miał ochotę zdjąć z niej te brzydkie suknie starej panny i odkryć wdzięczną, piękną kobietę. Chciał nią potrząsnąć, obudzić. Pragnął, by się śmiała, jęczała, wzdychała. Pragnął jej całej.

Zauważył, że Amanda zwilża dolną wargę czubkiem języka.

- Jeśli... - Urwała i przełknęła z trudem ślinę. - Nawet jeśli moje życie byłoby nudne, nie szukałabym ucieczki w nałogach.

Kiedy nie wygłaszała potępiających sądów, miała miły, lekko schrypnięty głos, który wystarczyłby do wprawienia mężczyzny w stan gotowości. Taki głos wydawał się dobiegać z samego wnętrza jej kobiecej natury.

Taki głos mógł wibrować napiętnością.

Obdarzył ją leniwym uśmiechem.

- Wie pani, co ja myślę, panno Davenport? Myślę, że jest pani oszustką.

Ściągnęła cienkie brwi.

- Oszustką?

- Tak. - Oparł dłoń o ścianę. - Myślę, że w głębi duszy, pod całym tym krochmałem i fiszbinami, i tą pozą pruderyjnej guwernantki kryje się inne oblicze, którego nie chce pani nikomu pokazać.

- Niech pan nie będzie śmieszny. - Odwróciła głowę. Zauważył jednak zdradziecki rumieniec na jej policzkach. Bała się spojrzeć mu w oczy.

Pochylił się nad nią tak blisko, że widział w jej oczach czarne kreseczki, które wydawały się przenikać ze źrenic do szarej tęczówki.

- Oblicze kobiety, która jest miękka, a nie twarda, pełna napiętności, a nie pruderyjna. - Po chwili dodał niewinnym głosem: - Kobiety, która w głębi duszy marzy o tym, by zgrzeszyć.

- Nie - wyszeptwała, chwytając skromny koronkowy kołnierzyk prostej sukni. Szybko zaczerpnęła tchu; jej pierś zafalowała.

Miała piękne piersi. Wyobrażał sobie, że je ujmuje; ciepłe, pełne i ciężkie, wyobrażał sobie ich smak, a także zdyszane, zmysłowe odgłosy, które wydawałaby, gdy zaczęłyby ssać ciemne koniuszki.

- Tak - powiedział.

Kiedy odetchnął, uniosło się niesforne pasemko włosów i opadło jej na czoło. Odwróciła głowę i popatrzyła na niego, chociaż nic nie powiedziała. Pochylił głowę. Był tak blisko, że mógł ją pocałować, lecz nie próbował tego zrobić, ponieważ wiedział, że nie jest jeszcze do tego gotowa.

- Tak - powtórzył z ustami tuż przy jej wargach. - I mam zamiar to pani udowodnić.

A potem odepchnął się od ściany i wyszedł, zostawiając ją kurczowo przyciskającą chustę do falującej piersi i patrzącą w ślad za nim.

10

Amanda stała z ręką na balustradzie werandy, wpatrzona w pasmo gór, przybierających w blasku zachodzącego słońca barwy granatu i purpury. Wciągnęła w płuca rześkie, suche powietrze, przesycone ulotnymi zapachami buszu, a potem

Miała wrażenie, że surowe piękno tej krainy trąca w głębi jej duszy samotną strunę, o której istnieniu dawno już zapomniała. Że dziwna, przerażająca bezkresność tego miejsca przyzywa ją i kusi... tak jak Patrick O'Reilly.

Mam zamiar to pani udowodnić.

Miała wrażenie, że słyszy jego cichy głos w szeleście suchych liści na wietrze.

Zacisnęła powieki i mocniej chwyciła balustradę. Boże, skąd on to wiedział? Co też zrobiła, co powiedziała, że tak się zdradziła? Aż do przyjazdu tutaj szczerze wierzyła, że udało jej się pokonać słabość, zostawić ją za sobą jako część skrywanej, wstydlivej przeszłości. Wierzyła, że jest taka, jaka chciała prezentować się przed światem: nienaganna, godna szacunku, zawsze opanowana.

Jednak ten nieokrzesany Australijczyk, wnuk skazańca, ze swoim swobodnym zachowaniem i zdrowym męskim ciałem obudził w niej to, co, jak myślała, dawno w niej umarło, i zmusił do przyjrzenia się swojej prawdziwej naturze-

Ciszę panującą w buszu przerwał nagle chór głosów. Amanda

unosła wzrok, mrużąc oczy przed słońcem, i popatrzyła na wieczorne niebo. Rozpoznała nawoływanie kakadu, które przylatywały na nocleg na gałęzie eukaliptusów rosnących nad potokiem.

Zawsze je słyszała, zanim zobaczyła - setki ptaków, skrzeczących i krzyczących niemal tak jak gęsi. Nagle słońce odbiło się w rozpostartych białych skrzydłach, które przypominały wielki, hałaśliwy żagiel, unoszący się na czystym niebie. Wstrzymała oddech, zachwycona widokiem.

- Missy powiedziała, że tu panią znajde.

Odwróciwszy się, zobaczyła swego pracodawcę obserwującego ją od strony rogu domu. Nie słyszała, jak nadchodzi. Kiedy chciał, poruszał się bezszelestnie jak Sally, co przyprawiało Amandę o niepokój.

Stanął przy niej na werandzie i popatrzył na niebo wypełnione tysiącami hałaśliwych, ruchliwych białych ptaków. Stojąc obok siebie, obserwowali kakadu, trzepoczące się i krzyczące nad wdzięcznymi jasnymi pniami eukaliptusów.

Amanda zdawała sobie sprawę, że wspólne podziwianie piękna i wspaniałości natury zbliża ich do siebie niepokojąco.

- Czy chce mi pan coś powiedzieć? - zapytała, by zmącić nastrój.

Przytaknął, pozornie skupiony na obserwowaniu eukaliptusów nad potokiem, z gałęziami błyszczącymi bielą rozpychających się, czyszczących pióra kakadu.

- Chodzi mi o dzisiejszy ranek. Chciałbym...

- Panie O'Reilly, bardzo pana proszę - przerwała mu pośpiesznie, splatając dłonie. - Wolałabym o tym nie rozmawiać.

- Nie. Proszę mnie wysłuchać. Chciałem panią przeprosić. Zachowałem się niewłaściwie. Byłem pijany, mimo to nie powinienem powiedzieć tego wszystkiego.

Przyglądali się sobie. Jego słowa zbiły ją z tropu. Czuła zakłopotanie i... gdy usiłowała nazwać swe uczucie, ze zdumieniem stwierdziła, że jest to rozczarowanie. Z przerażeniem pomyślała, że znalazła się w o wiele większych tarapatkach, niż przypuszczała.

- Ja również powinnam pana przeprosić za swoje zachowanie - powiedziała sztywno. Przepraszenie nigdy nie przychodziło jej łatwo. - Chyba wydobywamy z siebie to, co w nas najgorsze. To, co mówiłam, musiało być nieznośnie nadęte.

Pochylił głowę, patrząc na Amandę spod randa kapelusza. Zauważyła, że się uśmiecha.

- Jeździ pani konno?

Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć.

- Słucham?

- Czy jeździ pani konno?

- Tak. A dlaczego pan pyta?

- Kilka mil stąd jest oczko wodne, zasilane przez naturalne źródło, które, jak mówią aborygeni, nigdy nie wysycha. Nazywa się Cadnowie. Mam zamiar pod koniec tygodnia pojechać tam z Missy i pomyślałem, że może wybrałaby się pani z nami.

- Ooo... nie mogę.

- Dlaczego?

- Mam lekcje...

- Wyjedziemy po lekcjach. Zjemy kolację na świeżym powietrzu.

- Ale muszę się przygotować do lekcji...

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie umie pani jeździć, prawda?

- Oczywiście, że umiem - odparła z oburzeniem i odwróciła się gwałtownie. - W wyznaczonym dniu będę gotowa.

Tego dnia wieczorem Amanda wyjęła swój stary strój do konnej jazdy i uniosła go do światła. Miała go już siedem albo osiem lat. Był niemodny, z wąską spódnicą i żakietem zapinanym z przodu na guziczki. Zielony materiał nie był znoszony. Kołnierz i mankiety miał z czarnego płótna, a zawadiacki czarny krawat, uzupełniający strój, z prążkowanego jedwabiu.

Uniósłszy brunatny kapelusik z lekko pogniecioną zieloną gazową woalka, poczuła przypływ podniecenia. Włożyła go na głowę, przekrzywiając figlarnie, przyłożyła do siebie strój do

konnej jazdy i spojrzała w lustro nad umywalką. Patrzyła na nią zaróżowiona z emocji, ożywiona nieznajoma twarz.

Mam zamiar to pani udowodnić.

Odwrociła się od lustra z kostiumem w ramionach, czując, że jej serce bije mocno i szybko. Nie powinna była zgadzać się na tę wyprawę. Przez chwilę rozważała możliwość powiedzenia pracodawcy, że zmieniła zdanie. Tyle że Hannah i Liam oznajmili, że oni też zamierzają wziąć udział w przejażdżce, i wybrano już piątek jako dzień wyprawy. Gdyby się wycofała, straciłaby, w ich oczach, twarz. Nie mogła sobie na to pozwolić.

Zdjęła kapelusz i odłożyła go ostrożnie. Jesteś śmieszna, skarciła się w myślach. Zapowiadała się tylko miła rodzinna wyprawa. Czuła podniecenie na myśl o przejażdżce i była ciekawa, jak wygląda to oczko wodne.

Nie miała się czego obawiać.

Następnego dnia Amanda uznała, że czekała już wystarczająco długo, i udzieliła dziewczynkom pierwszej lekcji gry na fortepianie.

- Nie rozumiem, dlaczego muszę grać na tym głupim instrumencie, a Liam nie musi - mamrotała Hannah, idąc za Amandą i Missy do jadalni, gdzie w rogu stał piękny fortepian z mahoniem, na którym dotychczas osiadał tylko kurz.

Amanda stłumiła westchnienie.

- Hannah, rozmawialiśmy już na ten temat kilkanaście razy. Przede wszystkim to nie jest „głupi instrument”, tylko fortepian, a w dodatku bardzo piękny. Po drugie, jesteś płci żeńskiej i czy tego chcesz, czy nie, noszenie spodni i obcinanie włosów nie zmienia faktu, że pewnego dnia będziesz damą. A damy umieją grać na fortepianie.

Kiedy odpowiedziała jej cisza, Amanda podeszła do instrumentu i ostrożnie uniosła wieko, spod którego ukazał się rząd błyszczących klawiszy z kości słoniowej.

- Mam nadzieję, że jest nastrojony.

- Raz na rok papa zaprasza tu pana Hornbottoma z Brinkman i on stroi fortepian - powiedziała Missy.

Amanda popatrzyła na małą, zaskoczona.

- To wasz ojciec gra na fortepianie?

Dziewczynka pokręciła głową; jej jasne loczki zakołysały się nad ramionami.

- Nie.

Kaskada czystych dźwięków wypełniła pokój, gdy Amanda delikatnie przebiegła palcami po klawiaturze. Instrument rzeczywiście wydawał się nastrojony, lecz prawdę mówiąc, Amanda nigdy nie miała szczególnego upodobania do muzyki. Nienawidziła swoich lekcji gry na fortepianie i ćwiczyła tak rzadko, jak tylko to było możliwe.

- Może zagrasz pierwsza, Missy? - Dopasowała wysokość taboretu i uniosła stos pożółkłych zeszytów nutowych z półki. - Co ćwiczyłyście z poprzednią guwernantką?

- To. - Dziewczynka sięgnęła po nuty. Ciozia Hetty powiedziała mi, że kiedy się uczyła grać, to był jej ulubiony utwór. - Wskoczyła na taboret i oparła nuty o podpórkę. - Ona uczyła się grać na tym fortepianie.

Amanda uniosła wzrok znad przeglądanego wyboru utworów'.

- Tak? - Starła się, by jej głos nie zdradzał emocji. - To był fortepian waszej ciocie? - Ten cenny instrument, stanowiący niejako symbol pretendowania kobiety do miana damy, nie pasował Amandzie do wyobrażeń na temat dzieciństwa Patricka O'Reilly'ego. Podobnie zaskoczyły ją książki w bibliotece.

Missy machała nogami.

- Tak jakby. Należał do mojej babci. Papa przywiózł go tu z Wiktorii po śmierci dziadka. To z powodu babci papa go stroi i chce, żebyśmy uczyły się grać.

Kartka zaszeleściła w dłoni Amandy, tak mocno zacisnęła na niej palce. Wiedziała, że nie powinna o nic pytać, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- To wasza mama nie grała na fortepianie?

Hannah odpowiedziała jej dziwnie cichym i nieswoim głosem.

- Oczywiście, że grała.

Amanda popatrzyła na spochmurniałą, napiętą twarz dziewczynki.

- W takim razie powinnaś mieć ochotę do nauki. Żeby grać tak jak mama.

Hannah odrzuciła głowę do tyłu, chrapki jej nosa uniosły się. Amanda zrozumiała, że popełniła poważny błąd.

- Dlaczego? - wybuchnęła. - Żebym była taka jak ona? Nie rozumie pani? Nie chcę być jak ona.

- Dlatego, że była damą? - zapytała cicho Amanda, żałując, że nie wie, co tak dręczy tę dziwną nieszczęśliwą dziewczynkę.

- Tak. A wie pani, kim jest teraz? Jest kochanką jakiegoś Francuza. Jego dziwką.

Amanda gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Hannah!

Ta uderzyła dłońmi w klawisze. Kakofonia dźwięków zaakcentowała napiętą atmosferę panującą w jadalni. Po chwili starsza siostra odbiegła od fortepianu.

- Hannah, zaczekaj! - zawołała Amanda, kierując się w jej stronę. I wtedy w drzwiach salonu zauważyła Patricka O'Reilly, przyglądającego się im w milczeniu.

Stał z kciukami za pasem, z kapeluszem nasuniętym na oczy. Amanda przystanąła. Nie wiedziała, od jak dawna ich obserwuje, jednak w jego napiętej sylwetce było coś, co nie pozostawiało jej wątpliwości, że słyszał słowa córki.

W połowie pokoju dziewczynka zatrzymała się, zauważywszy ojca. Jej pierś unosiła się w szybkich, gwałtownie zaczerpywanych oddechach.

Ojciec zacisnął szczęki i popatrzył na córkę.

- Przepros pannę Davenport - powiedział zdumiewająco spokojnym głosem.

Hannah stanęła tuż przed nim, wyprostowana, z podniesioną głową.

- Za co mam przepraszać? To prawda. Wszyscy o tym wiemy. Dlaczego panna Davenport miałyby o tym nie wiedzieć?

Amanda poczuła, że serce mocno wali jej w piersi. Gdyby odezwała się do swojego ojca w ten sposób, uderzyłby ją. Lecz Patrick O'Reilly nie unióśł ręki.

- Przepros za swoje słownictwo - rzekł cichym głosem.

Popatrzyli na siebie, ojciec i córka. Powietrze zdawało się wibrować od silnych emocji. Do tej pory Amanda myślała, że ta dziewczynka w niczym nie przypomina ojca. Teraz dostrzegła niezwykle podobieństwo. Kryło się ono w pałających oczach, uporze uzewnętrznianym zaciskaniem szczęk, determinacji i sile woli.

- Nie przepraszę.

.- W takim razie twoje usta zapoznają się ze smakiem kostki mydła.

- Dobrze - powiedziała Hannah i udała się za ojcem do pokoju, wciąż wysoko trzymając głowę.

Amanda została sama na środku jadalni. Popatrzyła na zatroskaną twarzyczkę Missy.

- Chcesz zagrać? - zapytała, dziwnie wstrząśnięta i zaniepokojona. - Czy odłożymy to do jutra?

- Zagram.

- Dobrze. - Amanda podeszła do fortepianu. Starała się skupić na śledzeniu nut i ułożeniu palców Missy, która powoli brnęła przez łatwy utwór. Miała jednak rozproszoną uwagę, po części dlatego, że zdawała sobie sprawę, iż scena pomiędzy ojcem a córką ma swój dalszy ciąg, rozgrywający się w sąsiednim pokoju.

Lecz przede wszystkim nie mogła zapomnieć dziwnych, brutalnych słów Hannah. Ani wyrazu twarzy Patricka O'Reilly'ego, kiedy córka nazwała matkę dziwką Francuza.

Dwa dni później wyruszyli na zaplanowaną przejażdżkę do Cadnowie.

Amanda poszła się przebrać po lekcjach, a kiedy wróciła, wszyscy już na nią czekali przy bramie: troje dzieci i ich ojciec.

Słońce świeciło wesoło. Idąc w ich stronę, Amanda poddała twarz jego ciepłym, uzdrawiającym promieniom. Była świadoma strojności swego ubioru. Czuła lekkie podenerwowanie zmieszane z odrobiną dumy.

Dzieci siedziały już na wierzchowcach: Liam na swoim

dereszu, Hannah na niespokojnym karym koniu z białymi skarpetkami, a Missy na białym kucyku. Patrick O'Reilly stał z jedną nogą niedbale opartą o kamień, z łokciem na zgiętym kolanie i wodzami dwóch koni przewieszonymi przez palce.

Usłyszawszy stukot jej butów na brukowanej ścieżce, uniósł głowę. Wyraz jego twarzy sprawił Amandzie wielką satysfakcję. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, a potem pojawił się w nich błysk podziwu i pożądania.

W głębi duszy miała nadzieję, że tak właśnie zareaguje na jej widok. Tyle że teraz przypawiło ją to o zmieszanie i potknęła się, dochodząc do bramy.

- Ooo, panno Davenport - powiedziała Missy, z podziwem wciągając powietrze. - Jaka pani piękna!

Amanda oderwała wzrok od jej ojca i uśmiechnęła się do dziewczynki.

- Dziękuję, Missy. - Uspokajała się w myślach, że dopóki są z nimi dzieci, nie ma czego się obawiać. Pogładziła łeb kuczka. - Masz bardzo ładnego kuczka. Jak się nazywa?

- Ivory - odpowiedziała Missy. - Ruchem głowy wskazała dwa konie bez jeźdźców. Jednym z nich był okazały kasztan, którego często dosiadał Patrick O'Reilly; drugi, o lśniące czarnej sierści, miał kobiece siodło. - Papa przyprowadził dla pani Calypso. Mówi, że to bardzo łagodna i dobrze ułożona klacz, tak że nic się pani nie stanie, nawet jeśli jeździ pani konno tak źle jak pan Whittaker.

Ojciec dziewczynki zaklął pod nosem i pochylił głowę. Amanda była pewna, że w ten sposób ukrywa uśmiech.

- Ech, Missy. Nie powinnaś była tego słyszeć, nie mówiąc już o powtarzaniu.

Mała zachichotała; Amanda zaśmiała się głośno. Nagle poczuła się rozluźniona, szczęśliwa. Chwyciła wodze karej klaczy i zniechęciła, gdyż stanął za nią jej pracodawca.

- Pomogę pani.

Był tak blisko, że wydawał się przytłaczać ją swym męskim ciałem. Czuła jego oddech na policzku, wilgotniejszy niż wiatr, cieplejszy niż wiosenne słońce. Przez chwilę wyobrażała sobie,

jak by się czuła, gdyby otoczył ją ramionami, a ona odwróciła się, oparła dłonie o jego twarde, szeroki tors i otworzyła usta do pocałunku...

Zadrzała. Szybko wciągnęła powietrze przesycone zapachami buszu i koni.

- Dziękuję - odpowiedziała przez zaciśnięte gardło.

Stanęła bokiem, spodziewając się, że Patrick O'Reilly podstawi nogę jako podpórkę, lecz zanim zdążyła unieść stopę, chwycił ją w pasie i posadził na siodle zupełnie bez wysiłku, tak jak wtedy, gdy zdejmował ją z wozu w dniu przyjazdu. Wywiczonym gestem ugięła kolana, nie zdejmując jednak rąk z jego ramion. Przettrzymała je tam zbyt długo.

Wstrzymała oddech, patrząc na jego napiętą twarz. Miał oczy tak niebieskie jak bezlitosne australijskie niebo. Dostrzegąca zmarszczki na policzkach, tam gdzie tworzyły się dołki, gdy się uśmiechał albo coś mówił. Patrzyła, jak przełyka z trudem ślinę i poczuła, że przenika go dreszcz. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały i zapanowało między nimi wręcz wyczuwalne napięcie.

Pomyślała, że nawet w obecności dzieci nie jest bezpieczna. Zbyt mocno na nią działał. Łączyły ich zbyt wielkie emocje.

Puścił ją i odszedł do swego konia. Odwróciła wzrok, poprawiła spódnicę, dopasowała wodze... Robiła wszystko, żeby tylko na niego nie patrzeć.

- Gotowa?

Unósłszy głowę, zobaczyła go dosiadającego kasztana.

- Jestem gotowa. I nic musi mnie pan obserwować, jakby się pan spodziewał, że lada chwila spadnę z Calypso. Mówiłam już panu, że umiem jeździć.

Uśmiechnął się szeroko.

- Mam nadzieję. Obawiam się, że zostało już niewiele trawy, która łagodziłaby pani upadek.

- Hmm - mruknęła Amanda i dotknęła konia piętami.

Nie wiedziała, dlaczego wydawało jej się, że pojedą wzdłuż koryta potoku. Tymczasem Patrick O'Reilly skierował się na południe, wybierając drogę, która wspiwała się na wzgórze za domem, po czym wiała się przez dziką pofałdowaną krainę

spękanych czerwonych skał, nagiej ziemi i rzadko rosnących drzew o poskręcanych pniach. Niebo miało barwę znacznie intensywniej niebieską niż w Anglii, ale wiatr wiejący od gór był chłodny i orzeźwiający.

- Wspaniale się tu jeździ - powiedziała, kiedy dzieci wysforowały się naprzód i została sama z ich ojcem.

Zauważyła, że na jego twarzy odmalował się cień zdziwienia.

- Bardzo lubię jazdę konną. Niestety, można się tu zgubić, jeśli się nie zna buszu. Jestem pewien, że nie chciałaby pani być tu sama. - Popatrzył na nią fachowym okiem. - Gdzie szlachetnie urodzona kobieta może nauczyć się tak dobrze jeździć?

Te słowa sprawiły jej dużą przyjemność. Cieszyła się, że wysoko ocenił jej umiejętności jeździeckie.

- Mój wuj był właścicielem ziemskim. Mieszkał niedaleko Oksfordu - powiedziała. - Kiedy byłam mała, trzymał tam dla mnie konia.

Pomyślawszy o bujnej zieleni angielskich dolin, poczuła przypływ tęsknoty. Odwróciła wzrok od towarzyszącego jej mężczyzny i zapatrzyła się w dziką pustą przestrzeń.

- Pani rodzice nie żyją? - zapytał.

- Nie żyją. - Popatrzyła na piaszczystą drogę znad czarnych uszu konia. - Ojciec umarł pięć lat temu. Matki nie znałam, umarła przy porodzie.

Spodziewała się, że jej towarzysz powie: „przykro mi”, prezentując tradycyjną uprzejmą reakcję. Tymczasem zapytał:

- W takim razie dlaczego nie pojechała pani do wuja? Po śmierci ojca.

- Nawet jeśli jałmużna jest rozdawana za darmo, wciąż pozostaje jałmużną.

- Nie wyobrażam sobie pani jako czyjejs niewolnicy. Nawet jeżeli stwarza pani pozory, to z pewnością w głębi duszy to pani nie odpowiada.

Powinna poczuć się urażona. Tymczasem, zaskakując samą siebie, roześmiała się.

- Prawdę mówiąc, miałam dużo szczęścia, jeśli chodzi o moich

poprzednich pracodawców. Państwo Blake zawsze traktowali mnie z szacunkiem.

- A jak długo pani dla nich pracowała?

- Cztery lata. Przedtem byłam zatrudniana u lorda i lady Prestonów.

- Z nimi nie miała pani takiego szczęścia! - domyślił się.

Roześmiała się.

- Zostałam zwolniona. Rzuciłam kałamarnicę w lady Preston. - Szybko spoważniała, czując, że na wspomnienie tego wydarzenia płonie rumieńcem. Zastanawiała się, co też ją podkusiło, żeby o tym mówić. Lecz kiedy rzuciła swemu rozmówcy ukradkowe spojrzenie, zauważyła, że jego usta wygięły się w leciutkim uśmiechu, który natychmiast przyprawił ją o mrowienie w dole brzucha. Odwróciła wzrok i zapatrzyła się na troje dzieci, jadących przed nimi.

- Dobrze, że mnie pani ostrzegła - rzekł Patrick ciepłym, wesołym głosem. - Nie przypuszczałem, że jest pani tek gwałtowna. A skoro u mnie jest pani guwernantką, a nie sekretarką, pewnie powinienem się spodziewać, że rzuci pani we mnie globusem.

Poczuła, że ma coraz gorętsze policzki.

- Nieczęsto wpadam w gniew.

- Aha - rzucił jakby z niedowierzaniem- - W takim razie dlaczego zdecydowała się pani podjąć pracę sekretarki, a nie guwernantki? Chyba większość kobiet w pani sytuacji wybrałaby raczej to drugie, prawda?

- To... trudno to wyjaśnić.

- Proszę spróbować.

Głęboko zaczerpnęła tchu i powoli wypuściła powietrze. Zazwyczaj udzielała odpowiedzi, że znając życie guwernantek, chciała uniknąć ich losu. Nie mogła jednak tego powiedzieć, skoro pracowała w takim charakterze w jego domu. Wyjaśniła mu to więc inaczej.

- Jestem bardziej wykształcona niż większość mężczyzn. Nie widziałam powodu, dla którego miałabym mieć ograniczone możliwości zatrudnienia tylko dlatego, że urodziłam się kobietą.

Myślała, że jej pracodawca się roześmieje. Większość mężczyzn zaśmiałyby się złośliwie. Lecz on tylko przyglądał jej się spokojnie, w milczeniu, tak jak miał to w zwyczaju. Nagle przeraziła się, że zobaczył za dużo, że powiedziała zbyt wiele.

Potem przez dłuższy czas jechali w milczeniu, przerywanym jedynie skrzypieniem siodła, odgłosem kopyt i świstem ogona, gdy koń opędał się od much. Przejechali łagodnie pofałdowany płaskowyż z bezładnie rosnącymi eukaliptusami i nielicznymi kazuarynami. Potem okrzykli wzgórze i nagle znaleźli się przed poszarpaną skałą sterczącą na środku suchej równiny. Czerwony piaskowiec był ukruszony i wyłobiony przez czas i siły natury. U jego podnóża dostrzegli błyszczącą powierzchnię stawu, okolonę drzewami, wśród których Amanda rozpoznała potężny eukaliptus, kilka mniejszych o białych pniach i akacje.

Jak na warunki angielskie nie była to bujna roślinność. Drzewa i kilka pojedynczo rosnących krzewów były szarawe i suche, o zwisających liściach; zbrązowiałe trawy wysychały. Wydawały się zielone tylko w zestawieniu z otaczającymi wzgórzami i poszarpaną czerwoną skałą, wznoszącą się nad nimi. Niemniej jednak widok zapierał dech.

Zatrzymawszy się obok milczących i niezwykle pokornych dzieci, Amanda poczuła, że udziela jej się dziwny klimat tego miejsca, jego potęga i cisza. Przypomniało jej się wrażenie, jakiego doznawała, przestępując próg starego normańskiego lub gotyckiego kościoła w Anglii. Tutaj też czuła świętość, odwieczną tajemnicę. Tyle że tu występowało ono w stanie naturalnym, czystszy, łatwiejszy do uchwycenia. Powietrze wydawało się wibrować duchowością, przekraczającą granice ludzkiego poznania.

- Aborygeni nazywają to miejsce Cadnowie - powiedział cicho Patrick O'Reilly. Zeskoczył z konia i podszedł, by pomóc Amandzie zsiąść.

Ześliznęła się w jego ramiona.

- To pańska ziemia? - zapytała dziwnie zmienionym głosem.

- Tak. Ale proszę pasterzy, żeby tu nie przychodzili. To święte miejsce.

- Dla aborygenów? A może nie powinniśmy tu przyjechać? - Rozejrzała się niespokojnie. Liam i Hannah zsiadali z koni, Missy mówiła coś do Ivory'ego, podsuwając trawę pod jego biały nos.

- Na pewno nie mają nic przeciwko naszej wizycie. To szczęśliwe, gościnne miejsce. Nie czuje pani tego?

- Czuję. - Przystanęła na brzegu stawu. Woda była tak czysta, że widziała odległe skaliste dno. - Dlaczego chciał pan tu przyjechać? - zapytała.

Zauważyła jego odbicie w taili wody. Stał obok niej. Odchylił kapelusz i przyglądał się gałęziom potężnego eukaliptusa.

- Jeśli ta susza się utrzyma, będę musiał korzystać z tej wody. Nic będę miał wyboru.

Usłyszała nutkę żalu w jego głosie. Spojrzała na niego i ze zdumieniem stwierdziła, że i on uległ niezwykłemu nastrojowi. Była też dziwnie poruszona tym, że podziwia to miejsce do tego stopnia, że chce je chronić.

Przyglądał się Amandzie swymi niebieskimi oczami. Przełknęła z trudem ślinę, czując dziwne wzruszenie. Wolała myśleć o nim jako o człowieku szorstkim i gruboskórnym. Tymczasem istniało drugie jego oblicze, którego wolała nie dostrzegać. Nie chciała stawić czoła prawdzie, że wytworzyła sobie jego fałszywy obraz, że pielęgnowała go, by nie być zmuszoną przyznać, jak bardzo jest atrakcyjny. I to nie tylko fizycznie... chociaż, oczywiście, bardzo się jej podobał. Fascynował ją ten człowiek, jego istota, dusza. Ogromnie ją pociągał.

Zauważył jej wzrok i wytworzyło się między nimi dziwne porozumienie, które wprawiło ich w zakłopotanie. A potem kamyki i pył stoczyły się ze wzgórza i wpadły do stawu, mącąc jego nieskazitelną powierzchnię i nastrój chwili.

- Jestem głodny - powiedział Liam, który stanął obok nich. - Moglibyśmy coś zjeść?

Patrick O'Reilly jeszcze przez chwilę przyglądał się Amandzie, po czym popatrzył na syna.

- Oczywiście.

Rozłożyli koc pod wielkim eukaliptusem i spożyli kolację, którą przygotował dla nich Ching. Po konnej jeździe dzieci miały wilczy apetyt i jadły w milczeniu, tylko czasem sprzecząc się o to, kto dostanie większy kawałek kurczaka, a potem o podział ciasta czekoladowego.

Po posiłku dzieci zaczęły wspinać się na skały nad stawem, a ich ojciec położył się na wznak na kocu, z kapeluszem nasuniętym na twarz, jakby miał ochotę się zdrzemnąć. Amanda oparła się o pień drzewa i poczuła, jak spływa na nią kojący spokój tego miejsca.

Lecz nie była w stanie długo się nim rozkoszować. Zbyt mocno działała na nią obecność leżącego obok mężczyzny. Nie potrafiła spokojnie patrzeć na moleskinowe spodnie, ciasno opinające jego udo na ugiętej nodze, ani na to, jak jego pierś, okryta znoszoną niebieską tkaniną koszuli unosi się w rytm oddechu. Przyłapała się na tym, że wyobraża sobie kształt mięśni i ciała pod ubraniem i swoje ręce dotykające go tam, gdzie koszula była rozpięta pod opaloną szyją.

Oderwała od niego wzrok. Starsze dzieci znudziły się już krążeniem wokół stawu i ścigały się na równinie. Missy zdjęła buty i pończochy, uniosła spódnicę i brodziła przy brzegu z długim kijem.

- Uważaj, żeby nie zmoczyć ubrania, Missy! - zawołała Amanda.

Patrick O'Reilly odsunął kapelusz i popatrzył w stronę stawu.

- Poradzi sobie. Niech się pani o nią nie martwi.

Amanda patrzyła, jak dziewczynka zanurza kij głęboko w wodzie, a potem schyla się, jakby czegoś wypatrywała.

- Co ona robi?

- Szuka *yabbies*.

- Czego?!

- *Yabbies*. Niektórzy nazywają je błotnymi robakami. Są jadalne,

- Robaki? Zjadacie robaki?

Roześmiał się; w policzkach zrobiły mu się dołki.

- Są bardzo dobre. Smakują jak raki.

Uniosła brwi z niedowierzaniem.

- Tak jak *goanna* smakuje jak wieprzowina?

- Prawdę mówiąc, uważam, że przypomina w smaku raczej kurczaka. - Zauważyła, że dołki w jego policzkach pogłębiły się. - Ale jeśli chce pani zjeść naprawdę coś pysznego, to polecam gaśienice, które aborygeni wyjmują z pni drzew. Najdородniejszą potrafi osiągnąć wielkość męskiego palca. Oczywiście trochę się wiją, kiedy się je przełyka, ale...

- Panie O'Reilly. - Amanda spokojnie sięgnęła po pozostały kawałek ciasta. Zatrzymała rękę tuż nad jego głową. - Bardzo uprzejmie pana proszę, żeby był pan łaskaw już nic nie mówić.

Zauważył ciasto zawieszony nad jego głową.

- Dobrze, panno Davenport. Skoro tak uprzejmie mnie pani prosi...

Gwałtownie odwróciła głowę na odgłos końskich kopyt. Odłożyła ciasto i znieruchomiła na widok Liama i Hannah, dosiadających na oklep koni i pędzących przez równinę. Kopyta końskie wzniewały tumany piasku i darni. Nierówno obcięte włosy Hannah falowały, krótsze kędziory Liama unosiły się, chłostane ciepłym wiatrem.

- Co oni robią? - zapytała Amanda, robiąc z dłoni daszek, by osłonić oczy przed blaskiem słońca.

Patrick O'Reilly uniosł głowę, a po chwili znów opadł na koc.

- Wygląda na to, że się ścigają.

- Dlaczego zdjęli siodła?

Wzruszył ramionami.

- A dlaczego mieliby tego nie robić?

- Bo to niebezpieczne.

- Nie. Te dzieciaki nauczyły się jeździć, chyba jeszcze zanim umiały chodzić.

Amanda patrzyła, jak konie dobiegają do odległego drzewa i zawracają ku stawowi. Hannah prowadziła o dobre dwie długości; jej wierzchołek pięknie prezentował się w biegu, napinały mu się potężne mięśnie, a kopyta pokonywały dystans w takim tempie, że zwierzę zdawało się frunąć nad jałową ziemią.

- Koń Hannah oczywiście jest dla niej zbyt potężny - powiedziała Amanda, przygryzając dolną wargę.

- Spokojnie. Spotkałem w życiu niewielu urodzonych jeźdźców, ale muszę powiedzieć, że moja starsza córka na pewno się do nich zalicza. Wczoraj miałem z nią niezłą przeprawę, bo chciała tu przyjechać na Ognistym Tancerzu.

Amanda pochyliła głowę, by ukryć uśmiech. Zdążyła się już zorientować, że jej chlebodawca i jego córka mają „niezłą przeprawę” przynajmniej co drugi dzień.

- Który z pańskich koni to Ognisty Tancerz? - zapytała.

W jego oczach pojawił się wyraz rozmarzenia.

- Ten ogier, którego wygrałem od Lumleya.

- Aha. - Poczwała, że się czerwieni na wspomnienie tamtego ranka, i przeniosła wzrok na Missy, siedzącą teraz na skale nad brzegiem stawu.

W świetle późnego popołudnia włosy dziewczynki opadały na plecy złocistą kaskadą dziecięcych loczków. Mała grzebała w stosie kamyków pomiędzy stopami. Zadarła spódnicę i halkę za kolana, odsłaniając nogi opalone jak u tubylca.

Przyglądając się jej, Amanda zastanawiała się, jaka matka mogła odejść, zostawiając tę słodką, uroczą, kochającą dziewczynkę. Albo Hannah z jej tajemniczą naturą, tak bardzo spragnioną ciepła. Albo takiego beztroskiego, wspaniałego chłopaka jak Liam. Nagle poczuła się zmęczona zgadywaniem. Nie odwracając wzroku od małej, zapytała cicho:

- Ile lat miała Missy, kiedy odeszła jej matka?

Usłyszała, że Patrick O'Reilly gwałtownie siada, ale nie spojrzała na niego. Nie chciała widzieć wyrazu jego twarzy, nie miała ochoty dowiadywać się, jakie uczucia wciąż łączą go z tajemniczą kobietą, która kiedyś była - nie, przypomniała sobie, że chyba wciąż jest - jego żoną.

Milczał tak długo, że myślała, iż nie doczeka się odpowiedzi. Potem gwałtownie wciągnął powietrze i je wypuścił.

- Sześć miesięcy - odpowiedział. - Missy miała sześć miesięcy, kiedy Katherine odeszła. Na szczęście znalazłem Sally, która została jej mamką. Inaczej Bóg jeden wie, co by się mogło z nią stać.

- Ona żyje? Mam na myśli pańską żonę.

- Tak. Przynajmniej żyła, kiedy ostatnio miałem o niej wiadomości.

- Czy utrzymuje kontakt z dziećmi?

Pokręcił głową.

- Najpierw pojechała do Wiktorii. Ale sześć miesięcy później... spotkała Francuza. Oficera. Wyjechała z nim do Paryża.

Amanda obserwowała wspaniałą niebieską ważkę, krążącą nad nieruchomą taflą stawu. „Dziwka Francuza”, powiedziała Hannah.

- Nie rozwiodłem się z nią - rzekł cicho Patrick. - Choć wiele osób mówiło mi, że powinienem to zrobić. Uważałem, że nie byłoby to wskazane ze względu na dzieci.

- Tak. Rozumiem. - Nie była już w stanie dłużej nie patrzeć na jego twarz. Odwróciła głowę. Siedział w swobodnej pozycji, ze zgiętą nogą i ramieniem opartym o kolano. Nasunął kapelusz na głowę i obserwował Missy. W jego smagłych policzkach ukazały się dołki, a wokół oczu dostrzegła drobniutkie zmarszczki, które tym razem nie powstały od uśmiechu. Miała wrażenie, że jej rozmówca głęboko zanurzył się w przeszłości, a wspomnienia musiały być dla niego bardzo bolesne.

- Jak mogła to zrobić? - odezwała się Amanda. Słowa wydobyły się mimowolnie głęboko z jej duszy. - Jak kobieta może tak sobie odejść, zostawiając swoje dzieci?

Odwrócił głowę. Zauważyła, że mocno zacisnął szczęki, a w jego oczach pojawiły się gniewne błyski. Pomyślała, że w tej chwili musi jej szczerze nienawidzić.

- Nie wiem. Może pani mi powie. Nigdy nie zrozumieję kobiet. Szczególnie Angielek.

- Była Angielką? - zapytała zaskoczona. - Pańska żona była Angielką?

- Nie wiedziała pani o tym? - Uśmiechnął się drwiąco. - Tak, była Angielką. Była tak angielska jak oddziały zabierające przymusowo do służby wojskowej, jak ustawy zwalczające społecznie szkodliwą konsumpcję, jak Smithfield. I nienawidziła Australii tak jak pani. - Wstał. - Czas wracać - rzucił przez ramię.

Amanda nie poruszyła się. Ze splecionymi dłońmi obser-

wowała, jak jej pracodawca schodzi ze wzgórza w stronę pasących się dwóch pozostałych koni i kucyka Missy.

Słońce grzało miłym ciepłem, ptaki śpiewały wesoło w gałęziach drzew. Lecz magiczny nastrój złotego popołudnia prysł, zrobiło jej się chłodno, poczuła się zmęczona i dziwnie samotna. Wiedziała, że powinna zebrać resztki po kolacji, tymczasem siedziała, przyglądając się wysokiej kształtnej sylwetce Patricka O'Reilly'ego, z wprawą siodłającego konie.

Poczuła dławienie w piersiach. Skrzyżowała ręce i zmusiła się do opanowania, lecz emocje były zbyt silne. Miała wrażenie, że jej serce wezbrało nie tylko współczuciem, lecz także uczuciami, jakimi nigdy już nie chciała obdarzać żadnego mężczyzny.

A już szczególnie tego Australijczyka, nienawidzącego Anglii i Anglików, mającego żonę o imieniu Katherine, z którą był na zawsze związany.

Patrick O'Reilly siedział na górnym balu ogrodzenia. Słabe światło gasnącego księżyca lśniło nad ciemnoczerwono umaszczonym ogierem, tworząc szerokie kręgi w obrębie zagrody. Było późno, a noc tak cicha, że słyszał skrzek żab przy potoku i rytmiczny stukot końskich kopyt o twardą ziemię.

Zapalił fajkę i wciągnął aromat tytoniu zmieszany z innymi zapachami nocy - ciężkim, wszechobecnym zapachem eukalip-tusa, słodką wonią wyschniętych traw, ciepłem zdrowego konia. Odchyliwszy głowę, popatrzył na białe gwiazdy rozrzucone na bezkresnej czerni. Zawsze zastanawiało go, dlaczego nocne niebo wydaje się zimne, nawet w tak ciepłą noc jak ta.

Wciąż dobrze pamiętał, że jako mały chłopiec wpatrywał się w gwiazdy w czasie długich samotnych nocy, kiedy został wysłany do buszu ze stadem owiec. Ojciec postanowił zahartować swoje dzieci, a przynajmniej trzech synów, ciężką pracą. Lecz matka nalegała, żeby Hetty została wychowana na damę, niezależnie od tego, jak surowe były warunki życia w nowej farmie w głuszy stanu Wiktorii. Gdy matka umarła, Hetty miała już siedemnaście lat i była zaręczona.

Patrick opuścił dom, kiedy miał siedemnaście lat, nie mogąc się doczekać, kiedy zacznie prowadzić samodzielne życie. Najpierw zatrudnił się jako pomocnik na owczej farmie, lecz postrzygacze zarabiali większe pieniądze. Tak więc jeździł od farmy do farmy, pracując przy strzyżeniu. Odłożył trochę pieniędzy i planował zakup własnego stada owiec i bydła. Zamierzał przywieźć je do Australii Południowej, gdzie były nowe obszary do zasiedlenia, i założyć własną farmę.

A potem poznał Katherine Barr-Jones.

Jako dziewiętnastoletni postrzygacz zjawił się któregoś dnia u Barr-Jonesów. Nigdy nie zapomni wrażenia, jakie wywarł na nim okazały kamienny dom, otoczony akrami starannie utrzymanych ogrodów. Większość szlachetnie urodzonych synów, którzy przybyli do Australii, była bardzo przywiązana do tego, co nazywano dobrym wychowaniem, lecz nie starczało im pieniędzy, by prowadzić życie na poziomie, na jaki, w swoim mniemaniu, zasługiwali. Ojciec Katherine do nich nie należał. Trenton Barr-Jones zgromadził fortunę w Indiach i postanowił zainwestować pieniądze w Australii.

Katherine nie była zadowolona z ojcowskich planów ustanowienia prywatnego imperium w koloniach. Wolałaby raczej zostać w Anglii. Nigdy nie ukrywała tego, co sądziła o Australii. Patrick zawsze będzie pamiętał chwilę, w której zobaczył ją po raz pierwszy. Siedziała na okazałej białej klaczy, barwna niczym papuga, i sprawiała wrażenie dumnej, wyniosłej i nieosiągalnej. Wiedział jednak, że przygląda się postrzygaczom, a szczególnie jemu. Że go pragnie.

Obdarzona dużym temperamentem i silną wolą, miała osiemnaście lat i była dziewicą, ale zawsze należała do osób, które biorą to, na co mają ochotę. Jeszcze przed końcem sezonu strzyżenia była w ciąży, a Trenton Barr-Jones miał wnuka irlandzkiego skazańca za zięcia.

Wsluchując się w wycie dingo w buszu, Patrick pomyślał o wszystkich godzinach, które on i Katherine spędzili tamtej wiosny. O tym, jak trzymał ją w ramionach i opowiadał o swych

marzeniach założenia nowej farmy, o wybudowaniu kamiennego domu równie dużego jak dom jej ojca. Dopiero później zdał sobie sprawę, że nigdy go nie słuchała. Była zbyt zajęta opracowywaniem swoich sekretnych planów, gdzie jemu miała przypaść rola tego, który zabierze ją z powrotem do Anglii jako pracownik kompanii żeglujowej jej ojca.

Nie wtajemniczyła go w swoje plany, dopóki się nie pobrali, i nigdy nie zapomniała, że głośno się roześmiał, kiedy przedstawiła mu swoją propozycję. Dwa lata zabrało mu namawianie jej na to, by zamieszkała z nim w nowym domu, który zbudował w Penyace. Wciąż jeszcze wierzył, że uda mu się uczynić ją szczęśliwą. Były nawet miłe chwile, tyle że okazało się ich za mało.

Niespokojnie poruszył się na wąskim balu i wpatrzył się w ciemne zabudowania Penyaki. Jego dom nie był jeszcze tak okazały jak posiadłość Trentona Barr-Jonesa, ale był z niego dumny, a jeśli udałoby mu się przetrwać okres suszy, zamierzał go rozbudować. Patrick był teraz starszy i kiedy wspominał pierwsze chwile małżeństwa, widział, że i on był wtedy równie samolubny i egoistyczny jak Katherine. Jednak wciąż nie uważał, by popełnił błąd, nie ulegając jej namowom. Penyaka mogła być dla niej trudnym doświadczeniem, lecz życie urzędnika biurowego w Anglii oznaczałoby dla niego powolną śmierć. To małżeństwo od początku było błędem. Gdyby nie córki i syn, uznałby, że miała rację, kładąc mu kres. Lecz wątpił, czy będzie w stanie kiedykolwiek wybaczyć jej krzywdę wyrządzoną dzieciom.

Głośne rzenie sprawiło, że popatrzył w odległy koniec zagrody, gdzie ogier stanął na tylnych nogach, z uniesionym łbem; ciemna grzywa trzepotała w ciepłym nocnym powietrzu. Zamierzali dopuścić go do jednej z klaczy czystej krwi i zwierzę wyczuwało to, łowiąc zapach grzejącej się samicy.

O'Reilly uśmiechnął się.

- Ja czuję to samo, stary - powiedział, kiedy ogier podbiegł do niego i otarł się pyskiem o tors. Pogładził konia po białej gwiazdce pomiędzy ciemnymi oczami, myśląc o Amandzie Davenport.

Zdażył już ją poznać; wiedział, że pod nieznosnie nienagan-
nymi manierami i akcentem kryje się kobieta zupełnie inna niż
Katherine. Niestety, obie panie, różniąc się niemal pod każdym
względem, jedno miały wspólne -- Amanda także nienawidziła
Australii i była zdecydowana wracać do Anglii.

Wiedział o tym, a jednak... nie powstrzymywało go to od
nocnych rozmyślań i wyobrażania sobie jej leżącej pod nim
nago. Chciał dotykać jej pełnych piersi, rozkoszować się smakiem
ust i wdzierać się w jej miękkie wnętrze. Marzył o tym, żeby
pozbyła się swojej bezsensownej pozy. Pragnął słyszeć jej
śmiech, jęki, krzyk rozkoszy...

I ugasić tę *straszliwą*, bolesną *tęsknotę*.

Następnego dnia po lekcjach Amanda wróciła do swego
pokoju i zajęła się lekturą Cycyrona. Lecz druk rozplątywał się
przed jej oczami, tak że w końcu odłożyła książkę i otworzyła
oszkłone drzwi na werandę.

Miała nadzieję, że świeże powietrze pomoże jej się skoncen-
tować. Lecz zamiast powrócić do czytania, stanęła w drzwiach
z ręką na gałce i wpatrzyła się w schludne ścieżki i kwiaty
w ogrodzie, który Patrick O'Reilly założył dla swojej żony
Anieli.

Poczuła wzbierający w niej smutek. Zdała sobie sprawę, że
tak naprawdę wie o nim bardzo niewiele. Nie wiedziała nic
o życiu, jakie prowadził do czasu spotkania go na ulicy
w Brinkman. O doświadczeniach, które uczyniły go takim,
jaki był obecnie. Napominała się w myślach, że nadmiernie
folguje niezdrowemu zainteresowaniu życiem innych ludzi.
Lecz dobrze wiedziała, że nie chodzi jej tylko o zaspokojenie
ciekawości.

Miała już zamiar wejść do pokoju, kiedy podmuch wiatru
przyniósł czyjś głos.

- Spokojnie, maleńka.

Amanda przystanęła, nasłuchując. Głos miał zabarwienie,
jakiego nie słyszała nigdy wcześniej. Był bardzo łagodny. Niósł

kojące słowa, które mogły być wypowiedziane do zdenerwowanej dziewczycy, by rozwiać jej obawy tuż przed defloracją.

Zaszokowana tokiem swojego myślenia, zamykała już drzwi, kiedy znów powiał wiatr i usłyszała głos swego chlebowodawcy.

- Wszystko będzie w porządku, maleńka. Nie bój się. Cii...
Amanda zawahała się, po czym wyszła na werandę.

11

Spokojny, uwodzicielski głos Patricka O'Reilly'ego zdawał się mieć dla niej magiczną siłę przyciągania. Przeszła przez ogród i skierowała się w dół wzgórza ku zagrodom.

Było późne popołudnie, słońce jasno świeciło wysoko na niebie. Na zboczu wzgórza nie było już prawie trawy, tylko pojedyncze żółte źdźbła, które trzaskały i wzniecały pył, miazdzone butami Amandy. Roje owadów uciekały na boki. Przy wyschniętym korycie potoku rzędy eukaliptusów o białych pniach smętnie zwiesiły szare liście w suchym, nieruchomym powietrzu. Zauważyła zimorodka na dolnej nagiej gałęzi; jego olbrzymia głowa kołysała się, gdy się jej przyglądał. Patrick O'Reilly nazywał tego ptaka kukaburą. Kukabura - osioł buszu. Zauważyła, że duży dziób otwiera się, a po chwili w dolinie rozległ się dziwny ochrypły śmiech. Hu-hu-hu-ha-ha-hu-hu.

Zbliżyła się już na tyle, że dostrzegła grupę mężczyzn, otaczających jedną z zagród. Podeszła w ich stronę, czując palące promienie słońca na kapeluszu. Rozpoznała Campbella i Jacka, aborygena pilnującego bydła. Byli tam też Liam i Hannah. Stali na płocie, na najniższej belce, otaczając ramionami słupek dla równowagi.

A potem dostrzegła Patricka O'Reilly'ego.

Był w samej koszuli, jak zwykle rozpiętej do połowy, co pozwoliło jej zobaczyć wspaniałą muskulaturę opalonego torsu. Zsunął do tyłu swój kapelusz. Skupił całą swą uwagę na nie-

spokojnej klaczy, wprawionej w stan odrętwienia jego melodyjnym głosem.

Na środku zagrody Amanda zobaczyła młodą kasztankę, drżącą, lecz stojącą w miejscu z pochylonym łbem, rozstawionymi tylnymi nogami, podniesionym ogonem, ukazującą swe wejście czystej krwi ogierowi, biegającemu dookoła niej.

Amanda przystanęła z dłonią opartą na górnej belce ogrodzenia. Widok dzikiej witalności i siły wspaniałego ogiera sprawił, że zaparło jej dech w piersiach. Bez wątpienia miała przed sobą Ognistego Tancerza. Stawał na tylnych nogach obok swej partnerki, z szyją wygiętą w łuk, a każdy majestatyczny krok napinał potężne mięśnie, rysujące się pod spoconą krwistoczerwoną sierścią. Nagle odrzucił łeb do tyłu, rozdał chrapy. Wiatr załopotał jego ciemną grzywą, kiedy zbliżył się do nieruchomej, oczekującej klaczy.

Amanda zobaczyła jego członek, dumny i wzwidziony, kiedy cofał się, by za chwilę wejść w klacz, gryząc ją w szyję. Kasztanka zadrżała i kwiknęła.

Amanda zacisnęła dłoń w pięść i zakryła usta. Nie mogła oderwać wzroku od kopulujących przed nią zwierząt. Była to brutalna, przerażająca i nieopisanie fascynująca scena. Ogier był zuchwale dominujący i zdobywca, klacz pokorna, spokojna, godząca się na wszystko.

Trwało to długo, aż w końcu błysnęły kopyta ogiera, który popędził wokół ogrodzenia, donośnym rzeniem obwieszczając swój triumf, wzniecając tumany piachu, złociście mieniącego się w słońcu. Klacz stała tam, gdzie ją zostawił, zapomniana, porzucona. Amanda odwróciła wzrok...

I napotkała spojrzenie zmrużonych oczu Patricka O'Reilly'ego.

Obserwował ją. Domyśliła się tego z intensywności jego spojrzenia, z napięcia mięśni twarzy, zdradzającego pożądanie. Przyglądał się jej, kiedy obserwowała konie. I domyślił się już, że ten pokaz zwierzęcej seksualności ją podniecił. Wiedział, że serce mocno wali jej w piersi, a pod sztywnym stanikiem prostej sukni nabrzmiały piersi, a ich brodawki stwardniały tak, że zrobiły się z nich dwa sterczące gruzełki.

Patrzyli na siebie ponad kurzem zagrody, zdając sobie sprawę z otwierających się przed nimi możliwości. Z pożądania.

Ktoś zawołał na Patricka. Odwrócił wzrok. Czar prysł. Amanda gwałtownie zaczerpnęła tchu, wpięrajac plecy w twarde bale ogrodzenia. Pod materiałem sukni czuła ich szorstkość i ciepło; wiosenny wiatr chłodził jej policzki. Jednak w środku cała się gotowała.

Zobaczyła, że ktoś chwyta ogiera i prowadzi go do stajni. Pył osiadał, ludzie zaczynali się rozchodzić. W rzędnącym tłumie dostrzegła Hannah, jej zafascynowany wzrok, którym odprowadzała odchodzącego ogiera. Amanda pomyślała, że dziewczynka w tym wieku nie powinna oglądać takiego widowiska. Będzie musiała o tym porozmawiać z jej ojcem.

Lecz na samą myśl o rozmowie z nim na ten temat poczuła ściskanie w żołądku. Wiedziała, że nie zdobędzie się na to, by teraz się z nim zobaczyć. Wydawszy westchnienie podobne do jęku, szybko udała się do swego pokoju.

Czy panna Davenport rozmawiała z tobą o dzisiejszym popołudniu? - zapytał Liam, kiedy ojciec wszedł do jego pokoju, by powiedzieć dobranoc.

- Nie. A dlaczego pytasz? - zainteresował się Patrick, opierając się o wezgłowie łóżka syna.

Chłopiec skubał poły swojej koszuli.

- Robiła Hannah i mnie wymówki przed kolacją. Chodziło jej o to, że oglądaliśmy, jak rozmnażasz Ognistego Tancerza. Powiedziała, że to było nieodpowiednie dla nas widowisko, szczególnie dla Hannah. - Popatrzył na ojca badawczym wzrokiem. - Chyba nie pozwolił na to, żeby cię przekonała, że nie możemy pomagać na farmie?

- Z pewnością nie. - Patrick oderwał się od wezgłowia i zamierzał zgasić lampę, lecz znieruchomiał na chwilę.

- A w ogóle to co o niej sądzisz?

Liam popatrzył na niego, zaskoczony.

- Nie wiem. A dlaczego pytasz? Nigdy nie pytałeś mnie o inne guwernantki.

Patrick wzruszył ramionami.

- Wydaje się... jakaś inna.

-- Jest od nich o wiele bystrzejsza, to wszystko. Trudniej ją nabrać. I ma silniejszy charakter. Nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale to prawda.

Ojciec zaśmiał się cicho.

- Dobranoc, Liamie.

Wrócił do pustego salonu. Kawałek drewna osunął się w palenisku, wzniciając snop iskier. Przez chwilę wpatrywał się w płonące drwa, po czym uregulował światło lampy na stole, uniósł książkę, którą ostatnio czytał, i usiadł na kanapie. Leżący u jego stóp Barrister parę razy uderzył ogonem o podłogę i znów znieruchomiał.

Mniej więcej pół godziny później ze zdziwieniem usłyszał, że otwierają się drzwi sypialni panny Davenport. Zazwyczaj szybko wycofywała się do swego pokoju zaraz po kolacji i rzadko wyściubiała z niego nos aż do rana. Nie uniósł głowy, lecz zobaczył kraj jej okropnej sukni, kiedy weszła w krąg światła. Oparł książkę o kolano i uniósł wzrok.

Skrzyżowała ramiona na pięknych piersiach; cudowne, płomienne włosy miała zaczesane w ciasny węzeł. Zaciśnęła wspornik usta. Lecz oczy... Zdradzały ją błyszczące oczy.

Poczuł pożądanie. Nieproszone i niechciane, wezbrało w nim na sam jej widok. Zmusił się do opanowania i uśmiechnął się figlarnie.

- Dobry wieczór, panno Davenport. Czy chce mi pani coś powiedzieć?

Szczelniej otuliła się chustą.

- Czy mogłabym zająć panu chwilę?

Rozprostował nogi, złożył ręce za szyję i przesunął się, robiąc miejsce na kanapie.

- Oczywiście. Proszę usiąść.

Z rozbawieniem zauważył, że się waha. Domyślił się, że wolałaby mu powiedzieć to, co zamierzała, stojąc, tak by potem

móc szybko odejść. Lecz czuła, że nie powinna tego robić, dopóki on siedzi wygodnie rozparty na kanapie.

Nie ruszył się z miejsca, więc znalazła kompromisowe rozwiązanie i przysiadła na brzegu krzesła stojącego obok kanapy.

- Chodzi o Hannah - zaczęła, składając dłonie na kolanach.

- Co znów zbroiła?

Wzięła głęboki oddech, przy którym jej piersi uniosły się kusząco.

- Już od dłuższego czasu chcę z panem o niej porozmawiać. Myślę, że Hannah osiąga wiek, w którym nie powinna już wałęsać się po farmie ubrana jak chłopak. Nie powinna też uczestniczyć w takich wydarzeniach jak to, którego świadkiem była dziś po południu.

Rozstawił łokcie, przechylił głowę do tyłu i przyjrzał się Amandzie spod lekko opuszczonych powiek.

- Niestety, nie mam zamiaru siłą wbić jej w gorset i halkę, jeśli o to pani chodzi. Ale bardzo proszę, niech pani próbuje.

- Mógłby pan jej zabronić noszenia spodni.

- Mógłbym, ale nie jestem taki głupi. Nie podejmuję walki, zanim nie zyskam pewności, że wygram.

- Ujmuję pan to w dość dziwny sposób. - Uniosła chrapki nosa w wyrazie pogardy, którą potrafiła okazać jak rzadko kto. - Uznałabym to raczej za problem zdobycia autorytetu rodzicielskiego. Czy spodziewam się może po panu zbyt wiele? Gdyż prawdę mówiąc, nie zauważyłam, żeby poświęcał pan wiele uwagi starszej córce... jeśli nie liczyć kłótni. Wydaje mi się, że to połowa jej problemu.

Opuścił ramiona i pochylił się, by pomachać wskazującym palcem przed jej cienkim patrycjuszowskim nosem.

- Chwileczkę. Proszę się nie wtrącać w sprawy między mną i Hannah. Jak do tej pory świetnie sobie radzimy.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Jakoś tego nie zauważyłam.

- Do diabła! - Wstał, zrzucając zapomnianą książkę. - Zatrudniłem panią, żeby uczyła pani moje dzieci, a nie je wychowywała. Wychowanie proszę zostawić mnie.

Wstała i spojrzała mu w oczy.

- Może gdyby wychowywał je pan lepiej, nie miałyby pan takich kłopotów z guwernantkami, które je uczyły.

Jej słowa zabrzmiały jak echo tego, co powiedziała mu kiedyś Hetty. Dotknęło go to do żywego. Przechesał włosy palcami, odgarniając je z czoła.

- Do diabła, panno...!

- I proszę przestać przeklinać w mojej obecności.

Nie spuszczała oczu z jego twarzy, mówiła cichym, ale pewnym głosem. Powoli dotarło do Patricka, że ta kobieta spiera się z nim na temat Hannah jednie dlatego, że zależy jej na jego córce, że naprawdę troszczy się o dzieci tak jak żadna z jej poprzedniczek. Ogarnęło go wzruszenie, którego wolałby nie odczuwać.

Nie chciał lubić tej kobiety, chociaż przychodziło mu to z coraz większym trudem. Droczenie się z nią, nawet chęć pocałowania jej miały być wyłącznie przyjemnością. Sympatia do niej wprowadzała element powagi, którego bynajmniej sobie nie życzył.

Ogień trzaskał w kominku, oświetlając delikatne rysy twarzy Amandy złocistym blaskiem i barwiąc włosy ciepłym odcieniem czerwieni. Pozostała część domu była cicha i pogrążona w ciemności.

Byli sami.

Zauważył, jak jej oczy rozszerzają się, gdy zdała sobie z tego sprawę. W szarych tęczęwkach były małe czarne punkciki, promieniujące barwą sadzy. Kiedy była podniecona, szarość zdawała się lśnić, a czerń była jak aksamit.

Postąpił dwa dzielące ich kroki. Jej źrenice rozszerzyły się, a szyja poruszyła, gdy przełknęła z trudem ślinę. Nie oderwała jednak od niego wzroku.

- Amando - powiedział miękko i zaczął wyjmować szpilki z jej włosów. Zadrzała pod wpływem jego dotyku. Patrzył, jak rozchyła wargi i przymyka powieki. Wyjął trzy szpilki. Cztery. I wtedy szeroko otworzyła oczy i chwyciła go za nadgarstek.

- Nie.

- Dlaczego? - Uniósł wolną rękę i wsunął palce w gęsty kok, rozluźniając go. Trzymała jego dłoń, ale nie zrobiła nic, by powstrzymać jego drugą rękę. - Dlaczego upinasz je z tyłu? - zapytał szeptem, uwalniając włosy, które opadły na ramiona ognistą kaskadą. - Żeby przekonać ludzi, że jesteś chłodna, pozbawiona temperamentu, tak jak starasz się to przedstawić? - Dotknął jej szyi. - Czy chcesz przekonać o tym przede wszystkim siebie?

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, pogrążona w myślach, które rad byłby poznać.

- Jestem taka, na jaką wyglądam.

Pokręcił głową.

- Nie. - Położył ręce na jej ramionach i zaczął ugniatać napięte mięśnie. - Rozluźnij się. Nie zrobię niczego, czego nie będziesz sobie życzyła.

- Nie chcę, żeby pan robił cokolwiek.

Roześmiał się.

- Założę się, że jako mała dziewczynka ciągle wpadałaś w tarapaty z powodu kłamstw.

- Nie. - Oddychała coraz szybciej, rozchyliła wargi, jej pierś falowała. - Byłam bardzo prawdomównym dzieckiem.

- Naprawdę? - Pogładził kciukami wrażliwą skórę tuż pod uszami. - W takim razie wyrosłaś na bardzo nieprawdomówną kobietę.

- Nie.

- Nie? W takim razie dlaczego twoje serce bije teraz jak oszalałe? I nie ma sensu temu zaprzeczać, ponieważ... - Przyłożył dłoń do jej piersi. - Czuję to.

Popatrzyła na jego rękę, na palce obejmujące lewą pierś. Czuł, jak mocno bije jej serce, jak piersi unoszą się w rytm niespokojnych oddechów.

Uniosła oczy. Zapatrzył się w nie bez opamiętania. Były tak piękne jak obmyte deszczem burzowe niebo. Zauważył, że Amanda rozchyła usta, i usłyszał cichy jęk, wydobywający się z jej gardła. Pochylił się i ją pocałował.

Miała miękkie, gładkie, chętne wargi, lecz całował ją lekko, delikatnie. Jednocześnie przesuwał wolno dłońmi po jej biodrach.

Zamknęła oczy, zadrżała w jego ramionach, a potem powoli uniosła rękę i dotknęła jego karku tak, że natychmiast ogarnęło go pożądanie. Jęknął głucho, a jej usta otworzyły się pod jego wargami. Wsunęła dłonie we włosy Patricka i przyciągnęła go do siebie. Zdziwiony, pogłębił pocałunek, przesunął ręką wzdłuż jej pleców i przytulił ją tak, że piersiami dotknęła jego torsu.

Ktoś już ją kiedyś całował. Ta myśl wybuchła w jego głowie, gdy spleli się językami i pocałunek stał się bardzo namiętny. To nie był uścisk nieśmiałej panienki. Jakiś mężczyzna musiał udzielić pannie Amandzie Davenport lekcji na temat pożądania, zmysłowości i reakcji ciała.

Przez chwilę krew wrzała w żyłach Patricka. Miał ochotę zedrzeć z niej tę brzydką suknię guwernantki i wziąć w dłonie ciężkie nagie piersi. Chciał ssać sutki i rozkoszować się ich ciepłem. Pragnął położyć ją przy kominku, znaleźć się pomiędzy jej szczupłymi białymi udami i zaspokoić bolesne, palące pożądanie.

Lecz ona bała się namiętności, i dobrze o tym wiedział. Doskonale też zdawał sobie sprawę, że lada moment Amanda zorientuje się, do czego to wszystko zmierza, i wpadnie w panikę. Dowiedział się, jak cudownie to może wyglądać, i na szczęście starczyło mu rozsądku, by unieść głowę i wszystko zakończyć.

Patrzył, jak unosi powieki. Zajrzał w jej głębokie, ciemne oczy i korzystając z tego, że jest jeszcze zbyt rozmarzona, by zaprotestować, pochylił głowę i złożył na jej wargach ostatni długi pocałunek.

- Dobranoc, panno Davenport - powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł.

Dopóki jeszcze był w stanie to zrobić.

Ręcznik drażnił delikatną skórę warg Amandy. Zaczęła szorować je mocniej, pocierając je w tę i w tę, aż rozbolały ją usta, a gorzki smak mydła podrażnił język. Ale nawet po tym jeszcze na chwilę powróciła do szorowania.

Wmawiała sobie, że te pocałunki były czymś złym i obrażającym. Chciała pozbyć się jakichkolwiek pozostałości jego zapachu, smaku. Tyle że było to kłamstwo, ponieważ pocałunki Patricka O'Reilly'ego były cudowne, zachwycające i wprawiały ją w stan takiego oczarowania i dzikiego podniecenia, że postanowiła je wymazać.

Przysiadła na krawędzi taboretu z miednicą i pochyliła głowę, zawstydzona. Nie rozumiała, jak coś takiego mogło się jej przydarzyć. Jak mogła dopuścić do tego, że zafascynowanie tyra mężczyzną doprowadziło do zdradzenia samej siebie. Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków i usiłowała sobie wyobrazić, co też on teraz może o niej myśleć.

Będę musiała dopilnować, żeby już nigdy coś podobnego się nie zdarzyło, pomyślała. Samo wspomnienie dotyku jego gorących, wilgotnych warg, silnego, męskiego ciała pod jej rękami, twardego dowodu pożądania, sprawiło, że doświadczała niechcianych, lecz cudownych doznań przyprowadzających ją o mrowienie i tęsknotę za czymś tak przerażającym, że wołała o tym nie myśleć.

Jęknęła i odłożyła ręcznik, po czym ukryła twarz w dłoniach. Co się z nią działo? Wszystkie jej myśli i uczucia, chęci i potrzeby, z których zrezygnowała już dawno temu, nagle odżyły, by ją dręczyć. Tyle że tym razem były gorsze, dużo silniejsze niż poprzednio.

Skuliła się i otoczyła ramionami kolana, mocno przyciskając je do piersi. Gdzieś w oddali zawył dziki pies dingo. Słyszała, że wzmaga się wiatr, szeleszczący suchymi liśćmi i kruchymi gałęziami eukaliptusów nad potokiem. Chwyliła się za nadgarstki. Obejmowała się mocno, coraz mocniej, tak jakby chciała za-trzymać w sobie tę część swojej osobowości, którą zamierzała prezentować przed światem.

Zdejmował już spodnie i zamierzał położyć się do łóżka, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

- Chwileczkę! - zawołał, naciągając spodnie na biodra, lecz nie zapinając ich. - Co tam...

Otworzył drzwi i zobaczył Amandę.

Minęło już dobre pół godziny, odkąd zostawił ją przy kominku, lecz była wciąż ubrana. Mocno ścisnęła chustę na wysokości piersi, jakby w obronnym geście, a kiedy otworzył drzwi, cofnęła się kilka stóp i rozszerzyła oczy ze zdumienia na widok nagiego torsu i rozpiętych spodni.

- Amanda? - Instynktownie wyciągnął ramiona. - Dobrze się czujesz?

- Proszę się do mnie nie zbliżać - powiedziała cichym, opanowanym głosem, ze zbielełą twarzą. - Zdecydowałam się na tę dość niezwykłą wizytę o tak późnej porze z jednego jedyne go powodu: chciałam panu przypomnieć, panie O'Reilly, że przyjechałam do tego smutnego, nieprzyjaznego zakątka kolonii jako guwernantka pańskich dzieci. I dopóki będę zatrudniona w tym charakterze, stanowczo nalegam, żeby nigdy więcej nie zmuszał mnie pan do zwrócenia na siebie uwagi w sposób taki jak dzisiaj.

- Do diabła! - Postąpił krok w jej stronę. - Do niczego dziś pani nie zmuszałem i dobrze pani o tym wie.

Rozejrzała się na boki, spłoszona.

- Niemniej jednak - powiedziała szybko, nie chcąc podejmować tematu - stanowczo nalegam.

Zamierzał jej przypomnieć, jak wsunęła język w jego usta i jak ocierała się brzuchem o jego twardą męskość, lecz tylko zacisnął szczękę.

Nigdy nie powinien był dopuścić do tego, by sprawy zaszły aż tak daleko. Dobrze o tym wiedział, jednak nie zamierzał udawać, że to wszystko jego wina.

- W porządku. Ma pani na to moje słowo. - Wycelował w nią palec. - Następnym razem, kiedy będzie mnie pani chciała pocałować, będzie musiała pani o to prosić.

Gniewnie zaczerpnęła tchu.

- Pan...

Nie zamierzając słuchać tego, co miała do powiedzenia, cofnęła się do pokoju i zamknął drzwi.

W ie pani, do czego najbardziej tęsknię? - zapytał Christian Whittaker, kiedy następnego popołudnia pili herbatę na werandzie.

Amanda uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie. Proszę mi powiedzieć.

- Brakuje mi tu jesieni. Września w Anglii. Wspaniałych różowych, żółtych i pomarańczowych róż na tle domków z czerwonej cegły. Kościelnych dzwonów nad doliną, tak piękną i zieloną, że aż dusza śpiewa. - Popatrzył na nią nieśmiało, jakby zawstydzony lirycznym tonem swojej wypowiedzi. - A czego pani brakuje najbardziej?

Nie musiała się zastanawiać.

- Deszczu.

Roześmiali się oboje. Jak przyjaciele, pomyślała. Lubiła myśleć o tym, że Christian Whittaker jest jej przyjacielem. Miała ich w życiu tak niewielu. A Christian był tak delikatny i dobrze ułożony, tak kojąco angielski.

Uniósłszy porcelanową filiżankę, przyglądała mu się ukradkiem znad krawędzi i zastanawiała się, dlaczego zawsze wyobrażała go sobie tylko jako przyjaciela. Miał przyjemną twarz - pełne, czerstwe policzki, mocno zarysowany kwadratowy podbródek, jasnobrązowe szczere oczy. Ciemne włosy i wąsy zawsze były schludnie przystrzyżone i nasmarowane pomadą, a ubranie odpowiednie dla angielskiego dżentelmena. Nie miała wątpliwości, że nawet w najbardziej upalnym dniu w środku lata miałby na sobie surdut, kamizelkę i krawat, a koszula byłaby przyzwoicie zapięta aż po szyję.

Stłumiła westchnienie. Przy takim mężczyźnie kobieta może się czuć bezpiecznie, pomyślała. Nie grozi jej zagubienie się w okrutnym, zmaterializowanym świecie ani we własnych słabościach. Nie doświadcza tych szalonych zmysłowych doznań, które tak łatwo niszczą kobiety.

Przyjrzała się prostej linii cienkich angielskich ust, ledwie widocznych spod gęstych wąsów. Była ciekawa, jak wyglądałby jej pocałunek z Whittakerem. Zapewne byłby chłodny i suchy. Nie mogła sobie wyobrazić tego mężczyzny rozchylającego wargi.

Czy wsuwającego język głęboko w jej usta.

Na czystym płóciennym obrusie na stole pojawił się długi cień.

- Dzień dobry - usłyszeli głęboki głos.

Amanda aż podskoczyła. Odniosła wrażenie, że to ona wy-
czarowała diabła swoimi nieprzyzwoitymi myślami.

Whittaker natychmiast wstał i się skłonił.

- Dzień dobry, panie O'Reilly.

Amanda zobaczyła parę niebieskich oczu, błyszczących wspo-
mnieniami tego, co zdarzyło się poprzedniej nocy. Jej pracodawca
wysunął krzesło i usiadł. Uciekła ze wzrokiem.

Jak mogła tak się zapomnieć? Jak to możliwe, że pokornie
i spokojnie stała, kiedy rozpuścił jej włosy i wziął w objęcia,
by ją pocałować? Była tak potulna jak kasztanka, którą poprzed-
niego dnia widziała w zagrodzie, biernie czekającą na ogiera.

Nagle w jej głowie powstało zupełnie niepożądane wyobrazenie
Patricka O'Reilly'ego, pochylającego się nad nią i uspokajającego
ją delikatnymi, łagodnymi słowami; rozchylającego jej nogi
i przygotowującego ją do miłosnego aktu. Przerażona swoimi
myślami, niemal zdradzała. Nie mogła na nie pozwalać.

- Obawiam się, że będę musiał odwołać kilka lekcji z Lia-
mem - powiedział Christian Whittaker. - Kompania poprosiła
mnie, żebym udał się w interesach do Adelajdy. Wrócę chyba
dopiero pod koniec następnego miesiąca.

Patrick O'Reilly odsunął kapelusz.

- Nie szkodzi. I tak za kilka dni zaczynamy strzyżenie owiec
i Liam będzie bardzo zajęty.

Whittaker aż unióśł brwi ze zdumienia.

- Czy to nie za wcześnie?

Patrick uśmiechnął się, rozbawiony.

- W normalnych warunkach sam uznałbym, że jest za wcześ-
nie. Chociaż zawsze decyzja o rozpoczęciu sezonu wiąże się
z pewnym ryzykiem. Jeśli owce ostrzyże się za późno, słońce
przypiecze im grzbiety i muchy będą miały do nich dostęp; jeśli
za wcześnie, to niespodziewane nadejście chłódów może spo-
wodować wyginięcie wielu sztuk. Ale skoro zanoszą się na to, że
ta susza się utrzyma, to jeśli nie ostrzygę ich wkrótce, nie będę

miał już żywych okazów do strzyżenia. Planuję ostrą selekcję stada.

- Co to oznacza? - zapytała Amanda, dostrzegłszy pomiędzy jego oczami dwie zmarszczki, wyrażające zatroskanie. Pozornie ten Australijczyk wydawał się wesoły i bez troski, jednak nie uzewnętrzniał wielu uczuć.

Odwrócił wzrok i zapatrzył się na wysychające wzgórza.

-- To znaczy, że jeśli utrzyma się obecna sytuacja, te pastwiska nie będą w stanie wyżywić wszystkich moich zwierząt. W związku z tym mogę albo pozwolić, żeby zagłodziły się na śmierć, albo sprzedać lub zabić połowę i mieć nadzieję, że te, które zostaną, okażą się na tyle silne, że przeżyją suszę. - Ściągnął wargi. - Jeżeli w ogóle się kiedyś skończy.

- Jeśli okres suszy będzie się przedłużał, kopalnie będą musiały zostać zamknięte - rzekł Whittaker. - Nie będziemy mieli żadnych zysków, jeżeli będziemy musieli tyle płacić już za samo wywożenie rudy z Gór Flindersa.

Amanda popatrzyła na niego zaskoczona.

- Naprawdę może do tego dojść?

- Obawiam się, że tak. To jeden z powodów, dla których mam się udać do Adelajdy. Muszę się zorientować, czy otrzymamy wsparcie na doprowadzenie tutaj linii kolejowej.

Patrick wypuścił powietrze z odgłosem, który Amanda nauczyła się już rozpoznawać jako śmiech.

- Nie ma na to zbyt wielkich szans.

- To prawda, ale powinniśmy spróbować. - Sięgnął do wysłużonej torby i wyjął cienką, kunsztownie oprawioną książkę. - Jeśli Liam znajdzie chwilę podczas mojej nieobecności, proszę mu przekazać, żeby zainteresował się tym przekładem *Medei*. Po moim powrocie zajmiemy się Eurypidesem i myślę, że byłoby dobrze, gdyby zapoznał się z angielską wersją, zanim zaczniemy borykać się z greckim oryginałem.

Amanda uniosła tomik w brązowej skórzanej oprawie i przebiegła palcami po wypukłych złotych literach.

- To jeden z przekładów mojego ojca -- powiedziała niemal szeptem.

- Tak. Proszę przekazać Liamowi, żeby dbał o tę książkę. Bardzo mi na niej zależy.

Uniósłszy wzrok, napotkała poważne spojrzenie brązowych oczu Christiana Whittackra i uśmiechnęła się.

- Już ja dopilnuję, żeby o nią dbał.

Wkrótce potem Christian odjechał. Miała nadzieję, że jej pracodawca również sobie pójdzie, lecz nie zrobił tego, mimo że atmosfera pomiędzy nimi była aż gęsta od skrywanej zmysłowości i resztek gniewu. Zajął się zbieraniem filiżanek i talerzyków na tacę. Kątem oka zauważyła, że Patrick O'Reilly wyciąga mocną opaloną rękę i unosi *Medea*.

- A więc pani ojcem był Angus Davenport? - Przejrzał pierwsze stronicie książki i odchrząknął. - Wielki oksfordzki uczony.

- Tak.

- Taki człowiek jak on pewnie miał dużo pieniędzy.

- Nie aż tak wiele, jak pan myśli. - Sięgnęła po imbryczek.

- Ale wystarczająco dużo, żeby jego córka nie musiała najmować się do pracy jako sekretarka czy guwernantka.

Czuła na sobie jego wzrok. Postawiła naczynie na tacy i zniechęciła ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

- Mój ojciec kochał uniwersytet oksfordzki i świat starożytnych Greków. Jego marzeniem było ufundowanie cyklu wykładów na temat tragiczków ateńskich, więc... - Przesunęła palcami po wdzięcznych krzywiznach porcelanowego czajniczka, który wciąż trzymała. - Nie chciałam pozbawiać go satysfakcji i przyjemności, jakie musiało mu dać to, że był w stanie zapisać uniwersytetowi fundusze na ten cel.

Patrick roześmiał się, lecz w jego śmiechu nie było ani cienia wesołości.

- Boże, dlaczego nie czuje pani urazy z tego powodu? Przecież to oczywiste, że pani bardzo na tym ucierpiała.

Amanda pokręciła głową, nie odrywając wzroku od różowo-zielonego kwiatowego wzoru, zdobiącego imbryczek, jakby była to najbardziej interesująca rzecz, jaką kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć.

- Mój ojciec zostawił mi sumę, którą uznał za odpowiednią na przyzwoity posag. Niestety, okazała się niewystarczająca na całe życie w przypadku niewyjścia za męża.

- A dokładnie kogo miała pani poślubić?

Uniosła wzrok i uśmiechnęła się smutno.

- Oczywiście miejscowego pastora. Nazywał się Smutley. Zabiegał o mnie przez osiemnaście miesięcy. Lubiłam z nim rozmawiać na temat literatury i filozofii i chyba z tego powodu nie odrzuciłam jego zalotów z odpowiednią siłą. Mój ojciec przypuszczał, że chcę wyjść za niego za męża.

Była zaskoczona spojrzeniem swego pracodawcy.

- Za pastora? - Ukazał zęby w niespodziewanym uśmiechu. - Najwyraźniej ojciec nie znał pani zbyt dobrze.

Jak się tego domyśliłeś? - miała ochotę zapytać, ale się powstrzymała.

- Tak, mój ojciec zupełnie mnie nie znał. - Nawet nie starał się mnie poznać, dopowiedziała w duchu.

Patrzyła, jak O'Reilly wstaje z krzesła i okrąża stół. Przyglądał się jej gorejącym wzrokiem. Zachodzące słońce złociło swym blaskiem jego silne nagie ramiona - miał podwinięte rękawy koszuli.

- Więc kto to był?

Nie odrywała wzroku od zagłębienia jego szyi.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Dobrze pani wie. - Był tak blisko Amandy, że mógł jej dotknąć, gdyby tylko miał na to ochotę. Zawsze zbliżał się na zbyt małą odległość, tak jakby wiedział, że to przyprawia ją o niepokój. W ogóle wydawał się wiedzieć o niej zdecydowanie za dużo.

Przysunął się jeszcze bliżej, tak że ich twarze prawie się dotykały. Popatrzyła na jego wargi.

- Kto nauczył cię otwierać usta do pocałunku? I obawiać się tego, co czujesz, kiedy mężczyzna cię dotyka?

Amanda napotkała jego pałający wzrok. Pomyślała, że jej chlebobawca jest jak ogień, niebezpieczny i nieprzewidywalny. Bała się go tak, jak każdy rozsądny człowiek boi się płomieni.

Przerażał ją Patrick O'Reilly i doznania, które ogarniały ją, gdy jej dotykał silnymi męskimi dłońmi.

Przełknęła z trudem ślinę i oderwawszy wzrok od jego oczu, zapatrzyła się na spalone słońcem góry.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- W porządku. - Niezwykle delikatnie pogładził jej policzek wierzchnią stroną dłoni. - I tak powiedziałaś mi większość rzeczy, które chciałem wiedzieć.

Amandzie wrzesień zawsze kojarzył się z opadaniem mokrych liści, szarymi mroźnymi porankami, ogniskami, nabrzmiałymi pomarańczowoczerwonymi owocami głogu i słodkim zapachem stogów siana. Lecz tutaj, w Górach Flindersa, ten miesiąc oznaczał przejście z ciepłej zimy do gorącej, przesyconej słońcem wiosny.

Wraz z nadejściem wiosny rozpoczynał się sezon strzyżenia owiec. W ciągu minionych dni rzadko widywała Patricka O'Reilly'ego, który spędzał większość czasu, odwiedzając chaty pasterzy poza terenem posiadłości, nadzorując kopanie kanału obok stodoły dla owiec oraz wykonując setki innych prac, o których miała bardzo mgliste pojęcie. Wmawiała sobie, że czuje ulgę, iż jest zbyt zajęty, by się nią interesować, a także tysiące innych rzeczy, o których dobrze wiedziała, że nie są prawdą.

Z początku przypuszczała, że jej pracodawca i jego ludzie sami będą strzyc owce, lecz kiedy powiedziała kiedyś o tym w czasie lekcji, Liam i Hannah wybuchnęli śmiechem.

- Tak jakby tata, pasterze i pomocnicy dali radę spędzić, umyć i ostrzyc setki tysięcy owiec - szydził Liam, trącając starszą siostrę łokciem pod żebro.

Tylko Missy siedziała cicho, z powagą wpatrując się w rozśmiane twarze rodzeństwa. Obróciła się w stronę siedzącej za biurkiem Amandy.

- Przyjeżdżają tu całe grupy wędrownych postrzygaczy, panno Davenport - wyjaśniła cicho. - Jeżdżą od farmy do farmy. Są

tacy dobrzy w tym, co robią, że niektórzy potrafią ostrzyć ponad sto owiec dziennie. Papa dawniej pracował jako postrzygacz, zanim ożenił się z mamą, więc strzyże bardzo szybko, ale nawet on potrafi ostrzyć tylko sześćdziesiąt w ciągu dnia.

- Dziękuję, Missy - powiedziała z wdzięcznością Amanda.

Po tym wydarzeniu dziewczynka uznała się za nieoficjalną nauczycielkę swej guwernantki w sprawach dotyczących owiec. Opowiedziała Amandzie, że najpierw owce muszą zostać przyprowadzone z odległych, rozproszonych pastwisk; mówiła o zwinnych, przygarbionych postrzygaczach, którzy potrafią strzyć runo tak blisko luźno przylegającej do ciała skóry zwierzęcia, że owca wygląda potem jak naga.

Dzięki Missy Amanda wzbogaciła swoje słownictwo o nowe dziwne określenia, oznaczające na przykład strzyżenie zadu owcy oraz niższych partii runa, i nieskończenie wiele nazw owiec, od skopów- kastrowanych baranów- i krnąbrnych owiec, strzyżonych na końcu danego dnia, po przerośnięte i małe. Dowiedziała się też, że Hannah i Liam, i właściwie wszyscy na farmie z wyjątkiem Missy i Amandy, przez sześć tygodni, a może nawet dłużej, będą pracować w stodole do strzyżenia owiec.

- A kiedy strzyżenie się skończy, papa zawsze urządza wyścigi konne i tańce - powiedziała pewnego dnia Missy, kiedy Amanda czesała niesforne włosy dziewczynki w przerwie pomiędzy lekcjami. - Ludzie przyjeżdżają tu z miejscowości oddalonych o wiele mil. Tańczą całą noc, a odjeżdżają, kiedy wschodzi słońce i robi się widno. - Wyciągnęła szyję, żeby przyjrzeć się skromnej sukni swej guwernantki i zmarszczyła czoło, zamyślona. - Czy ma pani jakieś ubranie na tańce? Jakaś ładną suknię?

Amanda uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Chyba nie. Trzymaj główkę prosto. - Chwyliła gęste jasne włosy i podzieliła je na trzy pasma, by zapleść warkocz. - To nie ma znaczenia. I tak nie wybieram się na tańce.

- Musi pani pójść! Przychodzą wszystkie guwernantki. I dzieci.

- Och, w takim razie chyba rzeczywiście będę musiała przyjść. Ale i tak nie będę tańczyć.

- Dlaczego? - zapytała Missy, prezentując nieugięty upór sześciolatniego dziecka.

- Jeśli nie będziesz patrzeć prosto, miła panienko, będziesz miała krzywy warkocz. - Amanda splótła pasma włosów. Po chwili dodała: - Guwernantka nie powinna być widziana w tańcu. To nic przystoi.

- Czy guwernantki nie mogą mieć trochę radości? zapytała Missy, znów odwracając głowę.

- Nie.

- W takim razie nie powinna pani być guwernantką.

Amanda roześmiała się.

- Nie? A kim, twoim zdaniem, powinnam być, Missy?

- Myślę, że byłaby pani miłą mamą.

Amanda znieruchomiała, poczuwszy ukłucie starego bólu. Kiedyś chciała mieć dzieci, przyciskać do piersi własne, słodko pachnące maleństwo; wyobrażała sobie, że czeka na jego pierwszy uśmiech. Marzyła o tym, by pomagać mu stawiać pierwsze kroki i obserwować, jak zachwyca się pięknem natury. Lecz dawno już zapomniała o tych potrzebach.

Zmusiła się do opanowania i splótła warkocz.

- Nie jestem mężatką, Missy • powiedziała cicho. - Nie pamiętasz?

- Przecież to można by było łatwo zorganizować. - Melissa odwróciła się twarzą do Amandy i położyła dłonie na jej kolanach. - Tutaj jest wielu mężczyzn, którzy potrzebują żon.

- Missy...

- Na przykład pan Campbell. - Dziewczynka zmarszczyła nos. - Ale on dziwnie pachnie i ciągle się przewraca, bo teraz za dużo pije, tak że myślę, że nie byłby z niego zbyt dobry mąż.

- Melisso, nie powinnaś...

- Mogłaby pani wyjść za pana Whittakera - kontynuowała niezrażona dziewczynka. - Nie pachnie i jest miły. Ale papa mówi, że jeszcze nie widział tak kiepskiego jeźdźcy, a poza tym pan Whittaker zabrałby panią do Anglii, a to by mi się nie podobało. Więc myślę, że najlepiej będzie, jeśli wyjdzie pani za papę. Wtedy będzie pani moją mamą i nigdy stąd nie wyjedzie, prawda?

Amanda patrzyła w ufną twarzyczkę Missy. Wiedziała, że jej propozycje nie były tak szczerze, jak by się mogło wydawać, nie zmieniało to jednak faktu, że dostrzegała prawdziwą tęsknotę i potrzebę czułości w oczach dziecka.

- Och, Missy. - Przytuliła dziewczynkę. - Któregoś dnia będziesz miała mamę. Zobacysz.

- Ja nie chcę jakiejś mamy, ja chcę pani.

- Ależ, Missy... - Urwała, słysząc wesołe okrzyki i wiwaty w spokojnym południowym powietrzu. Zwróciwszy się w stronę, z której dochodziły odgłosy, usłyszała szcęk uprząży i stukot kopyt na ubitej drodze.

- To postrzygacze! - krzyknęła Missy, chwyciła Amandę za rękę i pociągnęła za sobą. - Chodźmy zobaczyć!

12

Melissa poprowadziła swą guwernantkę przez ogród do bramy.

Tam Amanda przystanęła, zaskoczona widokiem tuzinów postrzygaczy na piaszczystej drodze. Większość z nich była zaniedbana, w łatanych moleskinowych spodniach, brudnych kapeluszach z miękkim rondem i z zarostem od dwudniowego do dwumiesięcznego. Byli też jednak mężczyźni eleganccy, wręcz dandysowaci, w bryczesach i wciętych surdutach.

- Ci w wysokich kapeluszach i z torbami z kangurzej skóry to bębniarze znad Derwent - wyjaśniła Missy, gdy razem przyglądały się kawalkadzie, sunącej od potoku w stronę zagrody dla owiec i kwater postrzygaczy. - Pochodzą z Tasmanii. Papa mówi, że strzygą powoli, ale są bardzo ostrożni. Widzi pani tych z tobołkami? Przyjechali z Sydney. Są bardzo szybcy, ale często kaleczą owce.

Słońce świeciło niezwykle jasnym blaskiem na nieskazitelnie niebieskim niebie. Amanda zdała sobie sprawę, że kolejny raz wybiegła z domu bez kapelusza. Jeśli nie będę uważała, zniszczę sobie cerę, pomyślała, czując, jak wiosenny wiatr owiewa jej uszy i szarpie włosami, zwiewając luźne pasemka na twarz. Uniosła rękę, chcąc wsunąć niesforne kosmyki za ucho...

I zdała sobie sprawę, że Patrick O'Reilly ją obserwuje.

Czuła na sobie jego wzrok jak falę gorąca. Odwróciła się

z wciąż uniesionym łokciem i dłonią na włosach. Ich spojrzenia się spotkały.

Zaganiał owce i właśnie wracał konno. Trzymał się w siodle prosto i lekko, a jego urodziwe ciało kołysało się w rytm jazdy, jakby stanowiło jedność z okazałym kasztanem. Zauważyła, że powiedział coś do jadących z nim mężczyzn i wszyscy się roześmiali. Dostrzegła dołki w jego policzkach i poczuła mrowienie w dole brzucha. Po chwili zobaczyła, że zawraca kasztana i kieruje się w stronę postrzygaczy. I ku niej.

Stała na skraju piaszczystej drogi i obserwowała, jak zbliża się do niej z przyprawiającym o niepokój błyskiem rozbawienia w zmrużonych niebieskich oczach, którego wcale nie zamierzał poskramiać, mimo że posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

Podmuch wiatru, niosący zapach końskiego włosia, skóry siodła i olejku eukaliptusowego zwał dalsze kosmyki włosów na jej czoło. Uniosła ręce, starając się ratować fryzurę.

Był już bardzo blisko niej. Mijając ją, pochylił się nisko.

- Widzisz? Nie dasz rady trzymać ich pod kontrolą, niezależnie od tego, jak bardzo będziesz się starała.

Oboje dobrze wiedzieli, że nie miał na myśli włosów.

Świeżo ostrzyżona owca popędziła przez zagrodę. Nagi różowy grzbiet błyszczał w ciepłym popołudniowym słońcu. Na tylnej części grzbietu, tam, gdzie postrzygacz ją zaciął, miała czarną plamę od smoły.

Patrick zagwizdał. Coś brązowo-czarnego wystrzeliło jak błyskawica w stronę owcy. Barrister zabiegł jej drogę i zawrócił. Bee. Owieczka wystawiła język i beczała, przerażona. Bee, bee. Nie zdawała sobie sprawy, że może się uważać za szczęśliwą. Była młoda, silna i zdrowa; pozwolono jej żyć.

Patrick otarł rękawem spocone czoło.

- Wyprowadź je, Grisham! - zawołał.

Pasterz skinął głową i zagwizdał na psy.

Jego pracodawca znów skupił uwagę na kłębiących się, beczących owcach. Wybrał tuzin skopów i dołączył je do stada,

które zamierzał pędzić do Port Augusta. Wiedział, że sprzedanie ich dla skór, łoju i kleju przyniesie niewielki dochód, jednak było to lepsze rozwiązanie niż podejrzenie im gardeł czy roztrzaskanie głów maczugą. Co czekało owce stare, słabe i bardzo młode.

Oderwał się od płotu.

- Jacko, zajmij się wszystkim na chwilę, dobrze?

Czarnoskóry mężczyzna przytaknął i usiadł na górnej belce ogrodzenia. Pracował w Penyace zaledwie trzy lata, lecz aborygeni doskonale znali zwierzęta. Jacko prawdopodobnie lepiej potrafił ocenić szanse owiec na przeżycie niż jego chlebobdawca.

Patrick odszedł od zamieszania, hałasu i zapachu zagrody i idąc z wiatrem skierował się na wzgórze. Na szczycie wzniesienia przystanął i zapatrzył się na swoje ziemie.

Gorący, suchy wiatr chłostał zbocza, wznecając obłoki szaroczerwonego pyłu, który częściowo zasłaniał widok. Nie było zieleni, tylko odcienie szarości, czerwieni i złota. Pozbawiona roślinności ziemia była spękana, postrzępione skały - kruche i wystawione na działanie promieni słonecznych jak wyschnięte szkielety martwych zwierząt. Czerwone skały. Szary piasek. Wyblakła sucha trawa.

Niżej zobaczył wielką starą kazuarynę, teraz na wpół wyschniętą, osłaniającą swym cieniem rodzinę małych kangurów. Z postawionymi uszami, ruszając nosem, matka z małym uniosła głowę i popatrzyła na Patricka. Znieruchomiał, ale kangurzyca i tak uciekła wielkimi skokami. Usłyszał dudnienie jej potężnych stóp, uderzających w twardą ziemię. Reszta kangurów oddaliła się za nią.

Kiedy dziesięć lat temu przyjechał tu po raz pierwszy, na stepach aż roiło się od mniejszych i większych kangurów, strusi emu oraz całych stad barwnie upierzonych kakadu, a miejscowe łabędzie były tak duże, że zdawały się zasłaniać skrzydłami niebo. Lecz owce zjadły trawę i krzewinki, które niegdyś stanowiły pokarm miejscowych zwierząt, a teraz nie tylko one ginęły. Umierała cała ta ziemia. Patrick nie był typem człowieka marnującego czas na bolesne rozpamiętywanie, lecz świadomość

tego, że w pewien sposób i on przyczynił się do zniszczeń, nie dawała mu spokoju.

Odwrócił się w prawo, ku suchemu skalistemu parowowi, który wybrał na miejsce rzezi. Jeszcze zanim usłyszał odgłosy śmiertelnie przerażonych zwierząt, poczuł mdłący zapach krwi, unoszący się w gorącym powietrzu. A potem dotarło do niego paniczne beczenie owiec, głucho uderzenia drewna o czaszki i odgłos martwych zwierząt padających na inne.

Doszedł do krawędzi parowu. Widział teraz owce, skupione w ciasne stado, oszalałe z przerażenia, bezładnie potrząsające łbami, z wywieszonymi językami. Małe kopytka dreptały w miejscu, wzniesając obłok piachu, unoszący się nad miejscem rzezi niczym całun.

Czarnoskórzy mężczyźni torowali sobie drogę przez stado, co chwila unosząc maczugi; błyskały noże. Mógł zastrzelić owce, ale oznaczałoby to konieczność użycia dziesiątek tysięcy sztuk amunicji i zatrudnienia ludzi, którzy byli mu potrzebni do innych zadań. Najął więc znajomych Sally, a płacił im, pozwalając zatrzymać tyle owiec, ile tylko będą chcieli.

Wiedział, że większość białych uznałaby go za szaleńca z powodu tego, że pozwalał aborygenom przyzwyczajając się do smaku baraniny. Nie mógłby jednak patrzeć na płonące owce, wiedząc, że dzieci głodują.

A aborygeni naprawdę głodowali. Ich życie zbyt mocno było zrosnięte z tą ziemią. Stanowili jej część, podobnie jak kangury i kakadu. I podobnie jak kangury i papugi, umierali.

Pinba uniósł wzrok i uśmiechnął się, dostrzegłszy Patricka. W rękę trzymał zakrwawioną maczugę. Zabijanie owiec nie mąciło spokoju aborygenów. Zgodnie z ich mentalnością owce nie były częścią tej ziemi, a w związku z tym znajdowały się poza znanym im kręgiem życia.

Lecz stanowiły część życia Patricka. Przez ostatnie jedenaście lat powiększał swoje stada, a teraz był zmuszony je niszczyć.

Zacisnąwszy szczęki, wyjął nóż z pochwy u pasa i zanurzył się w falujące morze perłoworóżowych owiec, czarnoskórych aborygenów i jasnoczerwonej krwi.

Amanda siedziała na werandzie, czytając jedną z bajek Ezopa Missy, która z zadowoleniem leżała wtulona w zagłębienie jej ramienia.

- Możemy przeczytać następną? - poprosiła, kiedy Amanda skończyła.

- Chyba nie. Zaraz wszyscy wróca.

Missy popatrzyła na nią dużymi niebieskimi oczami, tak bardzo podobnymi do oczu jej ojca.

- Dlaczego nie poszła pani oglądać strzyżenia? Myślałam, że chce pani to zobaczyć.

Amanda poczuła, że nie może dłużej patrzeć w te niebieskie oczy.

- Może pójde tam któregoś dnia - skłamała. Prawdę mówiąc, nie chciała iść do stodoły, w której Patrick O'Reilly i jego ludzie tak ciężko pracowali w ciągu dnia. Byłoby to zbyt jednoznaczne, za bardzo zdradzałoby jej uczucia.

Dwa minione tygodnie upłynęły Amandzie na bezustannym wmawianiu sobie, że nie chce już mieć z nim do czynienia, że wystarczy tylko pokonać słabość, jaką u siebie odkryła. Że zwalczy te niebezpieczne, dziwne uczucia, które wzbudza w niej ten Australijczyk. A jednak...

A jednak wciąż nieustannie walczyła z pokusą, by spojrzeć na jego urodziwą opaloną twarz i silne ciało, i marzyła o tym, by usłyszeć jego łagodny, spokojny głos.

Coraz częściej przyłapywała się na tym, że wspomina nocne chwile przed kominkiem. Pamiętała dotyk jego twardych ramion, słodki smak pocałunków, reakcję jej ciała, drżącego, lecz cudownie pełnego życia w jego ramionach. Zdarzyło jej się nawet wyobrażać sobie przed snem, co by się stało, gdyby wtedy się nie powstrzymali.

Co by się wydarzyło, gdyby rozpięła suknię i rozchyliła koszulę, by mógł położyć opalone dłonie na jej piersiach? Czy pozwoliłaby mu na to? A na to, by wsunął ręce pod spódnicę i dotknął wewnętrznej strony ud? Czy pozwoliłaby mu zabrać tam, gdzie tak bardzo chciała poczuć jego dotyk?

Były to złe, niebezpieczne myśli.

W dodatku bezużyteczne, jako że Patrick O'Reilly poważnie potraktował jej prośbę i nie starał się już jej pocałować ani nawet dotknąć. Powinna była czuć ulgę, wręcz chciałaby ją czuć. Tymczasem zdała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy marzy o tym, żeby znów jej dotykał i całował.

- O, idzie Sally! - zawołała Missy, zsuwając się ze stołka. Amanda chwyciła książkę, nim spadła na posadzkę. Z wyrozumiałym uśmiechem patrzyła, jak dziewczynka biegnie przez ogród i w dół wzgórza ku aborygencie, idącej pomiędzy Liamem i Hannah. Sally spędzała całe dnie w stodole, pracując wraz z innymi. Missy powiedziała, że Sally obcina brudne krawędzie runa, a potem przekazuje je do oceny i złożenia w bele.

Liam pierwszy doszedł do domu. Przystanął na werandzie, by napić się wody z brezentowego zbiornika. W tym czasie Barrister okrążył go trzy razy, po czym przysiadł, ciężko dysząc z wyczerpania.

- Dobry wieczór, Liamie - odezwała się Amanda, starając się nadać swojemu głosowi jak najuprzejmiejsze brzmienie. W obecności tego chłopca zawsze zachowywała czujność, choć starała się tego nie okazywać. Liam nigdy nie wybaczył jej tego, że udało jej się przekonać ojca, by nie pozwalał mu na popijanie z woźnicami, i wiedziała, że jest tylko kwestią czasu, kiedy chłopak znajdzie sposób, by się na niej odegrać.

Skinął głową, po czym odwrócił wzrok i popijał wodę. Miał mokrą od potu, pobrudzoną twarz, a kasztanowe włosy przywarły do czaszki. Amanda pomyślała, że praca przy strzyżeniu owiec musi być bardzo ciężka.

Zamierzała otworzyć książkę, lecz powstrzymała się, usłyszawszy dziwny odgłos w oddali. Uniosła głowę, nasłuchując. Był to dźwięk niepodobny do tych, jakie kiedykolwiek słyszała, niezemskie zawrodożenie rozchodzące się echem wśród gór i przenikające prosto do duszy Amandy. Nie można było go nazwać ani wyciem, ani brzęczeniem; wibrował, rósł i opadał, a czasami nawet przybierał nosowe brzmienie. Ten dziwny, upiorny odgłos był jak wspomnienie pierwotnego echa, rozchodzącego się po górach, dobiegającego zewsząd i znikąd.

- Co to jest? - zapytała Amanda, przyciskając dłoń do piersi, gdzie jej serce biło szybko i mocno.

- Co? - odpowiedział pytaniem Liam, nalewając sobie nową porcję wody.

- Ten... ten dziwny hałas.

Uniósł kubek i popatrzył na nią.

- Jaki hałas?

- Ten dźwięk. To brzęczenie, puisowanie. Przecież też musisz to słyszeć?

Powoli pokręcił głową.

- A pani coś słyszy?

Amanda otworzyła usta, by go skarcić, ale po chwili się rozmyśliła i zacisnęła wargi.

Liam spokojnie pił wodę.

- Aborygenki opowiadają legendę o zamordowanej dziewczynie, która jęczy o zmierniku, ale sądzę, że tylko kobiety, które mają umrzeć, słyszają głos. To kobieca tajemnica, więc niewiele mogę powiedzieć na ten temat. Ale Hannah wszystko pani opowie.

- Już słyszałam tę historię - odparła sucho Amanda. - Gdzie jest Hannah?

Liam ruchem głowy wskazał ogród.

- Tam.

Amanda odwróciła się. Sally i Missy weszły do domu, lecz Hannah pojawiła się właśnie w bocznej bramie, tak samo brudna jak jej brat.

- Ej, Hannah! - zawołał Liam. - Panna Davenport mówi, że słyszy jakiś dziwny hałas.

Brat i siostra popatrzyli na siebie. Amanda miała wrażenie, że Hannah na chwilę zwolniła kroku, a przez twarz, która wyrażała szczere zatroskanie, przemknął cień uśmiechu. A może był to tylko odbłask zachodzącego słońca?

- Boże, mam nadzieję, że to nie... - Przystanęła i uciekła ze wzrokiem, jakby się bała mówić dalej.

- Chyba mi nie powiesz - zwróciła się do niej Amanda że to wasz domowy duch, który przyszedł mnie straszyc. Co on ma zrobić? Przepowiedzieć moją nieuchronną śmierć?

Brat i siostra znów na siebie popatrzyli, ale żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Najwyraźniej byli mistrzami tej gry.

Jakieś poruszenie na werandzie skierowało uwagę Amandy ku owczarkowi Liama. Barrister nagle stał się czujny, uniósł łeb. nastawił uszy, przestał machać ogonem.

- Popatrzcie na Barristera - powiedziała Amanda. - On też to słyszy. Prawda, Barrister?

Jakby w odpowiedzi pies wstał i przez chwilę wpatrywał się w odległe jęczące góry, po czym odchylił łeb i zawył tak jak dziki dingo, a nie udomowiony pies.

- Dlaczego on to robi? - zapytała..

Hannah ściągnęła wargi w wyrazie zaniepokojenia.

- Aborygeni mówią, że kiedy pies wyje bez powodu, to znaczy, że widzi ducha.

Amanda popatrzyła na Barristera, a potem bez słowa wzięła książkę i weszła do domu.

Wspomnienie tego dziwnego niezemskiego wycia niepokoiło ją jeszcze długo po ustaniu odgłosów.

Była niespokojna i czuła się jak w nie swoim ciele. Wróciła do pokoju zaraz po kolacji, ale nie zdjęła ubrania. Próbowała czytać książkę, lecz nie mogła się skupić. W końcu, zniecierpliwiona, otworzyła drzwi i wyszła na werandę.

Dzień był niezwykle upalny, co wprawiało w przerażenie, zważywszy na to, że był dopiero koniec września. Nawet teraz, kiedy słońce już dawno temu zniknęło za odległymi górami, wciąż wiał gorący wiatr, wysysający wilgoć z ziemi i wszytkiego, co na niej żyło.

Czując błogi spokój nocy, Amanda wyszła aż do ogrodu. Rozpościerające się nad nią niebo było bezlitośnie czyste i usiane miriadami błyszczących, migoczących gwiazd. Na sam ten widok poczuła ściskanie serca. W pobliżu zachodniego muru zauważyła młody angielski wiąz, rzucający cienie, które rozpościerały się jak długie palce na bladostrebrnym dywanie wyschniętej trawy na wzgórzu. Amanda słyszała, jak liście szeleszczą

w gorącym wietrze. Miała wrażenie, że drzewo do niej przemawia, mówi, że to nie jest jej miejsce na ziemi.

To nie było jej miejsce.

Popatrzyła na czarny masyw wysokich Gór Flindersa, wzno-
szących swe poszarpane krawędzie na tle usianego gwiazdami
nieba. Zza tych gór wiał wiatr, powstający gdzieś w pustym,
nieznanym środku tego kontynentu. Niósł mocne, suche zapachy
pustyni zmieszane z bliższym, słodkim aromatem angielskich
kwiatów.

Zauważyła go wtedy, stojącego na skraju ogrodu, z rękami
opartymi o niski kamienny mur i wzrokiem utkwionym w ota-
czające ich góry. Miała wrażenie, że jego nieruchoma sylwetka
promieniuje napięciem, unoszącym się wokół niego w ciepłym
powietrzu.

Missy powiedziała jej o tym, że zaczęła się rzeź owiec.
Amanda pomyślała wtedy, że to musi być straszne, jednak
patrząc teraz na Patricka O'Reilly'ego, doszła do wniosku, że
nie ma pojęcia o tym, jak bardzo jest to przerażające.

Wahała się, czy do niego podejść. Wyczuła jednak, że jest
zmartwiony, a poza tym pulsowały jej w głowie wspomnienia
jąkliwych odgłosów. Dźwięki ustały, zanim jej pracodawca
wrócił do domu na kolację, ale musiał je słyszeć i na pewno
wiedział, co to było.

Podeszła do niego bezszelestnie. Słyszała, jak głośno, niemal
gniewnie wypuszcza powietrze; zauważyła poruszenie szyi,
kiedy przełykał z trudem ślinę. Przystanąła, mając wrażenie, że
przekracza pewną granicę i wkracza na prywatny teren.

Dawniej myślała o nim jako o człowieku, który nigdy niczego
nie traktuje poważnie, wyśmiewa wszystko, a szczególnie rzeczy,
które dla niej mają wyjątkową wartość. Teraz, obserwując, jak
mocno zaciska szczęki i wpatruje się w umierającą ziemię,
zastanawiała się, jak mogła tak źle go ocenić.

- To niedobry wiatr - rzekł, nie odwracając głowy.

Zdała sobie sprawę, że musiał słyszeć, jak nadchodzi.

- Nie mogę się przyzwyczaić do tego, że gorący wiarr wieje
z północy - powiedziała.

- Moja matka też nie mogła się do tego przyzwyczaić. - Odwrócił się, oparł prawym biodrem o mur, przybierając jedną ze swoich nonszalanckich póz, lecz tej nocy wszystko wyglądało jakoś inaczej.

- Pańska matka była Angielką? - zapytała zaskoczona Amanda.

- Tak. Przyjechała tu jako mała dziewczynka, kiedy jej ojcu zredukowano pensję po Waterloo.

Odchylił głowę i popatrzył na nią, imitując jej a może jego matki? - akcent.

- Pułkownik James Fitzroy Beaumont trzeci - oznajmił. - Z hrabstwa Kent. Walczył u boku Wellingtona. - Zerknął na Amandę i dodał już bez angielskiego akcentu: - Podobnie jak generał Whittaker.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

- Ale zabrzmiało.

Był w pozornie tylko beztroskim, niebezpiecznym nastroju. Nigdy dotąd go takiego nie widziała. Lecz nigdy też nie widziała go po tym, jak spędził tydzień, zarzynając tysiące swoich owiec.

- Urodził się pan na Tasmanii? - zapytała ostrożnie.

- Tak.

- Słyszałam, że Tasmania bardziej przypomina Anglię.

- Tak. Ale mój ojciec wyjechał stamtąd tuż po moim urodzeniu i założył nową farmę w stanie Wiktorii. Na początku było tam bardzo ciężkie życie, szczególnie dla kobiety wychowanej tak jak moja matka. Zanim zaczęło mu się dobrze powodzić, już jej nie było.

- Umarła młodo? Tak mi przykro.

Zaśmiał się nieprzyjemnie, gorzko.

- Nie. Prawdopodobnie jeszcze żyje. Kiedy miałem dwanaście lat, doszła do wniosku, że jest zmęczona Australią i Irlandczykiem, którego poślubiła, oraz czwórką dzieci, które z nim miała. Więc znalazła sobie Angolę i wróciła z nim do Anglii.

Boże, pomyślała Amanda, wpatrując się w urodziwą okrytą cieniem twarz. Powiedział to beztroskim tonem, ale usłyszała nutę goryczy w jego głosie, dostrzegła w nim zranionego,

porzuconego chłopca, którym niegdyś był. Pomyślała o jego żonie Angielce, która również nienawidziła Australii i która także go porzuciła. I po raz pierwszy w życiu zawstydziła się tego, że urodziła się w Anglii.

- Nic dziwnego, że tak nie lubi pan Anglików - powiedziała łagodnie.

- Nic dziwnego. - Wykrzywił wargi w uśmiechu, który trącił czułą strunę w jej sercu. - Jestem przecież Irlandczykiem. Nienawiść do Anglików jest częścią naszej narodowej tożsamości.

- Ale jest pan w połowie Anglikiem. - Zdała sobie sprawę, że jej chlebodawca jest nie tylko w połowie Anglikiem, ale w dodatku jest znacznie szlachetniej urodzony, niż to sugerował. Kiedyś miałyby to dla niej znaczenie. Właściwie nadal powinno mieć, lecz z jakiegoś powodu stwierdziła, że zupełnie nie jest to dla niej ważne.

Pokręcił głową.

- Proszę mi o tym nie przypominać. - Odwrócił się i znów zapatrzył na dolinę. -- A właściwie z jaką sprawą pani tu przyszła? - zapytał po chwili.

Zawahała się. Silny wiatr niemile drażnił jej uszy i szarpał krajem spódnicy.

- Najwyraźniej przyszła tu pani z zamiarem powiedzenia mi czegoś. Więc co to takiego?

Stanęła przy nim, obok, ale nie za blisko.

- Dziś po południu słyszałam dziwne odgłosy. Myślałam, że może pan mi powie, co to było.

- Jakież odgłosy? - Popatrzył na nią. - Jakież odgłosy?

- W tym problem. Nawet nie wiem, jak je opisać. Były... niesamowite. Przypominały wycie wiatru, jęki zwierzęcia, tyle że były głośniejsze, wyraźniejsze. Trwały i trwały. Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że ich nie słyszał?

- Nie słyszałem. Ale gdyby kiedykolwiek była pani w cuchnącej i hałaśliwej stodole w czasie strzyżenia owiec, wcale by się pani temu nie dziwiła. Kiedy słyszała pani te odgłosy?

- O zmierzchu, kiedy Liam i Hannah wracali do domu. Jestem

pewna, że je słyszeli, ale z jakiegoś powodu woleli udawać, że nie słyszą. Pomyślałam, że chcą mi zrobić jakiś figiel.

Patrzyła, jak wiatr trzepocze kędziorami na jego szyi. Miała wielką ochotę dotknąć go w tym miejscu, poczuć puls, bijący w zagłębieniu szyi.

- Chce pani, żebym z nimi porozmawiał? - zapytał.

- Och, nie, proszę tego nie robić - powiedziała pośpiesznie. - Po prostu myślałam, że będzie mi pan mógł powiedzieć, co to było, i to wszystko. Dziękuję. Dobranoc.

Skierowała się w stronę domu, lecz powstrzymał ją, chwytając za nadgarstek. Wzięła głęboki oddech. Ich spojrzenia się spotkały.

- Zostań - powiedział poważnie. Chwytał ją za rękę i przyciągnął do siebie, jednocześnie otaczając ramieniem tak, że jego dłoń spoczęła na pośladku Amandy.

Byli tak blisko. Ocierał się o nią udem, a ona mogła przycisnąć piersi do jego torsu, gdyby rozsądek nie kazał jej trzymać rozłożonej dłoni na brzuchu O'Reilly'ego, tworząc w ten sposób odrobinę dystansu.

Popatrzyła na jego wyrazistą twarz. Miała wrażenie, że przekazuje jej swą energię, chwyta w pułapkę, pobudza na jakimś pierwotnym, podświadomym poziomie odczuwania. Już samo przebywanie w jego towarzystwie sprawiało, że robiło jej się ciepło, że serce biło szybciej i przenikały ją dziwne dreszcze, promieniujące w dół brzucha.

- Zostań - powtórzył, zniżając głos do szeptu.

Serce załomotało dziko w piersi Amandy. Nie mogła już dłużej wpatrywać się w jego gorejące oczy. Opuściła wzrok i popatrzyła na guziki niebieskiej koszuli roboczej, okrywającej szeroką męską pierś.

- Obiecał pan, że nie będzie już mnie całował - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

- Nie będę próbował cię całować. - Pogładził kciukiem jej palce.

Był to zwykły dotyk, który jednak niepokojąco ją pobudził. Wiedziała, że nie powinna mu na to pozwalać, lecz doznania były tak miłe, że się im poddała, żałując, iż nie ma siły, by uciec od niego i od tego, co czuje.

- Obiecuję, że nie będę cię całował - powtórzył ściszym intymnie głosem, przysuwając wargi niepokojąco blisko do jej ucha. - Tylko... zostań.

Nie wypuszczając jej dłoni, zaczął powoli, kolistymi ruchami gładzić jej plecy i biodra. Ogarnęła ją fala gorąca. Wstrzymała oddech, zapomniała o wszystkim; istniały dla niej tylko przeżycia wywoływane spokojnymi pieszczotami. Było to nawet bardziej podniecające niż pocałunki.

Opuściła powieki i poddała się nowym cudownym doznaniom, jakie niósł jego dotyk. Któż by uwierzył, że tak silny, twardy mężczyzna będzie zdolny do takiej delikatności, takiej rozbijającej czułości. Drżała i płonęła z chęci przywarcia do niego, złączenia się z nim.

- Nie powinnam była tu przychodzić.

- To jest ludzkie, Mandy. Wszyscy tego potrzebujemy. Ty tego potrzebujesz. - Zrobił pauzę. - Ja tego potrzebuję.

- Ale ja tego nie chcę - rzekła chrapliwie, mimo że powinna raczej powiedzieć: „Nie chcę tego, co dzieje się między nami”.

Wydawał się czytać w jej myślach, bo rzucił:

- Ja również nie.

- W takim razie dlaczego...

- Nie wiem dlaczego. - Wolną ręką dotknął jej twarzy. Dostrzegła w jego oczach pożądanie, głód i gniew, i cień zakłopotania będący jakby odbiciem jej odczuć. - Ale to się dzieje. Pragnę cię, Amando. A ty pragniesz mnie. Tylko że jest w tobie coś, co cię powstrzymuje. - Pogładził kciukiem jej dolną wargę. - Co to jest, Mandy? Co wydarzyło się w przeszłości, że się tak boisz, iż to się może powtórzyć, że idziesz przez życie, zaciskając swe piękne zmysłowe usta w cienką gniewną kreskę? Czemu tak się boisz okazywania uczuć, z wyjątkiem złości i pogardy?

Przez dłuższą chwilę nie była w stanie mu odpowiedzieć. Patrzyli na siebie. Miał brwi ściągnięte jakby w wyrazie prawdziwego zatroskania, jej pierś unosiła się i opadała, gdy z wysiłkiem zmuszała się do opanowania.

- To... - Przełknęła ślinę. - To nie ma nic wspólnego z tym,

co zdarzyło się w przeszłości - skłamała. - Powstrzymuje mnie tylko skromność, rozsądek, to co Francuzi nazywają *pudeur*

Kącki jego ust uniosły się w uśmiechu.

- Przynajmniej zdajesz sobie sprawę, że coś cię powstrzymuje od zrobienia tego, na co masz ochotę.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Zdała sobie sprawę, że Patrick O'Reilly jest mądrzejszy, niż jej się wydawało. Niedocенianie go weszło jej już chyba w krew.

Widząc jej zmieszanie, uśmiechnął się szeroko.

- Chcesz to ująć rozumowo, Mandy, i przegrasz tę bitwę, ponieważ ja odwołuję się do podstawowych praw natury, dzięki którym istnieje rodzaj ludzki, tymczasem ty mówisz o kulturowych upiększeniach, w żadnym wypadku niewystępujących powszechnie i stanowiących raczej wyjątek, a nie regułę.

- To jeszcze nie znaczy, że nie mam racji.

- Być może. - Powoli przesunął palcami po delikatnej skórze szyi, aż głośno zaczerpnęła tchu z rozkoszy. - Ale co ci to mówi? Co ci teraz mówi twoje ciało?

- Proszę - wyszeptała. - Przestań.

Lecz mimo że wypowiedziała te słowa, przesunęła wolną dłoń po jego torsie i objęła szyję, tak jakby chciała przyciągnąć go do siebie, jakby nie mogła znieść myśli, że może pozwolić mu odejść.

- Cii... nie walcz z tym, Amando. Pozwól, żeby to się zdarzyło. - Poczowała wilgotny, ciepły oddech, pieszczący jej ucho, i ogarnęła ją nowa fala gorąca. Zanim zdołała się powstrzymać, wygięła ciało w łuk i przywarła do O'Reilly'ego miejscem, w którym odczuwała najsilniejsze pożądanie.

- Ale to nie w porządku - szepnęła.

- Nieprawda. - Jego palce wzniecały w niej ogień swym tańcem na jej szyi. Rozpiął guziki wysokiego kołnierza sukni i obwiodł linię obojczyka. Zadrżała, pogrążona w wirze pożądania i rozkoszy.

A potem mocną dłonią ujął jej pierś.

Doznanie było tak intensywne, że omal nie krzyknęła. Usiło-

wała odskoczyć od niego, ale trzymał ją drugą ręką za pośladek, mocno przyciskając do siebie.

- Powiedz mi, co czujesz - powiedział cicho, zbliżając się ustami niepokojąco blisko jej warg. Pogładził kciukiem brodawkę sutka. Pod materiałem sukni i koszuli natychmiast zdradziecko zaznaczył się twardy koniuszek piersi.

Odwrociła głowę, uciekając od uwodzicielskiej bliskości jego ust, i zmusiła się do tego, by spojrzeć w puste równiny skapane w świetle księżyca. Słyszała pohukiwania sowy i szelest suchych liści eukaliptusów nad potokiem, jednak każdą cząstką swego ciała rejestrowała ciepło ręki spoczywającej na jej piersi, siłę męskich mięśni.

- Niesmak - odpowiedziała w końcu, z trudem łapiąc powietrze. - Czuję niesmak.

Roześmiał się cicho i powoli przesunął rękę, przyprowadzając Amandę o dreszcze.

- Popatrz na mnie i to powtórz. Jeśli ci się to uda.

Odwrociła głowę i popatrzyła mu w oczy.

- Czuję... czuję... - Zwilżyła językiem suche wargi. Delikatnie ugniatał jej pierś, wzniecając w niej ogień. - Czuję... - Zabrakło jej tchu, nie potrafiła wymówić dalszych słów. Gdyby to zrobiła, mogłaby zaprzestać pieszczot, a tego chyba nie byłaby w stanie znieść.

Pochylił się i pocałował ją w szyję.

- Przyjemność - powiedział chrapliwie. - Odczuwasz przyjemność, Amando. I pożądanie. Ciesz się tym. Przyznaj, że to lubisz.

- Nie.

- Dlaczego?

Chwyliła go oburącz za ramiona, wpijając palce w twarde mięśnie jego pleców. Z trudem zdała sobie sprawę, że w pewnej chwili musiał uwolnić jej dłoń i nie przyciska jej już do siebie. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Była beznadziejnie, nieodwracalnie schwyтана w pułapkę swych żądz i niezwykłej przyjemności, jakiej dostarczał jej wygłodniałemu ciału.

- Ech, Boże - jęknął. - Nie chciałem... ale nie mogę...

Zamknęła oczy, zagubiona, niesiona doznaniem, jakiego doświadczała, gdy zaczął uciskać jej brzuch, a potem cudownie powolnym ruchem wsunął ręce pod spódnicę i przesunął je w górę uda ku...

Z okrzykiem przerażenia odepchnęła go od siebie.

- Nie dotykaj mnie tam.

Cofnęła się i chwyciła za rozchyłony kołnierzyk sukni. Dotarło do niej, że w którymś momencie musiał rozpuścić jej włosy, tak że teraz swobodnie opadały na ramiona.

Znieruchomiał, oparty o mur ogrodu, z szeroko rozstawionymi nogami i piersią unoszącą się w rytm głębokich oddechów. Wpatrywał się w nią intensywnie z twarzą napiętą z pożądania i rozczarowania.

- Dobrze - powiedział. - Tam nie.

- Proszę mnie nigdzie nie dotykać. - Nerwowo zapinała guziki. - Obiecałeś, że nie będziesz.

Pokręcił głową i uśmiechnął się tak, że serce Amandy wezbrało czułością.

- Obiecałem, że nie będę cię całował. Nie przypominam sobie, żebym mówił coś na temat dotykania.

- Gdyby pan był dżentelmenem... - Starła się upiąć włosy, lecz większość szpilek gdzieś się zapodziała.

- Ale nie jestem. - Odepchnął się od muru z taką siłą, że aż się cofnęła. - Jestem nieokrzesanym Australijczykiem. I właśnie dlatego mnie lubisz. Bo łamię wszystkie zasady, więc ty nie musisz tego robić. Co oznacza, że możesz mnie całować i pozwalać, żebym cię dotykał, możesz się ożywiać i odczuwać przyjemność, a potem możesz zrzucać całą winę na mnie i wmawiać sobie, że to wszystko zdarzyło się tylko dlatego, że jestem gruboskórny i niekulturalny, i nieangielski.

Popatrzyła na jego szerokie spracowane ramiona, opalone policzki i zmrużone oczy. Wiedziała, że ma rację... ale tylko do pewnego stopnia.

Miała nadzieję, że nigdy nie dowie się reszty.

Wychyliwszy się w bok, zerwał gałązkę ołowicy, bujnie rosnącej przy murku. Jej białe kwiaty pięknie błyszczały w świetle

księżycu. Trzymając gałązkę, popatrzył na Amandę wzrokiem, w którym czaiło się wyzwanie.

- Nie możesz zaprzeczyć, że to, co się tu wydarzyło, spodobało ci się tak samo jak mnie.

Oczywiście, nie mogła temu zaprzeczyć. Wpatrywała się tylko w niego w milczeniu.

Kiedy wyciągnął rękę, cofnęła się gwałtownie.

- Nie ruszaj się. - Stała, cała drżąca, czując, że brak jej tchu.

Odgarnął jej włosy do tyłu i pogładził policzek.

- Ech, Mandy. - Westchnął. - Nie wiem, jak to się może skończyć. A chciałbym to wiedzieć.

- Będziemy musieli powściągnąć nasze pragnienia - powiedziała drżącym głosem, lecz z dumnie uniesionym podbródkiem. - Oboje jesteśmy dorośli i mamy wystarczająco silną wolę, żeby nie dać się unieść fizycznym skłonnościom.

W policzkach Patricka pojawiły się dołki.

- Problem polega na tym - rzekł, przesuwając dłonią wzdłuż jej boku - że to nie jest tylko fizyczne pożądanie, i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Gdyby chodziło wyłącznie o sprawy fizyczne, byłoby to dużo prostsze. Dla mnie i dla ciebie.

Szybko zaczerpnęła tchu, zdumiona... chociaż trudno byłoby jej powiedzieć, co zaskoczyło ją bardziej - odkrycie, że on zdaje sobie sprawę z jej uczuć, czy też przypuszczenie, iż sam zaangażował się bardziej, niż wydawało jej się to możliwe.

Patrzył na nią długo i uważnie, po czym przeniósł wzrok na dolinę oświetloną światłem księżycu.

- Lepiej idź już do domu.

Oderwawszy od niego spojrzenie, szybko skierowała się w stronę domu, lecz kiedy znalazła się na werandzie, nie potrafiła powstrzymać się od tego, by się nie odwrócić i raz jeszcze popatrzeć tam, gdzie stał, wysoki i urodziwy, na skraju ogrodu.

Przekonywała się w myślach, że na pewno nie dopuści już do tego, by coś podobnego jeszcze raz się zdarzyło. Wmawiała

sobie, że jest wystarczająco silna, by oprzeć się oczywistej słabości ciała.

Musiała być silna, jako że ich związek nie miał przyszłości. On był przywiązany do tego kraju, a ona była zdecydowana wracać do Anglii.

I ponieważ gdzieś żyła kobieta, Katherine O'Reilly, która wciąż formalnie była jego żoną.

13

Upiorne odgłosy powróciły następnego wieczoru, potem tydzień później, a następnie po upływie kolejnego tygodnia.

Jako że wszyscy, nawet Chow i Ching, pracowali przy stryżeniu owiec, w domu często przebywały tylko Missy i jej guwernantka. W ciągu dnia Amanda nie miała nic przeciwko samotności. Czasami wraz z Missy siodłały Calypso i Ivory'ego i wybierały się na przejażdżkę, zawsze trzymając się ścieżki, biegnącej wzdłuż koryta potoku, żeby się nie zgubić. Kiedy indziej znów zabierały książki i zeszyty dziewczynki na werandę i tam, na świeżym powietrzu, Missy uczyła się czytać i rachować.

Lecz kiedy zaczynało się ściemniać, a na wzgórzach kładły się długie cienie, Amanda zaczynała odczuwać niepokój, w napięciu czekając, czy znów nie rozlegnie się to nieziemskie wołanie.

Stała na skraju werandy z ręką opartą o balustradę i przyglądała się niewielkim kłębkom chmur nad niemymi, wyniosłymi górami, kiedy nagle usłyszała za sobą skrobanie o kamień.

Odwróciła się szybko.

- Och... Hannah. Przestraszyłaś mnie.

Dziewczynka przysunęła do siebie jedno z krzesel i usiadła na nim okrakiem jak mężczyzna.

Amanda oparła się o kolumnkę werandy i posłała jej wymowne spojrzenie.

- Czy coś jest nie w porządku? - spytała Hannah.

- Prawdę mówiąc, tak. To zdecydowanie nieodpowiednia pozycja dla młodej damy.

Dziewczynka zmrużyła oczy.

- Nie jestem damą.

- Nie mam zamiaru się z tobą spierać na ten temat - stwierdziła Amanda, zmęczona podświadomym oczekiwaniem na pojawienie się złowróżbnych odgłosów i wieloma nocami, w czasie których nie mogła zasnąć z powodu zbyt wielkiego napięcia. - Ale czy chcesz się do tego przyznać, czy nie, jesteś osobą płci żeńskiej i właśnie dojrzewasz. Już najwyższy czas, żebyś przynajmniej nauczyła się zachowywać jak dama.

- Powiedziałaś już pani, że nie chcę zachowywać się jak dama. Dlaczego miałabym to robić? One tylko leżą i czują się słabo, bo mają zbyt ciasno zasznurowane gorsety, albo stroszą się jak papugi. - Potrząsnęła głową, odrzucając do tyłu gęste kędziory.

Amanda pomyślała, że dziewczynka musiała umyć włosy po przyjeździe z zagrody, ponieważ lśniły świeżością; były czarne jak węgiel. Już teraz była bardzo ładną dziewczyną z dużymi brązowymi oczami i pięknie wyrzeźbioną twarzą w kształcie serca. Amanda była przekonana, że starsza córka Patricka O'Reilly'ego wyrośnie na piękną kobietę.

- Kiedy dorosnę, chciałabym być hodowcą albo woźnicą - oznajmiła Hannah. - I nie rozumiem, dlaczego miałoby nie być mi wolno tego robić. Jeźdź konno lepiej niż Liam i potrafię też lepiej strzelać z bicia.

Amanda patrzyła na tę dumną, buntowniczą i bardzo niešťczęśliwą dziewczynę i poczuła, że coś się w niej otwiera, odsłaniając starą ranę, wprawdzie zabliznioną, ale nigdy w pełni nie wyleczoną.

- Moja miła - odezwała się głosem pełnym ledwie skrywanej czułości. Usiadła na krześle obok wyprostowanej, spiętej dziewczyny. - Dobrze wiem, że to potrafisz. Jestem pewna, że bardzo się starałaś, żeby robić wszystko lepiej niż chłopcy w twoim wieku. Wiem to, ponieważ i ja taka byłam.

Hannah popatrzyła na swą guwernantkę ze zdumieniem.

- Nie mam na myśli pędzenia bydła i strzelania z bata - sprostowała Amanda. - Chłopcy, wśród których dorastałam, nie robili takich rzeczy. Ale uczyli się greki i łaciny, czytali dzieła filozofów, książki historyczne i inne uważane za nieodpowiednie dla młodych panienek. Dziewczęta w rodzinach takich jak moja miały się uczyć, jak być posłuszną i grać na fortepianie.

- Nie gra pani na fortepianie zbyt dobrze - zauważyła Hannah z lekkim uśmiechem. Amanda uczyła Missy i ją gry tylko wtedy, gdy sobie o tym przypominała. Ale nie myślała o tym zbyt często, a lekcje były zazwyczaj krótkie i zdecydowanie brakowało im entuzjazmu nauczycielki.

Odważyła się nakryć swą białą dłonią damy szczupłą opaloną rękę Hannah na oparciu krzesła. Dziewczynka drgnęła, ale nic cofnęła ręki.

- Myślę, że nie byłam taka odważna jak ty - przyznała Amanda, odwzajemniając uśmiech. - Nigdy nie próbowałam chodzić w spodniach ani zachowywać się jak chłopiec. Ale uczyłam się wszystkich tych rzeczy, których nie powinnam. I bardzo rzadko grałam na fortepianie.

- To pani też chciała być chłopakiem?

- Tak mi się wydawało. Dopiero dużo później zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę to chciałam zyskać miłość i uznanie ojca. Szczerze mówiąc, on prawie w ogóle nic zauważał mojej obecności. Więc myślałam, że gdybym urodziła się chłopcem, który pewnego dnia mógłby zostać uczonym jak mój ojciec, wtedy bardziej by się mną interesował. I mnie kochał.

Bała się, że lada chwila głos jej się załamie, ale kontynuowała:

- Tylko że, oczywiście, to nie spełniło swojego zadania. Choćbym nie wiem jak pilnie studiowała, i tak nie mogłam zmienić się w chłopca. I nic nie mogłam zrobić, żeby ojciec kochał mnie bardziej niż swoje książki i zimne kamienne budynki college'u.

- A pani mama? Czy ją kochał?

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze Amanda. - Umarła przy moim porodzie. Ale myślę, że nie darzył jej wielkim uczuciem. Stopniowo dochodziłam do wniosku, że są mężczyźni

po prostu niezdolni do tego, żeby kogoś głęboko pokochać, a jednym z nich był mój ojciec. To nie miało nic wspólnego z tym, jaka byłam.

Mówiąc to, Amanda zdała sobie sprawę, że popełnia błąd. Z pewnością Patrick O'Reilly był mężczyzną zdolnym do prawdziwej miłości i odczuwania silnych namiętności.

- Mój ojciec kocha Missy. Mówi, że traktuje ją inaczej niż mnie, bo jest młodsza i wymaga większej troski. Ale to nieprawda. Nigdy nie traktował mnie tak jak jej.

Potrzeba czułości, widoczna w aksamitnie brązowych oczach dziewczynki, była tak wielka, że Amanda musiała odwrócić głowę i zapatrzeć się w białe obłoczki wysoko na niebie. Nie wiedziała, co powiedzieć. Była pewna, że jej pracodawca kocha swoją pierworodną córkę, lecz nie ulegało wątpliwości, że ich związek nie należy do łatwych.

- To dlatego, że jestem do niej podobna - powiedziała z goryczą Hannah. - Do mojej matki. Ilekroć mnie spotyka, przypomina ją sobie i dlatego mnie nienawidzi.

- Och, nie. Na pewno...

Wargi dziewczynki wygięły się w smutnym uśmiechu.

- To prawda. Zaraz pani pokażę.

Odsunęła krzesło i weszła do domu, a po chwili wróciła, trzymając coś w dłoni.

- Proszę popatrzeć. - Położyła na stole piękną miniaturkę.

Amanda poczuła ściskanie w gardle na widok portretu młodej kobiety, wykonanego na kości słoniowej i oprawionego w złoty filigran. Była to bardzo kosztowna miniatura, zrobiona przez niezwykle zdolnego rzemieślnika. Przeniosła wzrok na Hannah.

- To twoja mama?

- Tak.

Przełknąwszy z trudem ślinę, Amanda dokładniej przyjrzała się podobiznie żony Patricka O'Reilly'ego.

Była niezwykle urodziwą kobietą. Miała pełne, pięknie wykrojone wargi, prosty, cienki nos i twarz w kształcie serca, tak jak Hannah, duże brązowe oczy, alabastrową cerę i włosy czarne jak noc.

- Widzi pani?

Amanda popatrzyła w piękną twarz dziewczynki, okoloną włosami w kolorze hebanu. Miała mocniejszy podbródek niż matka i przenikliwe, inteligentne spojrzenie charakterystyczne dla całej trójki dzieci O'Reilly'ego. Lecz pod innymi względami Hannah była kopia matki.

Amanda jeszcze raz spojrzała na miniaturę.

- Twoja mama jest bardzo piękna.

Dziewczynka uniosła podobiznę i wpatrzyła się w nią z dziwną mieszaniną tęsknoty i innych -gwałtowniejszych -uczuć, niebezpiecznie bliskich nienawiści.

- W rzeczywistości jest nawet ładniejsza.

- Pamiętasz ją?

- Oczywiście. Miałam pięć lat, kiedy odeszła-

- A Missy była maleńkim dzieckiem.

- I co z tego wynika?

- Czy kiedyś pomyślałaś - zaczęła Amanda, starannie dobierając słowa - że być może to jest powód, dla którego twój ojciec inaczej traktuje Missy? Dlatego, że wychowywał ją sam od okresu niemowlęctwa? To, że nigdy nie znała matki, musi być dla niej trudne i twój ojciec pewnie czuł, iż powinien jej to jakoś wynagrodzić.

Widząc skupiony wyraz twarzy Hannah, dornysliła się, że takie wyjaśnienie nigdy jeszcze nie przyszło jej do głowy. Brązowe oczy dziewczynki wręcz zapłonęły rozpacziwą nadzieją, po czym nagle zgasły, jakby nie chciała uwierzyć w taką wersję.

- Dla mnie też to nie było łatwe.

- Rozumiem. Wcałe tak nie uważam. Ale świetnie potrafisz skrywać swój ból. Być może twój ojciec nigdy się nie domyślił, jak bardzo to wszystko przeżywałaś.

Hannah przyjrzała się jej uważnie, aż Amanda doświadczyła dziwnego wrażenia, że dziewczynka zobaczyła więcej, niż jej guwernantka chciałaby ujawnić.

- Pani też wychowywała się bez matki.

Amanda westchnęła.

- Tak. I masz rację... to nigdy nie jest łatwe, bez względu na

wiek. To jedno z tych doświadczeń, z którymi zostaje się na całe życie.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, lecz było to milczenie pełne zrozumienia, jako że łączyła je szczególna więź, zrodzona z tego samego rodzaju bólu.

Amanda powoli odsunęła krzesło.

- Muszę już iść, jeśli mam zdążyć przebrać się do kolacji.

Kiedy wstała, zauważyła Sally, stojącą w cieniu i przyglądającą się jej uważnie. Ostatnio Amanda często widywała aborygenkę obserwującą ją w milczeniu, kiedy przebywała z dziećmi.

- Czy chciałaś mi coś powiedzieć, Sally?

Ciemnoskóra kobieta popatrzyła na spalone słońcem góry.

- Dużo kangury i pałanki giną - powiedziała z nieobecny, wręcz przerażającym wyrazem oczu. - To niedobra dla tubylcy. Niedługo tubylcy też zginą.

Zaniepokojona Amanda popatrzyła na Hannah.

- Nie rozumiem.

- To znaczy, że umierają - wyjaśniła dziewczynka. - Chcesz, żeby Jacko to zrobił? - zwróciła się do Sally. - Zgodzisz się?

- O co chodzi? - zapytała Amanda.

- Papa chce, żeby Jacko odańczył taniec deszczu. Ale Jacko powiedział, że nie zrobi tego, dopóki Sally mu nie pozwoli. To jej bratanek, a ona uchodzi za potężną czarownicę.

Aborygenka przytaknęła.

Jacko zrobić deszcz dla O'Reilly.

Amanda uśmiechnęła się.

Chyba pan O'Reilly nie wierzy... - Urwała gwałtownie, zauważywszy odrażającą postać na werandzie.

Ten ktoś trzymał się prosto jak człowiek. Lecz jego ciało połyskiwało w słońcu czerwienią i bielą i miało pióra. Amanda była bliska krzyku, ale udało jej się opanować, zanim naraziła się na śmieszność, ponieważ po chwili zorientowała się, że ma przed sobą Jacka.

Zdjął ubranie pasterza i pomalował nagie ciało białą gliną i czerwonawą ochrą, zmieszaną z olejem, a potem oblepił się

strusimi piórami. Obok niego stał Patrick O'Reilly, trzymający jakieś naczynie z kory i torbę z sitowia.

- Gdzie chcesz zacząć? - zapytał, przechodząc na trawnik z rumiankami.

- Tu będzie dobrze - odparł Jacko, robiąc niewielki obrót. Władał angielskim zdecydowanie lepiej niż jego ciotka. W gruncie rzeczy jego angielszczyzna była na tle poprawna, że wręcz dziwiła w ustach tego nagiego, prymitywnie wymalowanego mężczyzny.

Patrick odłożył torbę i wydrążone naczynie, które, jak Amanda zdążyła się zorientować, było pełne wody, po czym wrócił na werandę. Ujrawszy Amandę, zmieszał się nieznacznie.

- Dzień dobry, panno Davenport. Pani też będzie się przyglądać?

Ich spojrzenia się spotkały i przez chwilę wspomnienia wydarzeń minionej nocy i wszystkich związanych z tym emocji wydawały się drgać w gorącym powietrzu. Poczowała, że płoną jej policzki, i zaczyna brakować tchu. Popatrzyła na niego, na rozjaśnione słońcem włosy, proste ciemne brwi i zmrużone niebieskie oczy, i zauważyła, że usta Patricka wyginają się w leciutkim uśmiechu. Szybko przeniosła wzrok na nagiego pasterza.

- Chyba nie wierzy pan w te miejscowe legendy? - zapytała.

Stanął obok niej; jego rozgrzane słońcem ciało znalazło się niebezpiecznie blisko.

- A dlaczego miałbym nie wierzyć? - Zsunął kapelusz z czoła. - W swoim życiu widziałem wystarczająco wiele rzeczy, których nie da się wyjaśnić za pomocą naturalnych praw ani religijnych przekonań. Poza tym wydaje mi się niemożliwe, żeby Bóg wręczył wszystkie klucze świętości i mądrości Europejczykom, skazując całą resztę świata na duchową zagładę.

- To bluźnierstwo - powiedziała natychmiast.

- Może. - Przynął się bliżej. - Ale sam przykleiłbym sobie kurze pióra i tańczył na ulicach Brinkman nago, gdybym wierzył, że w ten sposób mogę ocalić ten kraj.

Popatrzył na nią wyzywająco, tak jak czynił to już wiele razy,

tyle że teraz nagle poczuła się kimś mniej ważnym niż on, mniej ważnym, niż jej się dotychczas wydawało. Przełknęła ślinę, czując, że trudno jej będzie wydobyć głos ze ściśniętego gardła.

- Mógłbyś mi objaśnić, na czym polega ta ceremonia? - poprosiła cicho.

Patrzył na nią przez chwilę błyszczącymi niebieskimi oczami, po czym ruchem głowy wskazał Jacka, klęczącego na ziemi i wyjmującego z torby małe gładkie kamyczki i układającego je w stos.

- Te deszczowe kamienie są z Cadnowie - powiedział, gdy aborygen umieścił oszlifowany kryształ na szczycie piramidy czerwonych i szarych kamieni. - To oczko wodne nigdy nie wysycha, więc jest uważane za miejsce pozwalające uzyskać kontakt z duchem deszczu.

Jacko wyprostował się i uniósł pełne naczynie.

- Woda w tym naczyniu z kory też pochodzi z Cadnowie - objaśnił Patrick. Jacko zaczął się poruszać, potrząsając ciałem w rytmicznych, szybkich podskokach. - Widzisz tę zieloną gałązkę, którą trzyma w rękę? To z *Hakea leucoptera*. Korzenie tych drzew są dobrym źródłem wody, jeśli ktoś zgubi się w buszu.

Nagle ciemnoskóry mężczyzna odchylił głowę do tyłu i wydał dziwny zwierzęcy skowyt.

- Na totemie Jacka jest dziki pies dingo - wyjaśnił Patrick. Pasterz tańczył dookoła kamieni powolnymi, rytmicznymi krokami, jego głos to unosił się, to opadał w monotonnym zaśpiewie. - To część tego, co łączy go z tą ziemią.

Jacko zanurzył gałązkę w naczyniu z kory i spryskał nią kamienie. Krople zaślniły jak brylanciki w późnym popołudniowym słońcu.

Chłodniejszy powiew wiatru zakołysał kwiatami w ogrodzie. Amanda spojrzała w niebo i zobaczyła, że rozproszone białe obłoczki, które widziała wcześniej, złączyły się w jedną wielką chmurę, wiszącą nad ogrodem.

Jacko wirował, wychylony w przód, ze zgiętymi kolanami. Jego głowa drgała rytmicznie w przód i w tył, jakby do taktu cichej muzyki. Znowu poczuli podmuch wiatru, który zatrząsał

wysokimi gałęziami drzew i uniósł włosy z czoła Amandy, niosąc wilgotne powietrze.

I wtedy zaczęło padać.

- Podziałało! - zawołała Hannah.

Duże rzadkie krople spadały głośno, napełniając powietrze zapachem kurzu i wilgotnej ziemi. Amanda słyszała, że krople bębnią o dach, widziała, jak liście drzew i krzewów w ogrodzie drżą pod ich uderzeniami.

Lecz gorące słońce wciąż jasno świeciło nad otaczającymi ich górami.

Jacko przerwał taniec i powoli się wyprostował.

- Pada - powiedział z niezadowoleniem, rozglądając się. - Ale tylko w tym ogrodzie.

Sally potrząsnęła głową, jakby miała ochotę powiedzieć: „Wiedziałam, że to nie zadziała”.

- Duch susza nie brać deszczowe kamień z ogień, aż wszystkie owce zginać - powiedziała i ruszyła do domu.

Patrick wyszedł przed werandę.

- Nadal pani w to nie wierzy, panno Davenport? - zapytał, kiedy krople spadały na jego kapelusz i ramiona.

- Ten deszcz i tak by spadł - upierała się, chociaż wcale nie była pewna, czy w to wierzy. - Już wcześniej zauważyłam chmury.

Rozłożył ręce wewnętrzną stroną dłoni do góry i uniósł twarz ku niebu. Deszcz ustawał, chmury rozprasały się. Lecz, ku swojemu zdumieniu, Amanda dostrzegła dołeczki w policzkach Patricka i usłyszała jego tubalny śmiech.

- Dobrze i to - powiedział. - Przynajmniej Chow nie będzie musiał podlewać ogrodu.

Popatrzyła na niego, na wodę spływającą mu po twarzy i tworzącą małe strumyczki na policzkach, na wargi, na opaloną szyję i silne szerokie ramiona. Poczuła, że łatwiej jej się oddycha, a wilgotne powietrze chłodzi twarz. Miała wrażenie, że kiedy na niego patrzy, czas się zatrzymuje.

Dobrze już wiedziała, że w ciągu dwóch miesięcy to, co zaczęło się jako zwykła fizyczna fascynacja, przerodziło się

w głębokie, niebezpieczne pożądanie. To, co było antypatią, stopniowo przeszło w niechętną sympatię, a potem przekształcało się w głębsze uczucie.

Lecz do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że w którymś momencie, bez jej udziału, zmieniło się w miłość.

Czuła, jak uczucie do tego mężczyzny wzrasta w niej, aż zaczyna dławić ją w piersiach jak ból. Była to tęsknota, która miała nigdy się nie skończyć.

I nigdy nie doczekać się spełnienia.

Dziesięć dni później Amanda siedziała na werandzie, cerowała pończochę i przysłuchiwała się Missy, uczącej się na pamięć tabliczki mnożenia, kiedy dziwne wycie znów się powtórzyło.

- Cztery razy dwa równa się osiem - powtarzała dziewczynka, przeskakując z jednej kamiennej płyty na drugą. W końcu ogrodu, w gasnących promieniach popołudniowego słońca, suszyły się ubrania i bielizna, którą Chow wyprał tego dnia. - Pięć razy dwa równa się dziesięć. Sześć razy dwa równa się dwanaście, a siedem razy dwa równa się... - Urwała i znieruchomiała, gdy niski, nieziemski jęk rozległ się echem wśród gór.

Amanda odłożyła szycie i wstała. Podobnie jak Missy zapatrzyła się w ponury, pusty krajobraz pulsujący teraz niesamowitym wibrowaniem.

- Znowu się zaczyna - wyszeptwała.

- Pytałam Sally, dlaczego ktoś ciągle gra na didżeridu - odezwała się Missy - ale nie chciała mi powiedzieć.

Amanda popatrzyła na dziewczynkę, zaskoczona. Nigdy nie rozmawiała o tych dziwnych jękach z Missy. Nie wiedziała, czy to dlatego, że nie chciała, by mała wiedziała, jak bardzo ją to niepokoi, czy po prostu wolała się nie dowiadywać, że Missy należy do spisku zawiązanego przez jej rodzeństwo.

- Co to jest di...didże...

- Didżeridu -powtórzyła Missy, uśmiechając się jak zawsze, kiedy okazywało się, że wie coś, o czym jej guwernantka nie ma pojęcia. - To taka wielka piszczalka, na której grają aborygeni.

- Więc to jest instrument muzyczny?

- Tak myślę.

Dopiero teraz Amanda zdała sobie sprawę, że słyszy muzykę, tyle że była to muzyka tak dziwna i atonalna, że jej nie rozpoznała.

Missy przyglądała się jej z poważną miną.

- Liam powiedział, że mówił pani, co to jest, ale tak się pani bała, że to tubylcy z buszu nas obserwują, że nie chciała pani z nikim o tym rozmawiać.

- Tak mówił? To ciekawe.

- To znaczy, że on to sobie wymyślił?

Amanda nie odpowiedziała. Missy zacisnęła małe dłonie w piastki.

- To podłe. On i Hannah zrobili to samo pannie Sutton. Przekonali ją, że tylko ona to słyszy, dlatego, że ma umrzeć, a ona tak się zdenerwowała, że nie mogła jeść ani spać. Podskakiwała na najmniejszy hałas i zaczęła do siebie mówić. A potem któreś nocy postawiła świecę tak blisko zasłon w sypialni, że się spaliły. Papa w końcu musiał ją odesłać.

- Inaczej mówiąc, oszalała - rzekła cicho Amanda. - Powiedz mi, która z waszych guwernantek tutaj umarła?

Missy pokręciła głową.

- Żadna.

A więc zmarła guwernantka istniała tylko w opowieści Hannah. Ta wiadomość powinna stanowić pocieszenie dla Amandy, lecz myśl o tym, że jakaś biedna kobieta postradała zmysły z powodu wiatru i dzikich otwartych przestrzeni, była dla niej bardziej przerażająca niż wyobrażenie jakiejś panny umierającej w łóżku na atak serca.

Popatrzyła w stronę spowitych mrokiem gór, wciąż wibrujących dziwną, niepokojącą muzyką, i poczuła dreszcz strachu, biegnący wzdłuż kręgosłupa. Upiorne zawrodozenie wprawiało ją w stan podenerwowania, kiedy myślała, że to jakiś figiel. Teraz wiedziała już, że gdzieś w oddali siedzi niewidoczny tubylec, celowo wypełniający powietrze pierwotną melodią. Wsłuchiwała się w nią aż do tego stopnia, że miała wrażenie, iż muzyka przenika ją, pulsuje w niej, staje się jej częścią.

A potem, równie nagle, jak się zaczęło, monotonne zawodzenie piszczałki ustało. W niepokojącej ciszy usłyszała srokosze i pliszki, śpiewające swe wieczorne pieśni w gniazdach nad potokiem. Niespokojnie popatrzyła na ciemny pusty dom.

- Dlaczego dzisiaj wszyscy się spóźniają? - zapytała głównie siebie. Nawet Chow i Ching jeszcze nie wrócili, a Sally nie było całe popołudnie. Nagle atmosfera panująca w domu wydała jej się nieprzyjemna, tak jakby to, co znajome, zostało wyparte przez nieznaną.

- Panno Davenport - zwróciła się do niej Missy, pociągając ją za spódnice. - Co to jest?

Amanda spojrzała w kierunku wskazanym przez wyciągnięty palec dziecka. W odległym końcu ogrodu majaczyła wysoka ciemna postać, wyraźnie odcinająca się na tle krzewów biało kwitnących róż. Była to sylwetka mężczyzny, nienaturalnie cicha i groźna, z ramionami nad głową, jakby trzymał jakąś dziwną broń.

Amanda poczuła ściskanie w gardle.

- Missy - wychrypiała. - Czy twój papa ma strzelbę?

- Mm...hmm. - Dziewczynka pokiwała głową. Nie odrywała wzroku od dziwnej postaci w ogrodzie. - Trzymają na wieszaku koło drzwi w swojej sypialni.

Amanda chwyciła zimną rączkę dziecka.

- Chodź ze mną. Szybko.

Choć paraliżował ją strach, zdołała przejść przez jadalnię i salon oraz przystawić krzesło tak, by mogła sięgnąć po strzelbę Patricka.

- Missy, to bardzo ważne - powiedziała, uważnie oglądając broń. Była naładowana i przygotowana do strzału. - Chcę, żebyś poszła do mojego pokoju i tam na mnie czekała.

- Ale ja chcę zostać z panią.

- Nie, kochanie. - Położyła dłoń na drżącym ramieniu dziecka. - Proszę, zrób tak, jak ci powiedziałam.

Zostawiwszy Missy w pokoju, Amanda zmusiła się do przejścia przez cichy, skąpany w mroku dom i do wyjścia na werandę.

Ciemna postać w końcu ogrodu czekała na nią.

Amanda uniosła broń i starannie wycelowała.

- Kim jesteś? - zawołała drżącym, lecz donośnym głosem.

Niespodziewanie chłodny podmuch wiatru owiał jej policzki i zaszeleścił suchymi liśćmi na chodniku. Mężczyzna nie poruszył się ani nie odpowiedział.

- Proszę się przedstawić! - Skorzystała z tradycyjnej formuły. - W imieniu królowej żądam odpowiedzi albo będę strzelać.

Wiatr, niosący piasek i zapach eukaliptusa, powiał znowu, jęcząc pod okapami. Mężczyzna wychylił się w przód. Amanda zacisnęła spocone palce na kolbie. Chciała odstraszyć przybysza, nie miała zamiaru strzelać. Głęboko zaczerpnąwszy tchu dla uspokojenia nerwów, uniosła lufę strzelby, wcelowała o dobre dziesięć stóp w lewo od uniesionych ramion intruza i ostrożnie pociągnęła za spust.

Strzelba ryknęła i plunęła ogniem. Siła odrzutu spowodowała, że kolba boleśnie uderzyła Amandę w ramię, tak że się cofnęła, a z oczu pociekły jej łzy. Mężczyzna drgnął i upadł w tył.

- O, Boże - szepnęła, opuszczając strzelbę.

- Zabiła go pani! - zawołała zdumiona Missy, wychylając się zza drzwi jadalni.

- To niemożliwe. Przecież nawet w niego nie celowałam. Jestem pewna, że... - Amanda zagryzła dolną wargę. - O, Boże!

Nie wiedziała, co robić. Mężczyzna mógł być ranny i pilnie potrzebować pomocy. Nie mogła go zostawić, by się wykrwawił, zanim zdołałaby ją sprowadzić. Istniała też możliwość, że nie jest ranny, tylko leżał i czekał na nią, by ją zaatakować, kiedy do niego podejdzie. Boże, myślała. Co powinnam zrobić?

Wciąż ściskając strzelbę w dłoniach, zesza z werandy. Missy w milczeniu ruszyła za nią. Szeroka spódnica na krynolinie odgarniała bukszpan i lawendę, rosnące po obu stronach alejki. Ich słodki, znajomy zapach dziwnie kontrastował z niepokojącymi, przenikliwymi krzykami papug, powracających na noc do eukaliptusów nad potokiem.

Zbliżając się do końca ogrodu, Amanda zwolniła kroku. Serce

waliło jej w piersi jak oszalałe, trzęsły się kolana i była bliska zawrócenia i ucieczki do domu.

Szybko zapadał coraz gęstszy zmrok. Zachodzące słońce nadało niebu nienaturalną wiśniową barwę. Lecz było jeszcze wystarczająco dużo światła, by Amanda i Missy zobaczyły, że w tej części ogrodu nie ma kwitnących białych róż. To tylko koszule, chustki i fartuszki, które Chow wyprał i wywiesił tego ranka, leżały porozrzucane na ziemi.

Na środku znajdowała się ciemnobrązowa suknia Amandy. Leżała na ziemi bezwładnie jak ciało, z uniesionymi ramionami i rękawami, wciąż przypiętymi do sznura przeciętego przez dobrze wymierzoną kulę.

Patrick uniósł blaszany kubek i pił chciwie. Woda przyjemnie chłodziła zaschnięte gardło. Gdy słońce zaczęło chować się za górami, zerwał się zaskakująco chłodny wiatr. Po wielu godzinach spędzonych w duchocie stodoły, w której strzyżono owce, z radością poddał twarz jego podmuchom.

- I pomyśleć, że to już tylko kilka dni - odezwał się jeden z Tasmańczyków. Podszedł do zbiornika z wodą, przy którym stał jego pracodawca, i otarł ręką spocone czoło.

- Tak, wygląda na to, że to już koniec. - Patrick zamierzał dolać sobie wody, kiedy usłyszał strzał.

Odwrócił się w okamgnieniu.

- Chryste! - Rzucił kubek, który z łoskotem spadł na kamienie i chwycił wodze zaczepione o słupek. Zmusił kasztana do galopu, jeszcze zanim zdążył usadowić się w siodle.

Zmrużywszy oczy, wpatrzył się w odległe skupisko budynków, szukając oznak nienaturalnego poruszenia. Strzyżenie zostało już zakończone na ten dzień, lecz wielu, postrzygaczy wciąż kręciło się koło swoich kwater. Strzał w tak bliskiej odległości od domu z pewnością oznaczał jakieś nieszczęście.

Spiąwszy konia ostrogami, zmusił go do dzikiego pędu, aż wokół nich unosiły się kłęby czerwonego piasku, a kasztan pokrył się pianą. W Australii Południowej rozbójników było znacznie mniej niż w Wiktorii czy Nowej Południowej Walii, ale nie tak dawno temu trzech opryszków zgwałciło i dotkliwie

poraniło kobietę niedaleko Melrose. A chociaż jego stosunki z krajowcami układały się bardzo dobrze, nigdy nie można było być do końca pewnym...

Gwałtownie zatrzymał konia obok ogrodu. Kilkunastu pasterzy zgromadziło się koło bocznej bramy. Zeskoczywszy z konia, rzucił wodze jednemu z nich i zaczął się przepychać przez tłumek.

Przystanął na chwilę, gdy z gęstniejącego mroku dotarł do niego śmiech Amandy. Nigdy dotąd nie słyszał, by śmiała się aż tak serdecznie, lecz ten głęboki odgłos mógł wydobywać się tylko z jej gardła. Przez chwilę myślał, że być może wpadła w histerię, lecz w jej śmiechu nie było niczego obłąkańczego, wyrażał jedynie szczere rozbawienie.

I wtedy ją zobaczył.

Kłęczała wśród tymianku. Wokół niej leżały śnieżnobiałe chusteczki i damska bielizna, porozrzucane jak flagi, oznaczające poddanie się. Amanda miała głowę odchyłoną do tyłu i zamknięte oczy; lewą rękę przyciskała do żeber, jakby od śmiechu rozbolało ją w boku. Dostrzegł coś leżącego na jej kolanach. Podeszedł bliżej, zorientował się, że to jej brzydka brązowa suknia, trzymana w ramionach jak umierający kochanek. Missy chichotała, wsparta na ramieniu guwernantki.

Ani kobieta, ani dziecko nie zauważyły go jeszcze; przez chwilę przyglądał się temu nieznanemu wcieleniu panny Amandy Davenport. Po jej zaróżowionych policzkach płynęły łzy rozbawienia, włosy bezładną kaskadą opadały na ramiona, skromna szara suknia była poplamiona trawą w okolicach kolan. Pomyślał, że Amanda jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie, i poczuł, że wzbiera w nim czułość i tęsknota.

Przez chwilę wyobrażał ją sobie taką, jaka musiała być przed laty, jako małą dziewczynkę, psotną i pełną życia, z psem wesoło szczekającym u jej nóg i wspaniałymi ogniście kasztanowymi włosami, podskakującymi na plecach, kiedy ze śmiechem uciekała przed nudną, surową nauczycielką gry na fortepianie. Wyobraził też ją sobie jako młodą kobietę, która z zamkniętymi oczami i rozchylonymi ustami pozwala jakiemuś bezimiennemu męż-

czyżnie dotykać jej ciała w sposób, o jakim od tamtej pory chciała już na zawsze zapomnieć.

Missy uniosła główkę i zobaczyła ojca.

- O, papa! Wiesz, co się stało? Wydawało mi się, że widzę jakiegoś mężczyznę, który obserwuje nas z końca ogrodu. Więc panna Davenport wzięła twoją strzelbę i strzeliła do niego, żeby go odstraszyć. Tylko że to nie był mężczyzna, a suknia panny Davenport, susząca się na sznurze z resztą prania!

Na dźwięk głosu Missy Amanda odwróciła się i otworzyła oczy, a śmiech zamarł jej na wargach.

Wstała. Zakłopotanie pogłębiło rumieńce na jej policzkach.

- Pan O'Reilly! Nie... nie wiem, co mam powiedzieć. Bardzo mi przykro, że spowodowałam takie zamieszanie. - Szybko sięgnęła po coś leżącego wśród tymianku. Kiedy znów się wyprostowała, zauważył swoją strzelbę. Trzymała ją fachowo, niemal z lekkością. Zdał sobie sprawę, że tak naprawdę to bardzo niewiele wie o tej kobiecie.

- Gdzie nauczyła się pani strzelać?

Szeroko otworzyła oczy, zaskoczona.

- Słucham?

- Pytałem, kto nauczył panią posługiwać się bronią?

Popatrzyła na strzelbę, potem uciekła ze wzrokiem. Nie spojrziała mu w oczy. Była tak wyraźnie, boleśnie upokorzona tym, że spowodowała zamieszanie, iż z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Mój wujek. - Przełknęła z trudnością. - Ten właściciel ziemski, o którym panu mówiłam.

Sięgnął po strzelbę. Natychmiast ją puściła.

- A myślała pani, że do kogo pani strzela? - zapytał, machinalnie sprawdzając zamek. - Do rozbójników? A może do krajowców?

Pokręciła głową.

- Nie wiedziałam. Missy zauważyła mężczyznę... to znaczy myślała, że go widzi... zaraz po tym, jak ktoś przestał grać na didżeridu. Myślałam...

Zauważył, że znieruchomiała. Odwróciwszy się, dostrzegł

Liam, który ciężko dyszał po szybkim wbiegnięciu na wzgórze. Zaciśnęła wargi. Patrick zorientował się, że Amanda żałuje, iż chłopak zauważył jej lęk. Liam był jak rekin - atakował, gdy poczuł krew.

Lecz spojrzenie chłopca wyrażało raczej zdziwienie niż mściwe zadowolenie.

- Więc pani dowiedziała się, co to jest?

Spojrzenia szarych oczu Amandy i orzechowych, zaniepokojonych oczu Liama się spotkały.

- Tak - odpowiedziała. — To śmieszne, że bardziej wystraszyłam się czegoś normalnego niż waszego kawału.

- Ale przecież pani tak naprawdę się nie wystraszyła. To znaczy, kiedy Missy wydało się, że kogoś widzi, poszła pani po broń taty i wystrzeliła.

- Nie strzelałam do tego człowieka, celowałam dużo wyżej i w bok. Przecież nie mogłam celować w niego, myśląc, że to możesz być ty i kolejny z twoich żartów.

Liam patrzył na przestrelony sznur. Mocno zaciśnął szczęki, po czym z ukosa zerknął na swoją guwernantkę.

- Ale przecież mogła pani przypuszczać, że to jakiś opryszek, złoczyńca, a jednak nie zabrakło pani opanowania, żeby tu podejść i sprawdzić, co się stało? Nie wiedząc, czy on nie żyje, czy tylko jest ranny?

Z trudem zaczerpnęła tchu. Patrick zrozumiał, ile musiało ją kosztować to, żeby podejść do końca ciemnego ogrodu i dotrzeć do człowieka, którego, jak się obawiała, mogła zastrzelić.

- Przecież - wyraźnie starała się nadać swemu głosowi lekkie brzmienie, co nie całkiem jej się udało - gdybym kogoś zraniła, nie mogłam go zostawić, żeby wykrwawił się na śmierć.

Liam w milczeniu wpatrywał się w sznur od bielizny.

Przez ostatnie sześć lat Patrick był świadkiem, jak jego syn ze wszystkich sił stara się obrzydzić życie kolejnym znerwicowanym, bezradnym guwernantkom. Widział, jak nieszczęsne kobiety wpadały w gniew, wybuchały płaczem, a nawet były bliskie obłądu. I nigdy nie dostrzegł u syna ani cienia skruchy za to, co im wyrządził.

Jednak teraz, obserwując, jak wzrok Liama wędruje od opalonej twarzy Amandy do broni i nieszczęsnej bielizny, zauważył cień żalu na wyrazistej twarzy chłopca. Żalu, a nawet czegoś, co Patrick uznał za niechętny podziw.

Popatrzył na stojącą obok niego Amandę. Była tak drobna, łagodna i kobieca, a jednak miała silny charakter. Chyba nawet sama nie zdawała sobie sprawy z drzemiącej w niej siły. Jego wzrok padł na jej zaróżowiony policzek, ładnie zarysowane wargi, blask wspaniałych gęstych włosów w ostatnich promieniach słońca. Znów poczuł dzikie pożądanie, które zaparło mu dech w piersi.

Patrick przyłożył zapałkę do fajki i zmrużył oczy przed szczypiącym dymem. Potrząsnął zapałką, by ją zgasić, po czym trzymał ją jeszcze, dopóki nie ostygła. W buszu nigdy nie było dość ostrożności.

Gdzieś w oddali rozległo się pohukiwanie sowy i wycie dingo pod bezchmurnym nocnym niebem. Odrzucił zapałkę w ciemność ogrodu, oparł się o słup werandy i zapatrzył w bezkresne łańcuchy gór, puste i płaskie w srebrzystym świetle księżycy.

Jeszcze dwa dni i strzyżenie dobiegnie końca. Potem odbędą się tradycyjne wyścigi konne i zabawa. A później będzie musiał wyjechać, by zapędzić stado owiec na południe.

Postanowił, że tylko część wyselekcjonowanych owiec trafi do rzeźni w Port Augusta. Resztę zamierzał zaprowadzić na południe i tam wynająć jakieś pastwiska w pobliżu Melrose lub nawet Clare. Z pewnością gdzieś odpowiednio daleko w kierunku południowym jest jakieś miejsce niedotknięte klęską suszy.

Poruszył się niespokojnie. Oczywiście wszystko wiązało się z pewnym ryzykiem. Mógł stracić całe stado albo zaprowadzić je na drugi koniec Australii i nie znaleźć odpowiedniego miejsca na wypas. Lecz jeśli dopisze mu szczęście i uda mu się utrzymać część owiec przy życiu, będzie miał duże szanse na odnowienie farmy, kiedy jesienią spadnie deszcz.

Wszystkie plany oczywiście opierały się na założeniu, że susza kiedyś wreszcie się skończy.

Chwycił cybuch fajki i zdał sobie sprawę, że wygasła i jest zimna. Odepchnął się od słupa, postukał fajką o splłowiałe drewno i schował ją do kieszeni, po czym wszedł na ogrodową ścieżkę.

Nienawidził tego ogrodu. Oczywiście, nie chodziło mu o owoce i warzywa. Jeśli chciało się mieć w buszu winogrona, gruszki, fasolę i pomidory, należało uprawiać je samemu. Nie cierpiał lewkonii, niezapominajek, malw, dzwonków, lawendy i róż... wszystkich tych bezużytecznych, pretensjonalnych ozdób angielskich ogrodów, których tak bardzo brakowało Katherine w Górach Flindersa.

Nie miał pojęcia, dlaczego Chow po prostu nie pozwolił tym wszystkim kwiatom uschnąć, lecz ilekroć próbował z nim o tym porozmawiać, Chińczyk tylko mrugał, kiwał głową, po czym dalej podlewał i przycinał rośliny. Zakławszy pod nosem, Patrick odwrócił się, by popatrzeć na swój dom. Dom, który zbudował dla Katherine.

Pomyślał, że gdyby miał więcej rozumu, nie traciłby pieniędzy na wybudowanie dla żony okazałego domu i wypełnienie go kominkami z włoskiego marmuru, kryształowymi żyrandolami i witrażowymi oknami, które zostały tu przywiezione fatalnymi drogami za potworną cenę. Gdyby miał więcej rozsądku, za-inwestowałby w studnie, zbiorniki i ogrodzenia, i założył farmy w różnych częściach kraju, tak by móc potem przeprowadzać swoje stada w inne miejsca, kiedyjakiemuś rejonowi zagrażałaby susza albo lokalne władze nagle zaczęłyby nieprzychylnym okiem spoglądać na wielkie dzierżawy. Gdyby był mądrzejszy...

Gdyby był mądrzejszy, trzymałby się z dala od szlachetnie urodzonych Angielek o nienagannym akcencie, wytwornych manierach i kosztownych gustach.

Trzymałby się z daleka od kobiet takich jak panna Amanda Davenport.

Widział oszkolone drzwi jej sypialni. Zaciągnęła zasłony na noc, ale wciąż jeszcze paliło się u niej światło i dostrzegał jej

cień, przesuwający się po pokoju, gdy szykowała się do snu. Zastony były tak cienkie, że widział nawet, co robi. Teraz się czesała.

Patrzył, jak jej łokcie unoszą się, a potem opuszczają, gdy przesuwiała szczotką po długich, gęstych włosach. Wyobraził sobie, jak spływają jej na ramiona, na wypukłości piersi. Przypomniawszy sobie, jaka była, kiedy zaskoczył ją w ogrodzie: z głową odchyłoną do tyłu, z zamkniętymi oczami i rumieńcami na policzkach. Pomyślał, że tak zapewne by wyglądała, kiedy posiadłby ją mężczyzna.

Odwrocił się na pięcie i zaklął w ciemność ogrodu. Boże. Czy nigdy nie zmądrzeje?

Doszedł do wniosku, że ta skłonność O'Reillych do nieodpowiednich kobiet jest jak fatum ciężące nad jego rodziną. Wystarczyło, że spotykał zadzierającą nosa urodziwajak papuga kobietę z angielskim akcentem i od razu tracił dla niej głowę, podobnie jak wcześniej jego ojciec.

Jak ojciec...

Jedno wspomnienie związane z matką nieustannie go dręczyło. Pamiętał noc na jakiś tydzień przed jej odejściem. Obudził się wtedy w środku nocy i zastał matkę siedzącą przy fortepianie. Ojciec kupił jej ten instrument po narodzinach Luke'a. Tamtego roku za owczą wełnę płacono wyjątkowo dobrze. Patrick miał wrażenie, że była to jedyna rzecz, jaką ojciec kupił matce, gdyż zazwyczaj wszystkie pieniądze były przeznaczane na rozbudowę farmy.

Matka uwielbiała ten instrument. Często grywała na nim całymi godzinami ze spokojnym, zamyślnym wyrazem twarzy, nieobecna duchem. Lecz z upływem lat fortepian coraz bardziej się rozstrajał. Nie było nikogo, kto mógłby go nastroić, więc matka w końcu przestała na nim grać. Tamtej nocy też tylko siedziała, przebiegając czubkami palców po klawiszach tak delikatnie, że nie było słychać żadnego dźwięku.

W słabym świetle kopcającej lampy naftowej wyglądała ładnie, młodo. Patrick uświadomił sobie teraz, że wtedy miała trzydzieści osiem lat. Ciężka praca i zgryzoty rozmyły wyraziste rysy jej

twarzy i wyrzeźbiły linie smutku pomiędzy nosem a ustami, lecz tej nocy była piękna, odprężona, pogodna, z rozmarzonym spojrzeniem.

- Dlaczego nie grasz? - zapytał.

Musiła dwa razy powtórzyć pytanie, zanim odwróciła głowę. Popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem, jakby przenikała go na wskroś.

- Jest rozstrojony - odpowiedziała.

- Ale wciąż mogłabyś na nim grać?

- Nie.

- W takim razie co teraz robisz?

- Tylko słucham - odparła. A tydzień później odeszła.

Patrick zacisnął wargi i głośno wypuścił powietrze. Matka była bardzo nieszczęśliwa. Kiedyś obwinił za to ojca. Ojciec, który również ożenił się z kobietą wychowaną na muzyce, książkach i kulturalnych dyskusjach w towarzystwie skupionym przy stołach, na których stały zapalone świece, a potem zmusił ją do zamieszkania w drewnianej chacie z klepiskiem i brezentowym dachem, który dziwnie się marszczył, gdy pełzył po nim wąż. Zmusił ją do gotowania bielizny w miedzianych kotłach nad otwartym ogniem, oprawiania owiec, mycia się mydłem ługowym i rodzenia dzieci w prymitywnie skleconym łożu, pokrytym zwierzęcą skórą, bez towarzystwa innych kobiet, które pomogłyby jej zwalczyć strach i znieść ból. Często wyjeżdżał na całe tygodnie, pędząc owce czy cełując bydło, i zostawiał ją wtedy samą w tej nędznej chacie, mającą za całe towarzystwo tylko wiatr, własne lęki i pogrzebane marzenia o znajomych.

Oczywiście nienawidziła takiego życia, a po pewnym czasie nienawiść przeniosła się też na męża. Zanim odeszła, zapewne zdążyła nią objąć również i dzieci, bo ich ze sobą nie zabrała.

Patrick zorientował się, że mimowolnie jego wzrok znów powędrował ku pokojowi Amandy. Okna były już ciemne. Musiała pójść spać.

Był taki czas, że wydawało mu się, iż wyciągnął wnioski z błędów ojca. Przekonał się, że nie należy żenić się z kobietą wychowaną tak, że wygodny dom i bliscy sąsiedzi sajej niezbędni

do dobrego samopoczucia, a później zapewnić jej miejsce w ubogiej chacie i liczyć na to, że będzie szczęśliwa.

Wziął więc pieniądze, które powinien przeznaczyć na studnie i ziemię, i zbudował dla Katherine najbardziej okazały dom, na jaki go było stać. Przywiózł z Wiktorii fortepian matki, żeby Katherine mogła na nim grać, i kupił jej piękną zastawę porcelanową, by mogła elegancko nakrywać do stołu, oraz delikatne różane mydła, żeby miała poczucie luksusu.

A mimo to go zostawiła. Ponieważ... pomny doświadczeń ojca, powinien wiedzieć, że kobiety podobne do jego matki, Katherine i Amandy Davenport nienawidzą buszu.

I nie chodziło im tylko o prymitywne warunki, bezlitosny żar, wycie wiatru i roje zniechęconych much. Przede wszystkim nie mogły znieść widoku groźnych postrzępionych grzbietów górskich, dumnie wznoszących się ku słońcu i śmiało rysujących się swą krwistą czerwienią na tle bezchmurnego nieba. Nie cierpiały bezkresnych przestrzeni, odartych z wszelkich upiększeń, surowych i potężnych. Nie mogły przyzwyczać się do kraju dzikiego, szeroko otwartego i nieposkromionego jak ludzka dusza.

Nienawidziły wszystkiego, co kochał na tej ziemi.

Następnego ranka tuż po przebudzeniu Amanda zobaczyła tuż nad sobą poważną twarzyczkę Missy.

- Missy? - Usiadła gwałtownie i przetarła oczy dłonią. - Co tu robisz?

- Sally dała nogę.

Amanda opuściła rękę i popatrzyła na dziewczynkę. Missy wciąż miała na sobie koszulę nocną i była nieuczczona.

- Co zrobiła?

- Dała nogę.

- A co to znaczy?

Mała poruszyła się niespokojnie.

- To znaczy, że sobie poszła.

Amanda włożyła pantofelki.

- Co to znaczy, że sobie poszła? Pewnie po prostu zasnęła. Która jest godzina?

- Nie. Ona odeszła.

Amanda sięgnęła po stary zegarek z kopertą, należący niegdyś do jej ojca. Szósta rano. Jęknęła i włożyła podomkę.

- Chodźmy zobaczyć, dobrze?

Wzięła Missy za rękę i razem przeszły przez cichy salon i jadalnię do tylnej werandy, gdzie Sally sypiała na sienniku koło rogu domu. Amanda zapytała kiedyś, dlaczego nie śpi w domu albo przynajmniej w którymś z budynków, lecz Missy powiedziała, że Sally potrafi zasnąć tylko pod gołym niebem.

Amanda przystanąła. W bladym świetle poranka zobaczyła, że na sienniku leży tylko luźna bawełniana sukienka aborygenki.

- Widzi pani - odezwała się dziewczynka.

Amanda patrzyła na puste pościelone i sukienkę. Sally musiała odejść nago.

- Ale dlaczego to zrobiła? Czy to już się jej kiedyś zdarzyło? Missy pokręciła głową.

- Nie. Nigdy. Raz, w zeszłym roku, poszedł sobie Jacko. Inni aborygeńscy pasterze też czasami to robili. Ale Sally nigdy. Zawsze mówiła, że zostanie tu tak długo, jak długo będę jej potrzebowała.

Głos Missy się załamał. Amanda przyklękła i objęła ręką szczupłe ramiona dziecka.

- Jestem pewna, że wróci - powiedziała, chociaż obie dobrze wiedziały, że to tylko pobożne życzenie.

Missy potarła piąstką oczy.

- To z powodu tego didżeridu. Jestem tego pewna. Wzywano ją i musiała odejść. - Nagle jej mała twarzyczka skurczyła się z bólu. - Kto się teraz mną zajmie? Sally zawsze się mną opiekowała.

Ciałem dziewczynki wstrząsnął szloch. Amanda przytuliła ją mocno, doskonale rozumiejąc jej ból i przerażenie.

- Och, Missy. - Przytuliła policzek do miękkich włosów dziecka, wciągając ich słodki zapach. Patrick powiedział jej

kiedyś, że Sally została najęta do Penyaki jako mamka Missy, co oznaczało, że była jedyną matką, jaką dziewczynka znała.

Amanda poczuła dławienie w piersi. Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Zaopiekuję się tobą, Missy - wyszeptwała, tuląc dziecko. - Nie martw się.

Wyczuła jakieś poruszenie powietrza i jeszcze zanim uniosła wzrok, wiedziała, że O'Reilly jest z nimi.

Nie wypuszczając z ramion Missy, odwróciła się w jego stronę. Stał w otwartych drzwiach z jedną ręką wspartą o framugę. Miał na sobie tylko moleskinowe spodnie i buty. Spojrzała na jego nagi tors, nieogolone policzki, włosy jeszcze nieuczesane po wstaniu z łóżka. W jego oczach dostrzegła jakieś szczególne światło, błysk, którego nigdy dotąd nie widziała.

Szybko odwróciła wzrok, bojąc się tego, co może wyczytać z jej oczu.

Popatrzył na córeczkę.

- Co się stało, Missy?

- Chodzi o Sally - odpowiedziała cicho Amanda. - Chyba odeszła.

Wyprostował się i zbliżył o krok. Spojrzał na pusty siennik, po czym zapatrzył się w przestrzeń.

- Uciekła, tak?

- Nie powiedziała, że odchodzi?

- Nie. Ale nie jestem specjalnie zaskoczony. To wszystko przez tę cholerną suszę. Sally ma męża i kilkoro dzieci. Myślę, że doszła do wniosku, iż oni potrzebują jej teraz bardziej niż my.

- Ale ja jej potrzebuję - powiedziała Missy z twarzą wtuloną w ramię Amandy.

Amanda przytuliła ją mocniej i wstała, pociągając za sobą dziecko.

- Masz mnie. - Posadziła sobie Missy na biodrze. - Myślę, że Sally zdawała sobie z tego sprawę.

Wyprostowała się nagle, uprzytomniwszy sobie, że jest ubrana tylko w podomkę, narzuconą na koszulę nocną. Patrick powoli

przewędrował po niej wzrokiem, od zmierzwionych włosów po nagie kostki. Zauważyła, że jego oczy rozbłysły pożądaniem i gniewem. Nie rozumiała tej jego reakcji. Spodziewała się raczej, że zrobi jakąś prowokującą uwagę, lecz tylko stał i się jej przyglądał, niepokojąc ją swą obecnością.

Missy uniosła główkę i popatrzyła na swą guwernantkę z twarzą udręczoną bólem.

- Zostaniesz z nami?

Serce Amandy wezbrało czułością.

- Zostanę, kochanie - powiedziała szeptem i skierowała się do drzwi.

Patrick przyglądał się jej w milczeniu, lecz kiedy go mijała, odniosła wrażenie, że niemal bezgłośnie powiedział:

- Tak? A na jak długo?

15

Następnego ranka, chcąc pocieszyć Missy, Amanda w końcu uległa namowom dziewczynki i udała się do stodody, by obserwować kończące się już strzyżenie owiec.

Znalazła się na płaskim terenie, poprzecinanym drewnianymi, spłowiętymi od słońca ogrodzeniami, dzielącymi ziemię na kilka ogromnych pól i liczne mniejsze zagrody, w których kłębiły się beczące owce. W powietrzu unosił się gęsty gryzący pył i roje wstrętnych much. Jedna nieustannie krążyła koło ust Amandy, inna usiadła na jej nosie. Odgoniła je ręką, ale po chwili wróciły. Australijskie muchy były niewiarygodnie natrętne, doprowadzały ją do szaleństwa, nienawidziła ich. Machinalnie oganiając się od owadów, zapatrzyła się na falujące morze owczych grzbietów. Zawsze myślała, że owce są białe albo szare. Z pewnością w Anglii były białe, ale nie tutaj. Tutejsze były beżowe i brunatne. Aborygeński pasterz uderzył głośno beczące stworzenie, tak że upadło, i rzucił je do swego kompana stojącego po pas w wodzie. Owca z pluskiem uderzyła w powierzchnię wody, rozbryzgując ją wysoko. Mężczyźni roześmiali się.

- Co oni robią? - zapytała Amanda, unosząc dłoń do oczu, by osłonić je przed blaskiem słońca. - Można by pomyśleć, że kąpią owce.

- Właśnie to robią - odpowiedziała biegnąca przy niej w podskokach Missy. - Papa mówi, że runo przechowuje się lepiej, jeśli owce nie są myte przed strzyżeniem, ale Angole więcej

płacą za czystą wełnę, więc papa zawsze to robi. W tym roku potok wysechł i musieli wykopać kanał od źródła do tej dziury. Widzi pani?

Amanda patrzyła, jak mężczyzna stojący w wodzie zanurza łeb owcy, po czym przepycha zwierzę pod balem do drugiego ogrodzenia, gdzie czterech czy pięciu innych po kolei wycierało runo owcy, przesuwając ją od jednego do drugiego.

- Nieładnie jest nazywać Anglików Angolami - powiedziała Amanda, patrząc na mokrą owcę, wychodzącą na piasek i beczącą dla wyrażenia protestu.

- Papa tak mówi.

- Wiem. Ale ty nie powinnaś. - Popatrzyła na dziewczynkę akurat w chwili, gdy buntowniczo unosiła podbródek. Odwróciła głowę, by ukryć uśmiech. - Chciałabym zobaczyć tę stodołę, w której strzyże się owce.

Missy zaprowadziła guwernantkę do olbrzymiego budynku ze ścianami z szaroróżowych kamieni łączonych wapnem. Ogromne drzwi po wschodniej stronie prowadziły do centralnej zagrody, którą wypełniały niestrzyżone owce. Po obu stronach środkowego ogrodzenia znajdowały się miejsca dla postrzygaczy, którzy pracowali w rzędach. Każdy miał własne stanowisko. Za nimi znajdowały się zewnętrzne zagrody, do których wpychano owce, tak by można było policzyć, ile z nich ostrzygł jeden postrzygacz.

Amanda przystanęła w drzwiach. Pomału jej oczy przyzwyczajały się do słabego złotawego światła. Wnętrze przesycone było zapachem owiec, gorącej smoły i potem pracujących mężczyzn. W zagrodach owce becząły ze strachu, tupiąc małymi kopytkami w twardą ziemię. Jeden z postrzygaczy - wysoki, chudy mężczyzna z wąskimi opadającymi ramionami i brudną jasną brodą - zaciął pomarszczoną szyję owcy, którą przytrzymał kolanami. Zaklął i uniósł głowę, by krzyknąć: „Smoła!” Natychmiast podbiegł Liam, niosąc wiaderko smoły, którą postrzygacz posmarował ranę. Z odległego pomieszczenia dobiegał łoskot prasy, zmieszany z odgłosem wirującego koła do zwijania runa, szczękiem nożyc, cichym szelestem wełny opadającej na deski...

I serdeczny głęboki śmiech Patricka O'Reilly'ego.

- To papa! - zawołała Missy i pociągnęła Amandę za rękę. -
Dzisiaj sam strzyże.

Amanda już go zobaczyła. Stał w odległym końcu stodoły, odwrócony tak, że nie zauważył ich nadejścia. W budynku było gorąco, więc podobnie jak wielu innych mężczyzn, zdjął koszulę. Amanda tęsknym wzrokiem przesunęła po jego nagich spoconych ramionach i plecach. Przeciągnął się leniwie, rozprostowując zmęczone mięśnie, po czym wyciągnął skopa z centralnej zagrody i wprawnym ruchem ustawił go w odpowiedniej pozycji. Baran zabecztał przerażony, po czym opadł na siedzenie, sprawiając wrażenie staruszka, który przysiadł na chwilę odpoczynku.

Patrick ścisnął go kolanami i się pochylił. Długie, cienkie ostrza nożyc poruszały się nieustannie w jego rękach, gdy strzygł zwierzę wokół szyi, a potem boku.

Amanda poczuła, że oddycha coraz płycej i szybciej. O'Reilly był silny i tak bardzo męski. Z zapiętym tchem obserwowała grę mięśni pod jego gładką, pokrytą potem skórą, nabrzmiałe żyły ramion. Nigdy nie myślała o tym, że męskie ciało jest piękne, lecz Patrick O'Reilly z pewnością był piękny. Miał szerokie, muskularne ramiona, wąską talię i zwinne, precyzyjne, niewiarygodnie delikatne ruchy. Mogłaby tak stać i patrzeć na niego w nieskończoność.

Runo opadło na ziemię w jednym nieprzerwanym kawałku. O'Reilly rozchylił kolana. Skop wstał nagi, lecz wolny. O'Reilly wyprostował się... i ją zobaczył.

Mimo iż stali na dwóch końcach stodoły, ich spojrzenia się spotkały. Amanda miała wrażenie, że coś zaiskrzyło w gorącym powietrzu. Zauważyła, że zaczerpnęła tchu. Jego opalone sprężyste ciało było mokre od potu, który ściekał po urodziwej twarzy, złocistokasztanowe włosy przylgnęły do czoła. Nie odrywając wzroku od Amandy, sięgnął po koszulę przewieszoną przez ogrodzenie, otarł twarz i ruszył w stronę córki i jej guwernantki.

Zatrzymał się tuż przed Amandą.

- Przyszła tu pani - powiedział, wciąż ciężko oddychając. Jego oczy błyszczały niepokojąco.

Dostrzegła kroplę potu spływającą po jego opalonej skroni i znikającą we włosach. Odczuła ogromną chęć dotknięcia go w tym miejscu. Musiała przełknąć ślinę i spleść dłonie za plecami, by zmusić się do opanowania. Odwróciwszy od niego wzrok, patrzyła, jak Hannah unosi runo i niesie je ku maszynie rolującej,

- Tak - powiedziała, starając się nadać swym słowom jak najłżejsze brzmienie. - Missy chciała, żebym zobaczyła, jak się to wszystko odbywa.

- Mm... hmm. - Zauważyła dołek w jego policzku i wiedziała, że nie dał się nabrać.

Nie powinnam była się tu zjawiać, pomyślała z przerażeniem. Przychodząc tu, by obserwować go przy pracy, by w tak oczywisty, zdradziecki sposób przyglądać się jego ciału, przekroczyła jakąś niewidzialną linię, której tak starannie strzegła przez wiele tygodni.

W dodatku oboje dobrze o tym wiedzieli.

A ego popołudnia Amanda wybrała się na samotną przejażdżkę.

Zawyczał jeździła z Missy, lecz zbliżały się tradycyjne wyścigi i tańce po zakończeniu strzyżenia i dziewczynka była zajęta pomaganiem Chingowi w przyrządzaniu ciasteczek imbirowych.

- Ty jedź i zostaw ją ze mną - powiedział Ching, mrugając do Amandy ponad pochyloną główką dziewczynki. - Ja nie dam rady bez mojego pomocnika.

Tak więc Amanda osiodłała Calypso i udała się na południe wzdłuż koryta potoku. Kopyta kłaczy głucho dudniły na piaszczystej drodze. Amanda mrużyła oczy przed blaskiem słońca. Był początek listopada, wciąż jeszcze trwała wiosna, lecz niebo było niepokojąco bezchmurne, bladoniebieskiej słońce świeciło oślepiającym blaskiem, a powietrze było suche i gorące.

Dojechała do miejsca, w którym potok wyżłobił skaliste koryto wśród niskich wzgórz. Tam zatrzymała się i zsiadła

z konia. W cieniu czerwonych skał wciąż rosły kępki trawy. Rozluźniła popręg Calypso i przywiązała klacz do zwalonych drzew na popas. Potem wspięła się na skałę o płaskim szczycie, wynurzającą się z niewielkiego oczka wodnego, które niegdyś było głębokim, całkiem sporym stawem.

Bywała tu już z Missy, lecz zawsze miała ochotę wrócić sama. W pewien sposób to miejsce przypominało jej Cadnowie, doświadczała tutaj tego samego poczucia idealnej harmonii. To dlatego zdecydowała się tu teraz przyjechać. Czuła jakiś wewnętrzny niepokój, rozdrażnienie i bardzo potrzebowała ukojenia.

Przykucnąwszy, otoczyła kolana ramionami i głęboko wciągnęła powietrze przesycone zapachem olejków eterycznych buszu, po czym wypuściła je z westchnieniem. W tych wychłostanych wiatrem, starych grzbietach górskich było coś, co trącało w jej duszy czułą strunę, o której istnieniu dotąd nie miała pojęcia. Ten kraj jest jak Patrick O'Reilly, pomyślała. Zarówno ten mężczyzna, jak i jego ziemia niepokoiła ją i zarazem przyciągali.

Przypomniała sobie, jak wyglądał tego ranka w szopie z nagim torsem błyszczącym od potu, napiętymi mięśniami, oczami płonąłymi pożądaniem. Już sama myśl o nim wystarczała, by wprawić ją w stan podniecenia.

Zdjęła kapelusz, po czym wyjęła szpilki z włosów, rozpuszczając je na ramiona. Rozpięła górne guziki żakietu do konnej jazdy.

Czuła się opuszczona, samotna ze swoimi żądzami. Pomyślała, że może gdyby przed laty nie pozwoliła Grantowi na pieśszczoty, nie odczuwałaby teraz takich potrzeb. Nie marzyłaby o dotyku Patricka O'Reilly'ego, o jego pocałunkach.

Zamknęła oczy i poddała twarz promieniom gorącego wiosennego słońca i wiatrowi. Miała ochotę zdjąć ubranie i się położyć, czuć pieśszczotę ciepłych podmuchów. Rozpięła kolejne dwa guziki i zeszywniała. Jeszcze zanim otworzyła oczy, była pewna, że O'Reilly jest w pobliżu.

Opuściła głowę i popatrzyła na niego. Siedział na koniu; kasztan przenosił ciężar z jednego boku na drugi. Amanda pomyślała, że O'Reilly obserwuje ją już od dłuższego czasu.

- Pan O'Reilly - powiedziała zaskakująco opanowanym czystym głosem, chociaż jej serce waliło jak oszalałe pod rozpiętym żakiem.

Patrzyła, jak objeżdża staw i kieruje się w jej stronę. Przystanął na brzegu potoku. Czując podniecenie i lęk, Amanda obserwowała, jak zeskakuje z siodła i zaczyna wodze o rachityczny krzew.

Wiatr łagodnie zaszeleścił w gałęziach drzew eukaliptusów i poruszył długimi włosami opadającymi Patrickowi na kołnierz. Chwycił się krawędzi skały i podciągnął zwinnie jak dzikie zwierzę. Wylądował obok niej ze zgiętymi kolanami. Moleskinowe spodnie ciasno opinały kształtne mięśnie ud.

- Ching powiedział mi, że wybrałaś się na samotną przejażdżkę - powiedział, wpatrując się w nią uporczywie. Powietrze między nimi wydawało się drgać od niewypowiedzianych słów.

- Więc mnie śledziłeś.

- Tak.

Nagle odniosła wrażenie, że O'Reilly znajduje się zbyt blisko niej, że wprost obezwładnia ją swą męskością. Odwróciła głowę i wpatrzyła się w dwie jaskrawo upierzone zielono-czerwone papugi, latające wokół dolnych gałęzi eukaliptusa nad potokiem.

Słyszała, jak jego podeszwy zachrzęściły o skałę, kiedy usiadł tuż obok.

- Mój dziadek miał staw przy dużej płaskiej skale - powiedział - bardzo podobnej do tej, w górach za domem na Tasmanii. Kiedy miałem cztery, może pięć lat, było to jedno z moich ulubionych miejsc.

Patrzyła na niego przez chwilę.

- Czy twój dziadek naprawdę został tu przywieziony za kradzież konia?

Na twarzy Patricka pojawił się szelmowski uśmiech, który sprawił, że na chwilę zabrakło jej tchu.

- Oczywiście. Pamiętam, że kiedy byłem chłopcem, pokazywał mi swoje blizny. Te na plecach powstały od uderzeń dyscypliną o dziewięciu rzemieniach, a na stopach i nadgarstkach miał ślady po kajdanach.

Urwał. Amanda czekała, mając nadzieję, że będzie kontynuował opowieść.

- Odsiedział siedem lat. Potem go uwolniono, założył farmę i miał niebываłe szczęście, że znalazł owce i bydło.

- Innymi słowy, ukradł je.

Roześmiał się.

- Dobrze, ujmijmy to w ten sposób: nawet jeśli to zrobił, nie został złapany. Znalazł wolną Irlandkę, która miała ochotę wyjść za niego za męża, i miał z nią sześcioro dzieci, tak że zanim rodzina mojej matki przybyła tu kilka lat po Waterloo, stary Patrick O'Reilly był jednym z najbogatszych ludzi na północnym krańcu wyspy.

- Więc był już wtedy szanowanym człowiekiem.

- O, nie.- Rysy jego twarzy niespodziewanie stężały. Pochylił głowę tak, że kapelusz zakrył część jego twarzy.- O'Reilly'owie nigdy za takich nie uchodzili. Przynajmniej według wymagań rodziny ze strony matki. Beaumontowie byli tak biedni, kiedy tu przyjechali, że przez ponad rok mieszkali pod brezentowym dachem. Ale byli szlachetnie urodzeni, a moja matka była damą. Ojciec był tylko złodziejskim nasieniem.

- Ale twojej mamie wcale to nie przeszkadzało.

- Nie przeszkadzało, kiedy miała osiemnaście lat. Ojciec był diablo przystojny i wiedział, jak pobudzać ją do śmiechu. - Amanda patrzyła, jak szyja O'Reilly'ego porusza się, gdy przełykał ślinę. - A później wyjechali z Tasmanii i założyli nową farmę w Wiktorii. Już nigdy potem się tak nie śmiała.

Wziął głęboki oddech. Jego pierś uniosła się pod koszulą. Amanda serdecznie mu współczuła i miała ochotę ukoić ból, jaki musiał odczuwać. Nie patrzył na nią siedział z uniesioną głową, zapatrzony w przestrzeń.

- Czy twoja siostra jest podobna do matki? - zapytała cicho.

- Hetty? Tak. Hannah też jest trochę do niej podobna, chociaż bardziej przypomina Katherine.

Imię żony zawisło w powietrzu między nimi, napastliwe i niepożądane.

- A twoi bracia? - zapytała, chcąc przerwać niezręczne milczenie. - Gdzie mieszkają?

Zdjął kapelusz i położył go na skale obok swego uda, po czym odchylił się i oparł na rozprostowanych z tyłu ramionach.

- Luke wciąż mieszka w starej posiadłości ojca w Wiktorii. Ale John dziesięć lat temu umarł na zapalenie płuc w Bendigo. - Znów spochmumiał, a w jego niebieskich oczach pojawił się cień smutku.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Amanda. Oparła podbródek o kolana i wpatrzyła się w czerwone góry po drugiej stronie potoku. W ciągu wieków niższe partie skał zostały wymyte przez wodę, aż utworzyło się w nich głębokie wcięcie, przypominające płytką jaskinię. Przyglądając się teraz temu miejscu, zaczęła wyodrębniać z ciemności jakieś wzory.

- Czy to są malowidła skalne? - zapytała.

- Tak. To malowidła ścienne aborygenów. Te spirale także są ich dziełem. Jest ich tu bardzo wiele.

- Nie wiedziałam, że tubylcy zajmowali się malowaniem.

Jęknął.

- Wielu ludzi sądzi, że skoro aborygeni uważają, iż są częścią tej ziemi, i nie interesują się gromadzeniem dóbr materialnych, żyją na poziomie niewiele wyższym niż zwierzęta. Ale, moim zdaniem, na pojęcie kultury składa się o wiele więcej niż przedmioty.

Gdy nie odpowiedziała, ruchem głowy wskazał dolne gałęzie pobliskiego eukaliptusa, w których jakiś ptak wyśpiewywał swe trele. Z drugiej strony potoku nadeszła głośna, przenikliwa odpowiedź.

- Słyszysz? - zapytał.

- Tak.

- Aborygeni mówią na nie *deereerees*. Kiedy ptaki tak się przekomarzają, tubylcy twierdzą, że się obrażają, mówiąc jeden drugiemu, że ich babki umarły w rozgałęzieniu drzew.

Roześmiała się.

- Czy to taka wielka obraza?

- A ty uważasz, że nie?

Popatrzyła na niego uważnie.

- Jesteś bardzo zaprzyjaźniony z aborygenami, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Oni mnie interesują. A im więcej się dowiaduję na ich temat, tym bardziej ich podziwiam. To surowy kraj. Można być dumnym z samego faktu, że się tu przeżyło.

Przebiegła wzrokiem od znoszonej niebieskiej koszuli roboczej, opinającej szeroki tors, przez wąskie proste biodra po wytarte czubki skórzanych butów. Poczuła, jak wzbiera w niej pałace, bolesne pożądanie i miłość.

- Nie rozumiem, co przyciąga ludzi do tego miejsca - powiedziała. - Jest takie dzikie. Takie surowe. Takie przerażające.

- Nie sądzę, żeby ktoś potrafił to wyjaśnić. Góry Flindersa albo przemawiają do ciebie, odwołując się do dzikości ożywiającej bieg krwi i samotności przepełniającej duszę, albo nie.

Popatrzyli na siebie. Niezwykle barwnie upierzone papugi skrzeczały w zaroślach, a skowronki wyśpiewywały swe słodkie trele na górnych gałęziach eukaliptusów i akacji. Nad stawem krążyła ważka, trzepocząc skrzydłami w ciepłym łagodnym wietrze. Oczy Patricka były intensywnie niebieskie, wyrażały nienasycenie. Amanda zorientowała się, że patrzy na jej usta.

Poruszył się i wyciągnął rękę. Wsunął dłoń w jej włosy i objął tył głowy.

- Amando - powiedział szeptem. - Chcę cię pocałować.

Nagle poczuła dławienie w piersiach i raptownie wciągnęła powietrze. Widziała pożądanie na jego twarzy, czuła napięcie w palcach na swojej szyi. Pochylił głowę i rozchylił wargi. Czekała, niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu, patrząc mu w oczy.

Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Jediną przeszkodą jest to, że obiecałem ci, że tego nie zrobię - powiedział. - Co oznacza, że to ty będziesz musiała mnie pocałować.

16

Amanda przełknęła z trudem ślinę.

- Nie mogę - powiedziała.

Dotknął jej szyi i przesunął dłonią po rozchyłony kołnierzyk zakietu.

- Obserwowałem cię. Patrzyłem, jak rozpuszczasz włosy i rozchyłasz ten ciasny kołnierzyk. - Obwiodł palcem kości jej obojczyka i poczuł, że zadrżała. - Ta kobieta, którą kiedyś byłaś... którą wciąż chcesz być... obudziła się, Amando. Jest tutaj, gotowa do wyjścia z brzydkiego kokonu, którym ją owinęłaś. Ale musisz ją uwolnić sama.

Pokręciła głową. Zauważył jej udręczone spojrzenie.

Czuł, że jeszcze nie jest w stanie tego zrobić.

Ujął jej twarz.

- Myślę, że nadszedł czas, żebyśmy o nim porozmawiali.

Przerażona, szeroko otworzyła oczy i odwróciła głowę, by na niego nie patrzeć.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Mówię o mężczyźnie, który pozbawił cię cnoty.

Odwróciła się gwałtownie, z twarzą stężałą od napięcia, i zaczęła okładać pięściami jego klatkę piersiową. Zaskoczony atakiem, został odrzucony w tył.

- Nie! - krzyczała, atakując bezładnymi ciosami jego ramiona. - Nikogo nie było. Słyszysz? Nikogo!

Chwycił ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie, aż na niego

opadła. Przetoczył się z nią po skale i przytrzymał, a gdy starała się podnieść, przygwoździł ją swym ciężarem. Dyszała ciężko, z piersiami przyciśniętymi do jego torsu, ruchy jej brzucha drażniły jego stwardniałą męskość.

Znieruchomiała, gdy do obojga dotarło, w jakiej znajdują się pozycji.

- Zmusił cię do tego? - zapytał Patrick, oddychając szybko. Napięła mięśnie i odwróciła wzrok, nie chcąc na niego patrzeć, więc uniósł jej nadgarstki nad głowę, tak że ich twarze prawie się dotykały. - To dlatego tak się boisz? Popatrz na mnie, Mandy, posłuchaj. Nie chcę cię zranić. Obiecuję, że nie zrobię tego, czego nie będziesz sobie życzyła. Jeśli się boisz...

- Nie. - Zacisnęła powieki, chcąc powstrzymać łzy napływające do oczu. - Nie, nie. Do niczego mnie nie zmuszał. Ale wolałabym, żeby tak było. Bo gdyby mnie zmusił, nie żyłabym potem ze świadomością, że wyrządziłam sobie krzywdę.

Puścił jej ręce i odgarnął kosmyk włosów z jej zalanych łzami policzków. Zdał sobie sprawę z tego, że drżą mu ręce.

- Więc oddałaś się mężczyźnie, którego kochałaś. Czy to takie straszne?

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego. Jej szare oczy wydawały się pociemniałe od bólu.

- Tak. Ponieważ on mnie nie kochał. - Jej usta wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu. - Och, oczywiście mówił, że kocha. Zapewniał, że się ze mną ożeni, tylko że musimy poczekać, aż skończy studia... aż osiągnie odpowiedni wiek... aż będzie mógł porozmawiać ze swoim ojcem.

Jej smutny uśmiech zgasł.

- Byłam naprawdę zakochana i bardzo go pragnęłam. Więc kiedy powiedział to, co chciałam usłyszeć... oddałam mu się. Nigdy nie przyszło mi do głowy, by wątpić w prawdziwość jego słów.

Urwała i gwałtownie nabrała powietrza.

- Nie starczyło mu nawet odwagi, żeby powiedzieć mi prawdę. O jego zaręczynach dowiedziałam się z gazety. Okazało się, że

młodzi znają się już od dawna, a zwłoka w ogłoszeniu zaręczyn spowodowana była jedynie tym, że narzeczona była w żałobie.

- Amando. Nie musisz mówić...

Potrząsnęła głową.

- To wszystko było kłamstwem. Wszystko, co mi mówił, co obiecywał, od samego początku. Wiedział, że nie oddam mu się w innych okolicznościach, więc powiedział mi to, co chciałam usłyszeć. A ja mu uwierzyłam. Ponieważ bardzo chciałam mu wierzyć.... byłam tak potwornie naiwna i głupia.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Siedemnaście.

Boże, pomyślał. Taka młoda. Taka bezbronna. Pogładził kciukami jej blade policzki; delikatnie otarł łyzy.

- I od tamtego czasu się za to karałaś?

Nie odezwała się, tylko przełknęła z trudem ślinę. Poczł, jak ze złości tężeją mu szczęki namysł o tym, jak została zraniona, lecz przemówił do niej łagodnym głosem.

- I co myślisz, Amando? Że skoro jakiś kłamliwy łajdak uwiódł kochające, ufne dziecko, jakim kiedyś byłaś, musisz spędzić resztę życia, skrywając swe piękne ciało pod szpetnymi sukniami? I chowając te wspaniałe włosy, tak jakbyś miała czego się wstydzić?

Owinął dookoła palca kosmyk leżący na jej piersiach i usłyszał, że głośno zaczerpnęła tchu.

- I to z powodu tego człowieka - ciągnął - przez ostatnie dziesięć lat robiłaś wszystko, co tylko mogłaś, żeby przekonać świat, że już nie jesteś tą żywą, pełną temperamentu kobietą, którą kiedyś byłaś. - Pochylił się tak, że jego usta znalazły się tuż nad jej wargami. - I udawałaś przed samą sobą, że nawet nie chcesz odczuwać pożądania ani zaznać przyjemności.

Chwyciła go za ramiona, wbijając palce w plecy.

- Proszę, nie rób mi tego - poprosiła, a jej źrenice rozszerzyły się tak, że oczy wyglądały jak czarne.

- Pocałuj mnie, Amando.

- Nie. Proszę... - Lecz jej piersi zaczęły się unosić w rytm

nierównych, przyspieszonych oddechów. Cicho jęknęła i wsunęła dłonie w jego włosy.

Uniosła głowę i go pocałowała.

Miała cudownie miękkie, słodkie i chętne usta. Pożądanie, które opanowywał z takim trudem, wezbrało z gwałtowną siłą. Stęknął, przywierając do niej swym twardym ciałem. Jej wargi rozchyliły się. Ujął jej twarz, unieruchamiając ją w uścisku, i pogłębił pocałunek, włożywszy język pomiędzy jej wargi i zęby. Wypełnił nim jej usta i to wsuwał go, to wysuwał, jakby chcąc jej przekazać to, co chciałby zrobić swym ciałem.

Jęknęła i wygięła się w łuk, uniosła z tyłu jego koszulę i włożyła pod nią dłonie. Jej dotyk rozpałił go tak, że opanował się z najwyższym trudem.

- Ach, Boże, Amando. - Głośno wypuścił powietrze z płuc.

Odchyliła głowę, kiedy zaczął całować jej szyję. Jej skóra była delikatna niczym płatki kwiatów, zapach słodki jak hiacynt i pobudzający jak piżmo. Musnął wargami pulsujące zagłębienie szyi, a potem przesunął językiem aż do wypukłości piersi widocznych w rozchyleniu zakietu. Zaklął, zniecierpliwiony, i pośpiesznie rozpiął pozostałe guziki. Obsunął w dół gorset i koszulę, by dać swoim dłoniom i ustom dostęp do piersi.

Westchnąwszy z zachwytu, poczuł, że Amanda chwyta go za głowę i kieruje ją ku obrzmiałym ciemnym sutkom. Zwilżył jedną brodawkę językiem, poczekał, aż stwardnieje, a potem przeniósł wzrok na twarz i zaczął ssać sterczący koniuszek piersi.

Drgnęła i zaczerpnęła tchu. Obwodził brodawkę piersi gorącym językiem, jednocześnie delikatnie ugniatając drugą. Wygięła szyję i zamknęła oczy. Zaczęła się pod nim wić, wypychając biodra i ocierając się o niego...

Poczuł, że jej ciało ogarniają rytmiczne skurcze, a palce spazmatycznie zaciskają się w jego włosach, i domyślił się, że osiągnęła rozkosz.

Nie spotkał jeszcze kobiety, która tak szybko i cudownie reaguje na dotyk mężczyzny. Z zachwytem obserwował wyraz uniesienia na jej twarzy, patrzył, jak drgają zamknięte oczy Amandy, a twarz rozjaśnia się błogim uśmiechem, po czym

nieruchomieje. Wolno uniosła powieki i spojrzała na niego. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, ciężko dysząc, starając się oswoić z niespodziewanym pogłębieniem znajomości.

Nie odrywając od niej wzroku, podciągnął się wyżej, by złożyć na jej wargach długi namiętny pocałunek. Powoli cofnął głowę, otarł się ustami o jej wargi, a w końcu uniosł się na łokciach.

- Chcę, żebyś przysłała do mnie dziś w nocy - powiedział głosem chrapliwym z pożądania.

Szeroko otworzyła oczy i rozchyliła wargi, ale się nie odezwała.

Wsunął palce w jej rozpuszczone włosy i skradł kolejny gorący pocałunek.

- Pragnę cię - szepnął, ocierając się wargami o jej usta. - Chcę się z tobą kochać.

- Wiem - odparła poważnie. - Ja też cię pragnę.

Poczuł przypływ nadziei.

- Więc przyjdiesz?

- Nie mogę.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że długo wstrzymywał oddech, dopóki nie wypuścił go w bolesnym westchnieniu. Usiadł obok niej z pochyloną głową. Jego pierś unosiła się w rytm nieregularnych oddechów. Pożądanie wezbrało w nim gorącą falą, drżał na całym ciele. Wiedział, że gdyby trochę dłużej ją pieścił i całował, zapewne udałoby mu się doprowadzić ją do tego, by mu się oddała, tutaj i teraz. Nie chciał jednak posiąść jej w ten sposób, mimo iż nie potrafiłby nawet powiedzieć dlaczego.

Uniosł głowę i popatrzył na Amandę. Ona również usiadła. Zdażyła już zapiąć żakiet, a teraz poprawiała fryzurę, lecz jej ręce tak się trzęsły, że połowa uczesanych włosów znów opadła na ramiona.

- To z powodu Katherine? - zapytał cicho. - To dlatego nie chcesz do mnie przyjść? Bo się z nią nie rozwiodłem?

Jej ręce znieruchomiały, lecz nie uniosła głowy.

- Nie. - Sięgnęła pojedną ze szpilek, które ułożyła w niewielki stos na skale. - Przypuszczam, że powinno to dla mnie mieć

znaczenie, ale z jakiegoś powodu nie ma. Katherine już tak dawno odeszła z twojego życia. A chociaż rozwód wyjaśniłby sprawę od strony formalnej, jego konsekwencje zawsze są... nieprzyjemne, szczególnie dla dzieci. Rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłeś.

Uniosła głowę i popatrzyła na Patricka. Miała zaróżowione policzki, błyszczące oczy, usta czerwone i obrzmiałe od jego pocałunków, pełne, krągłe piersi unosiły się kusząco. Była zmysłowa, dojrzała. Gotowa. Najej widok znów poczuł bolesne pożądanie. Całym wysiłkiem woli zmusił się do opanowania, choć miał ochotę przycisnąć tę kobietę do skały i zadrzeć spódnicę do konnej jazdy, by posiąść ją tutaj, natychmiast, na świeżym powietrzu, ze słońcem padającym na jej białe nagie uda. Żądza była tak silna, że aż zadrzał.

Odwrócił wzrok.

- Więc może z powodu Mary? Bo jeśli tak, to powinnaś wiedzieć, że nie odwiedziłem jej, odkąd tu się pojawiłaś. - Rozprostował nogę i drgnął. - Chociaż może byłoby lepiej dla nas obojga, gdybym to zrobił.

Zadziwiła go wybuchem śmiechu, po którym jednak natychmiast spoważniała.

- Nic. To nie ma nic wspólnego z panią McCarthy. To dlatego że... - Zapatrzyła się na spłowiełe, wypalone słońcem góry. Wydawało mu się, że słyszy jej westchnienie. - To dlatego, że jesteś częścią tej ziemi. A ja nie.

Znieruchomiał.

- Czego się obawiasz? Że jeśli będziesz ze mną dzielić łóżę, możesz poczuć pokusę, żeby tu zostać?

- Tak.

Wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami.

- Nasze losy i tak są już połączone. Przecież dobrze o tym wiesz.

Jej dłoń gwałtownie drgnęła.

- Tak - powiedziała cicho. - Ale jeśli przyjdę do ciebie i po tym, co zrobimy, będę brzemienna... - Wysunęła rękę z jego uścisku. - Takiego związku, nie moglibyśmy zerwać.

- A dlaczego by nie? - zapytał ostro, wstając. - Katherine zerwała go z łatwością. Tak samo postąpiła moja matka.
- Nie jestem taka jak one.
- Skąd wiesz? - Popatrzył na nią, nienawidząc jej i pragnąc jednocześnie. - Jesteś tu niecałe trzy miesiące.
- Nie jestem taka jak one - powtórzyła.
- Zobaczymy.

Missy wychyliła głowę znad krawędzi długiego stołu, nakrytego jednym z najlepszych adamaszkowych obrusów matki i zastawionego półmiskami z kurczakami i indykami na zimno, czekoladkami z rumem i wieloma innymi smakołykami. Wszystko było starannie przykryte siatkami chroniącymi przed muchami.

Od trzech dni Ching gotował niemal bez przerwy, przygotowując się na przybycie do Penyaki mnóstwa gości na tradycyjne wyścigi i tańce po strzyżeniu owiec. Zjeżdżali się przez cały ranek - górnicy z Blinman i Brinkman, rodziny farmerskie z Wilpena Pound i Arkaby. Niektórzy przybywali z tak odległych miejscowości, że musieli wyruszyć w podróż poprzedniego dnia, by zdążyć na czas. Nikt nie przyjeżdżał z pustymi rękami: przywożono całe kosze jabłek, świeżego chleba, słoje dżemu, beczki cydru, dzbany syropu i nalewki, które stawiano na uginających się stołach na werandzie albo ładowano na wozy, by zawieźć je do stodoły.

- Dlaczego muszę to robić? - zapytała szeptem Missy Liana, który wyłonił się zza rogu domu.

- Bo jeśli ty zostaniesz przyłapana, Ching będzie tylko trząść głową i się z ciebie śmiał. Ale powiedział, że jeśli zobaczy, jak podjadam to, co jest przygotowane na przyjęcie, napadnie na mnie ze swoim tasakiem.

Zazwyczaj takie groźby nie robiły wrażenia na Liamie. Lecz tego ranka Ching przyłapał go na podkradaniu szarlotki, stygnącej na parapecie kuchennym, i tak się zdenerwował, że naprawdę rzucił w chłopca tasakiem. Ciężkie ostrze wbiło się z trzaskiem

w jeden ze słupów kuchennej werandy tuż nad głową Liama. Od tej pory bardzo spotulniał i obchodził kucharza z daleka.

Missy zrobiła pocieszną minkę, wiedząc jednak, że gdyby nie spełniła prośby brata, zmierzyłby ją tym swoim hardym, groźnym spojrzeniem, którego tak się bała, nazwałby ją tchórzem, dzieckiem i nie przebierałby w tych wszystkich określeniach, po usłyszeniu których zbierało jej się na płacz. Pewnie jakoś by to zniosła- przynajmniej panna Davenport mówiła jej, że nie powinna się przejmować tym, iż brat i starsza siostra ją przezywają, więc starała się z tym walczyć. Tyle że dzisiaj miała przecucie, iż Liam nie poprzestałby na przezwiskach, a miał też nieprzyjemny zwyczaj wykręcania jej ręki tak, że potem przez wiele godzin była czerwona i obolała.

Szybko potoczyła wzrokiem po kuchni, po czym chwyciła cały talerz ciastek z marmoladą i czmychnęła do jadalni. Była już w połowie drogi, kiedy podszedł do niej brat, wyjął jej talerz z rąk i popędził do swego pokoju.

- Liam! - krzyknęła, drobiąc krótkimi nóżkami...- Daj mi chociaż jedno!

Nie zwolnił kroku, ale jedno ciastko wypadło z talerza. Missy udało się je złapać, zanim znalazło się na podłodze. Drzwi do pokoju chłopca zamknęły się z trzaskiem.

Siedziała na werandzie, dojadając ciastko, kiedy Mary McCarthy i jej syn, Tad, zajechali przed dom starym rozklekotanym powozem na resorach, ze spłowiałą czarną tapicerką, ciągniętym przez wiekową, zmęczoną gniadą klacz.

Oblizawszy kompromitująco lepkie palce, dziewczynka schowała się za drzwiami, ale przysunęła twarz do szyby, żeby wszystko obserwować. Bardzo lubiła Mary McCarthy. Kiedy przyjeżdżali z papą do Brinkman, pani McCarthy zawsze dawała jej wielką błyszczącą laskę miętową. Jednak Missy nienawidziła Tada. Kiedyś uderzył ją w nos, tak że leciała jej krew, a nie zrobiła mu przedtem nic złego. Uderzył ją tylko dlatego, że nie mógł wyładować złości na Liamie, a chciał odpłacić mu za to, że powiedział, iż Mary McCarthy gotowa jest rozłożyć nogi

przed każdym mężczyzną z Flinders; wystarczy, że będzie miał miły uśmiech i dużego fiuta.

Missy poczuła zakłopotanie na to wspomnienie. Oczywiście nie wiedziała, co to wszystko znaczy. Więc kiedy tylko przestała krwawić, zapytała papę, który zagroził, że wyszoruje jej usta mydłem, jeśli jeszcze raz usłyszy Missy powtarzając coś takiego, a przede wszystkim spraw syna paskiem do ostrzenia brzytwy. A potem Liam dopadł Tada za hotelem w Brinkman i mimo że ten był o trzy lata starszy, Liamowi udało się wykręcić mu ramię tak mocno, że ręka się złamała. To było sześć miesięcy temu. Brat Missy uznał, że rachunki zostały wyrównane, ale ona podejrzewała, że Tad jest innego zdania.

- Mary - usłyszała głęboki, wesoły głos papy w ogrodzie. - W samą porę. Zaczynałem już podejrzewać, że nie przyjedziecie.

Papa stał obok wistarii i rozmawiał z panną Davenport. Ale kiedy powóz zatrzymał się przed bramą, zostawił ją i pomógł wysiąść pani McCarthy.

Lubił Mary McCarthy, podobnie jak Missy. Lubił ją bardzo. Zapytała go kiedyś, czy ją lubi na tyle, żeby się z nią ożenić. Lecz papa tylko się roześmiał, zmierzwił jej włosy i powiedział, że ani on, ani wdowa nie nadają się do małżeństwa. Pomyślała, że to był żart, bo i papa, i pani McCarthy mieli już po jednym małżeństwie za sobą, co oznaczało, że jednak się do niego nadają. Lecz w pewien sposób wypowiedź papy przyniosła jej ulgę. Missy nie miałyby nic przeciwko temu, żeby pani McCarthy została jej nową mamą. Lecz oznaczałoby to zarazem, że miałyby Tada za przyrodniego brata, a tego by chyba nie zniosła, więc była zadowolona, że to się nie zdarzy.

Wiedziała, że pani McCarthy jest starsza od papy, ale trudno jej było powiedzieć o ile. Ciocia Hetty zawsze powtarzała, że busz wyciska swoje piętno na cerze kobiet. Missy nie była pewna, co to jest cera, ale domyślała się, że zapewne chodzi o kobiecą twarz, bo gdy ciocia Hetty składała im jedną ze swych rzadkich wizyt, nigdy nie wyściubiała nosa z domu bez gęstej woalki i całymi godzinami wcierała w skórę jakieś śmiesznie pachnące kremy.

Przyglądając się teraz Mary McCarthy, Missy pomyślała, że wdowa jest nawet w pewien sposób ładna. Miała ciemne, prawie czarne włosy i ciemnobrazowe oczy, które wydawały się śmiać do wszystkiego, co zobaczyły. Była wysoka, prawie tak jak papa, i mocna niczym wołowina wysuszona na słońcu. Spędziła tyle lat na przerzucaniu worków z ziarnem i podnoszeniu ciężkich beczek, że jej ramiona były tak silne i muskularne jak u większości mężczyzn.

Lecz to nie powstrzymało jej od przyjmowania pomocy papy przy wysiadaniu z powozu. Nawet kiedy mocno stała już na ziemi, papa wciąż trzymał ją za rękę, uśmiechał się i pochylał ku niej w taki sposób, jakby byli zupełnie sami. Potem papa powiedział coś do niej cicho. Musiało to być zabawne, bo roześmiał się tak, że na twarzy zrobiły mu się dołki, a pani McCarthy wesoło klepnęła go w policzek.

Missy widziała też Tada, który siedział na ławce w powozie i patrzył na matkę. Był wysoki, ciemnowłosy i krzepki podobnie jak matka, lecz nie tak ładny jak ona, a w tej chwili miał kwaśną minę. To pewnie miało związek z tym, że papa spędzał dużo czasu z panią McCarthy w jej domu, ale Missy nic z tego nie rozumiała, a groźba użycia mydła sprawiła, że o nic już nie pytała.

Coś - być może jakiś ledwie dosłyszalny dźwięk, a może nieznaczące poruszenie - sprawiło, że popatrzyła na pannę Davenport, wciąż stojącą przy wistarii, tam gdzie zostawił ją papa. Była drobna i krucha i wyglądała na zasmuconą, kiedy tak stała tam sama. Podobnie jak Tad, miała dziwny wyraz twarzy. Nie tak ponury jak chłopiec, ale mimo wszystko w jej sposobie patrzenia na papę i panią McCarthy było coś, co przypomniało Missy o Tadzcie. Miała ściągniętą twarz, jakby coś ją bolało. Zaczepnęła tchu i postąpiła krok. Missy pomyślała, że chce się przywitać z panią McCarthy, tymczasem panna Davenport zrobiła coś dziwnego.

Przyglądziwszy włosy dłońmi, jakby chcąc się upewnić, że nie są potargane, odwróciła się plecami do papy i pani McCarthy i udała się w lewo, gdzie pan Whittaker rozmawiał z kilkoma pracownikami kopalni z Brinkman.

Pan Whittaker poprzedniego dnia wrócił z Adelajdy. Nie było go tak długo, że panna Davenport zaczęła się obawiać, iż nie zdąży przyjechać na bal, i była bardzo zadowolona, kiedy się zjawił.

Jednak papa wcale nie był zadowolony. Wprawdzie nie był niemiły dla pana Whittakera, ale kiedy patrzył, jak panna Davenport pomaga mu odprowadzić konia do stajni, Missy usłyszała, jak papa mruknął coś pod nosem.

Coś o tym, że żałuje, iż nie skończyli strzyc owiec parę dni wcześniej.

Wyścigi konne miały się odbyć późnym popołudniem na terenach za stodołą do strzyżenia owiec.

Lecz najpierw przeprowadzono inne - mniej ważne - zawody. Niektóre miały charakter siłowych pojedynków, jak na większości jarmarków w Anglii. Jednak większość stanowiły różne dziwne konkurencje, jak na przykład staczanie się ze wzgórz w beczkach albo biegi z dyniami na głowach.

Amanda odeszła od miejsca, gdzie ryczący ze śmiechu, podpici mężczyźni starali się złapać toczące się dynie, które spadły im z głów, i przyjrzała się tłumowi nieznanym ludzi, zgromadzonych na dorocznej zabawie, którą Patrick O'Reilly organizował po strzyżu owiec.

Brakowało jej Christiana, który zostawił ją samą i odszedł w poszukiwaniu napojów; bez tego solidnego Anglika u boku czuła się nie na miejscu, zdana na los szczęścia. Wiatr niosący piasek szarpał spódnicą jej sukni, uderzał końcówkami wstążek kapelusza o policzki i budził w niej dziwny, niezrozumiały niepokój.

Nie należała do tego świata. Nie pasowała do surowego, dzikiego, niepokojącego kraju. Nie potrafiła się odnaleźć w miejscu, gdzie prości, pijący i przeklinający mężczyźni w znoszonych białych, moleskinowych spodniach i wysokich butach bez problemu i zakłopotania przebywają w towarzystwie dam w jedwabnych sukniach i dżentelmenów w eleganckich, zapinanych pod

szyję surdutach i celuloidowych kołnierzykach. Gdzie mężczyźni biegają wokół zagród dla owiec z dyniami na głowach i gdzie tańce odbywają się w stodołach.

- Bardzo przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu. - Usłyszała miłą dla ucha angielszczyznę Christiana Whittakera. - Ale w końcu jestem.

Odwróciwszy się, zobaczyła go, triumfalnie trzymającego dwa kubki cydru. Była tak zadowolona, widząc jego znajomą przyjemną twarz, że się roześmiała.

- Mój drogi panie Whittaker, zaczynałam się obawiać, że postanowił pan włączyć się do tego osobliwego współzawodnictwa i mnie opuścić.

Podał jej cudownie chłodny kubek i zrobił pocieszoną minę.

- To rzeczywiście bardzo osobliwe zwyczaje. Musiałem posłać jednego z chłopców do domu po nową beczkę cydru, bo jakiś osioł wlał co najmniej dwie butelki rumu do beczki w szopie.

- Zapewne Hannah i Liam - powiedziała Amanda, popijając cydr. Był ostry, smaczny i na pewno nie było w nim rumu.

- Mój Boże. - Whittaker sprawiał wrażenie wstrząśniętego. - Naprawdę pani tak myśli? No cóż, przynajmniej nie będą mogli dalej broić. Poprosiłem Jacka, żeby pilnował nowej beczki, więc nie powinno już być z tym problemu.

Amanda z trudem powstrzymała chichot i odwróciła głowę, żeby twarz jej nie zdradziła. Najwyraźniej pan Whittaker nie miał pojęcia, że Jacko jest ulubionym współnikiem dzieci.

Uśmiech zamarł jej na wargach, kiedy zauważyła Patricka O'Reilly'ego, stojącego na środku pola. Jego niebieska bawełniana koszula była rozpięta pod szyją, a kapelusz przechylony do tyłu na spalonych słońcem włosach. Próbował ustawić około dwudziestu nastoletnich chłopców, walczących o zajęcie pozycji w jednej linii. Na sam jego widok Amanda poczuła ściskanie w żołądku i żywsze krążenie krwi w żyłach.

- Co ci chłopcy wyprawiają? - zapytała, patrząc, jak Liam odpycha Tada McCarthy'ego na tyle silnie, że większy chłopak się zachwiał. Mimo to popchnął Liama.

Patrick wkroczył pomiędzy nich i ich rozdzielił, zanim jego syn zdążył wprawić w ruch swą lewą pięść. A więc ci dwaj chłopcy się nie lubili. Amanda starała się nie dopuścić do siebie myśli, że ją to cieszy, ale nie była w stanie temu zaprzeczyć.

- Czy nie powinny się już rozpocząć wyścigi konne?

Pan Whittaker wsunął dwa palce do kieszeni brokatowej kamizelki i wyciągnął z niej złoty zegarek z dewizką.

- Nie, została jeszcze godzina. - Zamknął kopertę zegarka i schował go, a potem popatrzył na skąpane w słońcu pole. - Teraz odbędą się biegi mieszane.

- Co?

- To taki szczególny rodzaj współzawodnictwa... jak sądzę, irlandzkiego pochodzenia. Pierwsze pięćdziesiąt jardów należy przebiec na czworakach, następne cofając się, a końcową pięćdziesiątkę w dowolny sposób. Wszystkie chwytły dozwolone.

- To brzmi jak recepta na nieszczęście.

- I zazwyczaj takie się zdarzają.

Patrick wsunął do ust gwizdek pasterski i krzyknął coś do chłopców. Uczestnicy biegu zajęli pozycje na czworakach.

- Gotowi? Na sygnał... uwaga... - Ostry, przenikliwy dźwięk gwizdka rozdarł powietrze. Chłopcy ruszyli do przodu jak stado pijanych wielbłądów.

- O, Boże - wymknęło się Amandzie, która nie spuszczała wzroku z zawodników. - Liam niezbyt dobrze sobie radzi.

- Rzeczywiście. Ma za krótkie ramiona w stosunku do nóg. Ale proszę popatrzeć na Tada McCarthy'ego!

Z szeroko rozstawionymi nogami, szybko przebiegając żyłastymi ramionami i wypychając chude pośladki, chłopak szybko zbliżał się do linii, oznaczającej pokonanie pierwszych pięćdziesięciu jardów.

- Dawaj, Tad! - Głęboki, gardłowy głos Mary McCarthy przebił się przez okrzyki rozentuzjzmowanego tłumu. - Dobrze, dobrze!

Amanda przeniosła wzrok z naśladowujących koty chłopców na wysoką ciemnowłosą kobietę po przeciwległej stronie pola,

triumfalnie wznoszącą pięść. Na jej widok poczuła mocne ukłucie i z poczuciem wstydu zdała sobie sprawę, że to zazdrość.

Mary nie była tak piękna jak Katherine O'Reilly, nie otaczała jej też aura wyszukanej elegancji, a lata ciężkiej pracy i przebywania na powietrzu pogrubili i przyciemniły jej skórę oraz spowodowały pojawienie się zmarszczek w kącikach oczu i mimicznych linii wokół ust, lecz wciąż pozostawała kobietą urodziwą, a w dodatku na tyle silną, że była w stanie udźwignąć ciężary, jakie na jej barki mógł zrzucić ten kraj, i przeżyć.

Wdowa podeszła do Patricka i jakby od niechcienia położyła rękę na jego ramieniu. Przestał obserwować zawody i uśmiechnął się do niej, a dołeczki w jego policzkach pogłębiły się, gdy spojrzeli na siebie w szczególny sposób, łączący tylko ich dwoje.

Amanda nagle przestała słyszeć okrzyki i wiwaty tłumu, nie widziała rąk i nóg biegnących chłopców; wszystko zniknęło. Czuła jedynie żar słońca prażącego z bezchmurnego nieba i dzikie, budzące poczucie osamotnienia porywy wiatru, kołyszącego suchymi trawami. Nie odrywała wzroku od Patricka O'Reilly'ego.

Jej miłość do niego była może niechciana, lecz najwyraźniej się pogłębiała i przybierała na sile z każdym mijającym dniem. Amanda nie była w stanie tego kontrolować, mimo że bardzo by chciała, żeby było inaczej. Co noc po zgaszeniu lampy leżała jeszcze długo pod kołdrą, nie mogąc zasnąć, i myślała o mężczyźnie przebywającym w pokoju naprzeciwko. Miała wrażenie, że słyszy jego głos, przyzywający ją, kuszący. „Przyjdź dzisiaj do mnie...”

- Teraz następuje zmiana. Widzi pani? - Łagodnie modulowany głos Christiana Whittakera przerwał jej rozmyślania. - Liam jest dobry w następnej konkurencji.

Amanda powróciła do obserwowania zawodów. Chłopcy biegli teraz wyprostowani, ale odwrócenie plecami do linii startu. Zawzięcie pracując nogami i rękami, wzniecali tumany kurzu.

Tad McCarthy prowadził o dobre pięć jardów, za nim biegli dwaj chłopcy, a potem Liam, który szybko zbliżał się do wyprzedzającej go dwójki. Nie był tak wysoki jak McCarthy, lecz

miał długie nogi i był zwinny i gibki jak chart. Podczas gdy inni chłopcy potykali się i bezładnie młócili powietrze, Liam biegł tak, jakby urodził się do poruszania się do tyłu.

Bez trudu minął dwóch chłopców, ale Tad prowadził z dużą przewagą przed trzecią częścią biegu. Jeśli tylko będzie trzymał nerwy na wodzy, jemu powinno przyspaść zwycięstwo.

- Szybciej, Liam - wyszeptała Amanda, wyciągając szyję. - Szybciej. - Owszem, miała kiedyś problemy z tym chłopcem, ale od czasu incydentu z didżeridu stosunki między nimi układały się bardzo poprawnie. Teraz nagle rozpaczliwie zapragnęła, by pokonał Tada McCarthy'ego. Miała ochotę zamachać rękami jak inne kobiety i mężczyźni w tłumie, ale oczywiście nigdy nie zrobiłaby czegoś tak nieeleganckiego. Zacisnęła więc dłonie w pięści i powtarzała: - Szybciej, Liam.

Zauważyła, że McCarthy poczerwieniał ze złości, widząc, że rywal stale zmniejsza dzielący ich dystans. Dla Amandy bieg odbywał się już tylko pomiędzy tymi dwoma chłopcami; inni jakby nie istnieli. Tad otworzył usta i wciągnął powietrze, próbując zmusić mocne długie ramiona i nogi do maksymalnego wysiłku. Cały czas odwracał głowę, starając się nie zbacać z linii prostej. Nie potrafił jednak powstrzymać się od rzucania dzikich spojrzeń na szczupłego chłopca, który się do niego zbliżał.

Inni uczestnicy podobnie jak Tad kręcili głowami, patrząc, gdzie biegna, lecz Liam musiał wybrać jakiś odległy punkt, który ułatwiał mu orientację, ponieważ biegł do tyłu płynnie, równo, z brwiami ściągniętymi w wyrazie skupienia. Dystans dzielący dwóch chłopców zmniejszył się do kilku jardów, a gdy znaleźli się na linii oznaczającej pokonanie drugiej pięćdziesiątki, biegli już ramię w ramię.

Odwrócili się jednocześnie. Ich torsy unosiły się i opadały w rytm ciężkich oddechów, mieli napięte, spocone twarze. Wyciągali ramiona i nogi, by pokonać pozostałą część dystansu w dzikim sprincie. Tylko że kiedy zawracali, Liam zatoczył się w bok. Trudno było orzec, czy zrobił to umyślnie, czy przypadkowo, lecz dwaj chłopcy zderzyli się, aż słychać było trzaśnięcie wysportowanych ciał.

Tad upadł tak ciężko, że praktycznie wykonał salto na spieczonej ziemi, Liam zgubił krok i osunął się na kolano. Wystawił ręce, by zamortyzować upadek, a potem z wysiłkiem się podniósł. Niemal natychmiast złapał rytm, lecz minął go jasnowłosy muskularny chłopak. Z twarzą wykrzywioną z wysiłku, skupienia i bólu blondyn pierwszy rzucił się na taśmę. Rozległy się gwizdki, rogi i wiwaty tłumu. Liam przybiegł na metę o trzy sekundy za zwycięzcą, za nim finiszował Tad.

- Och. - Amanda próbowała nie okazywać rozczarowania. - Był tak blisko. Ale przynajmniej przybiegł drugi.

- Niezły bieg - przyznał Whittaker.

- Panno Davenport, prosimy do nas! - zawołała Hannah, która przebiegła obok, trzymając za rękę Missy. Radosny tłum ruszył naprzód. Amanda dołączyła do grupy i znalazła się na polu, gdzie Liam stał pochylony, z opuszczoną głową, a rękami opartymi o kolana, i z trudem łąpał powietrze.

Zauważyła, że Tad McCarthy postępuje o krok. Liam wyprostował się. Dwaj chłopcy popatrzyli na siebie, wciąż ciężko oddychając. Przez chwilę Amandzie wydawało się, że mają zamiar podać sobie dłonie, tymczasem Tad uderzył swego rywala pięścią w policzek.

Siła uderzenia była tak duża, że Liam stracił równowagę i upadł, mocno uderzając w ziemię.

I się nie podniósł.

17

On mnie popchnął. - Tad McCarthy wyrwał się dwóm trzymającym go mężczyznom. - Ten sukinsyn celowo mnie popchnął.

Amanda patrzyła, jak O'Reilly pochyła się nad bezwładnym synem.

- Liam! - zawołała Missy.

Amanda zdążyła ją złapać, zanim dziewczynka rzuciła się na nieprzytomnego brata.

- Co się stało? - zapytała, trzymając przed sobą Missy za ramiona. Obok nich stała Hannah, w milczeniu, ale z niepokojem w szeroko otwartych oczach przyglądająca się bratu.

- Przy upadku uderzył głową w kamień - powiedział Patrick, delikatnie wsuwając rękę pod głowę syna.

Liam poruszył się i cicho jęknął. Uniósł powieki, zamknął oczy i znów je otworzył.

Ojciec położył dłoń na piersi chłopca, powstrzymując go od prób wstania.

- Poleż chwilę, synu. - Rozejrzył się po twarzach zgromadzonych. - Czy ktoś ma trochę wody?

Pojawiła się brezentowa torba, podawana z rąk do rąk. O'Reilly wyciągnął korek, wsunął rękę pod ramię Liama i uniósł mu głowę.

- Napij się.

Chłopiec pociągnął kilka tęgich łyków.

- Na razie wystarczy. - Patrick złożył chustkę i nasączył ją

woda. Nie odwracając głowy, podał torbę. - Dasz radę usiąść? - zapytał Liama.

Ten kiwnął głową. Ojciec przykucnął za chłopcem. Po chwili Liam na wpeł siedział, na wpeł leżał, oparty o jego nogę.

- Masz tu niezły guz. - Patrick przyłożył mokrą chustkę do wypukłości z tyłu głowy chłopca. - Ale poza tym myślę, że wszystko będzie dobrze, kolego.

- Mógł doznać wstrząśnienia mózgu - powiedziała Mary McCarthy, która przykucnęła obok ojca i syna. - Chyba powinien pójść do domu i trochę odpocząć.

Patrick spojrział w zatroskane brązowe oczy wdowy.

- Chyba masz rację.

Amanda, wciąż trzymająca Missy za ramiona, poczuła dławienie w gardle na widok kolejnych spojrzeń i dowodów porozumiewania się tych dwojga bez pomocy słów.

Liam poruszył się, zamierzając wstać, lecz ojciec otoczył go ramieniem i przytrzymał w dotychczasowej pozycji.

- Nie mogę teraz iść do domu - powiedział chłopiec lekko podniesionym głosem. -- W pierwszej gonitwie jadę na Ognistym Tancerzu.

Patrick zacisnął wargi.

- Nie ma mowy o żadnej jeździe, synu. Nie po takim uderzeniu w głowę.

- Do diabła, nie możesz mi tego zrobić! Tylko dlatego, że ten cholerny...

- Uspokój się, chłopcze. Lepiej uważaj na swoje słownictwo, żeby nie przerazić panny Davenport. - Zaskoczył Amandę, uśmiechnąwszy się do niej, a potem wsunął rękę pod kolana Liama i wstał jakby zupełnie bez wysiłku, przyciskając chłopca do piersi. - Teraz zaniosę cię do powozu i pojedziesz do domu. I zostaniesz tam w łóżku, dopóki ci nie powiem, że możesz wstać. Jeśli mnie nie posłuchasz, to ten guz na głowie będzie najmniejszym z twoich zmartwień. Czy wyrażam się jasno?

Liam popatrzył swymi zielonobrazowymi oczami w niebieskie oczy ojca i pierwszy opuścił wzrok.

- Tak.

- Pojadę i zostanę z nim - zaoferował się Whittaker. - Pan będzie musiał tu wrócić i dopilnować przebiegu wyścigów konnych.

- Dzięki - powiedział Patrick, idąc w stronę powozu stojącego w cieniu przy szopie. - To miło z pana strony.

- Sądzi pani, że ja też powinnam z nimi jechać? - zapytała Hannah, wciąż trzymająca torbę z wodą.

- Chyba nie - odpowiedziała Amanda, patrząc, jak Mary McCarthy podchodzi do Tada, stojącego samotnie ze spuszczoną głową i grzebiącego czubkiem buta w ziemi. - Sama bym zaproponowała, że z nim pojadę, ale z mojego doświadczenia wynika, że chłopcy w wieku Liama nie lubią, gdy kobiety kręcą się wokół nich, kiedy coś im dolega.

Hannah zaśmiała się cicho.

- Ma pani rację. Liam bardzo nie lubi, kiedy się nim przejmuję. - Popatrzyła na ojca, znoszącego jej brata z pola. Uśmiech zamarł na jej wargach. Przełknęła z trudem ślinę.

- Panno Davenport?

- Tak?

- Czy myśli pani, że papa pozwoli mi pojechać na Ognistym Tancerzu? Zamiast Liama?

Amanda już otwierała usta, by powiedzieć, że to nie byłoby właściwe, że dziewczynka w ogóle nie powinna myśleć o publicznej jeździe bez damskiego siodła. Lecz powstrzymało ją światełko nadziei, które dostrzegła w oczach Hannah.

Ten wyścig dawał temu dziecku niespodziewaną możliwość pokazania ojcu, jak jest zręczna i zdolna, wprawienia go w poczucie dumy z córki. To jednak nie wszystko. Patrząc na ściągniętą twarz dziewczynki, Amanda zrozumiała, że wyścig stwarzał też szansę dla O'Reilly'ego, który mógł pokazać córce, że choć ich związek nie należy do łatwych to, niezależnie od powodu takiego stanu rzeczy, wciąż ją kocha. Kocha ją, ufa i szanuje.

Amanda przygryzła wargę i uważnie przyjrzała się Hannah.

- A dasz sobie radę? Wiem, że jesteś świetnym jeźdźcem, ale...

- Dam sobie radę. Jestem tego pewna.

- Papa zawsze powtarza, że Hannah jest najlepszym jeźdźcem, jakiego widział - wtrąciła Missy, patrząc na guwernantkę.

Amanda głęboko zaczerpnęła tchu, czując wewnętrzne rozdarcie. Miała jeszcze żywo w pamięci widok Hannah, galopującej na karym koniu na oklep, w okolicach Cadnówie. Lecz opanowanie potężnego, obdarzonego dużym temperamentem ogiera, takiego jak Ognisty Tancerz, w wyścigu, na oczach rozentuzjowanego tłumu, na pewno było znacznie trudniejsze.

Hannah popatrzyła na nią błagalnym wzrokiem.

- Papa na pewno mi pozwoli, jeśli pani mu powie, że tak można. Porozmawia z nim pani?

Amanda wahała się tylko przez chwilę, po czym delikatnie położyła dłoń na chudym ramieniu dziewczynki.

- Porozmawiam.

Wychodząc z domu, Patrick O'Reilly zauważył idących przez ogród Mary i Tada McCarthych. Oparł się o framugę drzwi, wyjął fajkę z kieszeni i zaczął na nich.

- Idź do salonu. Zaraz do ciebie przyjdę, Thadeus - powiedziała Mary, gdy weszli na werandę. - Chcę porozmawiać z panem O'Reillym.

Skrywając uśmiech, Patrick odsunął się tak, by chłopiec mógł przejść. Mary mówiła na syna Thadeus tylko wtedy, gdy naprawdę była na niego wściekła.

Chłopiec zawahał się, po czym ze zwieszonymi ramionami powłókł się do salonu.

- Jak się czuje Liam? - zapytała Mary, sadwając się na jednej z ławek przy ścianie domu, poza zasięgiem promieni słonecznych.

Patrick przerwał nabijanie fajki i uniósł wzrok.

- Jest zły jak wszyscy diabli, że nie będzie mógł jechać na Ognistym Tancerzu - powiedział z uśmiechem.

Mary roześmiała się.

- W takim razie myślę, że ma się dobrze.

Zapalił zapałkę, uderzając nią o drewniany słup werandy.

- Ma twardą głowę.
- Tak jak jego ojciec.

Patrick mruknął coś nad fajką. Mary przyjrzała mu się bawdawczo.

- Czy możesz mi zdradzić, co się dzieje między tobą a tą śliczną angielską guwernantką?

Omali się nie udławił. Zapomniał, że trzyma w ręku zapaloną zapałkę, i poparzył sobie palce.

- Cholera! - Puścił zapałkę i wsunął piekące palce do ust. - Nic nie ujdzie twojej uwagi, co? - zapytał, potrząsając ręką.

- Nie. Chociaż oboje tak bardzo staraliście się na siebie nie patrzeć, że wątpię, czy ktoś inny to zauważył.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Chyba nie jeteś zazdrosna, Mary?

Zmarszczki koło jej oczu pogłębiły się.

- Nie bardziej niż ty o Iana Stanleya i Michaela Tate'a.

Patrick oparł się o słup. Michael Tate był zarządcą farmy Three Springs niedaleko Brinkman. Podobnie jak on, był od lat kochankiem Mary. O tym drugim Patrick jednak nie słyszał.

- Kim, u czorta, jest ten Ian Stanley? - zapytał.

Mary przechyliła głowę i spojrzała na niego z ukosa.

- To majster z kopalni w Brinkman. Zaprosiłeś go na dzisiejszą potańcówkę.

- Naprawdę? W takim razie chyba nie mogę być zbyt zazdrosny.

- Wcale nie sądziłam, że będziesz. - Wyjęła szpilkę, podtrzymującą słomkowy kapelusz, i zdjęła go, by szerokie rondo posłużyło jej za wachlarz. - Powiedz mi, gdybym zdecydowała się wyjść za kogoś z mężczyzn, z którymi spotykam się od czasu do czasu, co byś poczuł?

- Noo... oczywiście cieszyłbym się z twojego szczęścia. Naprawdę. Dobrze o tym wiesz. - Pociągnął z fajki. - A dlaczego pytasz? Chcesz wyjść za tego Stanleya?

- Ja? - Mary powachlowała się kapeluszem i uśmiechnęła. - Nie. Jestem bardzo zadowolona ze swojego życia. Chciałam

tylko, żebyś zrozumiał, że jeśli zdecydujesz się na małżeństwo, nie będę tego aż tak bardzo przeżywać.

- Boże! - Patrick wyprostował się gwałtownie. - Mam nadzieję, że nie sugerujesz, iż myślę o ożenku z Amandą Davenport?

- A nie myślisz? Cóż, przykro mi, że ci to mówię, ale kobiety jej pokroju zazwyczaj źle się czują w związkach takich, jakie ja akurat lubię.

- Do diabła, wiem!

Mary przestała się wachlować.

- W takim razie, co ty wyprawiasz? Czy chociaż zdajesz sobie z tego sprawę?

Postukał fajką w słup werandy i popatrzył na opadające iskry, po czym zduślił je podeszwą buta.

- Myślałem, że wiem. Zaczęło się jak... ech, sam nie wiem, jak jakiś żart. A potem wymknęło mi się z rąk.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się kwaśno.

- Może masz rację. Może to tylko wymówki. Chociaż po tym, co moja matka zrobiła ojcu, a Katherine mnie, myślę, że powinienem trzymać się z dala od urodziwych kobiet z angielskim akcentem i wielkopańskimi manierami.

- Nie znałam twojej matki, ale z tego, co widzę, panna Davenport zupełnie nie przypomina mi twojej żony.

Patrick zapatrzył się na ogród Katherine i pograżył w rozmyśleniach na temat swojej płochej, egocentrycznej żony, która w pewien sposób przypominała mu barwnopiórą papugę.

- Po części masz rację. Amanda Davenport i Katherine są tak różne, jak tylko mogą być dwie kobiety... z wyjątkiem akcentu i tego, że obie nienawidzą australijskiego buszu.

Usłyszał, że Mary wstaje.

- W takim razie lepiej się dobrze zastanów, co robisz, mój drogi. - Przyjacielskim gestem położyła mu dłoń na ramieniu. - Bo jeśli ta panna Davenport nienawidzi buszu, nigdy nie będzie tu szczęśliwa. I niezależnie od tego, czy tu zamieszka, czy odjedzie, oboje zostanieie z głębokimi ranami w duszy.

Patrick położył rękę na dłoni Mary i popatrzył w jej szczerze brązowe oczy.

- Między nami wszystko dobrze się układa, Mary. Jest przyjemnie i bez komplikacji.

- Taa... - W jej uśmiechu nie było wesołości. - Ale oboje wiemy, że nie jest tak dobrze, jak by mogło być. I pewnie dlatego jest tak przyjemnie i bez komplikacji.

Objął ją w talii i pocałował w policzek.

- Wiesz co, Mary? Jesteś bardzo mądrą kobietą.

- Nie. Jestem tylko kobietą. - Lekko uderzyła go w ramię. - Idź już. Musisz się zająć tymi wyścigami konnymi. Tad i ja zostaniemy tu z Christianem i Liamem.

W połowie drogi do stodoły Patrick spotkał Amandę, wspinającą się piaszczystą drogą w jego stronę.

- Coś się stało? - zapytał zaskoczony.

Wzgórze, przez które prowadziła droga do domu, było na tyle strome, że zauważył, jak pierś Amandy unosi się i opada w rytm ciężkich oddechów. Wierzchem dłoni w białej rękawiczce dotknęła spoconego czoła, po czym skrzywiła się na widok ciemnej smugi na tkaninie.

- Chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

Tak ostentacyjnie unikała go od tamtego popołudnia na płaskiej skale, że zsunął kapelusz na tył głowy i popatrzył na nią spod zmrużonych powiek.

- Tak?

Widział, że się waha. Nieznacznie się uśmiechnął. O cokolwiek chodziło, niełatwo było jej podjąć temat.

- Chcę z tobą porozmawiać... - głęboko zaczerpnęła tchu - o wyścigach. Kto dosiadzie Ognistego Tancerza, skoro Liam nie może wziąć udziału w gonitwie? Ty?

Roześmiał się.

- Z moją wagą? Nie mogę tego zrobić, bo od razu odebrałbym koniowi szansę na zwycięstwo. Myślałem o tym, żeby poprosić Jacka.

- Tak? - Popatrzyła w stronę koryta potoku, w pobliżu którego pasła się gromadka kangurów, poruszająca się w wolnych, wdzięcznych podskokach. - Jest dobrym jeźdźcem?

Patrick popatrzył na jej lekko odwróconą głowę i podejrzliwie zmrużył oczy. Najwyraźniej coś knuła, lecz nie miał pojęcia co.

- Wystarczająco dobrym.

- Tak dobrym jak Hannah?

Gdyby ktoś inny, a nie Amanda, zadał to pytanie, pomyślałby, że zamierza go nakłonić do tego, by pozwolił córce wziąć udział w wyścigu. Ale z pewnością pannie Proszę Tak Nie Mówić, Proszę Tego Nie Robić, Proszę Mnie Tu Nie Dotykać Davenport nie przyszłoby do głowy sugerowanie, że...

- A dlaczego o to pytasz? - zaciekał się.

Popatrzyła mu w oczy.

- Hannah chce wziąć udział w wyścigu. A ja myślę, że powinieneś jej na to pozwolić.

Skrzyżował ramiona na piersi i pochylił się w stronę Amandy.

- Tak uważasz?

Nabrała głęboko powietrza.

- Tak.

- Myślisz, że pozwolę jej na start w wyścigu? Na oczach tych wszystkich ludzi? Ubrana w spodnie, o które zawsze robiłaś tyle zamieszania?

Uciekła ze wzrokiem. Domyślił się, że sama nie jest w pełni przekonana co do tego pomysłu, lecz z jakiegoś trudnego do wytłumaczenia powodu uparła się, by go przeforsować.

- Teraz też ma na sobie spodnie i wszyscy twoi goście już ją w nich widzieli.

- Ale nie widzieli jej siedzącej okrakiem na tym wielkim czerwonym ogierze.

Rumieniec okrył jej policzki, lecz nie ustępowała.

- Czy Hannah potrafi jeździć równie dobrze jak Liam?

- Lepiej. - Oparł się o potężne drzewo eukaliptusowe, które zważyło się koło drogi w czasie potężnej wichury wiele lat temu i leżało teraz, blade i spłowiełe. - I to nie tylko dlatego, że jest

starsza. Mówiełm ci juź, że jest jednym z najlepszych jeźdźców, jakich w życiu widziałem. To jest dar, z którym trzeba się urodzić, a ona go ma.

- Więc pozwoliłś jej wystartować?

Głóśno wypuścił powietrze.

- Tego nie powiedziałem. To zbyt niebezpieczne. Może mieć wypadek.

- Ale... - Usłyszał zmieszanie w jej głosie. - Przed chwilą stwierdziłeś, że jest lepszym jeźdźcem niż Liam, a jemu pozwoliłbyś wystartować.

- Liam jest chłopakiem.

- A jakie to ma znaczenie w tej sprawie?

- Nie mogę uwierzyć, że właśnie ty to powiedziałaś. Spodziewałbym się, że ze wszystkich znanych mi osób ty pierwsza byś uważała, że to ma znaczenie.

- Ale tak nie jest. - Popatrzyła na niego pogardliwie, z wyższością. Doskonale jej to wychodziło. - Nie w tym przypadku.

-- Chryste! - Odepchnął się od zwalonego drzewa i wyprostował. - Właśnie w tym ma to ogromne znaczenie. Mogę pozwolić Hannah chodzić w spodniach, mogę uczyć ją kapać owce i pędzić bydło, a nawet mogę pozwolić jej czytać Wergiliusza, jeśli taka będzie jej wola. - Zauważył, że Amanda wysoko unosi brwi. - Tak, wiem o tym. Ale nic widzę powodu ani usprawiedliwienia, żeby pozwalać jej na podjęcie ryzyka, jakie wiąże się z tym wyścigiem.

- Ale Liamowi pozwoliłbyś?

- Do licha, Amando. Z nim to zupełnie inna historia, i dobrze o tym wiesz. On jest chłopcem. Chłopcy dorastają i muszą się stać mężczyznami. A to oznacza, że nie można ich rozpieszczać. Nawet jeśli by się miało na to wielką ochotę. Muszą się sprawdzać w rywalizacji, stawiać czoło niebezpieczeństwu. Należy im pozwolić na rozwinięcie skrzydeł i próby latania, nawet jeżeli ma to oznaczać, że mogą upaść i zrobić sobie krzywdę.

Jej usta otworzyły się w uśmiechu bez wesołości, który trącił czułą strunę w sercu Patricka.

- Myślisz, że dziewczęta nie marzą o lataniu?

Jeśli nawet dotąd odczuwał pewne poirytowanie, to teraz całkowicie ustąpiło pod wpływem niepożądanych emocji. Delikatnie pogładził ją wierzchem dłoni po policzku.

- A ty nie chciałabyś wlecieć w niebo, wolna jak ptak, Amando? - zapytał chrapliwie. - Dlaczego nie chcesz sobie na to pozwolić?

Zadrżała, a jej szare oczy rozbłyły podejrzenie. Miał wrażenie, że zwilgotniały od łez.

- Nie przyszedł tu rozmawiać o sobie.

Miała zamiar się odwrócić, ale chwycił ją za ramię i przytrzymał.

- Może nie. Ale tak czy owak musimy porozmawiać. Mamy mnóstwo rzeczy do omówienia.

Popatrzyła mu w oczy.

Wyprostował postrzępione końce wstążek i dotknął jej mocnego podbródka.

Od stodoły dobiegły ich wiwaty i dźwięk rogu. Amanda natychmiast wysunęła się z jego objęć i stanęła sztywno wyprostowana, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z ogromnymi oczami w bladej ściągniętej twarzyczce.

- Chyba już czas na wyścigi - powiedziała. - Pozwolisz Hannah wystartować?

- Nigdy się nie poddajesz?

- W ważnych sprawach nigdy.

Wsunął palce za pas i odchylił się do tyłu.

- A dlaczego ta sprawa jest dla ciebie taka ważna?

- Ponieważ ona nie wierzy w to, że ją kochasz.

Drgnął.

- To najgłupsza rzecz, jaką słyszałem. Dlaczego miałoby przyjść jej do głowy coś tak niedorzecznego?

Zauważył, że Amanda się waha, jakby chciała coś przed nim ukryć.

- Dlatego, że tak ją traktujesz.

Popatrzył na nią, osłupiały.

- A co jest złego w moim sposobie traktowania Hannah?

- Wszystko. - Zamyśliła się. - Nie widzisz tego? Ani jej nie rozpieszczasz tak jak Missy...
- Hannah nie chce być rozpieszczana. Nigdy nie chciała. Nawet jako dziecko nie lubiła, jak się ją przytulało, ścisnęło czy całowało. Jest zupełnie inna niż Missy...
- Ani nie pozwalasz jej na swobodę tak jak Liamowi.
- Do diabła! Przecież jest dziewczynką.
- Jest dziewczynką, która rozpaczliwie stara się zdobyć twoje uznanie. I czeka na jakiś twój znak świadczący o tym, że ją kochasz.
- To śmieszne. Oczywiście, że ją kocham. - Wycelował palcem w nos Amandy. - I właśnie dlatego, że ją kocham, nie chcę, żeby stała się jej krzywdą.
- Ona już ma poczucie krzywdy. - Głos Amandy się załamał. - I to dużo większe, niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić. Westchnął.
- Ty też nie chcesz, żeby brała udział w tym wyścigu, prawda? Jej drżący uśmiech powiedział mu wszystko.
- Nie. Ale nie znajduję wystarczająco ważnych powodów, żeby jej na to pozwolić.
- W takim razie chodźmy. - Ujął ją pod łokieć i poprowadził na drogę. - Lepiej się pośpieszmy.

Tor wyścigowy był bardzo długi. Zaczynał się tuż za eukaliptusami po drugiej stronie wyschniętego koryta potoku, potem wchodził w dolinę, prowadził wokół czerwonej skały na wzgórzu odległym o około pół mili; tam jeźdźcy mieli zawrócić. Wzniesiono przeszkody z płotków dla owiec; na trasie znajdowało się również koryto potoku, które należało przeskoczyć.

Stojąc w cieniu rzucanym przez potężny eukaliptus, Patrick starannie przywiązał swoją chustkę do kija. Amanda z niepokojem patrzyła na pole wypełnione tłumem ludzi i koni. Nerwowo przygryzała dolną wargę i wyraźnie pobrała, jakby żałowała tego, że udało jej się go przekonać.

- Znasz inne konie biorące udział w wyścigu? - zapytała.

- Niektóre. - Ruchem głowy wskazał jeźdźców, starających się ustawić wierzchowce w jednej linii. - Widzisz tego gniadosza? Tego pod młodym aborygeńskim pasterzem? Pochodzi z Arkaby. Widziałem go już w biegu. Jest szybki, ale nie można mieć do niego zaufania. - Przytrzymał kij kolanami. - Nie znam tego siwka z białą strzałką, ale to rzucanie łbem i ustawianie się bokiem nie wróży niczego dobrego tym, co postawili na niego pieniądze.

Popatrzyła na Patricka, zaskoczona.

- To znaczy, że ludzie obstawiają tu zakłady, kto wygra?

Uśmiechnął się szelmowsko i zacisnął wężel.

- Niektórzy ludzie, panno Davenport. Ale na pani miejscu nie stawiałbym żadnych pieniędzy na tego błyszczącego karego ogiera z białymi skarpetami. Pochodzi z Wilpena Pound. Przyznaję, że prezentuje się bardzo efektownie, ale, moim zdaniem, ma za długi grzbiet, a za krótkie nogi. - Wskazał czwartego konia. - Natomiast radziłbym zwrócić uwagę na tę białą klacz. Należy do Hannibala Coxa.

Z zainteresowaniem przyjrzała się klaczy.

- Czy to właściciel farmy leżącej na wschód stąd? Ten, który kupił Ognistego Tancerza w Nowej Zelandii?

- Tak. Słyszałem, że nie jest specjalnie uszczęśliwiony faktem, że stałem się właścicielem Ognistego Tancerza. Przechwalał się, że jego Lady w każdej gonitwie prześcignie mojego ogiera. Pojedzie na niej jego syn, Richard. Ma zaledwie piętnaście lat, ale zwinny z niego skurczybyk i świetnie radzi sobie w siodle.

Spodziewał się, że Amanda zrobi jakąś uwagę na temat jego słownictwa, ale nic nie powiedziała. W milczeniu patrzyła na gromadzące się konie, bezwiednie to zaciskając, to rozprostowując palce. Uważnie przyjrzała się rudowłosemu piegowatemu Richardowi Coxowi z jasnoszarymi oczami i wąskimi wargami. Chłopak ustawił swą klacz tuż obok Ognistego Tancerza.

- Ej! - zawołał do Hannah. - A ty co tu robisz? Powinnaś być teraz w stodole i razem z innymi kobietami wydawać ciastka i napoje.

Pozostali chłopcy biorący udział w wyścigu roześmiali się; zawtórowało im kilkunastu widzów. Hannah pochyliła się, by poprawić ułożenie nogi w strzemieniu. Usłyszawszy kpiącą uwagę Richarda, znieruchomiała na chwilę. Patrick zauważył, że dziewczynka zaciska rękę na zapince. Po chwili się rozluźniła, wyprostowała, chwyciła wodze i popatrzyła przed siebie.

Ogarnęło go poczucie dumy na widok córki, tak spokojnie reagującej na uszczypliwe uwagi chłopca. Liam natychmiast zeskoczyłby z konia, gotów do ściągnięcia małego Coxa na ziemię i sprawienia mu lania. Lecz Hannah była zbyt sprytna, by pozwolić sobie na rozproszenie uwagi czy zderowanie. Była skupiona, zbierała siły na czekający ją wyścig.

Patrick podał kij Amandzie.

Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie. Zauważył, że się waha, po czym sięgnęła po prowizoryczną chorągiewkę. Przez chwilę oboje trzymali kij w dłoniach. Wreszcie Patrick puścił go i się cofnął.

Chorągiewka uniosła się. Przez tłum przeszedł szmer oczekiwania. A potem poszła w dół.

Konie ruszyły w zwartej linii. Wyjątek stanowił siwy koń, który obrócił się i stanął zadem do toru. Jeździec zaklął siarczyście, co przypawiło Amandę o rumieniec, szarpnął łbem wierzchowca, a w końcu trzasnął go batem. Szary koń ruszył do przodu.

Pozostałe zwierzęta biegły przez pole niemal w jednej linii. Bez problemu poradziły sobie z pierwszą przeszkodą. Kopyta dudniły po twardej, suchej ziemi.

- Tam - powiedział Patrick, wziął Amandę za rękę i wraz z resztą hałaśliwego tłumu pobiegli na wysoki brzeg potoku. - Stamtąd będziemy mieli lepszy widok.

Kiedy znaleźli się na wzniesieniu, konie pokonywały drugą przeszkodę, potem przeskoczyły koryto potoku. Pierwsza czwórka wciąż trzymała się razem. Lecz gdy dojechali do miejsca nawrotu, byli już rozciągnięci w nierównej linii. Hannah jechała trzecia,

za białą klaczą Coxa i gniadoszem z Arkaby. Narowisty siwek minął już efektownego karego wierzchowca i szybko zbliżał się do prowadzącej trójki.

- Szybciej, Hannah - wyszeptała Amanda, zaciskając w pięści dłonie okryte białymi rękawiczkami. - Szybciej!

- Ona go trochę powstrzymuje - powiedział Patrick, patrząc, jak konie przeskakują nad trzecim rzędem płotków. - Cox zmusza swoją klacz do zbyt szybkiego biegu. Jadąc w takim tempie, nie wytrzyma dwóch mil. Tak samo ten gniadosz.

Widzowie na brzegu podskakiwali i krzyczeli, gdy jeźdźcy przejeżdżali obok nich. Ziemia drżała pod kopytami, gdy konie pokonywały następne przeszkody. Potem wypadły na prostą, ostro zakreśliły przy potoku i skierowały się na równinę, tworząc falującą wstęgę błyszczących kopyt, spoconych końskich grzbietów i pochylonych jeźdźców.

Kiedy znów przejeżdżali obok stojących na wzniesieniu, Hannah zmusiła Ognistego Tancerza do wyprzedzenia gniadosza, wysuwając się na drugie miejsce. Znajdowała się jednak o dobre trzy długości za prowadzącą klaczą Coxa.

Tłum krzyczał i falował w szale emocji. Tak zachowywali się chyba wszyscy z wyjątkiem Amandy. Patrick poczuł, że wbiła palce w jego ramię. Popatrzył na jej napiętą z niepokoju twarz i sztywno wyprostowane ciało. Zastanawiał się, czy Amanda zdaje sobie sprawę, że trzyma go tak kurczowo. Widział, jak wychyla się w przód. Czuł, że i ona ma ochotę krzyżeć i skakać jak wszyscy pozostali. Ogarnęło go współczucie. Była tak wyraźnie zablokowana, skrepowana swoimi ciasnymi poglądami na temat zachowania, które przystoi - lub nie przystoi - angielskiej damie.

Rozluźnij się, miał ochotę powiedzieć. Rozluźnij się, podskakuj, krzycz i piszcz jak wszyscy. Tak jak chcesz. Tak jak tego potrzebujesz.

Nie mogła się jednak przełamać.

Tłum znowu wznosił okrzyki, gdy konie po raz drugi i ostatni okrążyły poszarpane skały na odległym wzniesieniu. Dostrzegł białą klacz na prowadzeniu, Ognistego Tancerza o trzy długości

za nią, gniadosza i narowistego siwka tuż za nim. Lśniący kary koń został daleko z tyłu.

- No, teraz, córeczko - odezwał się cicho Patrick. - Teraz daj mu pokazać, co potrafi.

Jakby słysząc jego słowa, Hannah pochyliła się nad mocną szją ogiera. Natychmiast wydłużył krok i przyspieszył. Gibkie, zwinne ciało dziewczynki zdawało się stapiać z wierzchowcem. tak że można było odnieść wrażenie, iż stanowią jedność.

Ognisty Tancerz wydawał się połykać dystans migającymi szybko kopytami. Wyraźnie zbliżył się do prowadzącej białej klaczy, zostawił w tyle gniadosza i siwka. Kiedy brali następną przeszkodę, Hannah była już tylko dwie długości za Richardem Coxem. Tuż przed ostatnią jego prowadzenie zmniejszyło się do niecałej jednej długości.

I kiedy wydawało się, że Hannah wysunie się na prowadzenie jeszcze przed ostatnim skokiem, po którym pozostawał już tylko płaski bieg do mety, Ognisty Tancerz się potknął. Dziewczynka natychmiast zmusiła go do wyrównania kroku, lecz znajdowali się już zbyt blisko przeszkody. Cox przepłynął nad nią bez wysiłku, lecz, jak zauważył Patrick, jego córka skrzywiła się, gdy zorientowała się, że źle podchodzą do przeszkody.

Ściągnęła wodze, lecz było już za późno. Wielki ogier wzbił się w powietrze o krok za wcześniej.

- Boże! - krzyknęła Amanda. - Przewróci się! Rzuciła się w przód, jakby chcąc wręcz fizycznie zapobiec upadkowi. Patrick powstrzymał ją, obejmując jej talię. - Hannah - wyszeptowała, kurczowo chwytając otaczające ją ramię. - Och, Hannah.

Przytulił ją mocniej, czując ściaskanie w żołądku i dziko walące serce. Gdyby jego córka upadła, inni zwaliliby się na nią i doznałyby bardzo poważnych obrażeń.

Mogłyby nawet zginąć.

Miał wrażenie, że wielki krwistoczerwony ogier płynie w powietrzu w zwolnionym tempie. Zawsze podziwiał umiejętności jeździeckie córki, ale teraz zdał sobie sprawę, że nigdy w pełni nie docenił tego, jak bardzo jest utalentowana. Kiedy był przekonany, że koń upadnie przy lądowaniu, w jakiś przedziwny

sposób udało jej się skorygować jego ruchy w powietrzu. Wydłużył krok i pokonali ostani płotek, lądując dość twardo, ale bezpiecznie.

Jadący przed nią w dzikim galopie Richard Cox zaryzykował i popatrzył przez ramię na konia pędzącego tuż za nim. Jego prowadzenie znów zmniejszyło się do jednej długości. Do połowy. Rozpaczliwie unosząc i opuszczając łokcie, bezlitośnie smagał konia batem. Lecz wierzchowiec był już bardzo zmęczony.

- Hannah! - ryknął Patrick, unosząc zaciśniętą pięść. - Zuch dziewczyna!

I wtedy to, co dotąd blokowało Amandę, nagle przestało istnieć.

- Hannah! - krzyknęła, podskakując dziko. - Szybciej, szybciej, dasz radę, szybciej!

Rytmicznie poruszający się krwistoczerwony ogier prowadzony lekkimi, pewnymi rękami drobnej ciemnowłosej dziewczyny minął Lady Coxa. Hannah i Ognisty Tancerz pomknęli do mety, łatwo wygrywając o dwie długości.

Amanda, całkiem już zapomniawszy o konieczności zachowania godnej postawy, okręciła się w ramionach Patricka i roześmiała tak radośnie, że zaparło mu dech.

- Wygrała! Hannah wygrała!

Popatrzył na jej rozpromienioną twarz, na pełne wargi jeszcze drżące z emocji, na szare oczy błyszczące od łez radości. Krzyczący, rozkołysany tłum ruszył ku okrytym pianą, parującym koniom i ciężko dyszącym jeźdźcom. Lecz Patrick patrzył tylko na Amandę, czując, jak jego uczucie do niej wzbiera nową gorącą falą. Śmiejąc się, chwycił ją w pasie i unióśł wysoko, okręcając się z nią w szaleńczym, triumfalnym wirze.

Szeroko otworzyła oczy i zaskoczona, gwałtownie złapała powietrze, po czym mocno chwyciła go za barki. Lecz po chwili odchyliła głowę, zachwycona, a jej śmiech zmieszał się z jego śmiechem, spontaniczny, niepowstrzymany i pełen radości, gdyż w tej właśnie chwili Amanda poczuła cudowną wolność.

18

Zbyt szybko uzmysłowiła sobie, gdzie się znajdują.

Nie mogła uwierzyć, że pozwoliła Patrickowi na publiczne okazanie łączącej ich zażyłości.

- Panie O'Reilly - wydyszała, przerażona, patrząc na jego urodziwą roześmianą twarz. - Proszę mnie puścić. Robi pan ze mnie widowisko.

Powoli ją opuścił, lecz nie pozwolił się cofnąć.

- Spokojnie, Mandy - szepnął jej do ucha. - Nikt nie patrzy.

Czuła bijące od niego ciepło. Zdjęła jego dłonie ze swej talii i odsunęła się, by dołączyć do tłumu sunącego w dół zbocza.

- Nie wolno ci publicznie nazywać mnie Mandy - syknęła. - To niestosowne. - Wygładziła spódnice, wyprostowała kapelusz i zrobiła wszystko, co tylko przyszło jej do głowy, by nie patrzeć na idącego obok niej mężczyznę.

- Czy zawsze musisz być taka nienaganna, Amando?

- Oczywiście.

- Dlaczego? - Chwyć ją za ramię i obróć twarzą do siebie. - A co się stanie, jeśli taka nie będziesz? Jeśli zaczniesz się zachowywać jak wszyscy pozostali i trochę się rozweselisz? Boisz się, że ludzie pomyślą, iż przestałaś być idealną, nienaganną Angielką? To właśnie przeraża cię w tym kraju? Że czujesz się tu tak, a nie inaczej? Że masz ochotę zachować się trochę nietypowo?

Strąciła jego rękę z ramienia.

- Przestań! - zawołała.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Gdzieś w pobliżu wyschniętego koryta potoku srokacz zaczął swoją pieśń. Jej wesołe nuty mieszały się z radosnym, perlistym śmiechem zwyciężczyni wyścigu, Hannah.

- O, Hannah - powiedziała Amanda i sztywno ruszyła ku zsiadającej z konia dziewczynce.

Hannah wypatrzyła w tłumie Amandę i ojca. Skierowała się w ich stronę, wciąż trzymając wodze Ognistego Tancerza.

- Widziała mnie pani, panno Davenport? - zapytała. Miała zaróżowione policzki i ciężko oddychała po gonitwie, która kosztowała ją wiele wysiłku, lecz jej oczy błyszczały z dumy. - Widziałeś, papo?

Amanda uśmiechnęła się i skinęła głową, ale pozostała w miejscu, by ojciec pierwszy złożył jej gratulacje.

Spodziewała się, że Patrick porwie córkę w ramiona, wylewnie okazując swą miłość i dumę. Przeżyła więc zaskoczenie, gdy tylko niedbale otoczył Hannah ramieniem i przyciągnął do siebie w krótkim uścisku.

- Dobra robota, zuchu - powiedział, jakby była Liamem albo którymś z pasterzy.

Amanda poczuła rosnące wzburzenie. Jak mógł tak od niechcienia potraktować zwycięstwo córki? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, jaką wartość dla niej miało? Czy naprawdę nie mógł powiedzieć czegoś, co dowodziłoby tego, jak bardzo jest z niej dumny?

Po chwili jednak zobaczyła rozpromienioną twarz dziewczynki i wszystko zrozumiała.

Australijczycy nigdy nie zwracali się do kobiet „zuchu”. To słowo było zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn.

Patrick prawdopodobnie nie mógł wybrać lepszych słów na sprawienie przyjemności córce.

Zabawa zorganizowana przez Patricka na zakończenie sezonu strzyżenia owiec w niczym nie przypominała balów, w których Amanda brała dotąd udział.

Nie chodziło tylko o miejsce, którym była stodoła do strzyżenia, ani o orkiestrę, w skład której wchodził rudowłosy irlandzki górnik z akordeonem i chudy skrzypek z siwymi bokobrodami, Ichabod Hornbottom, właściciel hotelu w Brinkman. Głównym problemem był nadmiar mężczyzn, którzy liczebnie przewyższali kobiety w proporcji pięć do jednego.

Większość mężczyzn musiała więc tańczyć ze sobą. Nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby nie to, że kiedy nie tańczyli, tłoczyli się wokół długich stołów z napojami, wystawionymi przed wielkimi drzwiami od wschodniej strony budynku. Co pewien czas wracali chwiejnym krokiem do oświetlonej stodoły, pachnąc tytoniem i rumem i rechocząc tak głośno, że musieli się mocno podtrzymywać, podczas gdy nieposłuszne stopy usiłowały wykonywać polecenia wodzireja. Kiedy jakieś dzieciaki, bawiące się w berka, wbiegły między tańczących, cztery męskie pary, usiłujące się obrócić, wpadły jedna na drugą i przewróciły jak kręgle.

Amanda omal nie wybuchnęła śmiechem. Szybko przyłożyła dłoń w białej rękawiczce do ust, by to ukryć.

- To przerażające - powiedziała nienaganną angielszczyzną jakaś zgorzona kobieta, siedząca po jej prawej ręce.

Inna głośno psyknęła z dezaprobatą. Amanda odchrząknęła i przybrała maskę pogodnej obojętności.

Siedziała w rzędzie statecznych angielskich guwernantek, obnoszących się ze swoim zgorzeniem na wełnianych belach ułożonych pod ścianą, tworzących prowizoryczne ławki. Powiedziała dzieciom, że nic będzie tańczyć, i nie miała zamiaru zmieniać zdania. Lecz gdy skrzypki grały coraz skoczniejszą muzykę, ukradkiem zaczęła wystukiwać rytm stopami osłoniętymi brązową spódnicą.

Położyła ręce na kolanach, by uspokoić nogi.

Zauważyła Christiana Whittakera, stojącego w końcu sali i rozmawiającego z grupą zarządców kopalni w Brinkman. Miał na sobie szare prążkowane spodnie i doskonale komponujący się z nimi elegancki surdut oraz brokatową kamizelkę w kolorze wina na koszuli w paski. Jego obecność podziałała na nią kojąco

i dodała pewności siebie. Był jej pocieszycielem. Kiedy mu powiedziała, że nie będzie tańczyć, zapewnił Amandę, iż doskonale ją rozumie. Zawsze mogła liczyć na to, że Whittaker zachowa się, jak przystało na prawdziwego dżentelmena.

Niestety, Patrick nie był dżentelmenem.

- To najgłupsza rzecz, jaką słyszałem - oznajmił, trzymając ręce na biodrach, kiedy się o tym dowiedział.

- Panie O'Reilly - napomniała go surowym tonem i szybko się rozejrzała, by sprawdzić, czy nikt go nie słyszał.

- Dlaczego, do diabła, nie chcesz ze mną zatańczyć?

- Już ci to mówiłam. Uważam, że byłoby to niewłaściwe.

- Coś podobnego! Powiem ci, co jest niewłaściwe. - Wycelował palcem w jej nos, co pomału stawało się jego zwyczajem. - Niewłaściwe jest to, że jedna z niewielu ładnych młodych kobiet w sali pełnej mężczyzn ogłasza, że ma zamiar cały wieczór siedzieć pod ścianą jak jakaś zasuszona jędrza, która zrezygnowała z życia już dwadzieścia lat temu. - Wyciągnął rękę w kierunku rzędu ponurych, zwiędłych guwernantek.

- Panie O'Reilly. - Amanda zaprotestowała raczej z poczucia obowiązku, gdyż w głębi duszy cieszyła się z jego słów. A więc uważała, że jest ładna? Z trudem przybrała poważny wyraz twarzy. - Jestem tutaj jako guwernantka, a nie gość. Jestem jedną z tych kobiet.

Ściągnął wargi i westchnął.

- Nie rozumiesz? Nikt nie zmusza ich do siedzenia pod ścianą. Same uznały, że nie mają prawa do odrobiny radości.

- Słusznie.

- Kto tak mówi?

- Nie kto, panie O'Reilly, a co. Coś, co nazywamy poczuciem przyzwoitości. Zwyczajem.

- Może to angielski zwyczaj, bo na pewno nie australijski.

- Ale ja jestem Angielką. - To powiedziawszy, odwróciła się i dołączyła do wyschniętych, niemrawych dam.

Stłumiwszy westchnienie, oparła głowę o szorstki kamienny mur i przymknęła powieki, aż wewnątrz stodoły stało się dla niej

jedynie plamą złotawego światła, drewna, kamienia i wirujących, śmiejących się, wesoło ubranych tancerzy.

Wiedziała, że budynek został starannie wyszorowany w ramach przygotowań do potańcówki, lecz wciąż unosiła się w nim woń owiec, ledwie wyczuwalna wśród zapachu damskich perfum, męskiej pomady do włosów i rozgrzanych ciał tancerzy. Miała wrażenie, że słyszy jeszcze słabe echo szczekania nożyc i beczenia owiec wśród atłasowych sukni dam, tupotu męskich butów i wesołej, żywej melodii skrzypiec i akordeonu.

Jej rozmyślenia przerwał zrzędlawy, lecz znamionujący szlachetnie urodzoną osobę angielski głos.

- Myślę, że mogliby nam przynajmniej zapewnić przyzwoite krzesła.

Amanda odwróciła głowę, by przyjrzeć się damie siedzącej na tej samej co ona beli wełny. Panna Iantha Thorndike była guwernantką u Brownów z Wilpena Pound. Szczupła kobieta o pociągłej twarzy i oczach małych jak u łasicy przez tak wiele lat ściągała wargi w wyrazie wiecznego nadąsania, że teraz wydawały się one niewiele szersze od cienkiego nosa. Jej suknia miała nieciekawą brązowy kolor, taki sam jak włosy i koralikowe oczka kobiety. Równie dobrze mogła mieć trzydzieści pięć, jak i pięćdziesiąt pięć lat. Patrząc na nią, Amanda miała kłopot z wyobrazeniem sobie, że ta surowa, ponura kobieta kiedykolwiek była naprawdę młodą.

- To takie typowe dla kolonii - kontynuowała Iantha, uznając milczenie Amandy za znak zgody. - Człowiek spotyka się tu z przedziwną mieszanką kultury i barbarzyństwa. Oczywiście, w Anglii jako guwernantki nigdy nie zostałybyśmy zaproszone na bal, no ale tam nikomu nie przyszłoby do głowy wskazać damom miejsca na belach z wełny.

Amanda uważnie popatrzyła na skwaszoną, małostkową Angielkę i poczuła do niej antypatię, połączoną z chęcią, by stanąć w obronie mężczyzny, który przygotował te bele wełny, zapewnił muzykę i mnóstwo jedzenia, po które, jak zauważyła, panna Thorndike nieustannie sięgała.

- Prawdę mówiąc, pachną lepiej niż kanapy w salonie -

powiedziała Amanda, z całych sił starając się zachować powagę. - Pies Liama bardzo lubi na nich spać.

- Hmm. — Iantha zasznurowała zwiędłe wargi. - Myślę, że należy spodziewać się wszystkiego, mając do czynienia z taką kolekcją parweniuszy i dorobkiewiczów. - Popatrzyła wymownie na środek sali, gdzie tańczono skoczego irlandzkiego jiga. - Och, oczywiście, są tu także nieliczne panie i panowie z dobrych rodzin, ale ta cała reszta! Człowiek tak szybko się męczy wszechobecną wulgarnością, brakiem kultury i jakichkolwiek potrzeb intelektualnych, tak powszechnym wśród osadników. - Kobieta przysunęła się do Amandy i zniżyła głos. - Słyszałam, że pan O'Reilly zatrudnia nawet czarnych dzikusów. To musi być dla pani bardzo przykre.

Czarne dzikusy... Amanda sama kilkakrotnie użyła tych słów, lecz z jakiegoś powodu to, że Iantha Thorndike pogardliwie nazwała tak Jacka, Sally i Pinbę, sprawiło, że po raz pierwszy w pełni zrozumiała, dlaczego Patrick tak nienawidzi tego określenia.

- To prawda - przyznała Amanda. - Ale prosi ich, żeby wkładali ubrania, kiedy wchodzi do domu.

Oczy lanthy rozszerzyły się z przerażenia.

- Czy to znaczy, że wolno im chodzić po farmie w stanie... nagości? - Przyłożyła dłoń do piersi, jakby chcąc ukryć swój nędzny biust.

Amandę ogarnęło współczucie dla tej nieszczęśliwej kobiety o ciasnych poglądach. Niezależnie od tego, jak dawniej wyglądały piersi lanthy, były teraz smętne jak sny starej panny: wyschnięte, skurczone jakby z nieużywania. Nigdy nie ssało ich dziecko. A kobieta taka jak Iantha Thorndike z pewnością nigdy nie pozwoliła, by dotknęły ich ręce mężczyzny.

Czując narastający niepokój, Amanda rzuciła szybkie spojrzenie na rząd bezbarwnych dam pod ścianą. Z rękami złożonymi na kolanach, identycznie ubrane w suknie o różnych odcieniach szarości lub brązu, siedziały skwaśniałe, lustrując otoczenie z wyrazem pogardy na twarzach. Ich błędne włosy były zaczesane do tyłu i upięte w ciasne węzły, stanowiące jakby

alegorię ich zmarnowanego staropanieńskiego życia. Czy któraś z tych kobiet kiedykolwiek marzyła o tym, żeby męczyzna dotknął ich piersi? - zastanawiała się Amanda. Czy choć raz miały ochotę poznać smak namiętnego pocałunku? Czy płonęły z chęci poczucia męskiej twardości pomiędzy swymi udami? Trudno było się tego domyślić, patrząc na rząd surowych, ściągniętych twarzy.

Czy tak będę wyglądać za dziesięć lat? - pomyślała z niepokojem. Czy...

Czy może już tak wyglądam?

Przeżazona tą myślą, odwróciła głowę, wypatrując wysokiej szczipłej sylwetki Patricka wśród wirujących tancerzy.

Wyglądał dzisiaj niemal elegancko i statecznie w spodniach szerokich u góry, a wąskich w kostce, granatowej aksamitnej kamizelce i świeżutkiej białej koszuli. Tyle że jego włosy były nadal zbyt długie i zupełnie nieelegancko opadały na kołnierz surduta. Nic było też niczego statecznego w jego roziskrzonym wzroku czy szelmowskich uśmiechach, które powodowały pojawianie się dołków w gładko wygolonych smagłych policzkach.

Patrzyła, jak podskakuje w żywym jigu. Uśmiechnęła się, zauważywszy, że pod mankietami spodni kryją się znoszone skórzane buty do konnej jazdy. Skrzypce przyspieszały piskliwie, akordeon starał się dotrzymać im tempa.

Patrick podskoczył i kilkakrotnie się okręcił. Doskonale panował nad swym zwinnym ciałem; jego nogi tylko migały w powietrzu. Pozostali tancerze przystanęli, by głośno wyrazić uznanie i zachęcić go do dalszych popisów. Światło lamp rzucało złocisty blask na jego zmierzwiłone, rozjaśnione słońcem włosy i mokre od potu, zaczerwienione policzki, gdy tak tańczył, tańczył, i tańczył.

Amanda obserwowała go z zapartym tchem, podziwiając piękno jego zdrowego ciała, zachwycona męską siłą. Gorącą falą oblało ją pożądanie zmieszane z lękiem, że być może nigdy się nie dowie, jak by się czuła, gdyby się z nim kochała. Ogarnął ją strach, że pewnego dnia, za dziesięć lat, będzie siedzieć pod jakąś ścianą z rękami złożonymi na kolanach i z twarzą nabur-

muszoną i ściągniętą żalem będzie obserwować taniec młodego mężczyzny.

Zdając sobie sprawę z tego, co straciła.

Noc była upalna, powietrze nieruchome; dookoła było tak cicho, że śmiech i muzyka ze stodoły musiały nieść się na wiele mil pustych falistych równin.

Patrick przystanął za prostokątną plamą światła, padającego na ziemię z otwartych drzwi. Wyszedł zapalić fajkę, lecz tylko się przechadzał, myśląc o Amandzie.

Nie mógł spokojnie patrzeć, jak siedzi pod ścianą, nie mógł pogodzić się z myślą, że uznała, iż należy do żałosnego grona wysuszonych żywych mumii. Widział, jak ukradkiem przytupywała do rytmu, zauważył, że smutnym wzrokiem przyglądała się tańczącym, podobna do głodnego cielątka szukającego mamy. Był pewien, że miała ochotę zatańczyć. Zapewne uważała, że nie powinna tego robić, a być może nawet trochę się obawiała pozwolenia sobie na odrobinę przyjemności po tylu latach. Lecz na pewno chciała się bawić.

Pozostawało jednak pytanie, jak można ją do tego nakłonić. Była tak potwornie uparta.

Zaklął pod nosem i sięgnął do kieszeni po fajkę i miszek z tytoniem, kiedy coś przyciągnęło jego wzrok. To coś przypominało pogniecioną spódnicę sukienki jego młodszej córki, wystającą spod stołu przeznaczonego dla mężczyzn.

Schował fajkę do kieszeni, podszedł do stołu, odwrócił się, jakby chciał się o niego oprzeć, a potem szybko się pochylił, chwycił w garść spory kawałek spódnicy i pociągnął.

Spod stołu wynurzyła się Missy. Usiłując utrzymać równowagę, trzepotała ramionami jak chorągiewka w wietrzny dzień. Kątem oka zauważył białą koszulę i czarne szelki. Drugą ręką chwycił Liama za kołnierzyk.

- Zaczekajcie chwilę, robaczki.

Odwrócił dzieci tak, by spojrzeć im w oczy, kiedy zza rogu stodoły cicho wyłoniła się Hannah i stanęła obok brata. Ta

dzieczyna mogła przypawić o większy ból głowy niż skrzynka palącej trzewia whisky, ale nigdy nie pozwalała na to, żeby inni ponosili karę za to, w czym i ona brała udział.

- No ładnie - powiedział, chwytając się pod boki i patrząc na całą trójkę. - Nawet nie zamierzam pytać, co wy tu, do diabła, wyprawiacie.

Jego dzieci wymieniły ostrożne spojrzenia, wyrażające ulgę.

Z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Chcę tylko wiedzieć, dlaczego jeszcze nie leżycie w łózkach?

- Panna Davenport powiedziała, że jeśli będziemy grzeczni, możemy zostać do północy - odpowiedział Liam.

- Nie wygląda mi na to, że byliście grzeczni.

- Proszę, papo - odezwała się błagalnym tonem Missy, spoglądając na niego dużymi niebieskimi oczami. - Nie powiesz jej, prawda?

Popatrzył na nich badawczo.

- Noo... - zaczął powoli, chcąc potrzymać swe pociechy w niepewności. - To zależy.

- Od czego? - zapytała podejrzliwie Hannah.

Uśmiechnął się do niej.

- Od tego, czy jesteście podatni na przekupstwo i korupcję. Missy zmarszczyła czoło.

- A co to jest prze stwo i kor... kor...

Patrick posadził sobie małą dzieczynkę na biodrze.

- Missy, masz poważne braki w edukacji.

Missy wspięła się na puste miejsce na beli wełny obok panny Davenport. Była z siebie bardzo dumna, ponieważ papa wybrał ją do odegrania pierwszej roli w tym, co nazwał małą improwizacją. Albo czymś w tym rodzaju. Wybrał ją, ponieważ, jego zdaniem, potrafiła oczarować nawet samego diabła, jeśli zdecydowała się wykorzystać wszystkie swe uroki.

Przeżyła pewne zaskoczenie, dowiedziawszy się, że papa wie, iż potrafi wykorzystywać swoje uśmiechy i łzy, kiedy ma na to ochotę, i że zdarza jej się to robić dla osiągnięcia własnych

celów. Ale doszła do wniosku, że dopóki to działa, nie musi się tym zbytnio martwić.

- Panno Davenport - zaczęła i natychmiast urwała, gdyż Amanda delikatnie dotknęła jej palców, uciszając ją.

Guwernantka z pociągłą twarzą i ustami jak rodzinna, siedząca po drugiej stronie Amandy, coś mówiła.

- ...a jedną z najgorszych stron życia w tym kraju jest całkowity brak okazji do kulturalnej, wzbogacającej konwersacji. Oni rozmawiają tylko o owcach.

- Tak? - Panna Davenport niewinnie uniosła brwi. - Czyżby państwo Brown nie mieli bydła w Wilpena Pound?

Missy zachichotała, lecz kobieta z rodziną w miejsce ust sprawiała wrażenie zmieszanej.

- Myślę, że mają. A dlaczego pani pyta?

- Przepraszam na chwilę - powiedziała panna Davenport, odwracając się. - Czy czegoś sobie życzysz, Missy?

Dziewczynka obdarzyła ją najbardziej promiennym ze swych uśmiechów.

- Liam i Hannah chcieliby wiedzieć, dlaczego pani nie tańczy.

Amanda popatrzyła na Liama i Hanę, przyglądających się tłumowi mężczyznapełniającemu miejsce do tańca.

- Już to wyjaśniłam, nie pamiętasz? - odpowiedziała. - Jestem tu jako wasza guwernantka. Tańcząc, zachowałabym się nie- stosownie.

- Ale panna Tucker tańczy, a ona też jest guwernantką. - Missy ruchem głowy wskazała urodziwą młodą kobietę z jasnymi loczkami i alabastrową cerą, która tańczyła z papą.

W pięknych szarych oczach panny Davenport zagościł wyraz smutku, kiedy popatrzyła na papę z panną Tucker, ale kobieta z ustami jak rodzinna psyknęła z dezaprobatą i powiedziała:

- Susan Tucker. Urodziła się w Nowej Południowej Walii.

- Nie rozumiem - powiedziała Missy.

Rodzinkowe Usta popatrzyła na nią z uniesionymi brwiami.

- To znaczy, że nie jest Angielką.

- Czy Angielki nie umieją tańczyć?

Rodzinkowe Usta wybałuszyła oczy, jakby nagle połknęła garść prawdziwych rodzynek.

- Nie bądź impertynencka, moje dziecko.

Missy poczuła przypływ irytacji. Jej plan nie miał szans powodzenia przy tej strasznej kobiecie, zaprawiającej każdą swą wypowiedź kwaśnym octem. Popatrzyła na Hannah i Liama, którzy w końcu znaleźli pana Whittakera i wzięli go w środek pomiędzy siebie. Papa powiedział im, żeby posłużyli się nim tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne, ale teraz Missy zdecydowała, że muszą skorzystać ze wszystkich dostępnych środków.

Kręcąc się na belki z ręką za plecami, gwałtownie zamachała do siostry i brata.

Panna Davenport odwróciła się do nieprzyjemnej guwernantki.

- Słyszałam, że w Wilpena Pound jest pod dostatkiem wody i zieleni, prawie jak w parku. Czy jeździ pani konno?

Rodzinkowe Usta zachnęła się.

- To prawda, że nie jest tam tak sucho i pusto jak w większości miejsc w Górach Flindersa. A jeśli chodzi o jazdę konną... Cóż, jaki jest sens jazdy bez celu? A tutaj nie ma żadnych domostw ani innych farm w rozsądnej odległości.

W tym właśnie momencie nadeszli Hannah i Liam z uwięzionym pomiędzy nimi panem Whittakerem. Sprawiał wrażenie zakłopotanego i zmieszanego, jakby nie wiedział, co tu robi ani jak się stąd wydostać.

Hannah cierpliwie czekała z głową przechyloną w bok, aż Rodzinkowe Usta przerwie dla zaczerpnięcia tchu, i zaatakowała:

- Panna Davenport bardzo lubi jeździć konno, prawda, panno Davenport?

Panna Davenport uśmiechnęła się do niej. Hannah jak zwykle miała na sobie moleskinowe spodnie i czerwoną koszulę, ale do tańca związała włosy z tyłu czerwoną satynową wstążką. Panna Davenport tak rozpromieniła się na ten widok, jakby dziewczynka ubrała się w spódnice i koronki.

- Tak, chociaż do niedawna nie miałam okazji jeździć tyle co wtedy, gdy byłam małą dziewczynką. - Powiedziała to

z wyrazem pewnego rozmarzenia na twarzy, jakby przypomniał sobie coś, co kiedyś sprawiało jej radość. Tyle że kiedy uzmysłowiła sobie to teraz, posmutniała.

Pan Whittaker odchrząknął.

- Muszę przyznać, że osobiście nigdy nie rozumiałem atrakcyjności konnej jazdy jako formy wypoczynku. Dla mnie pozostaje to raczej nieodzownym środkiem transportu i zaryzykowałbym twierdzenie, że bardziej się ją znosi, niż z niej cieszy.

Stojący za nim Liam przewrócił oczami i zrobił pocieszoną minę, ale Missy cały czas pamiętała o tym, jakie mają zadanie, i skorzystała z okazji włączenia się do rozmowy.

- Czy nie lubi pan też tańczyć, panie Whittaker? - zapytała piskliwym głosem.

Whittaker uśmiechnął się do niej.

- Dlaczego miałbym nie lubić... oczywiście, że lubię - odpowiedział szczególnym tonem, jakim niektórzy dorośli zwracają się do małych dzieci, psów, kotów i innych, niezbyt lotnych istot.

- To dlaczego pan nie tańczy?

Udało mu się zachować uśmiech, choć teraz już bledszy. Missy zauważyła, że się zaczerwienił.

- Hmm... cóż... - Był bardzo speszony, a rumieniec na policzkach jeszcze się pogłębił.

- Właśnie, dlaczego pan nie tańczy? -- zapytała Hannah.

- Hmm, prawdę mówiąc ze względu na obecność panny Davenport - wyznał w końcu. - Nie wypada, żebym to robił, skoro ona postanowiła, że nie będzie tańczyć.

Posłał jej przepaszające spojrzenie. Obdarzyła go tak ciepłym uśmiechem, że Missy musiała się powstrzymać, żeby nie pokazać mu języka.

- To nie w porządku, żeby pan nie tańczył, skoro pan tak bardzo to lubi - powiedziała wolno po chwili namysłu.

- Ależ nie jestem aż tak wielkim wielbicielem... - zaczął Whittaker.

- Tak - stwierdziła Hannah, patrząc na pannę Davenport. - Uważam, że powinna pani zatańczyć z panem Whittakerem.

Panna Davenport była tak zaskoczona, że aż drgnęła.

- To naprawdę nie wypada...

- Ale pan Whittaker tak bardzo lubi tańczyć. A nie będzie tańczył, dopóki pani nie zatańczy - perswadowała Missy, obdarowując guwernantkę najpiękniejszym ze swych chwytających za serce spojrzeń.

Panna Davenport westchnęła.

- Missy, nie rozumiesz...

- Panno Davenport, bardzo prosimy. - Hannah chwyciła ją za rękę i lekko pociągnęła w stronę tańczących. - Prosimy, żeby pani zatańczyła z panem Whittakerem.

- Ależ Hannah...

Missy chwyciła drugą rękę panny Davenport i podskoczyła, by pomóc siostrze ciągnąć guwernantkę. Wydawało jej się, że panna Davenport tylko udawała, że nie chce tańczyć, bo bardzo szybko wstała.

- Jesteście niezdolni, przecież ten pan nawet nie poprosił mnie do tańca!

Liam lekko trącił łokciem pana Whittakera, który postąpił o krok, skłonił się i rzekł:

- Będę zaszczycony, jeśli uczyni mi pani ten honor.

Panna Davenport roześmiała się.

- Po takim wysiłku ze strony dzieci nie mogę panu odmówić. - Przyjęła podane jej ramię i dała się poprowadzić w stronę szykujących się do tańca, w którym pary tańczyły naprzeciwko siebie w dwóch rzędach.

Liam i Hannah wymienili triumfalne uśmiechy i podeszli do skrzypka, gdyż papa poprosił ich, żeby następnym tańcem był walc.

Missy pozostała przy Rodzynekowych Ustach, która przewodziła innym guwernantkom w zgorszonych psykaniach i potrząsaniu głową w wyrazie ubolewania.

- Przepraszam panią? - odezwała się, robiąc minę niewinnego dziecka. - Czy ma pani chusteczkę? Musiałam gdzieś zgubić swoją.

Guwernantka z Wilpena zawahała się na chwilę, westchnęła

i podała dziewczynce starannie wyprasowany kwadracik białego płótna.

- Dziękuję. - Missy starła coś z krawędzi bucika. - Wie pani, wdepnęłam w psią kupkę i teraz bardzo brzydko pachnie.

Pomachała chusteczką i podała ją guwernantce, uśmiechając się do niej słodko. A potem, usiłując gwizdać przez szparę po niedawno straconym przednim zębie, odeszła, by poczekać na walca. Ona, Liam i Hannah odegrali już swoje role.

Reszta należała do papy.

19

Chodziło tylko o jeden taniec.

Chyba mogę sobie wybaczyć ten jeden raz, myślała Amanda, wykonując polecenia wodzireja. Postanowiła, że gdy tylko skończy się muzyka, dołączy do przygnębiającego towarzystwa starzejących się Angielek i przyzwolicie spędzi z nimi resztę nocy. Ale teraz... teraz zamierzała przeżyć chwile radości.

Zapomniała już, jak bardzo lubi tańczyć. Powiew wiatru, migoczące światła, rozmazujące się przed oczyma, gdy w obrotach przechodziła od jednego partnera do drugiego, klaszcząc w ręce, przytupując z bijącym sercem i rozwianymi włosami, wprawiły ją w doskonały nastrój. Poczowała się młoda i pełna życia, jakby nagle obudziła się z długiego snu i znalazła w cudownym, radosnym miejscu.

Lecz skrzypce gwałtownie ucichły i taniec się skończył, zbyt szybko.

- Och, ten taniec był za krótki - powiedziała, trzymając ramię Christiana i łapiąc powietrze. - Ale cudowny.

- Cudownie wyczerpujący. - Whittaker wydał rumiane policzki i dyszał jak maszyna parowa. - Chyba wolałbym ścigać się z Hermesem, niż przeżyć drugi taki taniec.

Amanda z rozbawieniem ścisnęła jego ramię.

- Myślałem, że nie zamierza pani tańczyć - usłyszała za sobą głęboki męski głos.

Odwróciwszy głowę, zobaczyła Patricka, patrzącego na nią zmrużonymi oczami.

- To wszystko przez dzieci - powiedziała szybko, czując, jak serce podskakuje jej w piersi. - To dzieci nas w to wplątały. - Przycisnęła dłoń do piersi, starając się nadać swemu głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie. - Właśnie zamierzam dołączyć do innych guwernantek...

- W żadnym razie. - Zdażyła zrobić zaledwie jeden krok, kiedy poczuła silne ramię Patricka, obejmujące ją w pasie. Obróciły ją twarzą do siebie. - Proszę wybaczyć, panie Whittaker...

- Co ty robisz? - Pисnęła, zakłopotana, gdyż przyciągnął ją mocno. Przyjemnie pachniał brandy, ciepłym nocnym powietrzem i czymś jeszcze.

- Tańczę z tobą.

- Ale to nie jest walc... - zaczęła, gdy tymczasem skrzypce zaczęły odtwarzać melodię *Rosyjskiego księcia*.

- Owszem, jest - stwierdził i zręcznie poprowadził ją na środek sali.

Odchyliła głowę do tyłu, wbiła palce w twarde mięśnie ramienia Patricka i popatrzyła na jego uśmiechniętą twarz.

- To twoja sprawka. To ty namówiłaś dzieci, żeby to zrobiły, prawda?

Dołeczki w jego policzkach pogłębiły się. Zrobiło jej się gorąco i zabrakło tchu.

- Tak.

Rzuciła szybkie spojrzenie na brązowoszary rząd guwernantek, rozprawiających o czymś z przejęciem, z wyrazem pogardy na twarzy, jak stado kwok albo papug, tyle że pozbawionych barw.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że wszystkie guwernantki z miejscowości położonych w promieniu stu pięćdziesięciu mil właśnie potępiają mnie jako osobę bez ogłady, o prostackim guście?

Mocniej przycisnęła ją do siebie, zmuszając do obrotów, które przyśpieszyły rytm jej serca i spłyciły oddech. Popatrzył na nią niespodziewanie poważnym wzrokiem.

- Naprawdę cię to obchodzi, Mandy?

Bardzo lubiła, kiedy tak się do niej zwracał. Czuła mocny uścisk jego dłoni, oddech na swym policzku; była jak uskrzydłona.

- Tylko z jednego powodu - odpowiedziała, wciąż patrząc na niego.

- Jakiego?

- Jest mi ich żal. Są takie smutne, a wcale nie muszą takie być.

Przytulił ją do siebie i się roześmiał. Zawtórowała mu śmiechem. Ich radosne głosy zmieszały się z dźwiękami akordeonu i uniosły ku grubo ciosanym krokwiom. Po chwili jednak śmiech zamarł na wargach Amandy, gdy zapatrzyła się na swego partnera, na jego błyszczące niebieskie oczy i rozpromienioną twarz. Przesunęła dłonią po jego ramieniu, czując miłe ciepło i siłę męskiego ciała. Z zachwytem kilkakrotnie zaczerpnęła tchu, mając wrażenie, że stodoła do strzyżenia owiec kręci się wokół niej, obejmując ją pulsującym rytmem muzyki, złocistym blaskiem lamp i kalejdoskopem barwnych jedwabi, atłasów i roześmianych, szczęśliwych twarzy.

Chłoneła te wrażenia całym sercem i duszą, każdą cząstką swego ciała, czując cudowną pełnię - wewnętrzny blask miłości, szczęścia i spokoju, poczucie tego, że postępuje tak, jak powinna, i że po latach samotności wreszcie kogoś ma. Zdała sobie sprawę, że jeszcze nigdy dotąd tak się nie czuła. A zaraz potem doszła do wniosku, iż chce, żeby to uczucie towarzyszyło jej już zawsze.

Wśród odgłosów śmiechu i dźwięków muzyki troje zmęczonych dzieci i dwoje dorosłych wspinało się oświetloną światłem księżycą drogą ku domowi. Była ciepła noc, a łagodny wiatr cicho szeleścił gałęziami eukaliptusów nad potokiem.

- Zaśpiewaj coś, papo - poprosiła Missy, sennie wtulona w ramię ojca.

Popatrzył na córeczkę, którą trzymał w ramionach.

- A co mam ci zaśpiewać, kochanie?

- Może *Poranną rosę* - zaproponował Liam, idący z przodu z Hannah.

- Dobrze. - Patrick wygodniej usadził Missy i zaczął śpiewać.

Nocny wiatr niósł słowa piosenki wysoko nad górami. - *Panie i panowie, hej obudźcie no się, zaśpiewam wam piosnką o porannej rosie, co rano ożywia zielone doliny, w kochanej Irlandii, mym kraju rodzinnym.* - Zaczerpnął tchu, by odśpiewać refren, popatrzył na idącą obok niego Amandę i gwałtownie zamknął usta.

- Dalej, papo - pisnęła Missy, która uniosła główkę, gdy tylko przestał śpiewać.

Uśmiechnął się do Amandy.

- Myślę, że nie powinienem.

- Papo, dokończ piosenkę - poprosiła Hannah.

- Ja też proszę. - Amanda uśmiechnęła się do niego.

Był pewny, że jej się to nie spodoba, lecz tylko wzruszył ramionami.

- Sami o to prosiliście. - Odchylił głowę do tyłu i dokończył: - *Śpiewajcie i bicie w dzwony, bo płynę w dalekie strony, z Angolami walczyć wściekle, niechaj wszyscy skończą w...*

Amanda położyła mu dłoń na ustach.

- Miał pan rację. Nie trzeba było kończyć tej piosenki.

Zaśmiał się cicho tuż przy jej ręce.

I poczuł, że jej dłoń drży.

Dlaczego musieliśmy wrócić do domu? - zapytała Missy, kiedy Amanda ściągała jej sukienkę przez głowę. - Wszystkie inne dzieci są jeszcze w stodole.

- I zasypiają na belach wełny - powiedziała Amanda, zdejmując dziewczynce buciki, pończochy i halkę.

- Nie jestem śpiąca - upierała się Missy, co chwila potężnie ziewając.

Amanda włożyła jej koszulę nocną.

- Ale ja jestem.

- To dlatego, że całą noc tańczyła pani z papą.

Amanda poczuła, że na jej policzki wpełza szkarłatny rumieniec. Podciągnęła kołdrę pod brodę dziewczynki.

- Jestem zmęczona, ponieważ jest późno - powiedziała, ale jej słowa nie dotarły już do Missy. Powieki dziecka zamknęły

się, a usta rozchyłały w równych, spokojnych oddechach. - Dobranoc, kochanie - wyszeptała i delikatnie pocałowała ją w policzek.

- Panno Davenport? - usłyszała głos Hannah dochodzący z drugiego końca pokoju.

Cienie pojawiły się na ścianach, kiedy Amanda uniosła świecę i podeszła do starszej dziewczynki. Przysiadła na skraju łóżka.

- Myślałam, że już śpisz.

Z ciemnymi włosami rozsypanymi na poduszce, blada w świetle świecy, Hannah wyglądała bardzo urodziwie.

- Chciałam pani podziękować. - Ścisnęła brzeg kołdry. Nie patrzyła na Amandę. - Za to, co pani dziś zrobiła.

- Nie ma za co. - Pod wpływem nagłego impulsu Amanda odgarnęła ciemne włosy dziewczynki z jej czoła. - Byłaś wspa-
niała. Byłam z siebie bardzo dumna.

Obawiała się, że Hannah się odsunie, ona tymczasem powiedziała tylko:

- Papa też był ze mnie dumny, prawda?

- Bardzo. - Amanda ścisnęła jej rękę. - Dobranoc.

Hannah uniosła głowę, by popatrzeć na nią czarnymi mądrymi oczami.

- On jest... inny. odkąd pani tu przyjechała. Myślę, że on panią lubi. To znaczy, bardzo panią lubi. Tak jak mężczyzna lubi kobietę.

- Hannah! - Amanda wstała tak szybko, że omal nie zgasiła świecy; musiała osłonić płomień dłonią.

- I wie pani, co jeszcze?-- ciągnęła dziewczynka, a jej usta wygięły się w uśmiechu.

Amanda przystanąła w drzwiach.

- Co?

- Myślę, że pani też go lubi.

- Dobranoc, Hannah - powiedziała z przyganą Amanda.

Wychodząc z pokoju, usłyszała jej cichy śmiech.

- Dobranoc, panno Davenport.

Kiedy szła do swojej sypialni, z pokoju Liama dobiegły ją ściszone męskie głosy. Postawiła świecę na toalecie, chcąc

rozczesać włosy, lecz nagle trzasnęły drzwi frontowe i gwałtownie uniosła głowę.

Przebiegła przez pokój, otworzyła oszklone drzwi i wybiegła na zewnątrz, by natychmiast przystanąć na widok Patricka, stojącego plecami do niej na skraju werandy, z ręką obejmującą słup, wpatzonego w spowity mrokiem ogród. Nie miał już na sobie surduta ani kamizelki; widziała tylko koszulę bielejącą w świetle księżyca.

Odwrócił się. Zauważyła błyski w jego oczach, zanim przy-mknął powieki. Za nim roztaczało się obce niebo, wspaniale czyste i usiane migoczącymi gwiazdami.

- Bałam się, że już wyszedłeś. - Jej głos był zdyszany, jak po długim biegu.

Popatrzył na nią uważnie. Miał wyostrome rysy, jego twarz przybrała niemal drapieżny wygląd. Jeszcze nigdy go takiego nie widziała. Przerazała ją i pociągał zarazem. Lecz odezwał się do niej bardzo łagodnym głosem.

- Masz zburzoną fryzurę.

Bez słowa uniosła ramiona i zaczęła wyjmować szpilki z luźno upiętego wężła nisko przy szyi. Włosy opadły na ramiona i piersi. Oczami pociemniałymi z pożądania patrzył, jak Amanda potrząsa głową. Potem opuściła ręce i czekała.

- Chodź - poprosił.

Ciepły nocny wiatr zatrzepotał jego koszulą, tak że przywarła do muskularnego ciała. Amanda podeszła do niego, a wtedy wiatr rozwiął jej włosy. Czuła, jak serce mocno wali jej w piersiach, a skóra staje się aż boleśnie wrażliwa. Przystanęła dopiero wtedy, gdy mogła zajrzeć Patrickowi w rozpłomienione oczy. Emanował męską energią, wywołując emocje, z których nie w pełni zdawała sobie sprawę.

Wsunął paice w jej włosy tuż przy skroniach, ujął twarz, przesunął kciukiem po obojczyku. Zaczęła szybko oddychać, rozchyliła wargi; jej pierś gwałtownie unosiła się i opadała. Aż drżała z pożądania, zdumiona własną śmiałością.

Chciała zarzucić mu ręce na szyję, ale położył dłonie na jej ramionach i uniemożliwił zbliżenie się do siebie.

- Nie. Zaczekaj - powiedział zdecydowanie, chrapliwie. - Pragnę cię, Amando. Chcę cię zanieść do twojego pokoju, położyć cię na łóżku i pogrzyźć się w tobie. Więc jeśli coś teraz rozpoczniesz, musisz wiedzieć, jak to się skończy.

Oparła dłonie o jego muskularny tors. Czuła ciepło jego ciała, szybkie bicie serca.

- Ja też cię pragnę. I nie potrafię już dłużej z tym walczyć.

- Amanda... - wciąż stał wyprostowany, lecz poczuła, że jego pierś się uniosła, gdy z drżeniem zaczerpnął tchu. - Nie jestem odpowiedni dla ciebie. Nie...

- Wiem, jaki jesteś. - Trzęsąc się z pożądania, z rozpaczliwej potrzeby dotknięcia go, przesunęła dłońmi po jego torsie, ramionach, szyi. - Od dawna walczę z tym, co czuję do ciebie. Ale nie mam zamiaru walczyć dłużej. - Zajrzała w jego udrećzone niebieskie oczy. - Kocham cię.

- Boże... - Niemal boleśnie wbił palce w jej ramiona i przyciągnął ją do siebie. Srebrne światło księżyca oświetlało jego twarz, napiętą z podniecenia. Zanurzył dłonie w jej włosach. Oddychał szybko, gwałtownie. Zauważyła, że zamknął powieki, usłyszała głęboki jęk, wydobywający się z jego gardła. A potem ją pocałował.

Był to gwałtowny pocałunek, pełen namiętności i pożądania, które tak długo powstrzymywał. Zarzuciła mu ręce za szyję i przyciągnęła do siebie. Rozchyliła wargi, zapraszając go, chcąc rozkoszować się słodkim smakiem pocałunku.

Znów jęknął i głęboko wsunął język w jej usta, poruszając nim w przód i w tył, dając sygnał, że pragnie uczynić ją swoją. Poczuła, że chwyta ją za biodra i mocno przyciska. Wygięła się w łuk, czując jego twardość. Całe jej ciało drżało w oczekiwaniu.

Oparł ją plecami o słup werandy i uwięził pomiędzy szorstkim drewnem a swoim męskim ciałem. Położył dłonie na jej piersiach. Krzyknęła, wijąc się, podniecona jego dotykiem. Uniósł piersi, rozkoszując się ich ciężarem, a potem zaczął je niecierpliwie pieścić. Gdy przerwał pocałunek, Amanda pisnęła zniecierpliwiona i wspięła się na palce, by odnaleźć jego wargi. Była

rozogniona, pochłonięta nowymi doznaniem, cudowną grą języków i warg, wędrujących rąk i reakcji wrażliwej skóry.... Istniał teraz dla niej tylko mężczyzna w jej ramionach i czarna, usiana gwiazdami cisza nocy. Dziki, swobodny, ciepły wiatr niósł zapachy buszu.

Chcąc dotknąć ciała Patricka, wyciągnęła koszulę ze spodni i położyła dłonie na gładkiej, ciepłej skórze pleców. Kierowany jakby tą samą potrzebą, rozpiął guziki z przodu sukni. Było ich jednak bardzo wiele i były tak maleńkie, że zaklął, zniecierpliwiony, chwycił kołnierz sukni i pociągnął.

- Cholera! - Był jakby zaskoczony tym, co zrobił. - Przepraszam.

Zaśmiała się cicho.

- Nie szkodzi. Doszłam do wniosku, że nienawidzę tej sukni.

- Dostaniesz nową - powiedział wesołym głosem. - Tylko że dopilnuję, żeby miała wystarczająco głęboki dekol, bo chcę widzieć choćby mały fragment tych tutaj...

Wstrzymała oddech, gdy niecierpliwie odsunął materiał, zsunął gorset i koszulę i ujął nagie piersi. Nocne powietrze wydało jej się nagle chłodne na gołej skórze, jednak ręce Patricka były ciepłe. Ciepłe i pewne.

Odchyliła głowę do tyłu, a z jej ust wydarł się krótki jęk rozkoszy. Wędrował ustami wzdłuż jej szyi, czuła miękkość jego warg, wilgotność języka, gdy znaczył pocałunkami swą drogę w dół jej ciała. Przyklęknął na jedno kolano. Krzyknęła, podniecona w bolesnym oczekiwaniu, wtulając się w niego, gdy objął wargami stwardniały koniuszek najpierw jednej, a potem drugiej piersi. Otoczył ręką jej talię i chwycił za pośladek, starając się ją unieruchomić, lecz wykrcęła się bezwiednie, wjąc się w gorączce pożądania. Kurczowo zacisnęła palce w jego włosach, wtulając głowę Patricka w swe piersi. Lecz wciąż było jej mało. Chciała, pragnęła...

Oderwał usta od jej sterczącego sutka. Jego ciepły oddech muskał jej wilgotne, obnażone ciało. Ogarnięty żarem, wstał i zaczął się o nią ocierać. Popatrzył na nią oczami błyszczącymi w świetle księżycy, z niemal okrutnym wyrazem twarzy. Chwycił

dół sukni, gotów go unieść i posiąść ją tu, na werandzie, pod gołym niebem.

Nagle usta Patricka wykrzywiły się w diabelskim uśmiechu, który spowodował pojawienie się dołków w jego policzkach. Oparł się czołem o jej czoło.

- Boże - powiedział, ciężko oddychając, i rozprostował dłonie. Materiał sukni wysunął się z jego rąk. - Czy ty wiesz, ilu ludzi włóczy się dziś po tej farmie? Myślę, że musimy znaleźć jakieś ustronnejsze miejsce.

Roześmiała się, lecz już po chwili, zdumiona, gwałtownie zacerpnęła tchu, gdy podniósł ją, chwytając jedną ręką pod kolanami, drugą podtrzymując plecy. Mocno przytulił ją do siebie, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Kilkoma długimi, szybkimi krokami przemierzył werandę i podszedł do oszklonych drzwi, które Amanda wcześniej otworzyła. Odwrócił się bokiem, wniósł ją do wnętrza, a potem zamknął drzwi kopnięciem.

Płomień świecy zamigotał i rozbłysł, rzucając złociste światło na pobielane ściany i powodując grę światłocieni na twarzy Patricka. Uwolnił ją powoli, opuszczając wzdłuż swego ciała, cały czas się jej przyglądając.

Nagle poczuła onieśmienie. Po namiętym pocałunku na werandzie w świetle księżyca, wśród podmuchów wiatru, musiała przyzwyczaić się do ciszy i prywatności sypialni. Stał przed nią, duży i męski, z na wpół rozpiętą koszulą wyciągniętą ze spodni. Widok jego opalonego muskularnego torsu żywo uzmysłowił jej, co już zaszło między nimi. I co się miało wydarzyć.

Uniosła rękę, by złączyć rozdarte krawędzie sukni, lecz odsunął jej dłoń.

- Nie. Chcę na ciebie patrzeć - powiedział i rozchylił stanik sukni, obnażając piersi. Zadrzała, a jej brodawki natychmiast stwardniały.

Patrzył na nią rozpłomienionym wzrokiem. Niemal czuła na sobie ten wzrok, powodujący uczucie ciężkości pomiędzy nogami. Ujął jej piersi. Oboje patrzyli, jak z upodobaniem waży je w dłoniach. Biała delikatna skóra Amandy kontrastowała z jego zgrubiałymi opalonymi palcami.

- Miałem ochotę to zrobić od dnia, w którym spotkałem cię w Brinkman - powiedział i zaśmiał się cicho, a potem westchnął. - Masz takie piękne piersi. Pełne i twarde.

Nakryła jego ręce swoimi, zwiększając nacisk jego dłoni, które poruszały się wolno, zataczając kręgi.

Dotknąłeś mnie tego dnia, pamiętasz?

Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

Pamiętam. Tylko że wtedy nie dotykałem twoich piersi. - Żartobliwym gestem chwycił ją za pośladki. - Dotknąłem cię tutaj.

Zachichotała i wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia. Odchyliła koszulę Patricka, by dotknąć nagiego torsu.

- Ja też pragnęłam cię już tego pierwszego dnia - wyznała, patrząc na swoje dłonie, przesuwane się po napiętej skórze jego torsu. - Widziałam cię, jak stałeś w rozpiętej koszuli, i pomyślałam, że jesteś taki silny i urodziwy, taki męski, i aż się tego przestraszyłam. A potem, kiedy mnie chwyciłeś, żeby podsadzić na wóz, poczułam się tak, jakby dotknął mnie ogień. Jak przypalona.

Rozpięta pozostałe guziki jego koszuli i westchnęła.

- Od wielu miesięcy miałam ochotę to zrobić. - Pomyślała, że dotykanie go chyba nigdy jej się nic znudzi. Uwielbiała muskulaturę jego płaskiego brzucha i piękną rzeźbę torsu. Zdjęła koszulę z mocnych ramion i usłyszała cichy szelest bawełny opadającej na podłogę. Pogładziła go po plecach. - Często patrzyłam, jak pracujesz na farmie w rozpiętej koszuli. Czasami wydawało mi się, że rozpinasz ją specjalnie, żeby mnie kusić. Torturować.

- Tak było - przyznał, muskając jej włosy podbródkiem.

Odchyliła głowę do tyłu.

Więc wiedziałaś?

Uśmiechnął się, prezentując dołki w policzkach.

- Wiedziałem.

- Ale...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Delikatnym, żartobliwym, który jednak szybko stał się gwałtowny i namiętny. Wsunęła

ręce w jego rozjaśnione słońcem włosy, przyciągając go do siebie. Oddychali coraz szybciej, tuląc się do siebie, wędrując rękami po swoich ciałach, poznając je, pobudzając i biorąc we władanie. Lecz wciąż było im mało.

Oderwał usta od jej warg. W migoczącym świetle świecy dostrzegła pożądanie na jego twarzy.

- Zdejmij ubranie - powiedział szorstko. Jego tors unosił się i opadał, gdy z trudem wciągał powietrze. - Chcę cię zobaczyć naga. - Mocno chwycił ją w pasie, odsunął od siebie, usiadł na łóżku i zdjął buty.

Ani na chwilę nie oderwał od niej wzroku.

Stała przed nim, świadoma tego, że na nią patrzy. Spłonęła rumieńcem. Drżącymi palcami rozpięła pozostałe guziki sukni i zdjęła ją przez głowę. Brzydka rozdarta suknia z atłasu opadła na podłogę. Rozsznurowała czerwoną halkę i ją zdjęła, potem ściągnęła krynolinę. Patrick przez cały czas siedział na łóżku i obserwował Amandę z twarzą w połowie skrytą w cieniu. Ciepłe światło świecy rzucało blask na jego nagie ramiona i tors.

Znieruchomiała.

- Nie przerywaj - powiedział cichym głosem. Jego oczy błyszczały, na twarzy malowało się pożądanie.

Wiedziała, że jej pożąda, mogła wyczytać to z jego twarzy, z napięcia oczekującego ciała. Świadomość, że ma nad nim władzę, że wzbudza w nim tak wielkie pożądanie, sprawiała jej ogromną satysfakcję.

Z rozmyślną, prowokującą powolnością rozwiązała podwiązki, zrolowała pończochy i zdjęła pantofelki. Usłyszała syk gwałtownie wciągane powietrza.

- Zdejmij teraz pantalony - poprosił chrapliwie.

Zawahała się tylko na chwilę. Poczowała dreszcz podniecenia biegnący wzdłuż kręgosłupa. Czuła się cudownie rozpustna, gdy rozpinała guziki pantalonów, i po chwili ściągnęła gładką bawełnę z bioder i ud.

W pokoju panowała taka cisza, że słyszała skapywanie wosku świecy i ich przyśpieszone oddechy.

- Chodź tu - poprosił.

Mając na sobie tylko gorset i koszulkę, podeszła do niego. Otoczył ją ramionami, a potem chwycił za obnażone pośladki i przyciągnął do siebie, aż znalazła się pomiędzy jego rozłożonymi udami. Położyła ręce na ramionach Patricka.

Czuła, jak ciepłe nocne powietrze pieści jej nagą skórę, czuła ciężar i wilgoć pomiędzy nogami i jego mocne palce, wpijające się w pośladki.

- Jak ja cię pragnę! - Zaciskając kolana wokół niej, unióśł ręce i szybko zaczął rozpinać haftki gorsetu. Była tak drobna, że nie musiała ciasno się sznurować. Teraz wystarczyło, że wciągnęła brzuch, a zapięcia otworzyły się z łatwością.

- O, tak. - Westchnął, odrzucając gorset na bok. - Od dawna czekałem, kiedy będę mógł zdjąć z ciebie to cholerstwo. - Gdy rozsznurowywał jej koszulkę, chichotała. Zdjął z niej ostatnią część bielizny, a potem zapadła cisza. Położył ręce na jej nagich biodrach.

Stała przed nim naga, onieśmielona, podniecona, drżącą w tęsknym oczekiwaniu, czując, jak serce wali jej w piersi. Przyglądał się jej leniwie spod przymkniętych powiek.

- Jesteś taka piękna - powiedział szeptem. - Piękniejsza niż w moich marzeniach.

Wsunęła palce w jego włosy, oparła łokcie na jego nagich ramionach.

- Ja też o tobie marzyłam - wyznała.

- O, Boże. - Przyciągnął ją do siebie. - W takim razie dlaczego czekaliśmy na to tak długo?

Poczuła jego usta na swojej szyi. Delikatnie gryzł ją, całował w oczy, policzki, aż wreszcie odnalazł usta, które natychmiast rozchyliły się pod jego wargami. Otoczył ją ramionami w pasie, przyciągnął i opadł na łóżko. Materac ugiął się pod ich ciężarem, kiedy przytulił ją do siebie, a potem obrócił tak, że znalazła się pod nim na plecach.

Zajrzała w jego roziskrzone niebieskie oczy; patrzyła, jak powoli zamyka powieki i pochyla się, by złożyć kolejny pocałunek na jej wargach.

Westchnąwszy z rozkoszy, przesunęła dłońmi w dół jego

pleców, z radością wymacując twarde mięśnie pod gładką jak ałtas skórą. Wsunęła kciuk za pas spodni i pociągnęła ze zniecierpliwieniem, lecz był zapięty.

Nie przerywając pocałunku, uniósł biodra i usiłował rozpiąć spodnie. Zaklął.

- Chwileczkę - powiedział, muskając jej wargi ustami. Chciał wstać, ale zaraz powrócił do warg, otarł się o nie, jeszcze raz, i jeszcze, i dopiero potem się uniósł.

Leżąc, patrzyła z zafascynowaniem, jak odpina szeroki skórzany pas i zмага się z guzikami. Znów zaklął i się skrzywił, jakby poczuł ból, po czym odetchnął z ulgą, uwolniwszy długi nabrzmiały członek.

Uniósł głowę i obserwował twarz Amandy. Ściągnął spodnie, odsłaniając pośladki i kształtne, umięśnione nogi.

Materac ugiął się znów, kiedy Patrick usiadł na niej okrakiem, z członkiem w zagłębieniu pomiędzy udami Amandy. Oparł swój ciężar głównie na swoich kolanach i łydkach, przykucnąwszy na palcach. Ujął jej piersi opalonymi dłońmi spracowanego człowieka, popatrzył na nią i ściągnął brwi.

- Boisz się? - zapytał łagodnie.

- Trochę - przyznała.

- Chcesz, żebym przestał?

Pokręciła głową, przebiegając palcami po jego twardych ramionach.

- Nie.

- Nie bój się - szepnął. - Nie będziemy się śpieszyć. I nie zrobię niczego, na co nie będziesz miała ochoty.

Zaczął wolno poruszać dłońmi, umiejętnie ją pobudzając, gładząc piersi, drażniąc ich brodawki, aż trawiący ją żar stał się niemal nie do zniesienia. Jęczała i wyginała ciało w łuk. Nachylił się nad nią i muskał włosami jej ramię, przyciskał tors do jej brzucha i obwodził sutki wargami i językiem, a potem ssał brodawki.

- Boże! - krzyknęła, tocząc głową na boki i wijąc się pod nim, ogarnięta gorączką, wstrząsana pożądaniem. Wsunęła palce w jego włosy i mocno przyciągnęła głowę Patricka najpierw do jednej, potem do drugiej piersi. Lecz to nie wystarczało.

Jakby odgadując jej potrzeby, przesunął dłonią w dół jej brzucha i rozsunął uda kolanami. A potem przedarł się do jej najczulszego miejsca, pocierał je przez chwilę, po czym wsunął palce w głąb. Krzyknęła, wygięła szyję, opuściła ramiona, nie kontrolując już swych poczynań, zmierzając wprost do dzikiego, pulsującego, oszałamiającego szczytu rozkoszy...

Lecz to nie był koniec. Wciąż odczuwała wewnętrzne niespełnienie. Chwyciła go za nadgarstki i mocno ścisnęła. Popatrzyła mu w oczy.

- Chcę cię - powiedziała urywanym szeptem. — Chcę czuć cię w sobie. Teraz.

Uniósł się, zobaczyła nad sobą jego opalone ciało. Gwałtownie wciągał powietrze.

- Amando - powiedział donośnym szeptem.

Spojrzała na jego twarz, napiętą z pożądania. Wsunął ręce pod jej pośladki, unosząc ją, dopasowując do swej gładkiej, gorącej męskości.

- Weź mnie - poprosił. - Weź mnie.

Był tak duży i twardy, że pewnie by się wystraszyła, gdyby nie pragnęła go tak mocno. Patrzyła, jak się do niej zbliża, rozchyła jej nogi i wypełnia ją swym ciepłem, siłą i twardością. Wolno, powoli, aż pogrążył się całkowicie.

- Jesteś taka ciasna - powiedział chrapliwie. - Ciasna, mokra i gorąca. - Poczowała, że drży, potem znieruchomiał na chwilę. Odszukał jej ręce, uniósł je nad głowę, splótł palce z jej palcami i się pochylił.

Wpatrywała się w jego odmienioną podnieceniem twarz i poczuła, że kocha go bardzo mocno, aż do bólu.

- Czujesz? - wyszeptał. - Czujesz mnie?

- Czuję.

- Teraz jesteś częścią mnie, Mandy. A ja jestem częścią ciebie. - Przesunął dłońmi wzdłuż wewnętrznej strony jej ramion i odgarnął splątane włosy z czoła i policzków. - Nie ma już odwrotu od tej nocy. Nic nie będzie już tak jak dawniej.

- Powiedziałam ci już - rzekła, zaglądając mu głęboko w oczy. - Kocham cię.

Unióś się na łokciach, ujmując trochę swego ciężaru z jej piersi, i zaczął się w niej poruszać. Uśmiechnął się, aż ukazały się dołki w policzkach.

- Powtórz to jeszcze raz.
- Kocham cię.

Pograżył się w niej mocniej, głębiej, jego uśmiech nabrał ostrości.

- Jeszcze raz.
- Szybko wciągnęła powietrze.
- Kocham cię.

Trzymała ręce na jego gorących, spoconych plecach, wdychała delikatny zapach ciała. Uniosła nogi i oplotła nimi rytmicznie poruszające się biodra. Przyciągała go do siebie coraz mocniej, a on poruszał się coraz szybciej i gwałtowniej. Każde potężne pchnięcie zdawało się unosić ją wyżej i wyżej, aż ciało Amandy stało się bezwolne i przestała sobie zdawać sprawę z tego, co się z nią dzieje.

Pochylił głowę, nakrył jej usta swoimi i akcentował gwałtownymi pocałunkami jej coraz głośniejsze krzyki, z których nawet nie zdawała sobie sprawy. Oszalała z bezmiaru doznań, nieuchronnie zmierzała ku szczytowi, który wydawał się już tak blisko, dręcząc ją i kusząc, aż eksplodował bezgłośnie i w ciemności, wzniesając fale, na których długo jeszcze wznosiła się w uniesieniu.

Ledwie odzyskała zdolność widzenia, poczuła, że zaczęły się jego rytmiczne skurcze. Zauważyła, że Patrick wygina plecy w łuk, napina mięśnie, a jego twarz ściąga się jak dręczona bólem. Wykonał ostatnie gwałtowne pchnięcie. A potem, jeszcze zanim wydał triumfalny okrzyk i opadł na nią, usłyszała jego słowa:

- Ja też cię kocham, Amando.

20

Patrick stał przy oszklonych drzwiach pokoju Amandy, trzymając w ręku odchyloną zasłonę, i patrzył na ogród Katherine, wyłaniający się z mroku wczesnym świtem. Poczul dławienie w piersi. Westchnął, ale to nic nie pomogło.

Usłyszał szelest pościeli i delikatne plaskanie bosych stóp o podłogę. Odwrócił głowę, mignęły płomiennokasztanowe włosy. Amanda przytuliła się do niego z tyłu i mocno uściskała. Uśmiechnął się.

- Dzień dobry - powiedział, nakrywając jej splecione małe dłonie jedną dużą.

- Wczesnie wstałeś.

- Nie mogłem spać.

Otarła się policzkiem o jego nagie ramię.

- Na co tak patrzysz?

- Na ogród Katherine.

Nie odezwała się, ale natychmiast znieruchomiała. Nagle poczul ochotę popatrzenia na jej twarz. Odwrócił się.

Wyglądała pięknie w zimnym niebieskawym świetle poranka, z jasną skórą i ognistymi włosami spływającymi na ramiona. Miała na sobie ozdobioną haftem chińską podomkę w szafirowym kolorze. Przesuwając rękami po jej biodrach, talii, poczul nagle przypływ pożądania. Jedwab delikatnie szeleścił pod jego dotykiem. Prawie cała noc upłynęła mu na kochaniu się z Amandą, raz po razie, a mimo to wciąż jej pragnął. Pragnął z gwałtow-

nością, która, jak wiedział, zmniejszy się z czasem, lecz nigdy nie zniknie.

Jednak mimo iż odczuwał tak wielkie pożądanie, fizyczna strona tego związku stanowiła zaledwie niewielką część tego, co czuł do tej kobiety. Łączyła ich również głęboka miłość, odślanająca duszę, przerażająca go i czyniąca bezbronnym i podatnym na ból.

Odchyliła głowę i ściągnęła brwi.

- O czym myślisz? - zapytała, przyjrawszy mu się badawczym wzrokiem.

Przesunął palcem wzdłuż kości jej obojczyka, widocznych nad głębokim dekoltem podomki. Amanda była tak drobna, tak krucha. To nie było miejsce dla niej. Wiedział, że nie powinien nawet jej prosić, by tu została.

- Zastanawiam się, czy to nie był błąd.

Znieruchomiała w jego ramionach.

- Naprawdę tak myślisz?

Odwrócił głowę i jeszcze raz zapatrzył się na ogród.

- Starałem się sobie wyobrazić naszą wspólną przyszłość. Ale potrafię dostrzec tylko przeszłość.

- Nie znamy naszej przyszłości - powiedziała cicho. - Znamy tylko nasze pragnienia.

- A czego ty chcesz, Amando?

Przyjrzała mu się z rozchyłonymi wargami; jej piersi unosiły się i opadały łagodnie w rytm oddechów. Zauważył smutek w jej oczach, skurecz mięśni szyi, gdy przełykała z trudem ślinę. Zrozumiał, że i ona odczuwa lęk i bezbronność. Była jednak odważniejsza niż on, ponieważ odpowiedziała mu prosto, szczerze.

- Ciebie.

- Ach, Mandy... - Znow przytulił ją do siebie i wsunął palce w jej włosy. - Noszę z sobą cały bagaż przeszłości. Troje dzieci...

- Kocham twoje dzieci - odpowiedziała, mile owiewając jego skórę ciepłym oddechem. - Dobrze o tym wiesz.

- Wiem. Ale nie lubisz tego kraju, tego miejsca. A tu jest całe moje życie. Jest częścią mnie.

W ciszy, która zapadła między nimi, usłyszał słodką, donośną pieśń srokacza, witającego wschód słońca. Chwyciła go za nadgarstek.

- Ja... wcale już tak nie nienawidzę tego miejsca jak na początku.

- Katherine też najpierw wcale go nie nienawidziła.

Zaskoczyła go gwałtownością, z jaką się od niego oderwała. Jej włosy zafalowały, szeroko otwarte oczy wydawały się ogromne w jasnej twarzy.

- Do diabła! - zakłęła, z trudem łapiąc oddech z oburzenia. Złożyła ręce na brzuchu. - Nie jestem Katherine! Nie jestem ani Katherine, ani twoją matką, i to jest bardzo nieuczciwe z twojej strony, że oceniasz mnie według tego, co one zrobiły, tylko dlatego że łączy nas podobny akcent i miejsce urodzenia.

Zapadła pełna napięcia cisza, pobrzmiwająca echem jej gniewnych słów. Patrzyli na siebie tak, jakby dzieliła ich duża odległość, Patrick nie uczynił jednak żadnego gestu, by zmniejszyć ten dystans.

- Nie oceniam cię, Amando - rzekł cicho, z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia. - Jestem po prostu przerażony, bo się w tobie zakochałem. A jeszcze bardziej boję się pomyśleć o tym, że mamy przed sobą przyszłość, ponieważ wiem, co by się ze mną działo, gdybym w to uwierzył, a potem cię utracił.

Uczyniła nieokreślony ruch ręką.

- Każdy z nas może nagle umrzeć.

- Wiem. Ale śmierć to coś innego. Cierpimy, kiedy umierają nasi bliscy, bo wiemy, że nigdy ich już nie zobaczymy. Lecz miłość nie umiera. Ich miłość, nasza miłość do nich... zostaje z nami.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których nagle rozbłysły łzy.

- Kochałeś Katherine?

- Tak. To była młodzieńcza miłość, ale bardzo szczerą, bardzo intensywną... na początku.

- Więc co się potem stało?

- Oddaliliśmy się od siebie. - Spochmurniał. - Jej się nigdy

tu nie podobało i po niedługim czasie zaczęła nienawidzić wszystkiego, co wiązało się z tym miejscem... i obwiniać mnie za to, że ją tu przywiozłem. Że nie potrafiłem zapewnić jej lepszego życia gdzie indziej. Ale to nie była tylko jej wina. Sam zacząłem w niej dostrzegać pewne cechy, które mi się nie podobały... i nie byłem zbyt tolerancyjny.

- Czy wciąż ją kochałeś, kiedy odeszła?

- Oczywiście. Mieliśmy troje dzieci... spędziliśmy razem sześć lat. Była moją żoną. Nie chciałem z niej zrezygnować. Więc potem bolało mnie jak diabli, kiedy okazało się, że ona postanowiła zrezygnować ze mnie.

Światło było już teraz mocniejsze, słońce wyłoniło się zza linii horyzontu, opromieniając ogród ciepłym złocistym blaskiem. Odwróciła się gwałtownie i sztywno wyprostowana stanęła przy toalecie.

- To dlatego się z nią nie rozwiodłeś? Dlatego, że wciąż ją kochasz?

- Nie. To, co ci mówiłem wcześniej, było prawdą: nie rozwiodłem się z Katherine dla dobra dzieci, nie chcąc wywoływać skandalu. A teraz jest to jeszcze jeden problem, z którym będziemy musieli się uporać. - Podeszedł do Amandy i położył ręce na jej sztywnych ramionach; otarł się podbródkiem o włosy. Zadrżała, ale nie odwróciła głowy.

- Chcę się z tobą ożenić, Amando, i zrobić wszystko, żeby to było możliwe. Jak tylko zapędzę owce na południe...

Wzięła głęboki oddech.

- Żałuję, że musisz wyjechać.

Miała dziwnie zduszony, obco brzmiący głos. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie, by móc spojrzeć na jej twarz.

- Boże - powiedział, zobaczywszy jej zalane łzami policzki. - Nie płacz, kochanie. - Otarł jej twarz wierzchem dłoni. Łzy Amandy lśniły na jego palcach. - Dlaczego płaczesz? Przecież cię kocham. - Popatrzył na nią, czując swą bezradność. Czy powiedziałem coś, co sprawiło ci przykrość?

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, przytuliła twarz do jego piersi i wybuchnęła śmiechem przez łzy.

- Kochasz mnie, ale mi nie ufasz - powiedziała zdyszonym głosem.

Czuł jej gorące łzy na swojej gołej skórze. Był zakłopotany. Wsunął palce w jej włosy i ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że drżą mu ręce.

- Bardzo chcę ci ufać, Amando. Staram się, jak mogę.

Odchyliła głowę i popatrzyła na niego.

- Jak długo cię nie będzie?

- To nie potrwa długo. Mam nadzieję, że nie będę musiał jechać dalej na południe niż do Melrose. - Delikatnie pocałował ją w skroń. - Ale tutaj będzie bardzo niewesoło, Amando. Zaczyna się lato, a nic nie wskazuje na to, żeby deszcz spadł przed marcem czy nawet kwietniem. Obawiam się, że w ciągu kilku najbliższych miesięcy będziesz świadkiem wszystkiego najgorszego, co może cię spotkać, jeśli zostaniesz tu i za mnie wyjdiesz.

Mocno zacisnęła szczęki.

- Nie jestem taka słaba, jak sądzisz.

- Wiem, jaka jesteś silna. - Pogładził ją po ramionach. Reagując na jego dotyk, cichutko westchnęła. Zaczął delikatnie masować napięte mięśnie na jej karku. - Wiem, jaka jesteś silna - powtórzył. - Ale wiem też, jak okrutny ten kraj potrafi być dla kobiet i jak to wszystko jest inne od tego, do czego jesteś przyzwyczajona. Nie zapomniałem też o tym, co mi powiedziałaś zaraz po przyjeździe, o tym, jak bardzo jesteś zdecydowana wrócić do Anglii. Naprawdę myślisz, że będziesz w stanie znieść to. iż nigdy nie zobaczysz swej ojczyzny?

Zauważył w jej oczach ból i przeraził się nie na żarty.

- To będzie trudne - przyznała cichym głosem. - Ale to nic w porównaniu z bólem, który odczuwałabym, gdybym cię opuściła.

Chwyliła jego dłoń i z westchnieniem przyłożyła do swego policzka.

- Miłość nie powinna być taka trudna - powiedziała ze smutkiem i rozmarzeniem w głosie.

Uniósł jej podbródek.

- Wszystko będzie dobrze. - Musnął ustami jej wargi. -
Zobaczysz. Wszystko będzie dobrze.

Wyjechał tydzień później.

Był bardzo zajęty - najpierw żegnał gości, którzy przyjechali do Penyaki na zabawę po zakończeniu strzyżenia owiec, potem pomagał przy załadunku wełny na wozy, które miały zawieźć beły do portu, szykował owce do spędu - i w ciągu tego tygodnia prawie go nie widywała. A potem wyjechał.

Minał grudzień. Nadeszły długie dni, w czasie których słońce prażyło niemiłosiernie, a suchy wiatr pozbawiał ziemię resztek życia. W styczniu wróciły wozy, które dostarczyły wełnę do portu. Woźnice mówili, że na południu panuje susza o wiele większa, niż przypuszczano. Powiedzieli, że Patrick stwierdził, iż chcąc uratować stado będzie musiał zapędzić je aż do Clare, a może nawet do Adelajdy.

Amanda patrzyła na umierającą ziemię i czekała.

Lecz pod koniec stycznia zaczęła odczuwać niepokój, którego nie była już w stanie ukrywać. Patricka nie było już zbyt długo. Zauważyła, że mężczyźni, popatrując na siebie, obserwują linię horyzontu. Wiedziała, że oni również są zaniepokojeni.

W któreś szczególnie gorące czwartkowe popołudnie, gdy Liam uczył się łaciny z Christianem Whittakerem, a Missy pomagała Chingowi w kuchni, Amanda udała się do swego pokoju, by szyć nową suknię. Było jednak zbyt gorąco na szycie i w ogóle na jakąkolwiek aktywność. Mogła tylko wpatrywać się w okrutne bezchmurne niebo i zastanawiać się, dlaczego Patrick nie wraca.

W cichym domu rozległa się nagle znana wdzięczna melodia, grana biegle na fortepianie. Zaskoczona Amanda uniosła głowę, nasłuchując. Rozpoznała tę melodię; były to *Zielone rękawki*. Była pewna, że nigdy nie widziała nut tego utworu w jadalni.

Cicho przeszła przez pusty salon i stanęła przy drzwiach. Przy fortepianie siedziała Hannah, wciąż jeszcze trzymając palce na klawiszach.

- Moja mama grała tę piosenkę, kiedy było jej smutno - powiedziała dziewczynka, nie podnosząc wzroku. - Tuż przed wyjazdem grała to cały czas. Pamiętam, że nocą leżałam w łóżku, słuchając, jak ją gra, ciągle i ciągle od nowa.

Amanda nie poruszyła się, nie chcąc podchodzić zbyt blisko. Już dawno temu zdała sobie sprawę z tego, że Hannah ukrywa swą wrażliwość pod maską oschłości i szorstkości, którą wkładała dla świata. Lecz nigdy dotąd nie widziała jej tak szczerzej.

- Brak ci jej, prawda?

Hannah przytaknęła z pochyloną głową.

- To dziwne. Nienawidzę jej, ponieważ uciekła i nas zostawiła. Bo nie kochała mnie na tyle, żeby mnie z sobą zabrać. Ajednak... tęsknię za nią.

Amanda oparła dłoń o framugę drzwi. Jej serce wezbrało współczuciem dla tej samotnej, zranionej dziewczynki.

- Twoja mama najpierw pojechała do Wiktorii, do swoich rodziców, prawda? Pewnie nie chciała zniknąć stąd na zawsze. Przynajmniej nie na początku.

Hannah z drzeniem wciągnęła powietrze.

- To znaczy, zanim spotkała tego Francuza? Może. Ale to chyba nie ma wielkiego znaczenia, bo kiedy już go spotkała, doszła do wniosku, że kocha go bardziej niż nas. I zostawiła nas dla niego.

Amanda milczała. Już dawno doszła do wniosku, że Katherine O'Reilly była prawdopodobnie zepsutą egoistką, piękną barwnopiórą papugą, która nigdy nie kochała nikogo tak jak siebie. Lecz nie mogła tego powiedzieć jej córce.

- Liam miał tylko trzy latka, kiedy wyjechała - ciągnęła Hannah. - Wciąż pamiętam, jak budził się w nocy i płakał, że jej nie ma. Papa siadywał wtedy przy kominku i całymi godzinami opowiadał mu różne historie. Śpiewał piosenki, opowiadał o tym, jak był postrzygaczem. Ja też wtedy nie spałam. Ale nie płakałam. I nigdy nie pozwoliłam, żeby papa mnie przytulił. - Opuściła dłonie, rozłożywszy napięte palce na znoszonych moleskinowych spodniach. - Z początku próbował, ale wrywałam się z jego ramion. W końcu nawet przestał próbować. Pamiętam, jak sobie

wmawiałam, że jeśli mu nie pozwolę, żeby mnie tulił, jeśli nie będę go kochać, wtedy nie będę odczuwać bólu, jeżeli któregoś dnia on także odejdzie.

Hannah uniosła głowę, ukazując Amandzie twarz zalaną łzami.

- Boję się, panno Davenport. A jeśli papie coś się stało i już nie wróci? Nie ma go już tak długo. Nie chcę jego też utracić.

- Och, Hannah... - Nie będąc w stanie powstrzymać się dłużej, Amanda podeszła do dziewczynki i wyciągnęła ramiona. Bała się, że ją odepchnie, ona tymczasem wstała i rzuciła się w jej objęcia. - Ja leż się boję - wyznała łamiącym się głosem Amanda, mocno tuląc dziewczynkę.

Czując, jak Hannah mocniej zaciska ramiona, pomyślała, że być może powinna skłamać i powiedzieć jej, że nie ma postaw do niepokoju. Lecz miała zbyt wiele szacunku dla jej inteligencji i nawet nie próbowała tego robić. Hannah dorastała.

Szczupłym ciałem dziewczynki wstrząsnął szloch. Zaskoczona Amanda zdała sobie sprawę, że ich głowy znajdują się na tej samej wysokości. Za pół roku Hannah prawdopodobnie ją przerosła. Rosła jak na drożdżach i wszystko wskazywało na to, że będzie wysoka

Tak jak jej ojciec.

Później Amanda wyszła na werandę. Czując, jak zmieszany z pyłem pot ścieka jej po czole, patrzyła na poczerńiałe łodygi i zwinięte suche liście, będące żalonymi pozostałościami po pięknych krzewach białych róż, które niegdyś oplatały słup werandy i wspinały się po dachu. Poczowała ściskanie w gardle. Odchyliła głowę i szybko zamrugała, by odgonić łzy. Słońce tego niekończącego się lata prażyło okrutnie, bezlitośnie. Zabójczo.

Gdyby towarzyszył jej Patrick, prawdopodobnie byłaby w stanie dzielnie znieść wszystkie trudności związane z życiem w tym kraju. Lecz nie było go tutaj i bardzo go jej brakowało. Dręczyły ją wspomnienia jego męskiego ciała. Marzyła o jego pieszczotach, pocałunkach, chciała zobaczyć jego uśmiech i usłyszeć głos,

tęskniła za ciepłem, siłą i jego kojącą obecnością. Kilkanaście razy dziennie zdarzało się coś, o czym miała ochotę mu powiedzieć. Chciała pochwalić się swoim zwycięstwem w dniu, w którym Hannah pozwoliła jej wyrównać włosy, opowiedzieć o postępkach Missy w czytaniu i pisaniu, o tym, jak zabawnie zareagował Liam, kiedy Campbell zaskoczył ich wszystkich tym, że się wykapał i zmienił ubranie... o wszystkich radościach i smutkach życia, które chciała z nim dzielić.

Lecz go tu nie było.

Otarłszy spocone czoło ramieniem, zeszła z werandy i zaczęła powoli przechadzać się ścieżkami zniszczonego ogrodu Katherine. Fakt, że ogród ginął, rozdzierał serce Chowa, który najpierw przestał podlewać tylko rośliny jednoroczne. Lecz gdy poziom wody w oczku w korycie potoku, którego używał do irygacji, zaczął się systematycznie obniżać, musiał skazać na wyschnięcie także byliny. Teraz schły również krzewy i drzewa i jeśli w najbliższym czasie nie spadnie deszcz, zamierzał użyć wody ze studni do podlewania drzewek owocowych i warzyw.

Aż do czasu, kiedy wyschną również studnie.

Amanda przystanęła przy ogrodzeniu i popatrzyła na jałową ziemię, błyszczącą w popołudniowej mgiełce żaru. Nie zostało już nic oprócz piasku i nagich skał; nie było trawy, tylko gdzieś rośli jakieś krzewinki i umierające drzewa. Czuła podmuchy gorącego, suchego wiatru, rozwiewającego włosy, trzepoczącego spódnicą o nogi. Miała wrażenie, że czuje zapach śmierci, niesiony przez wiatr, że słyszy jęki tysięcy zwierząt zdychających w buszu.

Czasami zdawało jej się, że jedynymi żywymi stworzeniami, które doskonale radzą sobie w tej morderczej suszy są wrony. W dzień i w nocy niósł się łopot ich skrzydeł i nieustanne krakanie. Kraa, kraa. Czasami, słuchając gorącego wiatru i makabrycznego krakania, miała wrażenie, że jest bliska obłędu.

A nieraz po prostu się bała. Nawet nie tego, że stało się coś strasznego i O'Reilly nigdy nie wróci. Obawiała się, że kiedy wróci, zajrzy jej w oczy i wszystko z nich wyczyta, dowie się, że mimo iż zaczęła kochać ten dziki, pusty kraj, wciąż się go

boi... boi się go nawet bardziej niż dawniej, gdyż wiedziała już, jak duże stawia wymagania.

Odwrociła głowę na dźwięk zamykanych drzwi. Christian zszedł z werandy, zmrużył oczy przed blaskiem słonecznym i ruszył w jej stronę. W ciągu kilku ostatnich miesięcy schudł - był teraz smutny i zmęczony, podobnie jak wszyscy. Była to jego ostatnią wizyta w Penyace. Kopalnie w Brinkman zostały zamknięte i za kilka dni wyjeżdżał do Adelajdy, by tam wsiąść na statek do Anglii. Na tę myśl ogarnęło ją uczucie żalu zmieszane z odrobiną zazdrości, która ją zawstydziła i przeraziła.

Podszedł do niej. Powitała go uśmiechem, lecz nawet nie próbował go odwzajemnić. Popatrzył na nią poważnie.

- Wyjeżdż ze mną na południe, Amando - powiedział, jako że już dawno zaczęli sobie mówić po imieniu. - Nie możesz tu zostać dłużej.

Popatrzyła na spalone słońcem Góry Flindersa. Kurczowo chwyciła się kamiennego muru.

- Nie mogę wyjechać, Christian. Dobrze o tym wiesz. Nie mogę zostawić dzieci.

- Myślę, że powinnaś zabrać je do Adelajdy, do ich ciotki.

- Ale O'Reilly...

Christian stanął obok i położył rękę na jej dłoni.

- Naprawdę uważam, że kiedy tu wróci i zobaczy, jaka jest sytuacja, sam będzie nalegał, żebyś stąd wyjechała. Poza tym... - Urwał, lecz dobrze wiedziała, co chciał powiedzieć. Podejrzewał, że coś mogło się z nim stać i że może nigdy już tu nie wróci.

Stali obok siebie, patrząc, jak wiatr unosi piasek z dna doliny i rozsypuje go w powietrzu jak we wnętrzu paleniska.

- Ten wiatr jest taki gorący - powiedział po chwili. Nie uważasz, że być może nadciąga kolejna burza piaskowa?

Do tej pory Amanda zdążyła się już dowiedzieć wszystkiego na temat burz piaskowych. Tego, że zaczynają się pojawieniem się na horyzoncie intensywnie brązowej chmury, która wznosi się, zbliża i wygląda jak ruchoma ściana. I o tym, że robi się coraz goręcej, aż temperatura dochodzi do 65° C i wciąż rośnie.

Wiedziała, że niebo pociemnieje i rozlegną się grzmoty, ale

nie spadnie deszcz. Że siła wiatru gwałtownie wzrośnie, wypełniając powietrze gęstym czerwonym piaskiem, aż nieszczęśnik złapany na wolnym powietrzu będzie widział tylko na odległość dwóch stóp przed swoim nosem. Wiatr będzie wiał coraz szybciej, a pyłu będzie coraz więcej, aż zadusi wszystkie żywe istoty na swojej drodze.

Uciekające przed wichurą piaskową srokacze, brązowoskrzydłe gołębie i wróble pokonywały lęk przed człowiekiem i gromadziły się w pomieszczeniach gospodarskich i na werandach domów - wszędzie tam, gdzie tylko mogły znaleźć schronienie. Kiedy burza piaskowa się kończyła, Amanda zdejmowała chodniczki i ręczniki, którymi uszczelniała szpary wokół drzwi i okien. Lecz nie znosiła wtedy wychodzenia na dwór, nie chcąc znajdować martwych ptaków z buszu, porzrzucanych na omiecionym przez wiatr dziedzińcu.

- Wichury piaskowe zazwyczaj przychodzą z północy - powiedział Christian, patrząc zmrużonymi oczami na światło zachodzącego słońca. - Dopóki wiatr wieje z zachodu, nie grożą.

Kiwnęła głową, zapatrzona na całun pyłu, wiszący nad dnem doliny.

- Ktoś tu jedzie - powiedziała. Zawsze wypatrywała na horyzoncie O'Reilly'ego, nie mogąc się doczekać jego powrotu. Lecz był to wóz, nie mężczyzna na koniu, a poza tym nadjeżdżał nie z południa, lecz z północnego wschodu.

Zdażyła się już przyzwyczaić do tego, że często ludzie zatrzymują się na farmie na noc lub dwie. Najpierw byli to głównie mężczyźni mający cały swój dobytek w jednym tobołku - poganiacze bydła i pasterze, którzy stracili pracę, kiedy na farmach zaczęto ograniczać zatrudnienie albo wręcz je likwidować. Lecz ostatnio zjawiały się również całe rodziny w wozach z budami, zaprzężone w padające ze zmęczenia woły albo konie, powożone przez mężczyzn i kobiety o zapadniętych oczach, którzy stracili nadzieję na cieszenie się życiem i pragnęli już tylko przetrwać.

Czasami ci, co zostali wypędzeni z ziemi przez suszę, nie mieli już żywych zwierząt gospodarskich. Przybywali pieszo,

szukając wody i jedzenia, które zawsze dostawali za darmo. Nieraz nie udawało im się dotrzeć do domu i pracownicy z Penyaki przynosili ich ciała, owinięte w brezent, a Amanda organizowała pogrzeby na cmentarzyku niedaleko koryta potoku.

- Wygląda na to, że jedzie jakaś rodzina - rzekł Christian, patrząc na wóz, toczący się w ich stronę. - Niech Bóg ma nas w swej opiece. Kiedy to się skończy?

Podszedł wraz z nią do bramy, by powitać przybywających. Przyjechali niewielkim wozem, zaprzężonym w dwa wychudzone konie i kierowanym przez drobnego chłopaczkę, który, jak oceniła Amanda, mógł mieć najwyżej dwanaście lat. Jednak gdy podszedł do bramy i przyjrzała mu się bliżej, zdała sobie sprawę, że chłopak ma piętnaście lub nawet szesnaście lat, tylko jest niedożywiony i zniszczony pracą. Obok niego szedł wysoki mężczyzna o rudych włosach, wąskich, opadających ramionach, w postrzępionym ubraniu.

- Dobry wieczór - powitała ich Amanda. - Zapraszamy. Proszę wejść i napić się herbaty. Zaraz ktoś zajmie się końmi.

Mężczyzna zdjął zakurzony kapelusz, ukazując bladą czerę i sine cienie pod oczami.

- Dziękuję pani, ale mamy w wozie chore dziecko. Prosilibyśmy tylko, żeby pozwolili nam państwo odpocząć w cieniu drzew, dali trochę wody i może jakieś lekarstwo, jeśli państwo mają, dla mojej małej córeczki...

- Co jej dolega? - zapytała Amanda, kierując się w stronę wozu. Zauważyła małą jasnowłosą dziewczynkę, leżącą obok płaczącej oszołomionej kobiety. Po chwili poczuła zapach wymiocin, kału i krwi. Szybko cofnęła głowę.

- O, Boże - powiedziała zdyszczonym głosem. - Musimy natychmiast przenieść ją do domu.

- Ależ, Amando odezwał się Christian, stojący za nią z chustką przy nosie. - To może być tyfus.

Odwróciła się w jego stronę.

- Mam zostawić tutaj to dziecko, żeby umarło?

- Nie, ale...

Popatrzyła na ojca dziewczynki.

- Proszę zanieść ją do domu. Christian... - Spojrzała na niego. - Poproś Chinga, żeby podgrzał trochę wody.

Skinał głową i odszedł.

Działała szybko. Matka dziewczynki była prawie nieprzytomna z wyczerpania, smutku i wycieńczenia chorobą; ojciec i brat również byli chorzy. Z pomocą Chowa Amanda umyła dziewczynkę i położyła ją w pokoju gościnnym. Dała jej chlorodynę i napar z wiązówki, ale dziecko wszystko zwracało.

- Ona potrzebuje lekarza. - Amanda zwróciła się szeptem do Christiana, zastawszy go na przemierzaniu nerwowym krokiem salonu. Było już późno i dzieci spały. - Jeśli te wymioty nie ustaną... to wkrótce ta mała umrze.

Christian przyjrzał się jej badawczo z drugiego końca pokoju. Zauważyła, że odkąd dotknęła dziecka, bardzo uważa, żeby nie podchodzić do niej zbyt blisko. Mimo to został i była mu za to bardzo wdzięczna.

- W Edeowie jest lekarz - powiedział. - Pojadę po niego.

Amanda odgarnęła włosy z twarzy wierzchem dłoni.

- Jak to daleko stąd?

- Czterdzieści mil.

- Boże. - Jej nadzieje gwałtownie zmalowały. Poczowała ciężar w piersi. - Nie zdążysz wrócić na czas. Nie ma nikogo bliżej?

- Nie. Tylko on. - Christian sięgnął po kapelusz. - Jeśli zaraz wyjadę...

- Zaczekaj. - Wyciągnęła rękę, by go powstrzymać, widząc jednak, że się wzdrygnął, opuściła ramię. - Hermes nie zdąży. Poślemy jednego z pracowników. Mógłbyś się tym zająć? Powiedz mu, żeby wybrał szybkiego, ale mocnego konia. Jeśli będziemy mieli szczęście, jutro wróci tu z doktorem.

Amanda oparła dłoń o framugę drzwi i odprowadziła wzrokiem odchodzącego pośpiesznie Christiana. Gdyby tu był O'Reilly, pomyślała, lecz zaraz odegnała te mrzonki i poszła doglądać słabnącego dziecka.

Była to śliczna mała dziewczynka. Amanda przyglądała się jej w ciągu kolejnych godzin mijającej nocy. Blask lampy

oświetlał jasne włoski, duże szare oczy, drobną twarzyczkę, wysuszoną i udręczoną cierpieniem. Ojciec powiedział, że mała ma sześć lat. Była w wieku Missy.

Amanda popatrzyła na wyczerpaną matkę, śpiącą niespokojnym snem na fotelu po drugiej stronie łóżka. Kobieta miała najwyżej trzydzieści pięć lat, lecz wyglądała staro. Jej niegdyś jasne włosy były przyprószone siwizną, ramiona przygarbione nieszczęściem, twarz poorana bruzdami. Amanda bezwiednie dotknęła swego łona, ogarnięta strachem o przyszłość, o jej nienarodzone dzieci, które mogłyby żyć - i umierać - w tym dzikim, obcym miejscu.

Był to okrutny kraj. Przerażająco zdradziecki i niebezpiecznie odizolowany od świata. Odegnęła te myśli i ujęła drżącą rączkę dziewczynki, chcąc dodać jej otuchy.

Czuwała przy małej przez wiele godzin, ocierając spoconą twarz, zachęcając dziecko do wypicia małych łyżeczek chłodnego naparu z rumianku, trzymając miszkę, kiedy powróciły wymioty. Walczyła ze snem, lecz w którymś momencie długiej nocy musiała się zdrzemnąć. Jej głowa drgnęła, a kiedy ją uniosła, patrzyła w otwarte, niewidzące oczy dziecka.

- Boże - wyszeptła, zakrywając usta dłonią. - Nie. Och, nie. - Popatrzyła na wciąż śpiącą matkę. Łzy nabiegły jej do oczu i stoczyły się po policzkach. Nie miała w sobie dość siły, żeby obudzić biedną kobietę i powiedzieć jej, że córka nie żyje. Czuła swą porażkę, przepełniał ją żal.

A potem ogarnęła ją wściekłość. Wstała, odciągnęła zasłony z oszklonych drzwi i popatrzyła na zniszczony ogród, skąpany w księżycowej poświacie, i na ciemne, ponure szczyty Gór Flindersa.

Od początku ten kraj ją przerażał. Przyciągał ją, kusił, pobudzał do życia, niemniej jednak przyprawiał o lęk. Teraz zaczęła go kochać. Jednak jej uczucia do tej ziemi nadal były bardzo gwałtowne.

Bo każda gwałtowna miłość jest bliska nienawiści.

Patrick zatrzymał się na szczycie wzgórza i powoli, z bólem, przewędrował wzrokiem po rozgrzanych, wypalonych słońcem skałach i wysuszonej ziemi umierającej krainy.

Do diabła, pomyślał. Ta kraina nie umiera. Już umarła.

Trącił kasztana ostrogami i powoli zjechał w dół zbocza w stronę farmy, bladej i cichej w perłowym, dusznym popołudniowym upale. Piasek unoszący się spod końskich kopyt zdawał się zawisać w gorącym nieruchomym powietrzu.

Był sam. Część mężczyzn, których zabrał ze sobą na południe, najęła się do pracy na farmach w Port Augusta, gdzie sprzedali pewną partię owiec. Paru pasterzy zostało wraz ze stadem na pastwisku, które w końcu wynajął aż w Coorong. Pozostali postanowili zatrzymać się w Adelajdzie, nie chcąc już zmagać się ze skutkami suszy. Tak czy owak nie byłoby tu już dla nich wiele do roboty. Nie na farmie, która straciła trzy czwarte swego inwentarza.

Zwolniejszy, Patrick przyjrzał się rozrzuconym budynkom. Poczul nagłe radosne ukłucie w sercu i wyraźnie się ożywił na myśl o tym, że nareszcie znów zobaczy Amandę. Że ją uściska... Dotknie jej...

Czasami wydawało mu się, że przez ostatnie dwa miesiące nie było ani jednej minuty, nocą i dniem, żeby jej nie pragnął. Zabrał z sobą na południe setki różnych wspomnień. Oczami wyobraźni widział ją klęczącą wśród tymianku, z zarumienionymi policzkami, z odchyłoną do tyłu głową, i śmiejącą się, śmiejącą... Amandę ściskającą jego ramię, z ustami rozchylonymi w bezgłośnych zakłęciach, kiedy obserwowała, jak Hannah jedzie na Ognistym Tancerzu po zwycięstwo. Amandę z zamkniętymi oczami, z twarzą wyrażającą zachwyt, w uniesieniu, gdy pogrąża się w jej cudownej miękkości.

Tulącą Missy i szepczącą: „Zostanę, kochanie”.

Zeskoczył z siodła przed bramą. Poczul ściskanie w żołądku na widok uschniętego ogrodu Katherine. Boże, to miejsce wyglądało jak przeklęte. Opuszczone. Na chwilę krew zamarła mu w żyłach i przyszło mu do głowy, że być może przez dwa miesiące jego nieobecności życie tutaj stało się tak trudne do zniesienia, że wszyscy wyjechali.

Że ona wyjechała.

Ta straszna myśl ledwie zdążyła zakiełkować w jego głowie, kiedy usłyszał dobiegający z daleka okrzyk.

- Papa!

Uniółszy głowę, zobaczył Liama, co sił w nogach biegnącego na wzgórze od strony zagród. Jedną ręką przytrzymywał kapelusz, drugą pomagał sobie w biegu.

- Papa. -Chłopiec przywarł do ojca ze szlochem. -Wróciłeś.

Przez następne dwadzieścia minut Patrick stał otoczony przez roześmiane, tulące się do niego dzieci, dwóch dziko gestykulujących Chińczyków i nieznośnie trzeźwego Campbella. Wszyscy mówili jeden przez drugiego.

- Dlaczego tak długo cię nie było?

- Myśleliśmy, że umarłeś!

- Dzisiaj przygotuję wyborne danie na kolację, specjalnie dla pana.

- Znalazłeś pastwisko dla owiec, papo?

- Jak tak dalej pójdzie, szefie, to wyschną studnie.

Imię Amandy zostało wymienione wystarczająco wiele razy, żeby zdążył się upewnić, iż nie wyjechała, lecz nie dołączyła do hałaśliwej gromadki także i w salonie. W końcu uniół ręce.

- Chwileczkę. Gdzie jest panna Davenport?

Odpowiedział mu Liam.

- Powiedziała, że idzie posadzić aloes na grobie tego dziecka, a potem wybierała się na przejażdżkę.

Patrick popatrzył na syna.

- Jaki grób dziecka?

- Jacyś ludzie przyjechali tu parę dni temu - odpowiedział Chow. - Z małej farmy na północ stąd. Mieli córeczkę, bardzo chorą. Panna Davenport starała się pomóc. Ale mała umarła.

- Panna Davenport bardzo to przeżyła - dodała Missy. - Zaproponowałam, że z nią pojedę, ale chyba chciała być sama.

Patricka ogarnęło przerażenie.

- Nic jej nie jest?

Hannah przyjrzała mu się podejrzliwie.

- A dlaczego miałyby być?

Minęło kolejne pół godziny, zanim udało mu się uwolnić od rozentuzjarmowanej rodziny i pracowników. Potem natychmiast udał się na cmentarz.

Powietrze było ciężkie i duszne. Usłyszał furkot skrzydeł i gdakanie dochodzące z kurnika - kury wcześniej zasiadały na grzędzie, a kiedy mijał stodołę, dwa psy pasterskie, leżące w cieniu i ciężko dyszące, zaczęły na niego warczeć. Pył boleśnie drażnił mu nos. Przyśpieszył kroku.

Przechodząc na drugą stronę koryta potoku, zauważył, że cmentarzyk w Penyace bardzo się powiększył przez ostatnie miesiące. Dostrzegł świeże kopczyki czerwonej ziemi w obrębie ogrodzenia ze spłowiełego drewna. Zbliżywszy się do bramy, zauważył prosty krzyż na grobie tak maleńkim, że na jego widok aż coś ścisnęło go za serce. Ktoś niedawno zasadził tam młody aloes.

Stanął przy grobie z kapeluszem w rękach i pochyloną głową. Czuł gorące porywy wiatru niosącego piasek i zastanawiał się, co też musiała w ciągu ostatnich dwóch miesięcy przeżywać kobieta, od której odjechał. Pielęgnowała to nieznanne dziecko, po czym pochowała je i najwyraźniej opłakała. Rozejrzał się po pustym, chłostanym przez wiatr cmentarzu i znów ogarnął go niepokój i strach. Jaki to wszystko miało wpływ na nią, na jej plany pozostania tutaj i wyjścia za niego za mąż? Góry Flindersa zawsze były surowe i niebezpieczne. Teraz stały się zabójcze.

Włożył kapelusz na głowę. Liam powiedział, że pojechała na przejażdżkę. Sama, ponieważ było jej smutno. Jeździła konno... i o czym myślała?

Znów powiał wiatr, syjąc mu piaskiem w plecy. Odwrócił się i zmrużywszy oczy, przyjrzał się groźnej ławicy chmur na północy. Na słonecznym niebie lada chwila miała rozpuścić się burza z grzmotami wstrząsającymi spaloną ziemią. Tyle że te chmury nie niosły deszczu, a jedynie zabójczą ścianę piasku skrzącego się złowroźnie własnym - czerwonym i brązowym - światłem.

- Cholera jasna! - wyszeptał i puścił się pędem w stronę stajni.

21

Amanda siedziała na płaskiej skale nad oczkiem wodnym, o którym myślała jako o swoim stawie. Nie było to już jednak oczko wodne, a zagłębienie, na którego dnie znajdowało się schnące, spękane błoto. Podciągnęła nogi i objęła je ramionami, oparła policzek o kolano i zamknęła oczy. Skała była nagrzana od słońca. Gorące, gęste powietrze wydawało się naciskać, miażdżyć, wysysać oddech. Mimo to czuła się jak niesiona przez wiatr w nieznaną stronę.

Przez dziesięć lat wiedziała, kim jest... albo przynajmniej, kim zdecydowała się być. A potem została rzucona przez los do tego surowego, nieposkromionego kraju i po latach rezygnacji ze swoich potrzeb, wypierania się siebie znowu czuła niepokój i tęsknoty, które, jak sądziła, udało się jej raz na zawsze stłumić.

Czuła się teraz tak jak w dzieciństwie, kiedy jako mała dziewczynka miała swoje pragnienia i tak bardzo, rozpaczliwie chciała mieć wiele rzeczy. Chciała móc studiować i rozmawiać na tematy, którymi kobiety, według powszechnego mniemania, nie powinny się zajmować. Marzyła o tym, by kochał ją urodziwy, silny młody mężczyzna, i nie chciała wiązać się z nudnym, pozbawionym temperamentu pastorem. Chciała być kobietą, jaką stworzyła ją natura, a nie istotą stworzoną do spełniania czyichś oczekiwań.

Bardzo ją to wszystko podniecało, lecz jednocześnie przerażało. Gdyby był tu O'Reilly...

Nerwowe rzenie Calypso sprawiło, że uniosła głowę.

- Co się dzieje, maleńka? Hmm? - Ześliznęła się ze skały, by pogłaskać drżący aksamitnoczarny nos klaczy. - Co cię tak nagle przestraszyło?

Uderzył ją gorący podmuch wiatru, niosący mnóstwo piasku. Zapięły ją oczy. Odwróciła głowę i zamknęła powieki. Kiedy znów je otworzyła, popatrzyła na północ, gdzie kłębiły się gęste brązowe chmury. Jak żywe stworzenie uniosły się i ruszyły naprzód, zasłaniając słońce i rzucając złowrogi cień na spaloną dolinę.

- O, Boże.

Chwyciła wodze Calypso zaczepione o karłowate drzewo i podciągnęła się na siodło, gdy następny gwałtowny powiew gorącego wiatru obsypał jej policzki piaskiem i złamał gałąź eukaliptusa, która opadła na skaliste dno potoku. Klacz poderwała się i kwiknęła przeraźliwie; rzucała łbem, rozdymała chrapy.

- Spokojnie, Calypso - powiedziała łagodnym tonem Amanda, trącając boki zwierzęcia piętami. - Już jedziemy do domu.

Podkute kopyta zastukały na luźnych kamieniach, gdy skierowała zaniepokojonego konia wzdłuż potoku w stronę domu. Lecz patrząc na zbliżającą się w szybkim tempie chmurę pyłu, wiedziała, że nie zdążą na czas. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, wyjeżdżając ze schronienia, jakie dawał wąwóz, lecz było już za późno, by zawrócić.

Szybko oddarła pas halki i zawiązała go wokół nosa i ust, po czym zmusiła klacz do szybszego biegu. Znajdowała się jeszcze dobre dwie albo trzy mile na wschód od stodoły, kiedy wichura uderzyła z całą siłą.

Natarła na nią jak rycząca brązowa fala przypływu i otoczyła duszącym kocem kłującego piasku. Amanda widziała, czuła i wdychała tylko piach; słyszała upiorne wycie wiatru, grzechot i trzask rozrzuconych przez burzę kamieni.

Gałęzie i zwiędłe liście niesione przez wichurę przywierały do jej ubrania, rozcinały skórę klaczy. Przerażona Calypso parskała i stawała bokiem i Amanda z najwyższym trudem, słabnącymi ramionami utrzymywała ją na drodze. Rozległ się

grzmot, który zatrzęsł ziemią tak, że Amanda miała wrażenie, iż czuje echo wstrząsu w najgłębszych zakamarkach duszy.

W gęstym powietrzu rozległ się nagle głośny trzask. Gwałtownie uniosła głowę i zmusiła klacz do odskoczenia tuż przed tym, gdy na ziemię, tam, gdzie się przed chwilą znajdowały, zwała się potężna akacja.

Dookoła jak rzęsy deszcz padały złamane gałęzie, lecz Amanda bała się odjechać od koryta potoku - ledwie widoczna linia wysokich eukaliptusów prowadziła ją do domu przez oślepiającą piaskową zawieruchę. Gruba gałąź spadła na zad Calypso. Przerazona klacz wierzgnęła i poniosła.

Przytrzymując się jedną ręką szyi konia, Amanda drugą natychmiast ściągnęła wodze, zmuszając zwierzę do pochylenia łba. Calypso odwróciła się gwałtownie, lecz zanim jej pani zdążyła opanować sytuację, klacz wdepnęła w piaszczysty dół i straciła równowagę.

Z kwikiem zaryła pyskiem w piachu i przewróciła się. Wyzucona z siodła Amanda upadła twarzą na ziemię. Usłyszała, że Calypso wstaje, i poczuła, że ziemia drży pod kopytami, gdy koń pogalopował w nieznaną. A potem był już tylko wiatr i pył.

Leżała na brzuchu, podpierając się ramionami, z pochyloną głową. Z trudem wciągała powietrze, czując ból w klatce piersiowej. Drżąc z bólu, obróciła się i popatrzyła na wirującą, duszącą, obejmującą wszystko chmurę gorącego piasku.

Z jej ust wydarł się dziwny dźwięk, jakby pękła bańka strachu.

Przede wszystkim musiała znaleźć się z powrotem przy potoku. Była prawie pewna, że koń nie przeskoczył nad potokiem w swoim niekontrolowanym pędzie, co oznaczało, że Amanda wciąż znajduje się na południe od koryta. A ponieważ wiedziała, że wiatr wieje z północy, musiała wyjść mu naprzeciw, a po dojściu do potoku skrócić w lewo.

Zaciskając zęby, z trudem wstała, lecz już po chwili zatoczyła się, gdy wiatr zaatakował ją z całą wyjąca, piekąca furia, okręcił i odrzucił do tyłu. Opadła na skaliste podłoże i zaczęła się czołgać.

Ostre kamienie rozdarły spódnicę stroju do konnej jazdy, zraniły ręce. Zatrzymała się, by oderwać spore kawałki grubej

zielonej tkaniny spódnicy i owinęła nimi krwawiące dłonie, a potem znów ruszyła przed siebie.

Posuwała się naprzód z pochyloną głową i nie zauważyła nawet koryta potoku w szpalerze drzew eukaliptusowych, lecz poczuła wygładzone przez wodę kamienie pod otartymi rękami i kolanami. Uniósłszy wzrok, dostrzegła potężny stary eukaliptus i podczołgała się w jego stronę, by ze szlochem oprzeć się o jego szeroki mocny pień.

Bolały ją oczy, zaschło jej w gardle, miała spękane usta i dłonie śliskie od krwi. Jej ramiona i nogi drżały, płuca paliły po wysiłku łapania oddechu w gorącym zapyłonym powietrzu. Otoczywszy się ramionami w talii, zaszlochała i zgięła się wpool.

- Nie umrę tutaj - powiedziała na głos, ciężko dysząc. - Nie tutaj. - Nienawidziła tej suszy tak bardzo, że nie mogła pozwolić, by ją pokonała. A poza tym zbyt mocno kochała Patricka O'Reilly'ego, żeby umrzeć, zanim go znów zobaczy.

I nagle zjawił się przy niej. Wysoki mężczyzna z zakrytą twarzą wyłonił się z wirującej ciemności na siwym koniu.

-- Ale przecież jeździsz na kasztanie - powiedziała, kiedy chwycił ją w ramiona i mocno przytulił do swego mocnego, opiekuńczego ciała. Przywarła do niego, i wyczuła znajome twarde mięśnie pod ciężką kurtką i koszulą. Usłyszała jego ciche westchnienia, gdy całował jej włosy, ucho, powieki.

- Amando - rzekł cicho, chrapliwie, a potem jeszcze wiele razy powtórzył jej imię. - Boże, myślałem, że cię utraciłem.

I wiedziała już, że nic mu nie jest, że jej nic nie będzie, i że wracają do domu.

Nie zauważył, kiedy po raz pierwszy otworzyła oczy.

Siedział na krześle z prostym oparciem w jej sypialni, pochylony tak, że mdłe światło lampy naftowej, stojącej na okrągłym stole, padało na książki rachunkowe, które studiował.

Kiedy przywiózł Amandę do domu, pomógł jej się wykapać, po czym zaniósł ją do łóżka i trzymał za rękę, dopóki nie zasnęła. Lecz to zdarzyło się wiele godzin temu. Teraz było już bardzo

późno. W całym domu panowała cisza, a z wyjątkiem kręgu słabego światła wokół lampy, cała sypialnia była pogrążona w ciemności.

Obudziwszy się, nie wydała żadnego dźwięku. Wyczuł jednak na sobie jej wzrok, a kiedy się odwrócił, zauważył, że go obserwuje z policzkiem na poduszce i szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami.

Odłożył papiery i podszedł do łóżka. Serce biło mu mocno, niemal boleśnie, kiedy na nią patrzył. Była taka delikatna, taka krucha, że aż poczuł strach.

- Jak się czujesz? - zapytał cicho.

Uśmiechnęła się do niego.

- Jak zmaltretowana. A jak wyglądam?

- Gorzej, niż się czujesz.

Uniosła obandażowaną dłoń do twarzy i wzdrygnęła się. Miała ranę nad prawym okiem, drugą na policzku, posiniaczony nos, jakby wylądowała na nim, kiedy klacz zwała się na bok.

- To nieuczciwe - powiedziała. - Chciałam wyglądać pięknie na powitanie ciebie po długiej rozłące. Mam nawet nową suknię, którą uszyłam z materiału kupionego u Mary. Chciałam tu przybiec i ją włożyć, kiedy tylko zobaczę, że nadjeżdżasz. Jest z pięknego zielonego atłasu i ma szokująco głęboki dekolt, i...

Położył palec na jej ustach.

- Zawsze będziesz dla mnie piękna, Amando. Zawsze. Nawet kiedy oboje będziemy już siwi i starzy. - Nie używał wyszukanych słów, ale mówił szczerze. Usiadł na skraju łóżka i ujął jej dłoń. - Czujesz się na tyle dobrze, żeby porozmawiać?

Skinęła głową.

Długo milczał, ciesząc tylko oczy jej widokiem: płomiennokasztanowymi włosami rozsyanymi na poduszce, pięknie wykrojonymi pełnymi wargami, zatroskanym spojrzeniem jej szarych oczu, kiedy przyglądała mu się, czekając na to, co powie.

Zerknął na ich złączone dłonie.

- Nawet sobie nie potrafię wyobrazić, co tu musiałaś przeżyć przez ostatnie miesiące - zaczął. Pogładził kciukiem wierzch jej dłoni. Zadrzała, jak zawsze wtedy, gdy jej dotykał. - Jeszcze

przed moim wyjazdem było tu ciężko, ale teraz... Penyaka wygląda jak pustynia usiana ciałami niezliczonych zwierząt. Owiec, bydła, koni, kangurów, ptaków... wszystkie wymierają. Wracając tutaj...

Głos mu się załamał. Przełknął z trudem ślinę, zanim był w stanie kontynuować.

- Wracając tutaj, myślałem o tobie. Martwiłem się o to, jak ta cholerna susza może wpłynąć na to, co dzieje się między nami. Bałem się, że może zmieniłaś zdanie... Nie, daj mi dokończyć - powiedział, widząc, że ma ochotę mu przerwać. - Bałem się, że może doszłaś do wniosku, iż nie jesteś w stanie dłużej tego znieść, że chcesz wrócić do Anglii. Ale wtedy...

Odwrocił głowę i zapatrzył się na palącą się lampę.

- Po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że myślę tylko o sobie, o tym, czego ja chcę i co będzie korzystne dla mnie. - Znow spojrzął na nią. - Ten kraj jest częścią mojej duszy, Amando, częścią mnie. Ale ty jesteś Angielką. Kiedy tu przyjechałaś, nie było dla ciebie nic ważniejszego niż powrót do Anglii. Może teraz chcesz tu zostać ze względu na mnie i gdyby wszystko układało się tak, jak bym sobie tego życzył, znalazłbym w sobie dość egoizmu, by cię o to prosić. Ale za bardzo cię kocham, żeby to zrobić w tej sytuacji.

Jej oczy były niczym dwa niezgłębione jeziora; rozchyliła usta, jakby bała się oddychać.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Do czego zmierzasz?

Dotknął jej policzka. Miał zgrubiałe palce, jej skóra była delikatna i gładka.

- Chcę powiedzieć, że cię pragnę, Amando. Chcę, żebyś dzieliła ze mną życie, żebyś zawsze była przy mnie. Chcę, żebyś została moją żoną i matką moich dzieci. Chcę się z tobą zestarzeć. Ale ta cholerna susza...

Wolno wypuścił powietrze.

- Campbell powiedział mi, że zamyka się kopalnie i że pod koniec tygodnia Christian wyjeżdża do Adelajdy. Chcę, żebyś z nim pojechała i zabrała dzieci do Hetty. Zostań w Adelajdzie, dopóki to się nie skończy. Dopóki nie skończy się susza i znow

będzie można tu żyć albo dopóki, Boże uchwaj, ta susza nie zniszczy mnie. Ale chcę, żebyś wyjechała z dziećmi z tego piekła.

Popatrzyła na niego ze zbiełą twarzą.

- Dlaczego?

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Jak to dlaczego? Boże! - Odwrócił się gwałtownie, by na nią spojrzeć. - Przecież widziałas, co stało się z rodziną, której dziecko pochowałas. Jest gorzej, niż mogłem się spodziewać. Chcę, żebyś stąd wyjechała i zabrała ze sobą moje dzieci.

Usiadła na łóżku.

- To wszystko dlatego, że wciąż myślisz, iż jestem taka jak one, prawda? Myślisz, że jestem taka jak twoja matka i Katherine, że będę je naśladować jak papuga. Wydaje ci się, że jeśli zostanę tu teraz, w tych ciężkich warunkach, to będzie już tego dla mnie za wiele i uznam, że nie jestem w stanie tego znieść, i wyjadę.

Patrzył na nią głęboko zakłopotany.

- To nie jest główny powód, ale... Fch, Boże, Amando. Co ja mogę poradzić na to, że się tego boję?

Wstała i podeszła do niego. Chwyciła go w pasie i przyciągnęła do siebie, przytulając policzek do jego torsu.

- Kocham cię, O'Reilly. Kiedy wreszcie dotrze to do ciebie przez tę twoją grubą australijską czaszkę?

Roześmiał się. Odchyliła głowę, by na niego spojrzeć.

- Co cię tak bawi?

Położył dłonie na jej ramionach i zaczął delikatnie ugniatać napięte mięśnie szyi.

- Czy wiesz, że nigdy jeszcze nie zwróciłaś się do mnie po imieniu? - powiedział. - Mam na imię Patrick.

Uśmiechnęła się tak, że poczuł dławienie w piersi.

- Zawsze byłeś dla mnie O'Reillym.

- Hmm - mruknął. - Z wyjątkiem chwil, kiedy byłaś na mnie wściekła. Wtedy stawałem się panem O'Reillym.

Zachichotała. Znów popatrzył na jej pełne wargi i białe równe zęby. Wsunął palce w jej włosy. Śmiech zamarł jej na ustach, kiedy się nad nią pochylał. Rozpaczliwie pragnął ją pocałować, rozkoszować się jej smakiem, położyć się i głęboko w niej pograżyć.

Gwałtownie uniósł głowę i głęboko zaczerpnął tchu, by zmusić się do opanowania, wciąż jednak gładził jej policzki kciukami.

- Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć, Amando. W drodze powrotnej z Coorong pojechałem do Adelajdy. Dowiedziałem się, że będę mógł się powtórnie ożenić po siedmiu latach od wyjazdu Katherine. Ale minęło dopiero sześć i pół roku i może będzie lepiej, jeśli...

Urwał, gdy zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego tak mocno, że rozpląszczyła swe pełne piersi na jego torsie. Była tylko w cienkiej nocnej koszuli. Nagle zaczęła go prześladować myśl o jej nagim ciele.

- Jeśli... co? - zapytała ochryple i popatrzyła na niego.

- Jeśli... zaczekamy. - Głośno zaczerpnął tchu, gdyż wypchnęła biodra w przód i zaczęła ocierać się brzuchem o jego twardą męskość.

Wspięła się na palce i przysunęła usta tak blisko, że niemal zetknęli się wargami. Bezwiednie położył ręce na jej biodrach, by mocniej przyciągnąć ją do siebie.

- Czekałam na ciebie ponad dwa miesiące - powiedziała, zaglądając mu głęboko w oczy. - Nie chcę czekać ani chwili dłużej.

Westchnął, gorączkowo przesuwał dłońmi po jej plecach, biodrach, bokach. Z całej siły pragnął jej dotknąć, kochać się z nią.

- Ech, Boże, Amando. Staram się zachowywać jak człowiek honoru. Nie chciałbym, żebyś zaszła w ciążę, skoro jeszcze nie mogę się z tobą ożenić. Obiecałem sobie...

Nagryzła płatek jego ucha.

- Nie bądź teraz dla mnie takim dżentelmenem, O'Reilly. Nie teraz, kiedy chcę, żebyś był zepsutym Australijczykiem.

- Ale przecież jesteś cała posiniaczona i pokaleczona po tym, jak złapała cię burza piaskowa. Nie chcę, żeby cię bolało...

- Nie jestem z porcelany. - Delikatnie kasała jego szyję, przesuwał rękami po ramionach, torsie. - Jestem kobietą z krwi i kości, która przez ostatnie dwa miesiące czekała na ciebie... i tęskniła.

Jęknął, rozbawiony, wsunął dłonie w jej włosy i przyciągnął jej głowę. Miała rozchylone wargi i oczy pociemniałe z pożądania. Pragnęła go. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, że go kocha i pragnie... pożąda z gwałtownością, która go zadziwiła i wprawiła w zachwyt, a kocha z intensywnością, która go zdumiewała i onieśmielała.

- Boże, Amando... - wyszeptał. - Jak ja za tobą tęskniłem.

Nakrył jej usta delikatnym pocałunkiem, który po chwili stał się gwałtowny i namiętny. Ich wargi i języki zespoliły się tak, jakby mogły stać się jednością. Miała miękkie, słodkie, gorące usta. Wsunął język daleko za jej zęby, upajając się jej dotykiem, smakiem, cichutkimi, zdyszanyymi zmysłowymi odgłosami, dobiegającymi z głębi jej gardła, gdy przyciskała go do siebie.

Chwytał ją za pośladki i unióśł. Zaczęła się o niego ocierać. Podciągnął jej koszulę, chcąc dotykać nagiego ciała.

- O'Reilly - powiedziała z westchnieniem. Jej ciepły oddech mile owiał jego usta. Zarzuciła szczupłą białą nogę na jego biodro. Przesunął dłonią po jej udzie, szukając delikatnych fałdek przy tajemnym wejściu do jej ciała.

Dotknął jej tam. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza, odchyliła głowę i wygięła się w łuk, podtrzymywana przez Patricka w talii.

- Och, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo pragnęłam, żebyś mnie dotykał - wyszeptała.

Miała cudownie miękką skórę. Miękką, gorącą i bardzo wrażliwą. Pochylił głowę i przyłożył rozchylone wargi do jej alabastrowej szyi.

- Powiedz mi - poprosił, przenosząc usta niżej, tam, gdzie z dekoltu wyłaniały się wypukłości pełnych piersi. - Powiedz mi, czego chcesz.

Ujęła jego twarz.

- Ciebie. Chcę ciebie. Proszę... Chcę ciebie. - Miała rozchylone wargi, obrzmiałe od pocałunków, oczy szeroko otwarte i zamglone pożądaniem; jej wspaniałe włosy stanowiły kaskadę ognia spływającą na nich oboje.

- Ech, Amando. Jak ja cię kocham. Nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłem, jak cię pragnąłem.

Pomógł jej opuścić nogę, a potem popychał ją lekko do tyłu tak długo, aż znaleźli się na łóżku w zmiętej pościeli. Roześmiała się, zarzuciła mu ręce na szyję i obróciła się razem z nim tak, że znalazł się na niej. Wsparł się na wyciągniętym ramieniu i przez chwilę leżeli nieruchomo, przyglądając się sobie, a potem Amanda wyszarpnęła jego koszulę zza pasa.

- Chcę, żebyś był nago - powiedziała chrapliwym, niewyraźnym głosem, który przyspieszył bieg jego krwi jak gorączka.

Wstał, zdjął koszulę i zrzucił buty, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z leżącej na łóżku Amandy, która przyglądała mu się, leżąc w koszuli nocnej zadartej na biodra, odsłaniającej szczupłe białe nogi i trójkąt ognistych włosów. Zdjął spodnie, po czym wyprostował się i stanął przed nią, wysoki i nagi. Zauważył, że Amanda szerzej otwiera oczy, uśmiechnął się i szarpnął pomarszczoną koszulę.

- Teraz twoja kolej.

Bez słowa chwyciła skraj koszuli i uniosła ją powoli, najpierw nad biodra, ukazując płaski brzuch, a potem wyżej, nad pełne piersi z różowymi brodawkami, sterczącymi z podniecenia. Zdjęła koszulę i położyła się na łóżku, naga i zapraszająca.

- Jesteś piękna - powiedział zdyszonym głosem i położył się obok niej. Dotknął różowych sutków, a potem pochylił się nad nią, kilkakrotnie powoli zatoczył językiem koło wokół pociemniałej brodawki, a potem zaczął ją ssać.

Odchyliła głowę i zamknęła oczy, wydając cichy jęk rozkoszy. Po kolei pieścił jej piersi, a potem całe ciało rękami, językiem; ssał, lizał, głaskał, delikatnie kąsał w szyję, brzuch i jeszcze niżej.

Pieszcząc ją pomiędzy udami, poczuł, że wsuwa palce w jego włosy i wypycha biodra.

- Kocham cię - powiedział, owiewając ciepłym oddechem jej ciało. - Kocham cię, kocham cię.

Wiła się pod dotykiem jego języka i palców, wydawała cichutkie jęki rozkoszy, które podniecały go do szaleństwa. Poczul, że ogarniają ją skurcze. Mocno ścisnęła rękami jego ramiona, usiłując przyciągnąć go do siebie.

- Teraz - wyszeptała, uniosła głowę z poduszki i popatrzyła mu w oczy. - Proszę.

Przesunął się w górę jej drobnego ciała, starając się zrobić to jak najdelikatniej, lecz ochoczo przyciągnęła go do siebie, szukając ustami warg Patricka, przywierając do niego. Poczuł pierwotny zwierzęcy zew, męską potrzebę posiadania; pragnął połączyć się z tą kobietą i uczynić ją swoją.

- Tak. -Zabrzmiało to jak westchnienie. Poczuł, że rozchyła przed nim uda i obejmuje go, by poprowadzić go do siebie. Ścisnął pośladki, wypchnął biodra w przód i wszedł w jej uległe wnętrze; natarł mocniej, potem jeszcze mocniej, aż w końcu wypełnił ją całą.

Jęknął i znieruchomiał na chwilę. Była gorąca, wilgotna i ciasna, a on tak bardzo ją kochał. Powoli nieznacznie się z niej wysunął, potem pograżył znowu.

- Och, jak cię pragnę. - Jej oddech owiewał mu szyję miłym ciepłem. Oparła dłonie o jego nagi tors.

Chciał się kochać łagodnie, delikatnie, lecz tak bardzo jej pożądał, że nie był w stanie się opanować.

- Przepraszam - wydyszał, unosząc się na wyciągniętych ramionach, by obserwować jej twarz i zaczął się w niej zagłębiać coraz szybciej i gwałtowniej. - Tak długo na to czekałem.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, błyszczącymi z podniecenia. Była zaczerwieniona i spocona, kurczowo ścisnęła jego ramiona. Oplotła nogami biodra Patricka i przyciągała go do siebie coraz mocniej i szybciej. Pochylił głowę, by ją pocałować, długo i namiętnie. Potem poczuł, jak Amanda wbija palce w jego ramiona. Odchyliła głowę, zagryzając dolną wargę, by nie krzyknąć. Ogarnęła ją fala rytmicznych skurczów tak silnych, że nie mógł już dłużej powstrzymać się od osiągnięcia spełnienia, a przez chwilę miał wrażenie, że umarł i znalazł się w krainie wiecznej rozkoszy.

Kochał się z nią całą noc, czasami wolno i zmysłowo, innym znów razem gwałtownie i namiętnie. O świcie zasnęła w jego

ramionach, lecz wolał nie spać, rozkoszując się możliwością tulenia jej, patrzenia na nią w czasie snu, pozwalając sercu wzbierać miłością tak wielką, że aż bolesną.

Obudziła się, słysząc poranny śpiew skowronka za oszklonymi drzwiami. Poruszyła się sennie, a otworzywszy oczy, zobaczyła Patricka wpatrującego się w nią w bladym świetle, ze zgiętym łokciem i głową opartą na dłoni.

Widząc radosny uśmiech rozjaśniający jej twarz, znów poczuł się szczęśliwy i wyróżniony tym, że tak go pokochała. Jednocześnie bardzo się bał, że może utracić tę miłość... że może utracić Amandę.

- Jak to miło otworzyć oczy i zobaczyć cię w moim łóżku. - Leniwie zarzuciła mu ręce na szyję.

Potarł nosem jej nos.

- Panno Davenport, jest pani zaskakująco rozpustną kobietą. Ziewnęła.

- Tak, wiem. Czyż to nie cudowne?

Roześmiał się i obrócił na plecy. Pogłaskała go po piersi, brzuchu, a potem przesunęła rękę niżej. Gwałtownie zaczerpnął tchu.

- Panie O'Reilly - powiedziała z uśmiechem, rytmicznie przesuając dłoń w dół i w górę tej części jego ciała, która zawsze była gotowa unieść się na jej skinienie. - Co my tu mamy?

- Może chcesz się przekonać? - Chwycił Amandę za biodra, chcąc posadzić ją na sobie, lecz już siadała na nim okrakiem. Oparła kolana o materac tuż przy jego biodrach, kołdra zsunęła się z jej ramion, gdy uniosła się nieznacznie.

- Myślę, że znajdę dla niego zastosowanie - powiedziała, po czym zamknęła oczy, przygryzła dolną wargę i powoli się opuściła.

Położył dłonie na jej piersiach, uniosł je i zaczął pieścić, gdy tymczasem unosiła się i opadała, unosiła i opadała, łagodnie kołysząc biodrami.

- Czy spełnia pani oczekiwania? - zapytał lekko chrapliwym głosem. Dostosował się do narzuconego przez nią tempa, ściskając i rozluźniając pośladki.

Oparła dłonie o jego pierś, by się uspokoić.

- Myślę, że jest... doskonały.

Wybuchnął cichym śmiechem, który natychmiast przeszedł w szept rozkoszy, gdy zaczęła poruszać się szybciej, ujeżdżać zapamiętałe, aż w pokoju słychać było tylko ich zdyszane oddechy i klaskanie ciała o ciało.

- O, Boże, Amando! - zawołał, unosząc się, by eksplodować z taką siłą, że miał wrażenie, iż rozpada się na milion kawałków. Czuł, jak zacisnęła się wokół niego, i zauważył jej zachwyconą twarz.

Wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Całował jej włosy, spocone czoło, przesuwając dłońmi po mokrych od potu nagich plecach. Dopiero po dłuższym czasie oddech Patricka wrócił do normy, a serce zaczęło bić wolniej. Miłość znów wezbrała z wielką, bolesną siłą.

- Nie wiem, jak wytrzymam kolejną rozłąkę - powiedział i pocałował ją w skroń.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego poważnym wzrokiem.

- A więc nadal chcesz, żebym wyjechała z dziećmi do Adelajdy.

Odsunął zmierzwiłone włosy z jej czoła i dotknął jej policzka.

- Chcę, żebyś stąd wyjechała, Amando. Ty i dzieci. - Popatrzył na jej bladą, zatroskaną twarz. - Proszę.

Spodziewał się tego, że znów będzie się z nim spierać, lecz powiedziała tylko:

- Dobrze. Tak zrobię.

Przytuliła policzek do jego piersi i odwróciła głowę, tak by nie widział jej twarzy. Nie zdołała jednak zrobić tego na tyle szybko, by nie dostrzegł wyrazu jej oczu. Zauważył w nich strach i niepewność, którą aż do tej pory tak doskonale przed nim ukrywała.

Ale ja wcale nie chcę jechać do cioci Hetty - oznajmiła Missy, kiedy ojciec posadził ją w wozie. - Każę mi wkładać buty. I rękawiczki.

Roześmiał się, mimo że fakt, iż odsyłał ich wszystkich tak daleko, przyprawiał go o ból serca,

- Nie martw się, myszko. - Przytulił ją mocniej, niż planował. - To nie potrwa długo. Tylko do pierwszego ulewnego deszczu. Potem zaraz po was przyjadę.

- Ale przecież nie padało od bardzo dawna.

- W takim razie powinno wreszcie zacząć padać, prawda?

Missy nie odpowiedziała, tylko zarzuciła mu rączki na szyję. Pocałował ją w złociste włoski i zmusił się do odejścia.

Odwrócił się, słysząc stukot końskich kopyt. Liam zatrzymał swego dereszowatego wałacha i nie zsiadając, uściskał dłoń ojca.

- Do widzenia - powiedział i tylko mocno zaciśnięte szczęki i siła jego uścisku zdradzały, jak wiele kosztowało go pokonanie niemieckiej chęci rozpłakania się.

Patrick poczuł ciepły podmuch porannego wiatru.

- Do widzenia, synu - rzekł nieswoim, dziwnie pogrubiałym głosem. - Zaopiekuj się tymi końmi, słyszysz?

- Dobrze. - Liam popatrzył na blade szczyty gór, przybierające teraz złocistą barwę w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Przygryzł dolną wargę, jakby chciał coś dodać, ale miał trudności z wypowiedzeniem słów. - Żałuję, że nie pozwoliłeś mi zostać - odezwał się w końcu.

- Wiem.

Ich spojrzenia się spotkały. Chłopiec pierwszy odwrócił wzrok. Ojciec zauważył, że syn przełyka z trudem ślinę, po czym pochyła głowę i odjeżdża w stronę Jacka, który stał obok z Barristerem.

- Papo?

Odwrócił się w stronę Hannah, stojącej przy swoim wierzchowcu. Zawahał się. Miał ochotę uściskać Hannah tak jak Missy, ale się bał, że to się jej nie spodoba, więc zastanawiał się też nad podaniem jej dłoni jak Liamowi. Od dnia, w którym Katherine w końcu przyjechała do Penyaki i przedstawiła mu nerwową córeczkę, mającą już półtora roku, nigdy nie czuł się przy niej równie swobodnie jak przy innych dzieciach.

Wciąż się zastanawiał, co powinien zrobić, kiedy Hannah przytuliła się do niego.

- Do widzenia, papo - powiedziała. - Proszę, uważaj na siebie. Otoczył ją ramionami i przytulił.

- Obiecuję, dzieciaku. - Był już pewien, że Amanda miała rację, mówiąc, że Hannah dojrzeła. Była już na tyle dorosła, że zdawała sobie sprawę, jak niebezpieczne może się okazać pozostanie tutaj, i obawiała się, że może go już nigdy więcej nie zobaczyć.

Pomógł jej wsiąść na konia i patrzył, jak podjeżdża do Jacka i Liama, czekających przy stadzie koni. Patrick zdecydował się przeprowadzić na południe Ognistego Tancerza i inne wierzchołce na górskie pastwiska koło Adelajdy. Uważał, że jeśli przeżyje okres suszy, założy nowe farmy w różnych częściach kraju - w Wiktorii, w Nowej Południowej Walii, a nawet w Queensland, tak żeby móc bez kłopotu zmieniać miejsca wypasu w zależności od tego, w którym stanie spadnie deszcz. Patrzył, jak konie ruszają. Jeśli przeżyje tę suszę...

Odwrócił się w stronę Amandy, która wyszła z domu i zajęła się pakowaniem koszy z jedzeniem, przygotowanych dla nich przez Chinga. Miała na sobie tę samą szpetną brązową sukienkę, w którą była ubrana, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, stojącą na piaszczystej, chłostanej wiatrem ulicy w Brinkman. Przypomniawszy sobie teraz ten dzień, zdumiał się, jak wiele się wydarzyło i zmieniło od tamtej pory, jak dobrze się poznali.

A jednak przyglądając się jej teraz, wciąż widział delikatną, kruchą kobietę o jasnej karnacji i, drobnych kościach, zbyt subtelną i szlachetnie urodzoną, by mogła pasować do tego surowego, wrogiego otoczenia.

Jakby czując na sobie jego wzrok, odwróciła się. Zauważył, że rozchyła wargi i bierze głęboki oddech. Dostrzegł w jej oczach ból, tęsknotę i lęk, będące odzwierciedleniem jego uczuć, i przez chwilę cieszył się z tego. Wstydził się swych myśli, ale świadomość, że ją też wiele kosztuje to rozstanie, sprawiała mu radość.

Wciąż nie miał całkowitej pewności, że go kocha. Sądził, że kocha go na tyle, by poczekać na niego w Adelajdzie, ale nie oznaczało to jeszcze, że kocha wystarczająco mocno, by pokonać strach i nienawiść do tego kraju, by trwać przy nim we wszyst-

kim, czym ta ziemia może doświadczyć kobietę i mężczyznę, i go nie znienawidzić. Często przypominał sobie wyraz jej oczu tego ranka, kiedy zgodziła się wyjechać, i zawsze ogarniał go wtedy lęk.

Gdyby był pewny jej uczuć - naprawdę pewny - poprosiłby ją, żeby wróciła do niego po tym, jak umieści dzieci u Hetty. Nawet teraz pokusa poproszenia jej o to była tak silna, że kiedy Amanda podeszła do niego, na wszelki wypadek nie odzywał się przez dłuższą chwilę, tylko patrzył w jej szare oczy.

- Jesteśmy gotowi - rzuciła.

Skinął głową. Pożegnali się już na osobności, w bladych cichych godzinach świtu. Trzymał ją naga w ramionach, kochał się z nią niespiesznie. I powiedział jej, że zawsze będzie ją kochać.

Była jednak pewna kwestia, której celowo nie poruszał aż do tej pory. Wolał poczekać do ostatniej chwili, by nic mogła się z nim spierać.

- Chcę, żebyś to wzięła - powiedział, wsuwając gruby portfel w jej rękę. - Może ci się przydać.

Machinalnie zacisnęła palce na skórzanej oprawie. Popatrzyła na portfel, potem na Patricka. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, zauważywszy, ile pieniędzy jej wręczył.

- To o wiele więcej, niż potrzebujemy na podróż. Czy mam zostawić resztę twojej siostrze?

Pokręcił głową.

- Nie. Założyłem w Adelaide konto i upoważniłem cię do korzystania z niego. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała - dla siebie lub dla dzieci - masz pieniądze w banku. Nie są to krocie, ale wystarczająco wiele, żebyś nie musiała się martwić.

- W takim razie dlaczego...

- W tym portfelu są pieniądze dla ciebie, Amando. Gdyby coś mi się stało, będziesz miała za co wrócić do Anglii i urządzić się na początek. Szczególnie jeśli...

Położyła wolną dłoń na jego ustach.

-- Nic ci się nie stanie.

Ujął jej dłoń, przyłożył do swych warg i ucałował palce. Popatrzył jej prosto w oczy.

- Zawsze coś się może stać.
- Ale...
- Obiecaj mi coś, Amando. Obiecaj mi, że jeśli coś mi się stanie, wykorzystasz te pieniądze na powrót do Anglii.

Na jej zbielełej twarzy odmalowały się uczucia, których nie potrafił nazwać. Patrząc na nią, zdał sobie sprawę, że choć bardzo ją kocha, to w ogóle jej nie rozumie. Ta myśl podniecała go, lecz i przerażała zarazem. Czuł żar prażącego słońca, podmuchy wiatru, szeleszczącego suchymi liśćmi w usychających eukaliptusach. Słyszał głośne bicie swego serca. I czekał na jej odpowiedź.

Wypuściła z płuc wstrzymywane dotąd powietrze.

- Dobrze - odpowiedziała cichym głosem, w którym po-
brzmiewał ból. - Obiecuję. Ale nic ci się nie stanie.

Doświadczył dziwnego uczucia. Nie wiedział, czy jest to ulga, że się zgodziła, by to dla niej zrobił, czy też ukłucie smutku, kiedy uzmysłowił sobie, jak wiele musiałaby poświęcić, by zrezygnować z powrotu do Anglii i wyjść za niego.

Nie zamierzał jej całować ani nawet przytulać na oczach mężczyzn, w obecności dzieci, lecz potrzebował chwili bliskości. Chciał jeszcze raz poczuć jej zapach, jedwabistość nieprzyzwoicie wspaniałych włosów pomiędzy swoimi palcami. Ujął jej twarz, spojrzał w piękne błyszczące oczy...

I sam nie wiedział, kiedy zaczął ją całować. Całować tak, jakby czuł wielki głód i musiał go natychmiast zaspokoić, zatrzymać ją przy sobie. Całował jej rozchylone wargi, policzki, na których nagle pojawiły się łzy, drżące powieki.

- Jak ja cię kocham - wyszeptał. Przeniknął go dreszcz, gdy przycisnął głowę do jej czoła. - Zaczekaj na mnie, Amando. A kiedy to się skończy, wróć do mnie. Po prostu... wróć do mnie.

Dotknęła dłonią jego policzka.

- Zaczekam - powiedziała z wargami tuż przy jego ustach. - I wrócę. Wszyscy tu wrócimy. Zobaczysz. Zobaczysz.

O'Reilly zmrzążył oczy i popatrzył na skrzącą się gorącą kulę słońca wiszącą nisko nad horyzontem niczym nieprzyjacielska, śmiercionośna siła, która nie zamierzała się wycofać.

- Niech to szlag! - mruknął i otarł ramieniem pot z czoła. Po chwili przypomniał sobie, że jego koszula jest pobrudzona błotem, więc powtórzył: - Cholera! - I pochylił się nad zdechłą owcą leżącą u jego stóp.

Jeszcze przed chwilą żyła. Wyciągnął ją z oczka wodnego, w którym ugrzęzła. Lecz przeżyła zbyt wiele emocji, utraciła za dużo sił i kiedy postawił ją na twardym gruncie, tylko cicho zabeczwała z przerażenia i nieżywa osunęła się na ziemię.

Miał wrażenie, że ostatnio większość czasu upływała mu na wyciąganiu martwych albo zdychających owiec z nielicznych pozostałych zbiorników wodnych. Biedne nierozumne stworzenia wyprawiały się w busz, by napić się wody, po czym okazywało się, że wychudłe, zmęczone są zbyt słabe, by wydostać się z pułapki, jaką stanowiły błotniste brzegi oczek wodnych.

Wyprostował się i znów zapatrzył w zasnuty mgłą horyzont. Pomyślał, że mgiełkę prawdopodobnie tworzy pył, unoszący się w gęstym rozgrzanym powietrzu. Jednak jadąc do domu na grzbiecie zmęczonego konia, często popatrywał na niebo. Ostatnio wszyscy niemal bezustannie kierowali wzrok ku horyzontowi. Taka pogoda oznaczała pożary buszu. Nie zastanawiano się już nawet nad tym, czy do nich dojdzie, tylko kiedy i gdzie wystąpią.

Upłynęło zaledwie kilka dni od wyjazdu Amandy z dziećmi, gdy zobaczył blask ognia czerwieńiący niebo na wschodzie. Zebrał wszystkich swoich ludzi i popędzili, by pomóc sąsiednim farmom w walce z ogniem. Lecz w buszu panowała taka susza, że nie było możliwości ugaszenia ognia. Zanim wiatr zmienił kierunek i zawrócił płomień z powrotem na zwęglone tereny, ogień zdążył strawić co najmniej połowę farmy Bungowie i sporą część posiadłości Hannibala Coxa, włącznie z domem i zabudowaniami gospodarskimi.

Żona Coxa i jego dwaj synowie przeżyli ukrywając się w głębokiej jaskini w wąwozie, przez który przepływał najbliższy potok, lecz Hannibal Cox i jego trzech pracownicy zostali uwięzieni

w ślepych kanionie wraz ze stadem około pięciu tysięcy owiec. Teraz, ilekroć wiał wiatr ze wschodu, Patrickowi wydawało się, że wciąż czuje woń palonego ciała i wełny, unoszącą się w gorącym powietrzu.

Zacisnął wargi w wąską kreskę, patrząc, jak słońce powoli zachodzi za purpurowe szczyty gór. Wkrótce zapadnie ciemność, lecz nie zmuszał siwego wałacha do szybszego kroku. Nie śpieszył się do domu. Doszedł już prawie do tego, że zaczął nienawidzić cichego, pustego domostwa, myśli o tym, że kolejną noc spędzi sam, czytając książkę albo siedząc na werandzie z Campbellem i wypijając znacznie więcej, niż byłoby to korzystne dla zdrowia.

Z początku myślał, że łatwiej będzie mu przeżyć to piekło na ziemi, kiedy Amanda i dzieci wyjadą. Lecz gdy dni przeszły w tygodnie, a te mijały jeden za drugim, jego cierpienia tylko się wzmożyły i bywały takie chwile, że miał ochotę stanąć w wyschniętym ogrodzie i wyc do księżycy jak dingo.

Zobaczył zabudowania farmy, ciemne i wyraźne w gasnącym świetle. Zatrzymał się przed bramą i patrzył, jak zachodzące słońce opromienia barwami płynnego miodu zrujnowany ogród Katherine. Nienawidził tego ogrodu, lecz na widok uschniętych roślin ogarnął go smutek.

Oddał siwka jednemu z mężczyzn i udał się ogrodową ścieżką do ciemnego domu. Przystanął na werandzie, by napić się wody, i unosił już kubek do warg, kiedy usłyszał czyjś głos.

- Muszę przyznać, Patricku, że wyglądasz bardzo zdrowo jak na ducha.

Odrzucił się gwałtownie, skulony do ataku. Kubek z brzękiem opadł na posadzkę, gdy Patrick wyciągnął nóż, który zawsze nosił w pochwie przy pasie.

- Do diabła, Bagshaw! - krzyknął i wyprostował się, rozpoznawszy potężną sylwetkę na ławce pod ścianą domu. - Chcesz, żeby ktoś cię zabił? Życie ci niemiłe?

Errol Bagshaw, Anglik, sędziego pokoju z Melrose, uniósł szklaneczkę pachnącą najlepszą brandy gospodarza.

- Ciii... - powiedział znad jej krawędzi. Aj, aj, aj. Ależ jesteście nerwowi!

- Ostatnio po buszu włączą się rozmaici desperaci.

- To prawda, to prawda. - Bagshaw ze smutkiem pokiwał głową. Jego długie, tłuste siwe włosy ocierały się o ramiona. Anglik był gruby, niechlujny i sprawiał wrażenie, jakby ostatnio kapał się przed dwoma miesiącami, niemniej jednak Patrick go lubił. Był bystry i zdecydowany, a poza tym miał miękkie serce, z czego niewiele osób zdawało sobie sprawę.

Uniósłszy kubek, gospodarz oparł się o kamienną ścianę domu.

- Masz tu całą butelkę czy tylko tę szklaneczkę?

Bagshaw uśmiechnął się szeroko, ukazując zęby, i uniósł do połowy opróżnioną butelkę.

- Dzięki. - Patrick wziął ją i nalał trunku do blaszanego kubka. Wypił, otrząsnął się i nalał ponownie.

- Pijesz też nie jak umarłak - stwierdził Bagshaw.

Ręka Patricka z kubkiem znieruchomiała w połowie drogi do ust.

- Co ty opowiadasz? Że niby umarłem?

- To tylko zwykła plotka. Powiadają, że twoja farma spłonęła jakiś czas temu, a ty i twoi ludzie zginęliście w płomieniach. Akurat byłem w okolicy, więc pomyślałem, że podjadę tu i zobaczę zniszczenia. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony, że twój dom wciąż stoi. - Stęknął i pochylił się, by wziąć butelkę. - Byłem też zdumiony... ale oczywiście bardzo zadowolony, kiedy twoi ludzie powiedzieli mi, że wciąż zaliczasz się do żywych.

- To farma Coxa spłonęła, nie moja - sprostował Patrick, któremu nagle przestała smakować wyborna brandy. - Hannibal Cox i jego ludzie zginęli, kiedy wiatr zmienił kierunek i rzucił na nich ogień.

- A, więc to tak wyglądało.

Gospodarz odstawił kubek z brandy i wsunął palce za pas.

- Ale dlaczego myślałeś, że to ja?

Bagshaw westchnął tak ciężko, jakby dźwigał wszystkie problemy regionów dotkniętych suszą na swoich barkach.

- Mówili o tym w Melrose dwaj woźnice, którzy usłyszeli tę wiadomość od Tie-Pinga.

- Tego chińskiego handlarza? - Patrick stęknął. - Boże, mój kucharz mówi, że on ledwie posługuje się chińskim, nie mówiąc już o angielskim. Jak im się udało czegoś dowiedzieć?

- Najwyraźniej uzyskali nieprecyzyjne wiadomości. Sądzę, że woźnice pomyśleli, iż chodzi o ciebie na podstawie tego, że jesteś właścicielem czerwonego ogiera, o którym mówił handlarz.

- Masz na myśli Ognistego Tancerza?

- Tak.

Patrick odepchnął się od ściany i stanął na skraju werandy. Zapatrzył się na gęstniejący mrok. Zapowiadała się ciemna noc. Nie było księżyca, a gęstniejąca mgła zasłaniała większość gwiazd.

- Hannibal Cox przywiózł tu tego ogiera z Nowej Zelandii - rzucił przez ramię.

Bagshaw uniósł się z ławki z potężnym stęknięciem, dochodzącym jakby z głębi wydatnego brzucha.

- To wszystko wyjaśnia - rzekł i znów stęknął, sięgnąwszy po szklaneczkę i butelkę brandy. - Jak sądzisz, czy ten twój wspaniały chiński kucharz przygotował już kolację? Jak tylko tu przyjechałem, powiedziałem mu, że zostanie na noc.

Patrick odwrócił się i uśmiechnął szeroko.

- Przypuszczam, że poprosiłeś go też, żeby przygotował pokój gościnny?

- Oczywiście, chłopie - odpowiedział Bagshaw z uśmiechem. - Oczywiście.

Po kolacji Patrick wyniósł na werandę stół i dwa krzesła i zaproponował gościowi partyjkę szachów. Bez trudu wygrał pierwszą partię, lecz doświadczenie mówiło mu, że Bagshaw rozgrzewa się powoli. Rewanż trwał już czterdzieści pięć minut. Gospodarz z uwagą wpatrywał się w szachownicę, kiedy jego gość zagaił pozornie obojętnym tonem;

- Pamiętasz, jak mówiłem ci o woźnicach? O tych, którzy rozpowszechniali pogłoski o twojej śmierci?

Patrick jęknął, chcąc skupić się na grze.

- Jechali do Adelajdy.

- Tak?

- A przecież twoja rodzina tam jest w Adelajdzie.

Patrick bez słowa popatrzył na nalaną twarz Bagshawa i podniósł się z krzesła.

- Siadaj, synu-powiedział Bagshaw. Nigdzie nie pojedziesz w taką noc. - Ruchem głowy wskazał ciemności, rozpościerające się za kręgiem światła rzucanym przez lampę naftową i tłące się liście chryzantem, które miały odstraszać moskity. - Na dworze jest ciemno choć oko wykol. Jeśli nie chcesz, żeby twój koń złamał nogę, a ty kark, musisz poczekać do świtu.

- Cholera jasna! - mruknął Patrick, usiadł i bez dalszego namysłu wykonał ruch skoczkiem.

Bagshaw przesunął białą królową w lewo i ukazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Szach i mat.

Spokojnie, mały - powiedział łagodnie Patrick, siodłając wałacha. Kasztan parsknął i zadrżał, kiedy O'Reilly zacisnęła popręg. Pojawiło się dopiero pierwsze jashorózkowe światło na wschodzie, lecz nie miał zamiaru dłużej zwlekać.

Cztery tygodnie. Bagshaw powiedział, że ci cholerni woźnicy wyjechali z Melrose co najmniej cztery tygodnie temu. A jeśli przekazali swoje wiadomości komuś jadącemu na południe na szybkim koniu...

- Psiakrew! - zaklął. Amanda mogła już znajdować się na statku płynącym do Anglii. Przecież sam ją poprosił, żeby wyjechała, zmusił do obiecania, że to zrobi, jeżeli coś mu się stanie. - Psiakrew! - powtórzył z wściekłością, chwytając wodze. - Jaki ze mnie cholerny głupiec.

Wyprowadzał już wałacha ze stajni, kiedy zauważył coś białego, schodzącego ze wzgórza od strony domu. Przystanął

zaintrygowany, patrząc, jak Errol Bagshaw, w koszuli nocnej i szlafmycy, z kocem narzuconym na szerokie ramiona, wyłania się z ciemności.

- Na litość boską, Bagshaw, co ty tu robisz o tej porze? - zapytał i wskoczył na siodło. Skóra cicho skrzypnęła w ciszy nadchodzącego świtu.

- Zapomniałem ci powiedzieć o czymś, co słyszałem, przejeżdżając koło Blinman - rzekł sędzia pokoju, ciężko dysząc. - Podobno niedawno w Costner Creek padało przez sześćdziesiąt godzin bez przerwy i niektóre potoki wylały. Uważaj na siebie, dobrze?

Z doliny dotarł zaskakująco chłodny podmuch wiatru, przynosząc ze sobą pył. Patrick chwycił wodze.

- Będę ostrożny - obiecał. Wiatr powiał znowu, niosąc odgłos gruchotania drobnych kamieni o skały.

Bagshaw rozejrzał się, zaskoczony słabym stukaniem o dach stajni.

- Co to za dźwięk?

Coś mokrego uderzyło Patricka w policzek. Odchylił głowę, by popatrzeć na niebo bez gwiazd.

- To deszcz - odpowiedział. - Zaczyna padać.

Niebo otworzyło się i lunęło.

Amanda znalazła dzieci na strychu na siano nad stajnią z tyłu rezydencji ciotki.

Minęły już dwa dni, odkąd jedna ze znajomych Henrietty Radwith przyniosła im wiadomość o pożarze buszu, który strawił Penyake. Dwa dni temu powiedziano im, że Patrick O'Reilly i trzech jego ludzie zginęli w płomieniach.

Wstrząśnięci, pogrążeni w niepewności, wciąż nie mogli uwierzyć, że to prawda, i czekali, aż ktoś im powie, że popełniono omyłkę. Lecz tego popołudnia Christian Whittaker poinformował Amandę, że spotkał woźniców, którzy przyjechali tu z Flinders. Mężczyźni potwierdzili straszną wiadomość.

Pragnąc być teraz z dziećmi i obawiając się, że już w jakiś tajemniczy sposób usłyszały o woźnicach, jak to zwykle dzieci, Amanda udała się na ich poszukiwanie.

Na strychu pachniało sianem i koźmi, było ciemno i wszędzie unosił się pył. Przystanęła na szczycie drabiny, kolejno patrząc na milczącą trójkę. Missy miała twarz zalaną łzami, czerwone oczy i zapuchnięte powieki; jej wargi drżały. Lecz Hannah i Liam stali ze skamieniałymi, niemal gniewnymi twarzami.

- Pewnie słyszeliście, co powiedział pan Whittaker? - spytała Amanda.

- Wciąż nie możemy w to uwierzyć! - krzyknęła Missy i znów wybuchnęła płaczem.

Amanda głęboko zaczerpnęła tchu. Miała wrażenie, że jej

serce rozpada się na tysiące kawałków szkła. Przeżywała ten koszmar już od trzech dni i znosiła ból chyba tylko dlatego, że był on złagodzony niedowierzaniem.

Gdyby Patrick naprawdę nie żył, nikt nie musiałby jej o tym powiadamiać. Tego była pewna. Wiedziałyby o tym, czułyby to. Byli sobie zbyt bliscy, zbyt dobrze wyczuwali swoje myśli i uczucia, żeby mógł umrzeć tak straszliwą śmiercią, podczas gdy ona nic by o tym nie wiedziała. Nawet kiedy słuchała Christiana, mówiącego jej o woźnicach, wciąż myślała: „To musi być jakaś pomyłka”.

Jednak słyszała też cichy wewnętrzny głos, który szeptał jej, że to ona może się mylić, że nie chce uwierzyć w jego śmierć tylko dlatego, że nie byłaby w stanie znieść prawdy.

- Mogę wejść? - zapytała, patrząc na dzieci.

Hannah tylko popatrzyła na nią, ale Liam pokiwał głową.

Podtrzymując spódnicę, Amanda pokonała pozostałe szczeble drabiny i stanęła na deskach strychu. Usiadła na beli siana, posadziła sobie Missy na kolanach i mocno ją przytuliła.

- Pozwól mi się przytulić, kochanie - powiedziała szeptem. - Chcę się do ciebie przytulić.

Missy zarzuciła Amandzie ręce na szyję i przywarła do niej mocno, prawie boleśnie.

- Nie powstrzyma nas pani, prawda? - zapytała. Jej łzy wsiąkały w sukienkę Amandy.

Amanda stała się raptem czujna.

- Od czego miałabym was powstrzymać? - Popatrzyła na Hannah i na Liama. Szybko wymienili ukradkowe spojrzenia, po czym znieruchomieli z opanowanymi twarzami.

- O co chodzi? - domagała się odpowiedzi Amanda, przenosząc wzrok z jednego dziecka na drugie. - Co tu knuliście, zanim do was przyszłam? Dobrze was znam, Liamie i Hannah. Nigdy nie wyglądacie tak niewinnie jak wtedy, gdy macie coś do ukrycia.

W ciszy, która zapadła po jej słowach, usłyszała konie poruszające się w swoich boksach.

- Jeśli... - Urwała, doznawszy olśnienia. - Boże! Chcieliście się wybrać do Penyaki, prawda?

Hannah gwałtownie poderwała się na nogi i sztywno podeszła do otworu do podawania siana. Mocno zacisnęła szczękę.

- Mam rację? - zapytała Amanda.

Dziewczynka oparła dłoń o framugę otworu, lecz się nie odwróciła.

- Nie wierzę, że papa nie żyje - powiedziała, patrząc na wierzchołki eukaliptusów w pobliskim parku. - Ci woźnice musieli mówić nieprawdę. Wciąż nie wierzę, że papa nie żyje.

Mimo iż sama miała co do tego wątpliwości, Amanda nie mogła jednak okazać się na tyle nieodpowiedzialna, by budzić złudne nadzieje.

- Wiem, że trudno się z tym pogodzić - odezwała się zmęczonym głosem. - Ale...

Hannah odwróciła się gwałtownie, ukazując Amandzie bladą ściągniętą bólem twarz.

- A pani wierzy, że on nie żyje, panno Davenport? Naprawdę pani w to wierzy?

Amanda popatrzyła w szeroko otwarte, szczere oczy dziewczynki. Nie mogła jej okłamywać.

- Nie - powiedziała z westchnieniem. - Nie wierzę. Ale coś też mi mówi, że się mylę, że po prostu trudno mi jest przyjąć prawdę, i że wasz ojciec nie żyje.

- Uwierzę w to dopiero, gdy pojedziemy do Penyaki i zobaczę jego grób - oświadczył Liam.

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę wam na to pozwolić. Wasz ojciec chciał, żebym przyjechała z wami do Adelajdy, żebyście byli bezpieczni. Nie mogę pozwolić na wasz powrót.

- Ale my musimy to zrobić - oznajmiła Hannah. - Nie rozumie pani?

Amanda wydała głośne westchnienie.

- Rozumiem. - Wiedziała już, co powinna uczynić. - Sama tam pojedę.

- Pani, panno Davenport? - zdziwiła się Missy, unosząc wzrok.

Amanda objęła szczupłe ramiona dziewczynki, wciąż jednak patrząc na Hannah i Liama.

- Gdybym pojechała do Penyaki... porozmawiała tam z ludźmi i zobaczyła grób waszego ojca... Czy zgodzilibyście się na to? Na razie? Dopóki sytuacja się nie zmieni i będziecie mogli sami się tam udać?

Hannah popatrzyła na nią uważnie przez tańczące drobiny kurzu na strychu. Po raz pierwszy od wielu dni Amanda zauważyła emocje malujące się na twarzy dziewczynki.

- A jeśli papa naprawdę nie żyje, to wróci pani do Anglii?

Dopiero kiedy Hannah zadała to pytanie, Amanda zdała sobie sprawę, jak niewiele myślała o swojej przyszłości. Była łak pewna, że Patrick nie umarł, że swoją przyszłość wciąż wiązała z nim, z tymi dziećmi, z Penyaka.

- Nie wiem - odparła szczerze. - A dlaczego pytasz?

Odpowiedział jej Liam.

-- Missy powiedziała, że słyszała, jak pani obiecywała papie, że wróci do Angli, jeżeli... jeśli coś mu się stanie.

Amanda poczuła dławienie w piersiach. Wstrzymała oddech, zdjęta bólem i panicznym strachem. Wyobraziła sobie, że żegna się z tą trójką dzieci, że opuszcza ten spalony słońcem, nieposkromiony kraj i powraca do swojego dawnego życia w Anglii.

Zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie tego zrobić. Nawet gdyby miało się okazać, że się myli... nawet jeśli naprawdę utraciła ukochanego mężczyznę, nie chciała stracić także jego dzieci. Wiedziała, że formalnie nie ma do nich żadnych praw, ale w ciągu tygodni spędzonych w Adelajdzie Amanda i Henrietta Radwith zaczęły darzyć się szacunkiem i nie przypuszczała, by siostra Patricka stanęła na jej drodze.

- Nie wrócę do Anglii - oświadczyła stanowczym głosem. - Chcę tu zostać z wami. Obiecałam waszemu ojcu, że wrócę do domu... ale teraz mój dom jest w Australii. Tu jest moje miejsce.

Dopiero usłyszawszy swoje słowa, zdała sobie sprawę, że mówi prawdę. Tu miała rodzinę i tu był jej dom.

Była tu, gdzie naprawdę chciała być.

Pozmawiałem z kapitanem „Atlasu” - powiedział Amandzie Christian następnego dnia, kiedy przechadzali się po parku naprzeciwko rezydencji Henrietty Radwith. - Powiedział, że może zarezerwować kabinę. Ale statek wypływa w przyszłym tygodniu. Musisz się zdecydować.

- Już się zdecydowałam - oznajmiła Amanda. Szelest jej spódnic wystraszył parkę papużek w krzaku, którego owoce stanowią ulubiony pokarm emu; ptaki odfrunęły, prezentując szmaragdowe upierzenie przetykane szafirowymi i rubinowymi plamkami. Uniosła głowę, przyglądając się im.

- Boże. - Christian przystanął, by przyjrzeć się jej z niedowierzaniem. - Ty nie wracasz.

- Nie. Nie mogę.

Na chwilę w jego oczach pojawiło się pełne zdumienia zatroskanie. Szybko jednak się opanował. To mój serdeczny przyjaciel, pomyślała, ujmując jego dłoń. Stali się sobie szczególnie bliscy w czasie ciężkiej podróży z Penyaki do Adelajdy. Spędzili ze sobą wiele wieczorów, siedząc przy trzaskających ogniskach o zapachu eukaliptusa, wpatrując się w rozgwieżdżone południowe niebo i rozmawiając. Nieśmiało wyznała mu, że planuje wspólną przyszłość z Patrickiem, a Christian powiedział jej, że po powrocie do Oxfordshire zamierza się ożenić ze swoją młodą daleką kuzynką. Po przyjeździe do Adelajdy był bardzo zajęty sprawami kompanii i przygotowaniem do wyjazdu. Jednak często się kontaktowali, a odkąd nadeszły wiadomości o tym, co się stało w Penyace, przychodził codziennie.

- Ale przecież on nie żyje - powiedział Christian, mocno ściskając jej dłoń. - Jaki sens ma zostawanie tutaj?

- Przede wszystkim wciąż jeszcze nie przyjąłem tego do wiadomości. - Zaciśnęła wolną dłoń w pięść i przyłożyła do piersi. - Gdyby nie żył, wiedziałabym o tym. Czułabym to. Tutaj.

Jakiś miesiąc drgnął w policzku Christiana, wykrzywiając mu jeden wąs.

- Jesteś pewna, Amando? Jesteś pewna czy po prostu nie chcesz w to uwierzyć?

- Może masz rację - przyznała cicho. - Ale nie mogę w to

uwierzyć tylko na podstawie czyichś słów. Muszę sama się przekonać, muszę zyskać pewność.

Christian odwrócił wzrok.

- Nie wiem, jak mogłabyś się o tym przekonać. Musiałabyś tam pojechać i zobaczyć jego grób.

- Właśnie to zamierzam zrobić. Niemiecki misjonarz i jego żona jadą z niewielką grupą ludzi na północ. Zgodzili się zabrać mnie z sobą. Wyjeżdżają w środę.

- Chcesz tam wrócić? - Christian popatrzył na Amandę z niedowierzaniem i zaniepokojony, uniósł głos. - W czasie tej suszy? Chyba jesteś szalona.

- Nie. - Pokręciła głową. - Tylko zakochana.

Westchnął i odwrócił wzrok, jakby usiłował zapanować nad swoimi uczuciami.

- Zdajesz sobie sprawę, że „Atlas” jest w tej chwili jedynym statkiem płynącym do Anglii? Sprawdziłem w porcie, nie będzie innego rejsu przez wiele miesięcy. Kiedy stąd odpłyniemy, będziesz tu uwięziona Bóg jeden wie na jak długo.

- To nie ma znaczenia. Zdecydowałam, że nie wrócę do Anglii.

- Co? - Christian odwrócił się gwałtownie, by na nią spojrzeć. Stał z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami. - Nie chcesz wrócić do Anglii? To znaczy, że zostaniesz tutaj? Na zawsze?

Po raz pierwszy od usłyszenia strasznej wiadomości o śmierci Patricka Amanda poczuła, że jej wargi wyginają się w leciutkim uśmiechu.

- Drogi Christianie. Nie bądź taki przerażony. Chcę tu zostać. Chcę zostać z dziećmi, ale... nie tylko o to chodzi.

Wystawiając twarz na delikatne podmuchy wiatru, niosącego zapach akacji, popatrzyła na niebieskozielone góry, rozciągające się na północy.

- Kiedyś nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będę mogła powiedzieć coś takiego, ale naprawdę tu mi się podoba. Lubię czuć ciepło słońca na twarzy, spoglądać w niebo tak bezkresne i niebieskie, że aż oczy boją od patrzenia. Ten kraj ma w sobie coś pierwotnego, dzikiego, nieogarnionego. A jednocześnie jest bardzo spokojny i naturalny. - Popatrzyła na oniemiałą twarz

swojego towarzysza. - Podobają mi się tutaj - powtórzyła. - Ale, co ważniejsze, lubię siebie tutaj. Boję się, że gdybym wróciła do Anglii, stałabym się taką osobą, jaką byłam wcześniej... i jaką już nigdy nie chcę być. - Zaśmiała się cicho. - Czy to wszystko ma jakiś sens?

- Chyba nie - odpowiedział Christian. - Ale dopóki ma to znaczenie dla ciebie, to tylko to się liczy. - Podał jej ramię. - Chodźmy pospacerować jeszcze.

- Będzie mi ciebie brakowało - odezwała się cicho Amanda, idąc obok niego.

- Mnie też będzie ciebie brakowało. Gdybyś kiedyś potrzebowała czegoś... czegokolwiek...

Ścisnęła go za ramię.

- Tak, wiem. I bardzo ci dziękuję.

Zanim Patrick dojechał do Brinkman, koryta potoków wypełniła woda.

Najpierw płynęły tylko wąskie strugi pokryte piaskiem, czołgające się jak powoli budzące się węże od jednego wyschniętego zagłębienia do drugiego. Lecz gdy ulewny deszcz nie ustawał, sucha, twarda ziemia nie była w stanie wystarczająco szybko wchłaniać wody. Pojawiły się szerokie czerwone strumienie, szybko się łączące i z rykiem wpadające do koryt potoków, które przybierały, niosąc cały gruz z rumowisk skalnych po okresie suszy.

Świt tylko nieznacznie rozjaśnił scenę nawałnicy. Gęste chmury wisiały nisko nad ziemią; kłębiące się czarne masy wydawały głuche pomruki, błyskały ogniem i zsyłały ściany deszczu na suchą, spękaną ziemię. Patrick z trudem posuwał się przed siebie. Deszcz zerwał mu kapelusz z głowy, przemoczył ubranie, zalewał oczy, skapywał z nosa. Końskie kopyta zasysane w błoto kłapały w rozkiszłej ziemi. Dwa razy wałach pośliznął się i omal nie przewrócił. Jego pan przeklinał, wściekły z powodu

zwłoki, zgrzytał zębami, gdy zimny wiatr przenikał go do szpiku kości, i zmuszał konia do posuwania się naprzód.

Gdyby to tylko od niego zależało, Patrick zapewne jechałby całą noc. Jednak o czwartej nad ranem, kiedy zobaczył dym unoszący się z kamiennego komina chłostanej deszczem pasterkiej chaty, wiedząc, że kasztan jest już wyczerpany, niechętnie zбочzył z drogi i postanowił prznocować.

Pasterz i jego pomocnik dali mu ciepły posiłek, a wałachowi siano, mógł też wysuszyć przemoczone ubranie przy kominku, w którym buzował ogień. Lecz następnej nocy musiał zadowolnić się noclegiem w spalonych ruinach domu na opuszczonej farmie. Dach przeciekał, wiatr wdzierał się do środka przez wypalone ściany. Wstał i ruszył w dalszą drogę jeszcze przed nastaniem świtu.

Nieustępliwie parł naprzód. Było mu teraz łatwiej, jako że uspokoił się, podjąwszy ważną decyzję którejś długiej, zimnej nocy. Był już pewien, że jeśli przybywszy do Adelaide, dowie się, że Amanda wyjechała, popłynie za nią do Anglii. A nawet jeśli zostanie ją w Adelaide, powie jej, że chce z nią jechać do Anglii. Skoro nie wyobrażała sobie, że mogłaby spędzić resztę życia w Australii, będą musieli znaleźć dla siebie miejsce gdzie indziej. Kochał ten kraj jak własne życie. Lecz bardziej kochał Amandę.

Świt ledwie zaznaczył się jaśniejszym światłem wśród ciężkich szarych chmur, kiedy zatrzymał się na szczycie wzniesienia i popatrzył na wezbrany nurt u podnóża góry.

- Psiakrew! - zaklął, ocierając wodę z twarzy rękawem koszuli przesiąkniętej wodą. Popatrzył na pięć wozów skupionych na brzegu, starając się domyślić, jak dojechali tam przed rozbiciem obozowiska, lecz trudno było się zorientować, czy zostali zatrzymani przez zbyt wysoki poziom wody w potoku, czy też przekroczyli go zbyt późno w nocy, by jechać dalej.

Wąska smużka dymu świadczyła o żałosnych usiłowaniach rozpalenia ognia, wystarczającego do ugotowania śniadania. Patrick powoli zjechał ze stromego zbocza ku obozowisku, mając nadzieję, że komuś udało się przynajmniej podgrzać wodę na kawę lub herbatę. Potok musiał być lodowaty.

Dostrzegł teraz ogień, osłonięty płóciennym parawanem, i dogładającego go rosnącego, krzepkiego mężczyznę z długą jasną brodą, bez wąsów. Na dźwięk końskich kopyt, rozpryskujących błotnistą maź, mężczyzna uniósł głowę, ukazując pooraną zmarszczkami, ale bardzo miłą twarz. Uśmiechnął się.

- *Guten Morgen.*

- Dzień dobry - odpowiedział Patrick i uniósł się w siodle, by rozprostować obolałe od chłodu mięśnie.

- Myślę, że to dobry dzień na leżenie w ciepłym, suchym łóżku.

- Tak. Widzi pan tu jakieś?

Mężczyzna roześmiał się.

- Nie. Moje posłanie całkiem przemokło, kiedy przekraczaliśmy rzekę, więc nie chciało mi się w nim leżeć. - Uniósł poczerniały kociołek znad syczącego ognia. - Napije się pan kawy?

- Będę bardzo wdzięczny. - Patrick zeskoczył z konia i przysunął zziębnięte dłonie do ognia. - Więc przekroczyli państwo potok w nocy?

- Potok? Nazywa pan to potokiem? - Niemiec podał mu kubek parującej kawy i przykucnął przy ognisku. - W moim kraju nazywamy to rzeką.

- Dziękuję - rzekł Patrick, zaciskając zdrętwiałe palce na gorącym naczyniu, i wypił łyk czarnego napoju. - Myślę, że i tutaj mówilibyśmy „rzeka”, gdyby tak wyglądała przez cały czas. Ale jeśli przyjechaliby tu państwo parę dni wcześniej, przekroczylibyście koryto, nawet nie brudząc kół w błocie.

- Tak właśnie powiedziała nam *englische* kobieta, która podróżuje z nami. Chciałem rozbić obóz na tamtym brzegu, ale mówiła, że poziom wody szybko się podnosi, i radziła przeprowić się jak najszybciej. - Pokręcił głową. - Miała rację. Nigdy byśmy nie przejechali, gdybyśmy czekali do rana. To byłoby samobójstwo.

- No tak. Dziękuję za kawę. - Patrick odstawił pusty kubek i chwycił wodze.

- *Lieber Gott*. - Niemiec wstał i popatrzył na niego ze zdumieniem. - Ma pan zamiar przekroczyć tę rzekę? Teraz?

- Proszę się nie martwić. - Patrick wskoczył na siodło. - Wystarczy tylko skierować łeb konia pod prąd, rozluźnić się i pozwolić mu płynąć. Tylko jeśli ktoś niespodziewanie będzie starał się go zatrzymać albo nie będzie siedział spokojnie czy spróbuje go zawrócić, naraża się na niebezpieczeństwo, że koń się na niego zwali.

Niemiec pokręcił głową.

- Trudne warunki panują w waszym kraju. Najpierw susza. A teraz powódź.

- Proszę nie zapominać o pożarach buszu - dodał Patrick z uśmiechem i poprowadził wałacha w stronę spiętrzanej, czerwono-brązowej wody.

U słyszała jego głos przez sen, skracane po australijsku słowa i wesoły, lekko ironiczny ton głosu, który tak uwielbiała. Leżąc na posłaniu w wozie Herbolta Amanda jęknęła cicho, gdyż kolejny sen - a prawie nieustannie śnił jej się Patrick - się kończył.

Usiadła i zadrzała, przejęta chłodem wilgotnego powietrza.

- Najpierw susza. A teraz powódź - usłyszała głos Niemca.

- Proszę nie zapominać o pożarach buszu - odpowiedział Patrick.

- To on - wyszeptała. - Boże, to on!

Odżyła w niej nadzieja. Wstrzymała oddech. Usiłowała się opanować, bojąc się, że za chwilę przeżyje rozczarowanie, lecz natychmiast odrzuciła koce i zerwała się na nogi.

- Patrick! - krzyknęła, rzucając się do tylnej deski wozu umocowanej na zawiasach. Zaczepiła stopą o wyciągnięte ramię śpiącej *Frau* Herbołt i upadła, uderzając kolanem w kufer i boleśnie waląc łokciem w żelazny kociołek.

- Co to? - *Frau* Herbołt poderwała się gwałtownie z posłania. Szlafmyca przekrzywiła się na jej głowie, zasłaniając jedno oko.

- *Auf Wiedersehen!* - zawołał *Herr* Herbołt.

- Odjeżdża. - Amanda wstała. - Nie! Zaczekaj!

Przeskoczyła nad deskami wozu, nie słysząc głośnego trzasku rozdieranej tkaniny koszuli, zaczepionej o kołek. Wylądowała bosymi stopami w zimnym, śliskim błocie, które rozbryznięto się dookoła, zanim zdążyła się czegokolwiek uchwycić.

Grzmotnęła siedzeniem o mokrą ziemię tak mocno, że zadzwoniły jej zęby. Gwałtownie oddychając, wsunęła dłonie w błotnistą maź i uniosła się, znów się pośliznęła, tym razem jednak tylko przykucnęła na jednym kolanie, a potem wreszcie wstała i ile sił w nogach popędziła ku potokowi, rozpryskując błoto.

Zobaczyła go w słabym, przesłoniętym burzowymi chmurami świetle poranka. Siedział na okazałym kasztanie zanurzonej już po grzbiet w wodzie. Koń wysunął łeb do przodu i zaczął płynąć.

Ześliznęła się w dół aż na skraj wody, nie zważając na swoje białe stopy i gołe nogi, rozdarta koszulę nocną, na zimny deszcz, siekający jej ciało, i silny wiatr, zarzucający włosy na twarz.

- Patrick! - krzyknęła, lecz jej głos zaginał wśród potężnego szumu deszczu, huku rwącego potoku i wycia wiatru.

Poczuła, że obejmuje ją silne męskie ramię, ciągnąc do tyłu. Mocna dłoń nakryła jej usta.

- Nie, moje dziecko! - krzyknął *Herr* Herbolt, starając się, by jego głos dotarł do niej w huku spiętrzonych wód. - On teraz nie może zawrócić... już jest na środku rzeki. Gdyby teraz chciał zawrócić konia, utonie razem z nim.

Spojrzała w bok i zobaczyła brodatą twarz i łagodne brązowe oczy trzymającego ją misjonarza. Z powagą kiwnęła głową, by zorientował się, że go usłyszała.

Powoli opuścił rękę.

- Zna pani tego Australijczyka?

- Tak. - Deszcz ściekał jej po twarzy, walczyła o złapanie tchu, jej pierś unosiła się i opadała, serce waliło jak oszalałe. - To o nim panu mówiłam... to ten człowiek, o którym mówiono, że zginął w czasie pożaru.

- Miejmy nadzieję, że łaska naszego Pana nie pozwoli mu zginąć w nurcie rzeki - powiedział Niemiec.

Amanda żałowała, że brakuje jej aż tak wielkiej wiary. Miała wrażenie, że żołądek podchodzi jej do gardła i zaraz się udusi.

Zdrętwiałą dłonią chwyciła silne ramię *Herr* Herbolta. Stojąc obok siebie, nie odrywali wzroku od płynącego konia i jeźdźca. Deszcz spływał na nich chłostaną wiatrem ścianą lodowatej wody, niebo zapalało się zygzakami błyskawic, rozlegały się złowróżbne grzmoty.

Zasnute chmurami niebo powoli przybierało jaśniejszą barwę dnia, pozwalając im lepiej zobaczyć czerwono-brązową spienioną rzekę, której poziom zdawał się podnosić z każdą chwilą. Złamane gałęzie i całe eukaliptusy z korzeniami wirowały niebezpiecznie w spiętrzonej wodzie, powodując powstawanie fal, uderzających o brzeg i chłostających bosc stopy Amandy.

-- Unosi go prąd - powiedziała, drżąc na całym ciele.

- Tak. Pozwala, żeby prąd przeniósł go na drugi brzeg.

- Och! - Zrobiła krok w stronę rzeki, gdyż kasztan nagle gwałtownie wyłonił się ponad powierzchnię wody. - Dotknął dna. - Po chwili zwierzę zachwiało się i utraciło oparcie dla nóg. Amanda musiała zagryźć wargi, by nie krzyknąć. Jeździec i koń przechylili się w przód, na chwilę zagubieni wśród wirującego gęstego błota, by zaraz wyłonić się na powierzchnię i wydostać na przeciwny brzeg, mokrzy, lecz cali.

- Dzięki ci, Boże - wyszeptała. - Udało się. Już nic mu nie grozi.

Mężczyzna na koniu poklepał mokry bok wierzchowca i pochylił się, jakby mówiąc coś do przerażonego, trzęsącego się zwierzęcia, po czym odwrócił się, by popatrzeć na rwącą rzekę, którą przed chwilą przekroczył.

Nawet ze sporej odległości Amanda zauważyła, jak gwałtownie unosi głowę. Stał ze wzrokiem utkwionym w zmokniętą bosą kobietę na drugim brzegu rzeki, w rozdartej koszuli nocnej, z włosami opadającymi na ramiona jak czerwony łachman. Znieruchomiał.

- Nie! - krzyknęła, widząc, że nakazuje koniowi ruszyć z powrotem. - Nie zwracaj!

Lecz kasztan zawahał się tylko na chwilę, po czym, drżąc, zanurzył się w groźną kipieli.

Patrick wyjął stopy ze strzemion i zmusił się do opanowania. Lodowata woda pieniała się wokół jego ud, sięgając pachwin. Skierował łeb kasztana w górę strumienia, który teraz był rzeką, i pozwolił zwierzęciu płynąć. Skupiał uwagę przede wszystkim na tym, by siedzieć nieruchomo.

Biegła wzdłuż brzegu, migały jej szczupłe białe nogi, mocno pracowały łokcie. Patrzyła, jak znosi go rwący nurt. Jej boscie stopy rozpryskiwały płytką wodę. Deszcz siekł ją niemiłosiernie. Wiatr trzepotał wspaniałymi płomienistymi włosami i przylepiał cienką moką tkaninę koszuli do nagiego ciała. Wyglądała wspaniale, dzika i swobodna.

Pragnął jej.

Miał ochotę położyć ją na brzegu rzeki i posiąść, nie zważając na deszcz i wicher. Chciał się w niej pograżyć, słuchać, jak gwałtownie chwyta powietrze, patrzeć, jak na jej twarzy odmalowuje się uniesienie. Pragnął trzymać ją w ramionach, obsypywać pocałunkami i nigdy, już nigdy nie pozwolić jej odejść.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że ją tu widzi. Zupełnie nie rozumiał, skąd tu się mogła wziąć. Wiedział tylko, że tu jest. że nie wyjechała do Anglii, że ma oczy szeroko otwarte z przerażenia, że boi się o niego, mimo iż jej wargi drżą z radości. Poczł głęboką radość na myśl o tym, że te uczucia, ten obłąkańczy bieg w burzowy poranek mają związek z jego osobą. Że Amanda robi to z miłości do niego.

- Patrick! - Jej głos dotarł do niego, przebijając się przez szum wody i wycie wiatru. - Patrick, ty szalony, zwariowany Australijczyku. Chcesz się zabić?

Roześmiał się, czując, że kopyta kasztana trafiły już na stały grunt. Koń z wysiłkiem wychylił się w przód i wdrapał na błotnisty brzeg. Mętna woda ściekała z jeźdźca i zwierzęcia strumykami spadającymi na kamienie. Biegła ku niemu, Patrick skierował wałacha w jej stronę, wychylił się, chwycił ją w pasie, unióś i posadził przed sobą.

- Amanda- wydyszał radośnie. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego, drżąc na całym ciele. - Amanda. Boże, Amanda.

Była cała mokra, zdyszana i trzęsła się z zimna.

- Dowiedziałam się, że nie żyjesz. - Zaczęła obsypywać pocałunkami jego podbródek, policzki, szyję, jakby chciała dotknąć każdego kawałka jego ciała. -. Mówili, że nie żyjesz. Ale w to nie uwierzyłam. Wiedziałam, że to nieprawda. Wiedziałam. Wiedziałam.

Wsunął rękę w mokre splatane włosy Amandy i przechylił jej głowę tak, że mógł przyjrzeć się zalanym deszczem policzkom, pełnym wargom. Cudownie pachniała różami, porannym deszczem i sobą.

- Bałem się, że wyjechałaś - powiedział głosem zduszonym z emocji i pochylił się, by odnaleźć jej usta. - Że odpłynęłaś do Anglii. - Dotknął ustami jej warg i przytulił ją jeszcze mocniej. - W drodze do ciebie podjąłem ważną decyzję, Amando. Postanowiłem wyjechać z tobą do Anglii, jeżeli dzięki temu będziesz szczęśliwa. Jeśli...

Położyła mu palec na ustach.

- Nie chcę wracać do Anglii. - Popatrzyła na niego poważnie szarymi oczami. Nie dostrzegł w nich wahania ani strachu, tylko miłość i głębokie przekonanie o słuszności jej decyzji. - Chcę tu zostać. Na zawsze.

Pocałował ją w usta. Koń poruszył się niespokojnie na brzegu rzeki, deszcz nie ustawał, lecz Patricka obchodził tylko smak rozchylonych warg Amandy. Przywarła do niego, wbiła palce w jego ramiona i całowała zapamiętale.

- *Lieber Gott* - rozległ się gromki głos.

Patrick odwrócił głowę i zobaczył Niemca, zmierzającego w ich stronę. Po chwili spojrzął na kobietę, którą trzymał w ramionach, i wybuchnął śmiechem.

- Ale co ty tu robisz, na litość boską?

- Szukałam ciebie - odpowiedziała i uśmiechnęła się szeroko i tak cudownie, że aż zaparło mu dech.

- Co z dziećmi?

- Są całe i zdrowe u twojej siostry.

Popatrzył na spienione wody,

- Musimy do nich pojechać.

Chwyliła go mocno, jakby w obawie, że ma zamiar znów przekroczyć rzekę.

- Nie tak od razu.

Uśmiechnął się.

- Nie. Nie od razu. Będziemy musieli jakoś je zawiadomić, ale teraz zamierzam znaleźć jakieś ciepłe, suche miejsce, w którym będę mógł spędzić cały tydzień, nie robiąc nic innego poza pokazywaniem ci, jak bardzo cię kocham.

Objęła go za szyję i przywarła do niego ustami.

- A co byś powiedział na dwa tygodnie? - zamruczała namiętnie.

Złożył na jej wargach długi, gorący pocałunek.

- Kocham cię, Amando. - Musnął ją ustami. - Bardzo, bardzo cię kocham.

Epilog

Poranki były ulubioną porą dnia Missy. Szczególnie lubiła wrześnie, kiedy powietrze było czyste i przyjemne, a słońce świeciło ciepło i złociście na błękitnym niebie.

Z radością głęboko wciągnawszy wiosenne powietrze, dziewczynka otoczyła ręką słupkę werandy i okręciła się, z zachwytem słuchając szelestu żółtej atłasowej spódnicy. Co prawda spiczaste buciki trochę cisnęły, ale Hannah ostrzegła ją, że jest dzień ślubu papy i nie powinna ich zdejmować. A ponieważ Hannah na tę okazję ubrała się w suknię, Missy uznała, że powinna być posłuszna, gdyż inaczej ryzykuje bolesny cios między łopatkami.

Wdzięczna melodia grana na skrzypcach przez Ichaboda Hornbottoma płynęła przez werandę, przyjemnie łącząc się ze skocznymi dźwiękami akordeonu irlandzkiego górnika, dochodzącymi od strony bramy. W ogrodzie panował gwar, jako że było w nim mnóstwo ludzi - aborygeni, co chwila odciągający sztywne kołnierzyki koszul, wystrojone kobiety w jedwabiaczki i koronkach, piszczące dzieci, biegające w tę i w tę. Wszyscy mieszkający w najbliższym, choć często odległym o wiele mil otoczeniu, przybyli na wesele, w związku z czym przyjęcie odbywało się na wolnym powietrzu, w ogrodzie. Papa zastanawiał się nad zorganizowaniem go w stodole, ale panna Davenport uznała, że miło będzie wziąć ślub w ogrodzie.

Wraz z nadejściem wiosny w ogrodzie rowijało się nowe życie. W powietrzu unosił się słodki zapach róż i kwiatów jabłoni

oraz śliw, którym udało się półtora roku temu przetrwać suszę. Po tym, jak w końcu nastąpiły deszcze Chow i panna Davenport ciężko pracowali, obcinając uschnięte gałęzie i sadząc nowe rośliny, tak że ogród wyglądał tak pięknie jak niegdyś. Był trochę inny, ale bardzo ładny, a może nawet ładniejszy niż dawniej, ponieważ rosły w nim teraz nie tylko angielskie kwiaty. Panna Davenport zasadziła również rośliny australijskie, które przyciągały motyle i ptaki z buszu.

Podśpiewując coś pod nosem do melodii skrzypiec, Missy jeszcze raz okręciła się przy słupku werandy i wtedy zobaczyła papę, który stał pod dachem altany oplecionej purpurowymi i białymi pachnącymi wistariami. Sprawiał wrażenie spokojnego i rozluźnionego, wsunął kciuki do kieszeni nowych spodni i odchylił głowę do tyłu, śmiejąc się z czegoś, co powiedział syn. To stojący obok niego Liam wydawał się niezwykle poważny, a nawet zdenerwowany.

Na odgłos otwieranych drzwi, prowadzących z pokoju panny Davenport na werandę, papa odwrócił głowę. Wciąż był uśmiechnięty, ale jego uśmiech nabrał teraz innego zabarwienia; stał się łagodny. Popatrzył na pannę Davenport tak kochającym wzrokiem, że łzy zapiekły Missy pod powiekami i poczuła łaskotanie w nosie, chociaż nie umiałaby nawet powiedzieć dlaczego, bo wcale nie było jej smutno.

Pierwsza wyszła Hannah. Jej gęste ciemne włosy okalały twarz schludnymi błyszczącymi kędziorami. Podobnie jak Missy miała na sobie atłasową żółtą suknię z białymi koronkami. Missy była zachwycona tym, że siostra tak pięknie wygląda, kiedy ubiera się jak dziewczyna. Oczywiście nie miała zamiaru jej o tym powiedzieć. Poza tym, sądząc po triumfalnym uśmiechu i rumieńcach na jej policzkach, Hannah dobrze o tym wiedziała.

Była nieznośnie przejęta weselem, ponieważ miała być druhną, a Missy powierzono tylko sypanie kwiatków. Starsza siostra postanowiła nawet, że będzie trzymać koszyk Missy z płatkami róż i dała jej go dopiero teraz, napominając ją donośnym szeptem:

- Przestań się kręcić. Pamiętaj, żeby nie wysypać od razu

wszystkich płatków z koszyka. I na litość boską, uważaj, co robisz.

Missy zacisnęła dłoń na rączce koszyka i pociesznie wykrzywiła się do siostry. Uważała, że Hannah wcale nie ma powodu, żeby się tak puszyć i podkreślać swoją ważność. W końcu była tylko druhną, a Mary McCarthy, jako starościna, z pewnością była ważniejsza.

- Niech pani sobie tylko wyobrazi, że była *paramour* przyszłego męża stoi obok na pani ślubie. - Usłyszała złośliwie rozbawiony głos, bez wątpienia Ianthy Thomdike, gdy Mary McCarthy, również pięknie wyglądająca w żółtej atłasowej sukni, weszła za Hannah w krąg słonecznego światła.

Missy wyciągnęła szyję, szukając guwernantki o ustach jak rodzynka, lecz wokół siebie zauważyła jedynie uśmiechnięte, wyczekujące twarze, lekko błyszczące potem, jako że słońce stało już dość wysoko na niebie.

- Missy - syknęła Hannah.

Szarpnięta w tył przez mocne opiekuńcze ręce siostry, dziewczynka zesza z werandy i stanęła przed Hannach. Nie wiedziała, co znaczy słowo *paramour*, ale panna Davenport i Mary McCarthy bardzo się ostatnio zaprzyjaźniły i Missy nie uważała, że pani McCarthy nie powinna być obecna na weselu tylko dlatego, że ona i papa spędzali kiedyś ze sobą tak dużo czasu w niektóre popołudnia.

Wciąż starała się to rozwikłać, kiedy usłyszała męski głos:

- Jest piękna. - I nowa mama Missy wyszła z cienia.

Amanda Davenport przystanęła na skraju werandy. Prezentowała się wspaniale w kremowej sukni z jedwabiu, ozdobionej haftowanymi żółtymi pączkami róż. Z wargami rozchylonymi w radosnym oczekiwaniu patrzyła na mężczyznę stojącego na końcu ścieżki. Wspaniałe płomiennokasztanowe włosy, ukoronowane wiankiem z kremowych i żółtych różyczek, okalały jej twarz i spływały na ramiona. W porównaniu z włosami jej drobna buzia, choć rozpromieniona, wydawała się blada, a figurka wciąż drobna i pozornie krucha, pomimo wyraźnego zaokrąglenia pod wdzięcznymi fałdami jedwabiu.

- Słyszałam, że ma się urodzić jeszcze przed Bożym Narodzeniem - powiedziała Iantha Thorndike. Jej nienaganna angielszczyzna zabrzmiała niezwykle wyraźnie w nagłej ciszy.

Missy rozejrzała się z gniewnym wyrazem twarzy, lecz panna Davenport tylko cicho się roześmiała i na chwilę bezwiednie przyłożyła dłoń do swego powiększonego brzucha.

Dziewczynka wiedziała, że to właśnie z powodu dziecka papie tak bardzo zależało na jak najszybszym rozwodzie. Nie rozumiała dokładnie, na czym polegał problem, ale okazało się, że w Australii Południowej wcale nie jest łatwo o rozwód. Tak więc papa i panna Davenport byli naprawdę bardzo zadowoleni, dowiedziawszy się, że prawdziwa mama Missy rozwiodła się z papą już dawno temu, we Francji, Anglii albo Ameryce, żeby poślubić rosyjskiego hrabiego, a może niemieckiego księcia czy też kogoś innego. Liam miał nadzieję, że to rosyjski hrabia, ale Missy doszła do wniosku, iż wolałaby księcia, mimo że zapewne byłby on luteraninem, jak stwierdziła Hannah.

- Missy!

Wyrwana z rozmyślań przez siostrzany palec, który boleśnie ukłuł ją między łopatkami, dziewczynka postąpiła kilka kroków. Skórzane podeszwy jej bucików stuknęły o brukowaną alejkę w rytm zaskakująco uroczystej muzyki, granej na skrzypcach przez pana Hornbottoma. Pamiętała, że ma równo trzymać koszyk, tak żeby się nie przechylił, i iść powoli, żeby zbytnio nie wysforować się naprzód.

Zapomniała tylko o sypaniu płatków róż.

Lecz nikt chyba tego nie zauważył. Kiedy doszli do altanki oplecionej wistarią, wiatr szumiący w gałęziach eukaliptusów nad potokiem przyniósł słodko pachnące liliowe płatki, które opadły na żółty atłas i kremowy jedwab ozdobiony różyczkami. Nowa mama Missy wypowiedziała słowa przysięgi małżeńskiej dźwięcznym, pewnym głosem. To papie głos drżał z radości i zachwytu.

- Może pan pocałować żonę - powiedział pastor Townsend.

Panna młoda stała nieruchomo, niemal z onieśmieleniem czekając na dotyk męża. Uniósł ręce i wsunął dłonie w kaskadę

ognistych włosów okalających jej twarz. Ich spojrzenia się spotkały i Missy odniosła wrażenie, że ci dwoje przez chwilę istnieli tylko dla siebie, jakby nie było nikogo innego ani w ogrodzie, ani na całym świecie.

- Jesteś teraz moja - powiedział cicho. - Na zawsze.

Uśmiechnęła się do męża.

- Zawsze byłam twoja.

Pochylił się. Missy odwróciła wzrok..

Wtem od strony kuchni dobiegło ich głośne przekleństwo.

- Liam. - Hannah spiorunowała brata wzrokiem i zacisnęła ręce w pięści, poważnie uszkadzając bukiet ślubny. - Obiecałeś, że nie będziesz robił żadnych numerów podczas ślubu.

- I nie robiłem - powiedział chłopiec wesoło, a w jego zielonozłocistych oczach pojawiły się figlarne iskierki.

Głos Chinga, wznoszący się i opadający w przekleństwach, które nie traciły nic ze swej siły, mimo iż były wypowiedane w dialekcie mandaryńskim, urwał się nagle, a potem rozległ się wściekły wrzask.

- W takim razie o co chodzi? - dociekała Hannah.

Liam uśmiechnął się szeroko.

- Nic nie mówiłem o przyjęciu weselnym.